



MILION

ŚWIATÓW

Z TOBĄ

CLAUDIA GRAY

CLAUDIA GRAY

MILION

ŚWIATÓW

Z TOBĄ

Tłumaczenie: Małgorzata Kaczarowska



Tytuł oryginału: *A Million Worlds with You*

Korekta: Elżbieta Śmigielska

Skład i łamanie: Ekart

Opracowanie graficzne polskiej wersji okładki: Magdalena Zawadzka/ Aureusart

Copyright © 2016 by Amy Vincent

Jacket art © 2016 by Craig Shields

Jacket design by Sarah Creech

Copyright for the Polish edition © 2018 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ISBN 978-83-7686-664-2

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2018

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Kazimierzowska 52 lok. 104

02-546 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

youtube.com/wydawnictwojaguar

instagram.com/wydawnictwojaguar

facebook.com/wydawnictwojaguar

snapchat: jaguar_ksiazki

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2018

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

Rozdział dwudziesty piąty

Rozdział dwudziesty szósty

Rozdział dwudziesty siódmy

Rozdział dwudziesty ósmy

Epilog

Rozdział pierwszy

Nie mogę oddychać. Nie mogę myśleć. Mogę tylko trzymać się i patrzeć na rzekę ponad sto metrów pode mną. Od śmierci dzieli mnie tylko kilka nylonowych lin zaciśniętych w dłoniach, które zrobiły się już śliskie od potu.

Podróże do innych wymiarów mogą być przerażające. Ale nigdy nie znalazłam się w tak koszarnej sytuacji.

Panika przyćmiewa moje myśli i sprawia, że wszystko staje się surrealistyczne. Mój mózg odmawia przyjęcia do wiadomości, że to się dzieje naprawdę, chociaż rzeczywistość rozciąga mi ramiona i napina mięśnie. Czuję każdy kilogram mojego ciała w zeszywniałych palcach i wiem, jak bezpośrednio jest niebezpieczeństwo. Światła miasta wydają się takie odległe, że mogłyby być gwiazdami. Ale mimo to mój mózg powtarza: *To tylko koszmarny sen. Masz omamy. To nie może się dziać naprawdę...*

Jednak wisior z Firebirdem na mojej szyi jeszcze promieniuje ciepłem po podróży do innego świata. To, co widzę – śmiertelne niebezpieczeństwo, w którym się znajduję – z pewnością jest prawdziwe.

Uświadamiam sobie, że zwisam poniżej pojazdu powietrznego, który wyświetla na ciemniejszym niebie holograficzne reklamy. Moje oczy w końcu skupiają się na pojedynczym szczególe ze znajdującej się w dole metropolii na tyle, że rozpoznaję katedrę Świętego Pawła, a za nią futurystyczny drapacz chmur, który nie istniał w mojej wersji Londynu.

Uniwersum Londyńskie. Wróciłam do Uniwersum Londyńskiego, pierwszego wymiaru alternatywnego, który odwiedziłam.

Najwyraźniej w tym wymiarze mam także umrzeć.

– Marguerite!

Odwracam głowę i widzę ciocię Susannę, wychyloną przez jedno z okien pasażerskich. Utlenione włosy chłuszczą jej twarz, szarpane tymi samymi porywami silnego wiatru, który podwiewa moją szarą sukienkę i prezentuje mnie światu poniżej. Ale nie obchodzi mnie, kto zobaczy mój tyłek, kiedy jestem o krok od śmierci. Ciocia Susanna ma szeroko otwarte oczy, a ciemne linie mascary spływają po jej policzkach razem ze łzami. Inni pasażerowie tłoczą się koło niej, przyciskają twarze do okien i ciekawskim wzrokiem przyglądają się dziewczynie, która zaraz może zginąć.

Dobrze – myślę i staram się uspokoić oddech. – Wystarczy, że wdrapię się tam

z powrotem. To nie tak daleko. Więcej niż dwa metry, mniej niż sześć.

Ale to nie takie łatwe. Nie mam dość siły w ramionach, aby wspiąć się po linie, a najbliższy metalowy uchwyt jest poza moim zasięgiem. Skąd w ogóle się tu wzięłam? Marguerite z tego świata musiała wypaść przez okno z pojazdu powietrznego i chwyciła linę, żeby się ratować, dlatego właśnie wiszę dziesiątki metrów nad Londynem...

Czuję nowy przypływ paniki. Każdy centymetr dzielący mnie od rzeki wydaje się wydłużać. Kręci mi się w głowie. Moje mięśnie słabną, a uścisk na linie drży, przybliżając mnie do śmierci.

Boże, nie, nie, nie. Muszę się jakoś pozbierać. Jeśli jej nie uratuję, zginiemy obie.

Kiedy w innym wymiarze umrze ciało, w którym jesteś, ty umierasz w tej samej chwili.

Mogłabym uciec gdzie pieprz rośnie z tego wszechświata. Wynalazek moich rodziców – Firebird – umożliwi mi podróż do nowego wymiaru w każdej chwili. Wydaje się, że to dobry moment, aby poznać inny świat – jakkolwiek inny świat. Ale żeby użyć Firebirda, musiałabym wybrać odpowiednią kombinację i przeskoczyć. Obie moje ręce są obecnie zajęte ścisaniem liny, dzięki której ciągle jeszcze żyję. Jak widać, trafiłam na paragraf 22. Pojazd powietrzny jest tak wysoko, że kiedy spadnę, moje ciało nabierze takiego przyspieszenia, że uderzenie w wodę będzie równie zabójcze jak uderzenie w beton.

– Marguerite! – słyszę inny głos.

Zdumiona podnoszę głowę i widzę Paula.

Co on tutaj robi? W tym wszechświecie w ogóle się nie znamy!

Nie obchodzi mnie, dlaczego tu jest. Liczy się tylko to, że jest. Moja miłość do Paula Markova to jedna z kilku stałych sił w multiwszechświecie. Zrobiłby wszystko, zaryzykowałby nawet swoje życie, jeśli dzięki temu byłabym bezpieczna. Jeśli ktokolwiek mógł mnie z tego wyciągnąć, to tylko on.

Zwykle sama wydostawałam się z niebezpieczeństwa, ale teraz było naprawdę źle.

– Paul! – krzyczę. – Pomóż mi, proszę!

– Wylądują tak szybko, jak to możliwe! – odkrzykuje. Wiatr szarpie jego ciemne włosy, a on pewnie przytrzymuje się metalowych wsporników pojazdu powietrznego. Najwyraźniej w tym świecie także się wspina, ponieważ wysokość nie robi na nim wrażenia. – Trzymaj się.

Rzeczywiście, słyszę, że silniki zmieniają ton. Targają mną nowe podmuchy

wiatru, wywołane przez śmigła. Londyn w dole staje się ciut bliższy, ale nadal jest przede wszystkim rozmytymi światłami i mrocznymi kolorami zmierzchu – granatem, szarością i czernią. Zalany adrenaliną mózg nie próbuje nawet rozpoznawać kształtów poniżej. Równie dobrze mogłabym się wpatrywać w obrazy Jacksona Pollocka, pełne zygzaków, plam i maźnięć.

Wyobrażam sobie, jak Pollock maluje na środku wielką czerwoną plamę. Krwiście czerwoną. Nic więcej ze mnie nie zostanie, jeśli wypuszczę ten kabel.

Tak potwornie bolą mnie palce. Ramiona. Plecy. Nieważne, jak bardzo nie chcę puszczać kabla, nie wytrzymam już długo. Za kilka minut spadnę.

Pot spływa mi po twarzy pomimo zimnego wiatru. Gdy ścieka w moje otwarte, łapiące powietrze usta, czuję sól. Kiedy staram się poprawić chwyt, ludzie na górze zaczynają krzyczeć. Czarny pantofel zsuwa mi się z nogi i znika w dole.

– Marguerite, nie! – Głos cioci Susanny brzmi, jakby długo wrzeszczała. – Nie rób tego, skarbie. Nie puszczaj! Poradzimy sobie z tym, co cię dręczy, przysięgam. Tylko się trzymaj!

Mam ochotę wrzasnąć w odpowiedzi: „Czy ja wyglądam, jakbym potrzebowała zachęty, żeby się trzymać?”. W tym momencie jednak uświadamiam sobie, co powiedziała moja ciotka. „Nie rób tego”.

Ona uważa, że chcę popełnić samobójstwo. Ponieważ nie potrafię wymyślić innego powodu, dla którego Marguerite z tego świata mogłaby się znaleźć w takiej sytuacji, wydaje mi się... wydaje mi się, że ciocia Susanna mówi prawdę.

Ale to nie Marguerite z tego świata chciała się zabić. To była ta inna. Zła wersja mnie, która nawet teraz pracuje dla Triadu. Zaatakowała mnie w domu i uciekła do tego wymiaru, ale dopiero teraz – gdy rozpaczliwie staram się zaczerpnąć oddech i trzymam się resztkami sił – zaczynam rozumieć, na czym naprawdę polega jej plan.

Stara się mnie zabić.

Stara się zabić wszystkie moje wersje, w każdym świecie, wszędzie.

Rozdział drugi

O moim mrocznym ja dowiedziałam się kilka dni temu, gdy po raz pierwszy odwiedziłam jej wymiar. Jednak zrozumiałam, jak bardzo jest niebezpieczna, dopiero wtedy, gdy spróbowałam wrócić do domu – zaledwie kilka godzin temu, zanim zawisłam nad Londynem – a ona poszła w moje ślady.

Czyli mnie opętała.

Właśnie przeskoczyłam z powrotem do własnego ciała po szalonym wyścigu mającym na celu uratowanie Paula Markova, który był dla mnie... Jak to nazwać? W całym multiwszechświecie nasze losy splatały się w sposób, który bywał zarówno piękny, jak i tragiczny. Widzieliśmy światy, w których odtrącaliśmy się, raniliśmy, nienawidziliśmy, a świadomość tego, jak okropny koniec może mieć nasz romans, była dla nas druzgocząca.

Miałam jednak większe problemy niż moje życie uczuciowe.

Kiedy tylko wróciłam do własnego wymiaru, otworzyłam oczy i zobaczyłam stojącego nade mną Theo. Był wymizerowany i blady, co stanowiło pozostałość po spustoszeniach, jakie poczynił narkotyk nazywany Włamywaczem, dzięki któremu Theo z innego wymiaru mógł kontrolować jego ciało i szpiegować nas przez całe miesiące. Paul naraził się na niebezpieczeństwo, żeby znaleźć lekarstwo i uratować życie naszego przyjaciela.

– Najwyższa pora, żebyś wróciła – powiedział.

– Dobrze, widzę, że ci się udało. Jak się czujesz?

– Bywało lepiej. – Stylizowany na vintage T-shirt z Beatlesami wisiał na jego zbyt chudych ramionach, a pod oczami miał ciemne obwódki, więc jego pierwsze pytanie zabrzmiało naturalnie. – Ale hej, pewnie masz dla mnie towar, prawda? To znaczy, dane potrzebne do jego zrobienia. – Chodziło mu o lekarstwo na skutki działania Włamywacza.

– Jasne. Nawet się nie obejrzysz, jak poczujesz się lepiej. – Rozejrzałam się za rodzicami, którzy powinni jak najszybciej dowiedzieć się o planach Triadu. Byliśmy przekonani, że tylko jeden wymiar nas szpieguje i próbuje nami manipulować, ale ja dowiedziałam się, że prawdziwym zagrożeniem jest inny wymiar, potężna Centrala, której plany były znacznie mroczniejsze niż zwykłe szpiegowanie. – Gdzie mama i tata?

– Nie było ich, kiedy wróciłem. Pewnie są w uniwersyteckim laboratorium, szukają jakiegoś innego rozwiązania problemu albo konstruują kolejnego

Firebirda.

Skinęłam machinalnie głową. Nie było sensu do nich dzwonić – mama i tata, wybitni naukowcy, którzy wynaleźli najbardziej zadziwiającą maszynę na świecie, rzadko pamiętali, żeby włączać komórki, ponieważ to właśnie była dla nich zbyt skomplikowana technologia. Ale nie tylko o nich się martwiłam.

– Sprawdzaleś, czy Paul już wrócił?

– Czyli znalazłaś go, tak?

Kiedy usiadłam, zrobiło mi się słabo. Poczułam jednocześnie zawroty głowy i mdłości.

To był znak. Ostrzeżenie. Moment, w którym powinnam była się bronić.

Ja jednak pomyślałam tylko, że poruszyłam się za szybko.

– Rany. Co to było?

Theo leciutko położył mi rękę na ramieniu.

– Dużo przeszłaś ostatnio – powiedział. Nie zauważyłam w tym momencie błysku triumfu w jego oczach. – Nic dziwnego, że jesteś zmęczona.

Nadal czułam się dziwnie. Byłam niespokojna, ale nie spodziewałam się, co mnie czeka.

– Czyli Paul powinien wrócić jednocześnie z tobą? – zapytał Theo.

– Tak mi powiedział. Gdzie moja komórka? Chciałabym do niego zadzwonić.

– Nie musisz się martwić. – Theo zaczął przeglądać wiecznie rozsypane papiery na tęczowym stole. Pomyślałam, że szuka mojego tPhone'a. – Spokojnie, znajdziesz go, Meg.

Meg.

Tylko jedna osoba tak mnie nazywała – Theo. Ale nie mój Theo.

Tylko szpieg z Uniwersum Triadu.

Odwróciłam się do niego, ogarnięta zgrozą, ponieważ wiedziałam, że zaraz zaatakuje, ale było za późno. Szarpaliśmy się i walczyliśmy, aż wreszcie przycisnął mnie do drewnianej podłogi i wstrzyknął mi szmaragdowozielony płyn – Włamywacza.

W pierwszej chwili pomyślałam, że jest głupi. Włamywacz pozwalał podróżnikom międzywymiarowym przejmować ciała, w których się znaleźli, i zachowywać nad nimi pełną kontrolę. Ale ja byłam w domu, we własnym ciele. Czy chciał mnie otruć? Włamywacz potrzebował miesięcy, żeby kogoś uśmiercić...

Wzdrygnęłam się, a potem już nie mogłam się poruszyć. Ani głową, ani ręką. A jednak płuca oddychały beze mnie, a mój głos wypowiedział cudze słowa:

– Najwyższy czas.

Theo uśmiechnął się i zrobił krok w tył, żeby pozwolić mi wstać.

– To czysta przyjemność, poznać kogoś z Centrali.

Wrzasnęłabym, gdybym mogła. Trzy wymiary, w których istniał Triad, to były: mój własny świat; Uniwersum Triadu, bardzo zbliżone do mojego, ale wyprzedzające go technologicznie o kilka lat; oraz Centrala, futurystyczne piekło, gdzie rządziła bezwzględność, a zysk był bogiem.

W trakcie moich przygód w różnych wymiarach wcielałam się w wiele moich wersji i dowiadywałam się, kim mogłabym być, gdyby historia potoczyła się trochę inaczej. Mogłabym mieszkać w rosyjskim pałacu albo pod wodą. Czasem inne moje wersje dokonywały wyborów, których nie rozumiałam; czasem musiały się zmagać z depresją i samotnością. Jednak żadna nie przeraziła mnie bardziej niż moja odpowiedniczka z Centrali.

Wykonywała polecenia Triadu. Nie wahała się zabijać. Uwielbiała sprawiać ból i nazywała to tworzoną przez siebie sztuką.

To ona właśnie przejęła moje ciało i pozostawiła mnie bezsilną.

Wydawało się także, że ona tu dowodzi, ponieważ Theo zapytał:

– To co jest naszym pierwszym zadaniem?

– Zorientować się, co oni planują. – Uśmiechnęła się. Czułam jej uśmiech, wiedziałam, że sprawia jej przyjemność zamiana mojego ciała w więzienie z mięśni i kości, więc odczuwałam odrazę jak nigdy wcześniej. – Moi rodzice w żadnym wszechświecie nie są ludźmi, którzy łatwo się poddają, nawet jeśli to najrozsądniejsze wyjście. Ale kiedy te wersje tutaj zostaną kilka razy przechytrzone, kilka razy spotkają się z sabotażem... cóż, może jeszcze uda się przywołać ich do porządku.

Theo skinął głową i pomógł jej wstać.

– A jeśli nie przekonamy ich, żeby działali dla naszej sprawy?

Roześmiała się.

– Wtedy ten wymiar będzie musiał przestać istnieć.

Firebird pozwala odwiedzać tylko wszechświaty, w których istniejesz, ponieważ świadomość może przeskoczyć tylko do innej wersji ciebie. Byłam dumna z tego, że staram się zadbać o inne Marguerity, że wyciągam je z każdego niebezpieczeństwa, w jakim znalazły się przeze mnie. Zdarzało mi się jednak powodować problemy, których nie byłam w stanie rozwiązać. Jedna z wersji Theo mogła na zawsze stracić obie nogi. Inna Marguerite znalazła się w sercu międzywymiarowego spisku, w który w ogóle nie powinna być zamieszana.

Jeszcze inna moja wersja – ta, w której przebywałam przez prawie miesiąc, zrozumiała, że jestem zakochana w Paulu Markovie i poszłam z nim do łóżka. Spodziewała się teraz dziecka, które ja poczęłam zamiast niej.

Dlatego wróciłam do mojego wymiaru pokorniejsza. Zawstydzona. Zdeterminowana. Musiały istnieć bardziej etyczne metody podróżowania między światami, które nie stanowiłyby zagrożenia ani naruszenia prywatności naszych innych wersji.

Jednak nie zdawałam sobie sprawy, jak głęboko sięga to naruszenie prywatności, dopóki inna Marguerite nie przeskoczyła do mojego ciała.

– Popatrz na ten bałagan – prychnęła drwiąco Marguerite w moim ciele, którą już zaczęłam nazywać w myślach Złą Marguerite.

Popchnęła stos papierów zapisanych formułami matematycznymi, aż rozsypały się po tureckim dywanie na podłodze. Gdy rozglądała się po pokoju moimi oczami, patrzyła na książki, rośliny doniczkowe, ściany pomalowane farbą tablicową i pokryte równaniami, a także na tęczy stół, który pomalowałyśmy z Josie, gdy byliśmy małe. Nie widziała domu. Moje wargi skrzywiły się pogardliwie.

– Prymitywni. Niezorganizowani. Mogliby równie dobrze mieszkać w jaskini.

– No cóż, będziesz musiała zostać w tej jaskini przez jakiś czas, więc powinnaś przywyknąć. – Theo rozsiadł się na krześle i oparł buty na krawędzi stołu. – Jaki jest plan gry?

– Będziemy udawać, że jesteśmy stąd. – Zła Marguerite z niesmakiem popatrzyła na bransoletkę, którą miałam na nadgarstku, i ją zdjęła. – Wiem, że jesteś w tym dobry. Nie przeprowadzimy sabotażu od razu, ale zaczekamy, pozwolimy im uwierzyć, że kryzys został zażegnany, a potem zaczniemy działać, kiedy nie będą się tego spodziewać. Ale jest jeden problem, którym musimy się zająć natychmiast, czyli Paul Markov.

Ogarnęło mnie jeszcze większe przerażenie. Paul wiedział prawie o wszystkim. Zdążyłam mu przekazać to, co najważniejsze, jeszcze w Uniwersum Cambridge. Właśnie przez tę wiedzę jego życie było w niebezpieczeństwie.

Moi rodzice nie wyobrażali sobie tego wszystkiego, gdy wynaleźli Firebirda – urządzenie pozwalające świadomości podróżować między rzeczywistościami kwantowymi, przez osoby niebędące geniuszami nauki nazywane „równoległymi wymiarami”. Chcieli tylko zobaczyć niezliczone sposoby, na jakie mogłaby się potoczyć historia. Ponieważ wszystko, co mogłoby się zdarzyć, zdarzyło się. Za każdym razem, gdy dokonywaliśmy wyboru lub w grę

wchodził ślepy los, rzeczywistość dzieliła się na dwie. To działo się w nieskończoność i miało trwać wiecznie.

Moją matkę, doktor Sophie Kovalenkę, idea multiwszechświata zafascynowała na samym początku jej kariery naukowej w fizyce. Nie wystarczało jej udowodnienie istnienia alternatywnych rzeczywistości, chciała je zobaczyć na własne oczy. Ponieważ podróżowanie do równoległych wymiarów uchodziło dawniej mniej za dyscyplinę nauki, a bardziej za pomysł ze „Star Treka”, wyśmiano ją i omal nie wyrzucono ze społeczności akademickiej. Jednak kilka osób uwierzyło w nią, w tym angielski badacz, doktor Henry Caine, który zaczął z nią współpracować na wszystkich możliwych płaszczyznach (innymi słowy został moim ojcem). Współpracowali z wieloma naukowcami i doktorantami, ostatnio z Paulem Markovem i Theodore'em Beckiem, a po latach drobiazgowych obliczeń nareszcie skonstruowali odpowiednie urządzenie. Firebirdy wyglądały wprawdzie jak wyjątkowo ozdobne steampunkowe medaliony, ale były najpotężniejszymi i najbardziej niezwykłymi wytworami nauki od czasu bomby atomowej.

Niestety okazało się, że podobnie jak bomba miały poważne wady.

Tak jak mówiłam, można podróżować tylko do świata, w którym się istnieje – jeśli w jakimś świecie umrzesz w dzieciństwie lub twoi rodzice się nie spotkali, nigdy go nie zobaczysz. Znajdujesz się dokładnie w takiej sytuacji, w jakiej właśnie była twoja inna wersja. Masz też szczęście, że Firebird może ci przypominać, kim jesteś, ponieważ inaczej zatoniesz w głębi umysłu innej wersji, która ponownie przejmie kontrolę nad swoim ciałem i życiem.

Chyba że jest się „podróżnikiem doskonałym” – osobą mającą zdolność zachowywania świadomości i kontroli nad ciałem w każdym wszechświecie, w jakim się znalazła. Można było stworzyć tylko jednego takiego podróżnika w każdym wymiarze. Wyatt Conley sprawił, że w tym wymiarze ta rola przypadła mnie.

– Pozwól, że ja się wszystkim zajmę, Theo – powiedziała Zła Marguerite, spojrziała w lustro i skrzywiła się na widok moich nieposłusznych włosów. – Ciebie już raz wykryto, więc będziesz pierwszym podejrzanym. Ale ja? Nikt nie wyobraża sobie, że „podróżnik doskonały” może tak łatwo ulec. Widać, jak mało wiedzą.

– Nie krępuj się, ale chciałbym cię uprzedzić... – Theo urwał na chwilę. – To trudniejsze, niż myślisz, oddzielenie ich od twojej wersji. Uczucia, no, zaczynają się mieszać.

– Może twoje. Ja nigdy nie miałam takiego problemu. – Zła zaczęła zaplatać

moje włosy w warkocz. Ściągnęła je mocniej, niż ja bym to zrobiła. Tak bardzo, że zabolą mnie skóra na głowie. Ale ta fryzura nie różniła się od mojej na tyle, by ktoś coś zauważył. – Przyznam, że nie byłam pewna tego Włamywacza, czy zadziała tak skutecznie. Nikt wcześniej nie próbował przeskoczyć do ciała podróżnika doskonałego.

– Będziesz prawdopodobnie potrzebowała go znacznie więcej niż ja. – Głos Theo był irytująco spokojny, biorąc pod uwagę, jakie spustoszenia czynili w naszych ciałach. – Miej go zawsze pod ręką. Używaj w momencie, gdy poczujesz pierwsze drgnięcie... Sama wiesz.

Zła nie była podróżnikiem doskonałym ze swojego wymiaru. Ta rola przypadła mojej starszej siostrze, Josie. Podczas pobytu w Centrali dowiedziałam się, jak bardzo Josie uwielbiała podróżowanie między alternatywnymi wszechświatami. Taka praca była idealna dla mojej siostry, uzależnionej od adrenaliny maniaczki nauki.

Jednak odwiedzanie wymiarów równoległych jest niebezpieczne nawet dla podróżnika doskonałego. Każde z nas znajdowało się w poważnym niebezpieczeństwie podczas tych podróży, a Josie zginęła.

Nie tak po prostu zginęła. Rozszczepiła się.

Rozszczepienie ma miejsce, kiedy świadomość podróżnika jest rozrywana na dwie, cztery lub tysiąc części. Na szczęście bardzo, bardzo trudno zrobić to przypadkowo, jednak w ciągu ostatnich dni poznałam dwa sposoby rozdarcia ludzkiej duszy na kawałki. Pierwszym było to, co stało się z Josie: ciało, w którym się znajdowała, zostało poważnie ranne, a ona próbowała przeskoczyć w ostatnich sekundach przed śmiercią – ponieważ jeśli umrze ciało, w którym jesteś, ty także umierasz. Josie z Centrali prawie się udało, ale nie do końca. Kiedy przeskoczyła, rozszczepiła się na niezliczone odłamki rozsiane w dziesiątkach wymiarów, tak maleńkie i ulotne, że nie można było połączyć ich z powrotem.

To sprawiło, że moi rodzice z Centrali popadli w obłąd. Bóg jeden wie, jaki to miało wpływ na Złą, ponieważ jej umysł był wypaczony w sposób, jaki nie wydawałby mi się nigdy możliwy.

A jednak to zło także musiało być jakąś częścią mnie...

– Wiesz, dokąd masz przeskoczyć, kiedy opanujemy sytuację tutaj, prawda? – zapytał Theo, podczas gdy ja bezradnie obserwowałam, jak Zła kończy zaplatać włosy. – Masz współrzędne?

Przewróciła moimi oczami.

– Nie potrzebuję współrzędnych, skoro są zapisane w moim Firebirdzie.

– Chciałbym mieć pewność – upierał się Theo. Jego wersja z Uniwersum Triady nauczyła się ostrożności. Kiedy zaczął coś zapisywać, analizując niewyobrażalne zasady fizyki, które rządziły tym procesem, powiedział jeszcze: – Jeśli chcesz porozmawiać z Conleyem, wykorzystaj czas, zanim wrócą Sophia i Henry. Nic nie zdradziłoby cię tak szybko, jak dowody na to, że z nim rozmawiałaś.

Zła zmarszczyła brwi.

– Z którym Conleyem?

– Tym z tego świata.

– Ale on wie o wszystkim.

Wyatt Conley: geniusz technologiczny, magnat biznesowy i najpotężniejszy geek Ameryki. Widywałam go w wiadomościach ubranego w dżinsy i koszulę narzuconą na T-shirt z Iron Manem, a jego niedbały, chłopięcy wygląd był równie starannie zaprojektowany co jego tPhone'y, które kilka lat temu podbiły rynek telefonów komórkowych. Ludzie powtarzali, że nie ma jeszcze trzydziestki, a tyle już osiągnął. Gdyby wiedzieli, co Conley zrobił naprawdę, nie mówiliby tego z uśmiechem.

– No to gdzie jest jej telefon? – zapytała Zła.

Theo wyciągnął komórkę z tylnej kieszeni, gdzie najwyraźniej ukrył ją przede mną na wszelki wypadek, wybrał numer i rzucił ją Złej. Poczułam uderzenie ekranu o dłoń i miałam ochotę się rozplakać. Ta bezsilność, gdy tak bardzo chcesz coś przekazać, ale nie możesz powiedzieć ani słowa...

– Jesteś – powiedział mi do ucha Conley, a ja miałam nadzieję, że moja nienawiść do tego mężczyzny sprawi przynajmniej, że Złą Marguerite zemdli. Chętnie bym zwymiotowała, gdyby ona także musiała to zrobić. – Cieszę się, że ci się udało. Oczywiście musimy się spieszyć. Tak myślę, że powinnaś zacząć od Josie.

– Zawsze Josie – zauważyła kwaśno Zła.

Conley mówił dalej, jakby jej nie usłyszał.

– Powiedz doktor Kovalence i doktorowi Caine'owi tylko o swoim rodzinnym wszechświecie, nic więcej. Wiadomość, że ich starsza córka zginęła w bardzo bliskiej rzeczywistości, wywrze na nich duże wrażenie. Sprawí, że staną się... sentymentalni. Kiedy już będziemy mogli liczyć na ich współczucie, poradzimy sobie z resztą.

– Wątpię, czy to będzie takie proste. – Zła spacerowała po domu i zapoznawała się z układem wnętrza. – Uwierz mi, jak mama i tata się na coś uprą, to dopną swego. A w tej chwili mama i tata z tego wymiaru uparli się

na nas.

– Ale nie mają dostępu do naszej technologii i nie znają naszego planu. Jesteśmy o kilka kroków przed nimi, Marguerite, i tak już pozostanie.

Nie powinnam się czuć do tego stopnia rozdrażniona tym, że Conley nazywa ją naszym wspólnym imieniem. A jednak tak właśnie się czułam. Nie należałam już do siebie.

– Dlaczego ta twoja druga wersja jeszcze nie zaczęła działać? – zapytała Zła.
– Jest podróznikiem doskonałym, więc mógłby niszczyć wymiary i ująć z życiem.

Tylko niszcząc wszystkie wymiary zawierające odłamki duszy Josie, tamte wersje moich rodziców mogły ją odzyskać. Zamierzali zabić ją tysiąc razy, „anulować” biliony żyć w taki sposób, że ci wszyscy ludzie nigdy by się nie narodzili, tylko po to, żeby mieć Josie znowu żywą w swoim świecie. To była najokrutniejsza, najbardziej samolubna rzecz, jaką potrafiłam sobie wyobrazić, a jednak Zła miała rację. Mama i tata potrafili dokonywać rzeczy niemożliwych.

– To ryzykowne, nie? – warknął Conley. Najwyraźniej nie podobała mu się myśl o tym, że jakakolwiek jego wersja znajdzie się w niebezpieczeństwie. Szkoda, że nie mogłam mu powiedzieć, iż Centrala rozważa zniszczenie także naszego wszechświata, jeśli moi rodzice nie dadzą się skusić na ich ofertę. – Poza tym wiesz tak samo dobrze jak ja, że w części krytycznych wszechświatów nie znajduję się w pobliżu Kovalenki i Caine’a. Dlatego ty będziesz skuteczniejsza ode mnie, nawet zakładając najkorzystniejszy scenariusz. No i oczywiście potrzebujemy cię, żebyś w razie czego zatrzaśniwała drzwi.

Zatrzaśnięcie drzwi? Nie zrozumiałam, o co chodzi, ale starałam się zapamiętać każdy szczegół. Być może Zła nie wiedziała, że jestem przez cały czas świadoma, w odróżnieniu od większości ludzi zamroczonych Włamywaczem, którzy byli praktycznie nieprzytomni w głębi swojego umysłu. Inaczej nie mówiłaby tak otwarcie.

Chyba że... zatrzaśnięcie drzwi...

Moje myśli przerwał dźwięk silnika samochodu rodziców, podjeżdżającego pod dom.

– Mamcia i papcio zaraz tu będą – powiedziała Zła. – Kończmy tę rozmowę. Musisz jakoś powstrzymać Markova. Wrócił już i prawdopodobnie tu jedzie.

– Zajmę się tym – odparł Conley z taką swobodą, że zrobiło mi się zimno. Nie zawahałby się zabić Paula i miał dość pieniędzy, aby zapłacić ludziom, którzy zrobią to bez wahania. – Poza tym ten gość został rozszczępiony. Nigdy już nie będzie taki sam. Możemy to wykorzystać.

Nigdy nie będzie taki sam? Paul? Dopiero wróciłam z podróży po wymiarach, podczas której zebrałam cztery odłamki jego duszy, żeby połączyć je na nowo. Kiedy w końcu udało mi się to zrobić, Paul był ponury, zły, niemal fatalistycznie nastawiony do świata. Wiedziałam, że mrok z innych jego wersji przesączył się do jego duszy, jednak powtarzałam sobie, że jest to okropne, ale minie, jak ból z powodu złamanej kości.

Czy Paul zmienił się na zawsze?

– Muszę kończyć. – Zła rozłączyła się w porę, żeby podbiec do drzwi wejściowych, gdzie stali mama i tata.

Wyglądali tak jak zawsze – w powyciąganych swetrach, mama z włosami związanymi w nieporządny kok, tata w okularach w prostokątnych oprawkach. Kiedy ich twarze rozjaśniły się w uśmiechu, miałam ochotę zacząć krzyczeć. *Proszę, nie. To nie ja. Musicie poznać, że to nie ja!*

– Wróciłaś, skarbie. – Mama przytuliła Złą i uściskała. Niestety gruby sweter, jaki miałam na sobie, nie pozwolił jej wyczuć drugiego wisiora z Firebirdem pod spodem. – Dzięki Bogu.

– Co z Paulem? – zapytał tata, którego niebieskie oczy były pełne niepokoju. – Wszystko z nim dobrze, prawda?

To zaskoczyło Złą. Jej głowa poruszyła się lekko, tak jak u osób, które coś nagle przestraszy. W Centrali Paul Markov był wrogiem mojej rodziny – odważnym buntownikiem starającym się przeciwstawiać złu, jakie niosła Triad Corporation. Zła musiała wiedzieć, że nie zawsze tak jest, ale mimo wszystko nie była przygotowana na żywy dowód, że moi rodzice kochają go niemal tak, jakby był synem, którego nigdy nie mieli.

Niestety potrafiła dobrze udawać.

– Wrócił, jego dusza jest w jednym kawałku, ale... nie jest sobą.

Mama i tata wymienili spojrzenia.

– Co masz na myśli? – zapytał tata. – Czy rozszczepienie tak źle na niego wpłynęło?

Widzicie, istnieje drugi sposób rozszczepienia duszy – ktoś może to zrobić celowo, jeśli jest skończonym draniem, tak jak Wyatt Conley. To, co stało się z Paulem, nie było strasznym wypadkiem, tylko atakiem. Conley rozdarł duszę Paula na cztery części i użył ich jako zakładników, zmuszając mnie, żebym zrobiła dla niego brudną robotę, jeśli chcę mieć szansę na połączenie Paula w całość.

– Fragmenty duszy Paula trafiły w naprawdę ponure miejsca – oznajmiła Zła drżącym głosem. – Do światów, w których oboje zobaczyliśmy jego inną stronę,

niebezpieczną stronę. Naprawdę nie chcę tego mówić na głos, ale wydaje mi się, że rozszczepienie go zmieniło, może na zawsze. Tak jakby te straszne rzeczy, jakie zrobili inni Paulowie, splamiły jego duszę.

– Och, nie. – Mama uniosła dłoń do ust. – Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że rozszczepienie jest niebezpieczne, ale... z pewnością to nie jest trwała zmiana.

Zła z rozpaczą potrząsnęła swoją głową.

– Nie wiem, mamo. Paul... trochę mnie przeraża.

Jak mogła powiedzieć coś takiego? To ona była przerażająca. Paul został tylko zraniony, czuł się zagubiony i przytłoczony rozpaczą. Los raz za razem krzyżował nasze ścieżki, ale przekonaliśmy się, że nie zawsze zostawaliśmy razem, że czasem raniliśmy się okrutnie. Nasze przeznaczenie zniknęło, a Paul przyjął to jeszcze gorzej ode mnie. Może i tak by było, nawet bez zmian spowodowanych rozszczepieniem, ale jeśli je dodać, Paul wyraźnie stracił całą nadzieję.

Zła wykorzystwała wewnętrzne rozterki Paula jako swoją broń. Moi rodzice, mimo że tak bardzo go kochali, natychmiast staną się wobec niego podejrzliwi.

– No cześć! – zawołał Theo z dużego pokoju. – Jak wam idzie konstruowanie Firebirda?

– Lepiej, niż byś się spodziewał – zaczął mój ojciec, ale urwał, ponieważ pod nasz dom podjechała taksówka.

W pierwszej chwili nie miałam pomysłu, kto mógłby przyjechać taksówką, ale zaraz otworzyły się drzwi i z samochodu wysiadł Paul.

Jest tutaj – pomyślałam. – *Udało mu się!* Paul przyjechał tutaj, zanim Conley zaczął go szukać.

Dzięki temu mieliśmy szansę, chyba że Zła już ją przekreśliła.

Otworzyła drzwi i wybiegła przed dom, żeby jak najszybciej go powitać. Zrobiłabym to samo, ale ja rzuciłabym mu się w ramiona, powiedziałabym, że go kocham, i zaczęłabym go przekonywać, żeby nie ulegał tej okropnej rozpacz, która go ogarnęła. Natomiast Zła podeszła do niego, ale zatrzymała się w pół kroku, jakby przestraszona.

– Hej. – Uśmiechnęła się słodko, a przynajmniej próbowała. Nie do końca jej to wyszło. – Wszystko w porządku?

– Czuję się dobrze – odparł Paul ze zwykłym opanowaniem. – To, w jakim jestem stanie, nie ma w tej chwili znaczenia. – Wyminął ją i poszedł dalej ze spiętymi ramionami. Jego chłód w innych okolicznościach by mnie zranił, ale teraz dawał mi nadzieję. Paul odezwał się już głośniejszym głosem do moich rodziców, którzy czekali w drzwiach. – Sophio, Henry, ile Marguerite wam już

powiedziała?

Moje mięśnie stężały od strachu, który poczuła Zła. Nie miała pojęcia, że zdążyłam wszystko wyjaśnić Paulowi przed końcem naszej podróży. Pewnie myślała, że poskładałam jego duszę i natychmiast wrócę do domu. Jej niecierpliwość była dla mnie jedyną szansą.

Ale jeśli uda jej się przeciągnąć sprawy na tyle, że Theo też się w tym zorientuje, będą mogli próbować zdyskredytować Paula, zranić go, nawet zabić i udawać, że to była samoobrona. W tym momencie już wiedziałam, że nie cofną się przed niczym. Weszła za Paulem do domu, a moje serce biło szybko przez jej determinację, żeby go załatwić.

– Dopiero zaczęła, Paul. – Mama mówiła dyplomatycznym tonem. – Wejdz, usiądź. Zajmiemy się tym krok po kroku, dobrze? Jak się czujesz?

– Dziwnie. – Paul potrząsnął głową. – Jakbym... musiał wybierać, kim jestem. W każdej chwili.

Moi rodzice wymienili zatroskane spojrzenia, gdy Paul ich minął, a potem się zatrzymał. Powoli odwrócił głowę i popatrzył prosto na mnie.

Czy się domyślił? Jak miałby się domyślić? Ale jeśli ktokolwiek mnie znał, naprawdę znał na zewnątrz i w środku, to właśnie Paul.

Patrzył w moje oczy w poszukiwaniu czegoś, czego nie umiałabym nazwać.

Zła uśmiechnęła się do niego i zaplotła dłoń na jego rękę.

– Witaj w domu – szepnęła.

Proszę – myślałam. – Nie daj się oszukać. Popatrz w głąb moich oczu i znajdź różnicę. To dla nas jedyna szansa. Proszę, Paul, poznaj mnie.

Zrobił to. Naprawdę to zrobił.

– Marguerite... – zaczął Paul i urwał. – Czy wszystko...

– Nic mi nie jest – wyszeptała. – Nie zrobiłeś mi krzywdy.

Moi rodzice stężeli na samą myśl, że Paul mógłby mi zrobić krzywdę, a jej właśnie o to chodziło. Ale właśnie w tym momencie Zła zrobiła fałszywy krok, ponieważ Paul wiedział, że nie miałam żadnych powodów, żeby to mówić.

Paul wysunął ramię z jej uścisku, a potem złapał mnie za nadgarstki tak mocno, że zaboląły. Zła jęknęła z zaskoczenia.

Mój tata zrobił krok w naszą stronę z wyciągniętą ręką, gotowy do działania.

– Paul, co ty robisz?

– Nie wiem, jak to możliwe – Paul popatrzył w moje oczy, poprzez nią wprost na mnie – ale to nie jest nasza Marguerite.

Rozdział trzeci

– O czym ty mówisz? – Mój ojciec zerkał na przemian na Paula i na mnie, nadal bardziej podejrzliwy w stosunku do swojego doktoranta niż do swojej córki.

– Nie wiem, z jakiego ona jest świata – powiedział Paul. – Ale ta Marguerite nie jest naszą Marguerite.

Dzięki Bogu! – pomyślałam. Powinnam poczuć ulgę, ale moje ciało było pod wpływem Złej Marguerite. Emocje, jakie mnie ogarnęły, mogły być lękiem lub wściekłością. Skóra zarumieniała się i zrobiła się cieplejsza, kiedy wyrwałam się Paulowi.

– Mówiłam wam. – Drzenie w jej głosie nie było udawane. Nadal się cofała w głąb domu, bliżej Theo, i mówiła dalej: – Paul został wypaczony, zatruty tym rozszczepieniem. Te inne jego wersje, w których ukryto jego duszę, to byli najgorsi, najbardziej pełni zła Paulowie, jacy mogliby istnieć.

– Zła? – Mama wymówiła to słowo, jakby nie rozumiała, co oznacza.

Nigdy nie wyobrażała sobie, że może myśleć o Paulu jako o kimś złym. Ale jeśli Zła ich przekona, wszyscy lada moment zwrócą się przeciwko niemu.

– Jeden z nich postrzelił Theo. Zranił go tak ciężko, że mógł tego nie przeżyć. – Głos Złej nadal drżał. Ośmielała się nawet udawać moją rozpacz. – Inny pokłócił się ze mną w samochodzie i uszkodził moją rękę tak bardzo, że już nigdy nie będę mogła malować. Był nawet ksiądz, który złamał śluby...

Dajcie spokój! – pomyślałam. Łagodny ojciec Paul z Uniwersum Rzymskiego nie był zły, tylko rozdarty wewnątrz. Ale mama i tata nie wiedzieli o tym. Usłyszeli tylko, że Paul mógłby skrzywdzić ich córeczkę.

Paul próbował się wytłumaczyć.

– Tu nie chodzi o mnie. Ta Marguerite... – Urwał. Zła nie tylko sprawiła, że moi rodzice zwątpili w niego, sprawiła także, że zwątpił w samego siebie. Dokończył ciszej: – Coś jest nie tak.

Zła przesunęła ręce do tyłu, jakby chciała się po prostu oprzeć na tęczowym stole, ale jedna dłoń przykrywała nożyk do otwierania listów mojego ojca, staroświecki gadżet z rzeźbioną drewnianą rękojeścią i metalowym ostrzem. Moje palce niemal go dotykały.

– Paul? – odezwała się moim głosem. – Daj spokój. Jeszcze nie doszedłeś do siebie po rozszczepieniu. Nie mam o to do ciebie pretensji, okej? Wiem, że było nam trudno, ale nadal w ciebie wierzę.

Niech to szlag, to do niego przemówiło. Paul zawahał się na dostatecznie długą chwilę, żebym wrzasnęła w myślach: *Daj spokój, Paul, przecież mnie znasz! Nie zaczynaj teraz w sobie wątpić!*

Mogłam poskładać duszę Paula, ale mimo to pozostały... pęknięcia. Słabości. Chociaż zdawałam sobie sprawę z ran na jego psychice, myślałam, że to coś samo minie.

Dopiero teraz zrozumiałam, że Paul mógł się zmienić na zawsze.

Zła wiedziała. Wiedziała od początku. Ta wiedza podpowiadała jej, w co uderzyć.

– Paul, wiem, że ostatnio nasze stosunki zrobiły się, no, dziwne, ale to nie znaczy, że nie jestem sobą.

Mówiła to wszystko tak, jakby przyznawała się do jakiegoś okropnego nieszczęścia. Depresja i wątpliwości Paula stały się jej bronią. Jeśli zwróci go przeciwko sobie samemu, sprawi, że Paul zacznie się wahać, zanim coś ze mną zrobi, że jeśli będzie się ociagać jeszcze choćby przez minutę, uda się jej wygrać.

Tata zrobił krok w stronę Paula, wyciągając rękę, jakby chciał dotknąć jego czoła i sprawdzić, czy nie ma podwyższonej temperatury.

– Rozszczepienie... to, co stało się z twoją duszą... Nie wzięliśmy pod uwagę wszystkich efektów ubocznych. Czy odczuwasz dezorientację?

– Tak – przyznał Paul.

Jednak nie odrywał wzroku od mojej twarzy. Jego ciało zdradzało wewnętrzne napięcie. Nie ufał swojemu osądowi, ale nie zaufał także Złej.

W tym momencie wszedł przybysz z Uniwersum Triadu, wykorzystujący blade, osłabione ciało Theo jak marionetkę.

– Hej, stary, wszystko w porządku. Marguerite jest w porządku, tak samo jak ty i ja. Właśnie wróciłem z pierwszej podróży międzywymiarowej i rany, ale to potrafi namieszać w głowie. Rozumiem, że jesteś jak zamroczony. Odetchnij głęboko.

– Odchodziliśmy tu od zmysłów ze zmartwienia – powiedział do niego tata. – Kiedy tylko poczujesz się lepiej, będziesz miał poważne kłopoty, panie Beck.

– Jakoś to przeżyję. – Beztroski uśmiech był charakterystyczny dla Theo w każdym wymiarze, jaki widziałam, wszędzie, więc złudzenie wydawało się całkowite.

Moja matka milczała z rękami splecionymi na piersi.

– Eksperymentowaliście z lekarstwem na Włamywacza? – zapytała nagle.

Nie rozumiałam, dlaczego mama myśli o tym akurat w tej chwili. Podobnie

jak Zła.

– Dopiero wróciliśmy, mamó.

– Ale na stole stoi Włamywacz – odpowiedziała mama.

Buteleczka ze szmaragdowym płynem – narkotyk, którego użyto, aby przejąć ciało moje i Theo – stała na tęczowym stole jak milczący świadek zbrodni.

Moja matka otworzyła szerzej oczy. Tata się wyprostował. W spojrzeniu Paula wątpliwości wykryształizowały się w straszliwą pewność.

Theo skoczył przed siebie. Chociaż był o dobre dziesięć centymetrów niższy od Paula, wpadł na niego z całym impetem i wbił mu łokieć w żołądek. Paul zgiął się wpół, rodzice rzucili się do mnie, a moja dłoń zacisnęła się na nożyku do listów. Był ostry jak prawdziwy sztylet. Ogarnęła mnie zgroza, gdy uświadomiłam sobie, że mogę zobaczyć, jak rodzice giną z mojej ręki.

Ale Zła nie skierowała ostrza w ich stronę. Zamiast tego przysunęła je do mojej (naszej) szyi.

Mama i tata zamarli. Czubek ostrza został przyciśnięty do mojej skóry tak mocno, że z każdym uderzeniem serca czułam silniejszy ból.

– To tętnica szyjna – powiedziała Zła.

Całe udawanie zniknęło. Czułam na swojej twarzy pogardliwy uśmiech. Usłyszałam z kuchni brzęk tłuczonych na podłodze talerzy, a potem głuche uderzenie o szafki. Walka Paula i Theo zmieniła się w brutalną wymianę ciosów, którą widziałam kątem oka, ale nie mogłam się na tym skoncentrować, ponieważ Zła nie patrzyła w tę stronę. Była zbyt zajęta napawaniem się przerażeniem na twarzach moich rodziców.

– Innymi słowy to naczynie krwionośne, które prowadzi z serca prosto do mózgu. Jeśli je przetnę, wasza podrózniczka doskonała wykrwawi się w ciągu mniej więcej trzydziestu sekund, może minuty. To dostatecznie długo, żebym zdołała się uratować dzięki mojemu Firebirdowi, ale za krótko, aby cokolwiek mogło jej pomóc. Będziecie musieli stać i patrzeć, jak ona umiera.

– Proszę, nie. – Nigdy nie widziałam mojej matki tak przestraszonej, tak małej. Wyciągnęła ręce do Złej błagalnym gestem. – Powiedz nam, czego chcesz i dlaczego tutaj jesteś?

– O, czyli teraz się o nią martwicie. – Zła niemal spluwała słowami. – Kiedy postanowiliście zacząć się przejmować Marguerite? I odwołajcie swojego kundla, Paula Markova, zanim...

Rozległo się mocne uderzenie o podłogę, a potem jęk i kaszel. Zła w końcu spojrzała w tamtą stronę i zobaczyłam Paula pochylonego nad Theo, którego powalił na podłogę. Theo z Uniwersum Triadu zdążył jednak złapać Firebird

na szyi. Dreszcz, jaki go przeszedł, był jedynym sygnałem, że intruz zniknął.

Nasz Theo wyszeptał słabo:

– Co, do diabła...?

Napięcie było nie do zniesienia. Zła nie wiedziała, że Theo porzuci ją tak szybko.

– Powtarzam, odwołajcie Markova.

Tata obrócił się na pięcie.

– Paul, proszę, rób to, co...

Paul nie słuchał. Rzucił się w naszą stronę i wyciągnął rękę, chociaż Zła zacisnęła dłoń mocniej na nożyku do listów.

Spodziewała się, że Paul złapie za ostrze, ale on szarpnął gwałtownie mój sweter, rozerwał go, a w następnej chwili jego duża dłoń zamknęła się na obu Firebirdach i pociągnęła mnie bliżej tak, że straciłam równowagę. Ta zimna, straszna furia aż za bardzo przypominała mi o jego wersji z Uniwersum Mafii, a także o potencjale przemocy, jaki ukrywał się tuż pod jego powierzchnią.

– Odłóż ostrze! – rozkazał Złej. – Wtedy oddam ci Firebirda na dostatecznie długo, żebyś mogła się stąd wynieść.

Uniosła podbródek.

– Wypuść mnie albo twoja Marguerite umrze w twoich ramionach.

Czubek nożyka do listów przycisnęła się mocniej do mojej skóry.

– Nie zrobisz tego – powiedział Paul. – Ponieważ jeśli ją skrzywdzisz, zabiorę Firebirdy, a to znaczy, że wykrwawisz się na śmierć razem z nią. Możesz być gotowa zrobić prawie wszystko dla Wyatta Conleya i Triadu, ale nie sądzę, żebyś była gotowa dla nich umrzeć.

Milczenie. Moi rodzice uczepili się siebie kurczowo, jakby potrzebowali się nawzajem podtrzymywać. Za nimi, niewyraźnie, widziałam kątem oka Theo podpierającego się na łokciach, z opuszczoną głową. Szare oczy Paula pozostawały skoncentrowane na mnie.

– Myślisz, że mnie znasz? – Uśmiezek Złej wykrzywił moje wargi. – Aż do wczoraj nie znałeś nawet siebie. Nie jesteś już pojedynczym, kompletnym człowiekiem. Jesteś potworem Frankensteina, pozszywanym z kawałków innych ludzi, którymi już nigdy nie będziesz. Te szwy mogą w każdej chwili pęknąć...

Ale Paul nie zamierzał jej ulegać.

– Nie wiem, czy jesteś oportunistką, czy sadystką. Nie wiem, czy jesteś typem tchórza, czy zdobywcy. Ale wiem, że jesteś dość inteligentna, żeby wiedzieć, kiedy nie możesz wygrać, i nie wydaje mi się, żebyś była osobą, która na złość innym popełni samobójstwo.

Mój głos zamienił się w szept, kiedy odpowiedziała:

– Och, ja mnóstwo rzeczy robię na złość innym, panie Markov.

– Nie wątpię w to – odparł Paul także szeptem. – Ale robisz to innym ludziom. Nie sobie. A teraz się wynoś.

– Teraz już wiem, jak to rozegramy – powiedziała. – Czas pozatrząskować parę drzwi.

Opuściła moją dłoń, ale zanim zdążyłam poczuć choćby cień ulgi, cięła ostrzem Paula. Ciepła krew pociekła na moją skórę i ubranie, a Paul odruchowo cofnął skaleczoną rękę. To dało Złej czas potrzebny na złapanie Firebirda. Moja dłoń ustawiła go odpowiednio i...

...znowu poczułam zawroty głowy. Świat pociemniał i zawirował, ale chociaż chwiałam się na nogach, wiedziałam, że moje ciało znowu należy do mnie.

Zła zniknęła.

– Paul, nic ci nie jest? – Wyciągnęłam rękę, a Paul szarpnął się, kiedy go dotknęłam.

Przez chwilę tylko patrzyliśmy na siebie, a potem uświadomiłam sobie, że nadal trzymam nożyk poplamiony jego krwią.

Paul zareagował instynktownie. Inteligentnie, biorąc pod uwagę, że nadal trzymałam broń, którą go zraniłam. Ale gdy zobaczyłam, jak się ode mnie odsuwa, poczułam lodowate zimno.

On już i tak wątpił w siebie. Nie chciał uwierzyć w łączącą nas miłość.

Teraz nie potrafił wierzyć także mnie.

Rozdział czwarty

– Gdyby tylko pozbycie się... uzurpatorów rozwiązało nasze problemy – powiedziała mama kilka minut później. Klęczałam koło Paula, który siedział na kanapie, i bandażowałam skaleczenie na przedramieniu. Tymczasem tata starał się namówić Theo na kubek herbaty. (Tata jest Anglikiem, więc uważa, że herbata pomaga na wszystko). – Jednak w oparciu o to, co nam powiedzieliście, możemy wnioskować, że pozostałe dwa wymiary Triadu przechodzą teraz na nową strategię, znacznie bardziej niebezpieczną od poprzedniej.

– Są gotowi niszczyć całe wymiary, każdy z tych, które zawierają ułamek duszy Josie – powiedziałam. – Nawet nasz wymiar. Wszystko po to, żeby ją odzyskać. Nadal nie mogę uwierzyć, że moglibyście zrobić coś takiego.

– Ja mogę – odparł cicho mój ojciec. Mama rzuciła mu spojrzenie, ale splótła ręce na piersi, tak jak wtedy, gdy chciała się bronić. Tata mówił dalej. – Pamiętam zapalenie opon mózgowych, które przechodziłaś, kiedy miałaś dwa lata... Choroba rozwinęła się błyskawicznie. Byłaś na oddziale intensywnej terapii dziecięcej, a lekarze powiedzieli nam, że możemy cię stracić. To, co wtedy działo się w mojej głowie... – Tata urwał, a kiedy podjął historię, jego głos był zachrypnięty. – Byłbym gotów zawrzeć pakt z diabłem. Każdy pakt i z każdym diabłem.

Pamiętałam furię mojej matki, skierowaną przeciwko Paulowi, w świecie, w którym zaledwie mnie zranił. To wystarczyło, żeby przemienić całą jej miłość do niego w nienawiść. Moi rodzice szcycili się swoją racjonalnością i logiką, jak naukowcy, którymi byli, ale może właśnie dlatego stawali się bardziej podatni na gwałtowne emocje. Ból, który zadawał nam wszystkim głębokie rany, dla nich był całkowicie nie do zniesienia. Nic dziwnego, że śmierć Josie doprowadziła ich do szaleństwa.

– Musimy działać natychmiast. – Paul nie spojrzał mi w oczy od chwili, gdy znowu stałam się sobą. Głowę miał lekko pochyloną, jakby wstydził się ją podnieść. – Zrobić coś, aby ochronić te wymiary, którym grozi zniszczenie. Triad potrzebuje współpracy podróżnika doskonałego, żeby szybko wcielić swój plan w życie, ale nawet bez Marguerite mają jeszcze Wyatta Conleya z Uniwersum Triadu.

– Nie wydaje mi się, żeby Conley zamierzał się tym zajmować osobiście – powiedziałam. Już się przekonałam, że bycie podróżnikiem doskonałym może

być niebezpieczne. Conley snuł wielkie plany, ale wolał chronić siebie i zostawić innym podejmowanie ryzyka. – Co może oznaczać „zatrząskiwanie drzwi”? Conley wspominał o tym, podobnie jak ona, ale nie wiem, o co im chodziło.

Tata westchnął.

– Niestety my także tego nie wiemy.

– Poczekajcie chwilę. – Theo zmarszczył brwi i popatrzył na tęczy stół. Podniósł kubek herbaty z papierów rozłożonych na kolorowym blacie. – Mamy tu bardzo, bardzo interesujące równania.

Mama podeszła do niego.

– Co masz na myśli?

– To nie jest szczegółowa mapa... ale mogą to być wskazówki dotyczące miejsc, w które się wybierają. Wszechświatów, które chcą zniszczyć jako pierwsze.

Theo złapał ołówek pozostawiony przez jego sobowtóra i kontynuował pisanie równań.

– Wiemy, co łączy je wszystkie. To wymiary, które kiedyś odwiedziła tamta wersja Josie – dodałam. – Właśnie w nich odłamki jej duszy zostały... chyba pogrzebane.

Powiedziano mi, że te odłamki były zbyt małe, żeby pozbierać je za pomocą Firebirda. Żadna część świadomości Josie nie przetrwała. Była martwa, naprawdę martwa, a jednak Centrala wytyczyła krwawy szlak do jej wskrzeszenia. Mieli nadzieję, że jeśli zniszczą światy, w których istniała dusza Josie, odłamki zostaną wyrzucone z powrotem do ich wszechświata – aż w końcu powróci ich dostatecznie dużo, żeby odtworzyć ciało i duszę Josie.

Chociaż jeżeli Paul był nadal tak zmieniony po rozszczepieniu na cztery części, jaka będzie Josie, która roztrzaskała się na tysiąc kawałków?

– Zastanawiałem się nad teoretycznymi implikacjami. – Paul wyraźnie był zadowolony, że znowu może się zająć matematyką, a nie poplątanymi ludzkimi emocjami. – Triad będzie chciał także zniszczyć wektory źródłowe, żeby pozbyć się jednocześnie wielu wymiarów.

Można by pomyśleć, że tyle lat wśród naukowców pozwoliło mi poznać cały żargon, jakiego mogłabym potrzebować. Jednak najwyraźniej tak nie było.

– Co to są wektory źródłowe? – zapytałam.

– Wszechświaty, które wygenerowały wiele innych wszechświatów przydatnych dla celów Triady – wyjaśniła mama. Wyraz mojej twarzy musiał zdradzać pełne zaskoczenie, ponieważ przerwała i zaczęła od początku. –

Na przykład w naszym świecie, w Uniwersum Triadu i jeszcze kilku, jakie widzieliśmy, Abraham Lincoln został zamordowany przez Johna Wilkesa Bootha. Jeśli uda ci się znaleźć jeden bazowy wszechświat, w którym to wydarzenie nastąpiło, i zniszczyć go, w rezultacie zniszczysz wszystkie wszechświaty, w jakich to miało miejsce. Ten bazowy wszechświat to wektor źródłowy. Rozumiesz?

– Powinnaś pamiętać, że czas, w jakim nastąpiło to zdarzenie, jest bez znaczenia – wtrącił tata. – To nie będzie tylko kolaps tych wymiarów. One zostaną... anulowane. Nawet jeśli zdarzenie miało miejsce setki lub tysiące lat temu, jeśli teraz zniszczysz ten wektor źródłowy, wszystko powróci do początku czasu.

– Czyli tuż po Wielkim Wybuchu. – Mama weszła mu w słowo.

Rozmawialiśmy praktycznie o apokalipsie, ale mimo wszystko musiała doprecyzować, kiedy zaczął istnieć czas.

Każdy wybór, nawet najbardziej trywialny, tworzył nową kwantową rzeczywistość – kolejny niepowtarzalny wymiar w multiwszechświecie. Każdy z wielu światów, jakie do tej pory odwiedziłam, każda Marguerite, którą byłam – wszystko to ulegnie zagładzie w jednej chwili, jeśli ktoś znajdzie w czasie wybór, który doprowadził do tego, że się urodziłam. Bez tego wyboru, tego wszechświata, nie mogłaby istnieć żadna Marguerite. Zostałyby anulowane całkowicie wraz ze swoimi wymiarami.

– Tak, rozumiem – powiedziałam. – Czyli Centrala chce zniszczyć wszystkie światy, w których zaginęła Josie, a także część, no, wektorów źródłowych. Jak mamy ich powstrzymać? Zaraz. Chwila. Jak oni w ogóle mogą to zrobić? Jak się niszczy cały wymiar?

Czworo naukowców wymieniło spojrzenia. Na ich twarzach malowało się niemal... poczucie winy.

– Czy wy chcecie powiedzieć, że Firebirdy są znacznie bardziej niebezpieczne, niż twierdziliście wcześniej? – zapytałam.

– Nie! – Mama wyprostowała się, urażona. – Daj spokój, Marguerite. Nie podejmowalibyśmy nigdy takiego ryzyka.

– Z całą pewnością nie. – Tata umilkł na chwilę i dodał: – Jednak to nie znaczy, że z Firebirdami nie wiąże się potencjalne niebezpieczeństwo.

– To trochę tak jak wtedy, gdy włączono Wielki Zderzacz Hadronów – wyjaśnił Theo. Znałam tę historię ze wszystkimi szczegółami, chociaż miało to miejsce, kiedy byłam zupełnie malutka. Dla fizyków uruchomienie Wielkiego Zderzacza Hadronów było jak finał Ligi Mistrzów, wręczenie Oscarów

i impreza sylwestrowa w jednym, więc moi rodzice co jakiś czas przypominali o tym. – Wszyscy panikowali: „Aaaa, naukowcy stworzą czarną dziurę”. Co oczywiście się nie zdarzyło, ponieważ było wprawdzie technicznie możliwe, ale tak skrajnie nieprawdopodobne, że Wielki Zderzacz Hadronów mógłby działać przez miliard lat i nie otworzyć czarnej dziury w środku Ziemi.

Wyjaśnienie Theo było proste, ale mimo wszystko się wzdrygnęłam, gdy sobie uświadomiłam, że noszę na szyi ryzyko apokalipsy, choćby była to jedna szansa na miliard.

Popatrzyłam na Firebirda, który nadal wisiał na łańcuszku – poplamiony krwią Paula, podobnie jak podarte resztki zielonego swetra i biała sukienka pod spodem. Dla mnie Firebird zawsze oznaczał nadzieję, geniusz, przygodę. Ale w tym momencie wiedziałam, że nigdy nie zapomnę tych plam krwi.

– No to w jaki sposób Firebird może zniszczyć wymiar?

Domyślałam się, że odpowiedź będzie wymagała równań dłuższych niż cykl przygód Harry’ego Pottera, ale czułam, że muszę coś powiedzieć.

Paul nauczył się przekładać dla mnie ukrytą poezję nauki lepiej niż ktokolwiek inny.

– Pamiętasz, co ci opowiadałem, kiedy pojechaliśmy zobaczyć sekwoje? O podstawowej asymetrii wszechświata?

Nie mogłabym zapomnieć tamtego dnia. Piękno Muir Woods sprawiło, że czułam się, jakbyśmy razem z Paulem dostąpili własnego skrawka wieczności. Pamiętałam jednak także powiązaną z tym lekcję fizyki.

– Większość sił w fizyce jest symetryczna, ale gdzieś w nanosekundach po Wielkim Wybuchu materia i antymateria z jakiegoś powodu się rozjechały i nikt nie ma pojęcia dlaczego. Ta asymetria między nimi sprawia, że wszechświat może istnieć. Dobrze pamiętam?

– ...w miarę.

Mój umysł artystki nie radził sobie z teoriami naukowymi tak dobrze jak umysł Paula. On sam nigdy celowo nie wytykałby mi tego, ale takt nie był jego najmocniejszą stroną.

Dodał pospiesznie:

– To ważne, ponieważ Firebirdy mogą przywrócić symetrię między materią a antymaterią.

– Jak to? W jaki sposób? – Zawirowało mi w głowie. – Po co ktoś miałby robić takie urządzenie?

Theo słuchał naszej wymiany zdań.

– Marguerite, to bardzo zbliżone do zasady działania Firebirdów. Pamiętasz

ten rezonans wymiarowy, o którym bezustannie mówimy, aż zaczynasz przysypiać? To są nierówności charakterystyczne dla każdego wszechświata. Firebird tak jakby... ślizga się po tych nieprawidłowościach, znajduje miejsce, z którego pochodzą, i zabiera cię razem ze sobą. Jeśli ustawisz Firebirda w taki sposób, żeby wpływał na te nieprawidłowości, zamiast je wykrywać... – Theo zawiesił głowę i rozłożył ręce w geście imitującym wybuch.

Paul nie mógł oczywiście pozwolić, żeby naukowe wyjaśnienia zakończyły się gestem.

– Reszta stanie się sama. Kolaps wymiaru rozprzestrzeni się w ciągu... Nie. Nie ma sensu mówić, ile to zajmie, ponieważ kolaps zniszczy także czas.

– Ale Firebirdy mogą także zwiększać asymetrię – oznajmił tata pogodniejszym tonem. – Wyliczenie tego będzie trudniejsze, ale mimo wszystko poradzimy sobie z tym. Zasilanie Firebirdów może potrzebować dodatkowego impulsu...

– Na pewno będzie potrzebować. – Bystry jak żywe srebro umysł mamy był już o kilka kroków przed nimi. – Ale zwiększenie mocy Firebirdów wymagałoby dość prostego urządzenia, czegoś w rodzaju stabilizatora, który moglibyśmy skonstruować w każdym wszechświecie, a potem zwiększyć w nim asymetrię. Wtedy Triadowi byłoby o wiele trudniej doprowadzić do kolapsu. Możemy spowolnić ich działania, a może nawet całkowicie je powstrzymać.

W tym momencie potencjał Firebirdów nabrał dla mnie znacznie większego sensu. Ich moc pozwalała anulować świat lub zachować go na zawsze. Nieskończone dobro i nieskończone zło zostały zamknięte w jednym wisiorze, który spoczywał na moim sercu.

Tymczasem mama, tata i Theo pogrążyli się już w równaniach. Koniecznie chciałam wykraść parę chwil na rozmowę w cztery oczy z Paulem. Musiał sobie przypomnieć, kim był, otrząsnąć się z melancholii i fatalizmu, które go nadal dręczyły.

Jeśli nie uda mu się tego przełamać, to tak naprawdę wcale go nie uratowałam. Poskładałam tylko z kawałków mężczyznę zmienionego w nieodwracalny sposób. Sama myśl o tym sprawiała, że chciałam go mocno przytulić, jakbym mogła przeniknąć w niego dość głęboko, aby moja miłość naprawiła wszystkie szczeliny, uleczyła go, sprawiła, że stałby się całością.

Ale tak jak mówiłam, miałam poważniejsze problemy niż moje życie uczuciowe. Podobnie jak reszta multiwszechświata.

– Muszę przeskoczyć za nią – oznajmiłam. – Prawda?

Pozostali wymienili zatroskane spojrzenia. Uświadomiłam sobie, że każde

z nich oddzielnie doszło już do wniosku, że muszę znowu narazić się na niebezpieczeństwo, ale nikt nie chciał tego mówić jako pierwszy.

– Skarbie, naprawdę nie mam ochoty tego mówić, ale musimy się dowiedzieć, które światy staną się ich celem – odezwał się tata. – Równania Theo będą przydatne, ale pewnośc będziemy mieć tylko wtedy, gdy je sprawdzisz.

– Ja mógłbym to zrobić. – Głos Paula był ochryply. – Tak samo jak Theo. Albo wy oboje. To nie musi być Marguerite.

– Owszem, musi – upierałam się.

Jego instynkt opiekuńczy mnie wzruszał, ale nie mogłam pozwolić, żeby sam się tym zajmował. To ja byłam podróżnikiem doskonałym, dzięki czemu to mnie najłatwiej było się wślizgnąć do innego wszechświata. To ja zachowywałam przez cały czas świadomość i kontrolę nad ciałem. W każdym innym przypadku to byłaby tylko kwestia wygody. Teraz jednak musieliśmy zareagować tak szybko i skutecznie, jak to możliwe. A to oznaczało mnie. Popatrzyłam na rodziców.

– Mój Firebird może namierzać jej Firebirda, prawda?

To Theo w końcu zdobył się na odpowiedź.

– Tak. Wasze Firebirdy były przez jakiś czas razem, więc możemy szybko znaleźć jej ślad.

– Zrób to. – Podałam Firebirda Paulowi.

Zawahał się, ale zajął się tym.

– Twoja odpowiedniczka nie może doprowadzić do kolapsu wszechświata tak, żeby nie zabić przy tym samej siebie – odparła moja matka. – Ale może... poczynić przygotowania. Przygotować każdy świat na twoją ewentualną współpracę lub czyjąś misję samobójczą.

Jeśli wersje moich rodziców i Wyatta Conleya z Centrali były gotowe niszczyć całe wymiary, żeby odzyskać Josie, nie zawahaliby się przed wysłaniem na śmierć osoby ze swojego świata. Nagle dotarło do mnie z obezwładniającą siłą, że stawką są dosłownie biliony ludzkich istnień, a ja jestem jedyną osobą, która może je ocalić. Postarałam się wziąć w garść.

– Zaraz, a czy zniszczenie wszechświata nie wyrzuciłoby jej po prostu do domu? Wasze wersje z Centrali uważają, że tak właśnie się stanie z odłamkami duszy Josie.

Tata pokiwał głową. Wyglądał, jakby w ciągu godziny postarzał się o pięć lat.

– Tak najprawdopodobniej stanie się w przypadku podróżnika doskonałego, takiego jak ty lub Josie z Centrali, ale nie z twoją inną wersją czy kimkolwiek innym, kto chciałby zniszczyć wszechświat za pomocą Firebirda. Takie

zniszczenie ma swoje konsekwencje. Tworzy połączenia. To tak jakby... jakbyś odcięła statek z kotwicy, ale musiała przez cały czas trzymać tę kotwicę. Kiedy statek odpłynie, kotwica pociągnie cię na dno morza. Podróżnik doskonały może sobie z tym poradzić, wykorzystując Firebirda, ale każdy inny będzie w beznadziejnej sytuacji.

Moi rodzice byli mocno zaniepokojeni taką perspektywą, ale ja poczułam odrobinę ulgi. Może powinnam być z tego powodu zawstydzona – tym, że potrafiłam tak jakby znieść myśl o śmierci całego wszechświata, skoro wiedziałam, że będę mogła uciec. Ale podróże międzywymiarowe były i tak wystarczająco ryzykowne, więc każde zabezpieczenie sprawiało, że czułam się lepiej. Dlatego pozwoliłam, aby rodzice mi pokazali, jak za pomocą Firebirda ustabilizować wszechświat. Nie chciałam się dowiadywać, jak mogłabym go zniszczyć, ponieważ nigdy, przenigdy nie zamierzałam tego robić. Paul kręcił się wokół nas, ponury i milczący. Nadal nie patrzył mi w oczy.

To właśnie Theo zadał pytanie, którego nie brałam pod uwagę.

– Czy ty w ogóle będziesz mogła pójść w jej ślady?

– Co masz na myśli? – zapytałam.

– Jeśli nie ma jej w jej własnym wymiarze, to znaczy, że zajmuje jakąś swoją wersję w innym świecie. Czy dwie osoby mogą przeskoczyć w to samo ciało? – Wzruszył ramionami. – Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.

Mama skrzywiła się.

– Wiedziałam, że powinniśmy zrobić symulację na taki wypadek.

To nie wydawało się szczególnie istotne. Albo mi się to uda, albo nie, a jeśli się uda, będę miała przewagę nad Złą, ponieważ to ja jestem podróżnikiem doskonałym. Nagle przysłała mi do głowy upiorna myśl.

– Nie połączymy się czy coś w tym rodzaju, prawda?

– Nie – odpowiedzieli wszyscy czworo jednocześnie.

– Niezależnie od wszystkiego, wasze rezonanse się różnią – dorzucił tata. – To jak łączenie oleju i wody, kochanie.

To dobrze. Potrafiłam sobie wyobrazić złość zawartą w Marguerite z Centrali, oblepiającą mnie jak ropa naftowa, lepka i czarna. Lepsze to niż mieć coś takiego w sobie.

– Pamiętajcie, co mówiłam wam o Uniwersum Cambridge?

Potrzebowali chwili, żeby sobie przypomnieć. Nie dziwiłam się, ponieważ o swojej ostatniej podróży międzywymiarowej opowiadałam w pośpiechu, jednocześnie tamując krew z ręki Paula. Paul skrzywił się, gdy wspomniałam o tym miejscu, ponieważ w tym świecie moja ręka została okaleczona

w spowodowanym przez niego wypadku samochodowym, który rozdzielił nas na zawsze. Ale zupełnie co innego było najważniejsze w Uniwersum Cambridge.

– Nasze odpowiedniki pracują nad komunikacją międzywymiarową – oznajmiła mama. – Powiedziałaś im, żeby się z nami skontaktowali. Co oznacza, że powinniśmy być gotowi na taki kontakt.

– Zastanawialiśmy się nad tym na wcześniejszym etapie badań – stwierdził tata i potarł podbródek w sposób, który oznaczał, że zatopił się w myślach lub też słucha Rubber Soul.

– Jeśli im powiecie, co ma się stać, i ostrzeżecie, żeby uważali na Triad, będą mieli szansę. – Popatrzyłam na moje podarte, zakrwawione ubranie i poczułam irracjonalną potrzebę przebrania się przed podróżą.

Kiedy po tym wszystkim wrócę do domu i moje ciało znowu stanie się obserwowalne, czy krew zdąży już zaschnąć? Czy nadal będzie mokra i lepka na mojej skórze na dowód tego, jak moje ręce skrzywdziły Paula?

Mogłam uderzyć w jego gardło. Co bym zrobiła, gdybym musiała patrzeć, jak sama go zabijam?

Paul wyrwał mnie z zamyślenia.

– Jesteś gotowa? – zapytał.

– Nie. Ale to bez znaczenia. – Wyciągnęłam ręce w górę. Był taki wysoki, taki umięśniony, jak dzieło Michała Anioła w świecie Modiglianich. Mimo to mogłam położyć mu dłonie na policzkach. – Chodź ze mną. Przyda mi się każda pomoc.

Zawahał się, kierowany obawami nie o siebie samego.

– Theo może się z tobą wybrać. Albo Sophia lub Henry w końcu sami użyją Firebirdów...

– Potrzebuję ciebie – szepnęłam.

Paul mi nie uwierzył. Na razie nie potrafił. Ale skinął głową, a to musiało mi wystarczyć.

Cofnęłam się, usiadłam na fotelu w rogu, ustawiłam Firebird, żeby przeskoczyć za Złą...

...i dlatego właśnie wisiałam teraz na kablu ponad sto metrów nad Tamizą.

– Marguerite! – krzyknął Paul.

Popatrzyłam w górę i zobaczyłam, że wysunął się przez okno widokowe, pomimo okrzyków zgrozy stojących obok pasażerów.

Ciocia Susanna wychyliła się, a łzy rozmazywały jej mascarę na policzkach.

– Idę po ciebie! – krzyknął Paul.

– Nie! – To mnie wiele kosztowało, ponieważ Bóg mi świadkiem, jak bardzo chciałam, żeby tu zszedł, żeby mnie uratował.

Błysk metalu na szyi podpowiadał mi, że to mój Paul, że przeskoczył za mną, że chociaż jest poobijany psychicznie, coś w nim nadal wierzy, że może nam się udać.

Byłam jednak całkowicie pewna, że nie zdoła mnie uratować. Sam tylko zginie.

Moje spocone dłonie ślizgały się na kablu. W palcach czułam takie skurcze, jakby każdy nerw i kość płonęły. Jeśli się puszczę, Marguerite z Uniwersum Londyńskiego zginie.

Była pierwszą z innych wersji mnie samej, w którą się wcieliłam, pierwszym przypadkiem, gdy musiałam analizować życie, jakie prowadziłabym w świecie alternatywnym. Pomyślałam o jej białym, pustym pokoju. Wiecznych imprezach, które nie cieszyły jej w najmniejszym stopniu. Teraz wiedziałam, że zachowała tamte wspomnienia. Wybrała się z ciotką Susanną, żeby zrobić coś dla przyjemności, a Paul Markov najwyraźniej ją odnalazł także tutaj. Czy byli tylko przyjaciółmi, czy też czymś więcej? Niezależnie od tego on musiał być jednym z nielicznych prawdziwych, szczerych ludzi w jej życiu.

Innymi słowy przez ostatnie miesiące jej życie nabrało wartości. Teraz Zła odebrała jej to wszystko.

Uświadomiłam sobie, że właśnie to oznaczało „zatraskiwanie drzwi”. Wiedzieli, że nigdy nie zrobię tego, czego by chcieli. Dlatego zamierzali mnie powstrzymać przed ochronieniem tych wszechświatów, a jedynym sposobem na to było uniemożliwienie mi wejścia do nich. Już na zawsze.

Jedynym zaś sposobem, aby to osiągnąć, było zabicie każdej Marguerite w każdym świecie.

Dłonie mi się ześlizgnęły. Spróbowałam znowu poprawić chwyt, a ludzie wrzasnęli – jedna moja ręka złapała kabel, ale drugiej to się nie udało. Teraz huśtałam się, a ramię bolało mnie coraz bardziej. Wszystkie moje mięśnie drżały. To koniec.

Muszę przeskoczyć. Ale co będzie, jeśli Zła mnie zablokuje? Co będzie, jeśli nie uda mi się przeskoczyć tam, gdzie jej? Nie miałam czasu, żeby wprowadzić nowe współrzędne i wrócić do domu – gdybym w ogóle mogła dotknąć Firebirda, co było niemożliwe, ponieważ to by znaczyło, że się puszczę, a jeśli się puszczę...

Paul nie może na to patrzeć. Nie może.

– Paul! – krzyknęłam. – Wracaj do środka!

– Marguerite... Nie!

Spróbowałam podnieść głowę i znowu na niego spojrzeć. To był o jeden ruch za dużo. Moja dłoń ześlizgnęła się z kabla i poleciałam w dół.

W pierwszej chwili w ogóle nie poczułam, że spadam. Miałam raczej wrażenie, że się unoszę, a wokół mnie wieje silny wiatr. Ale potem dotarło do mnie, co się stało, i serce podeszło mi do gardła. Rzeka zbliżała się coraz bardziej. Za chwilę miałam umrzeć.

Firebird! Ścisnęłam Firebirda, którego miałam pod bluzką. Trudno mi było go złapać, ponieważ teraz koziółkowałam. Ubranie trzepotało wokół mnie, woda była tak blisko, tak blisko... Nacisnęłam przyciski...

Moje ciało szarpnęło się. Przez jedną straszliwą chwilę pomyślałam, że to już. Uderzyłam o powierzchnię rzeki. To jest chwila mojej śmierci.

Ale nie. Siedziałam w ciemnym, chłodnym pomieszczeniu – nie, w korytarzu mającym niecałe półtora metra wysokości. W oddali migotało światło, otaczały mnie kamienne ściany, a podłoga była niemal całkowicie pokryta piaskiem. Tylko tyle wiedziałam poza tym, że znalazłam się w innym wymiarze i to mnie ocaliło.

Tamta Marguerite nie żyła.

Została zamordowana. Przez Złą. A ponieważ miałam szansę i całkowicie ją zaprzepąściłam, także przeze mnie.

Rozdział piąty

Jak oplakiwać inną siebie?

Moje serce wypełniał przedziwny żal. niesprawiedliwość jej śmierci była nieznośna, szczególnie że wydawało się, iż wreszcie mogła odkryć rzeczy, dzięki którym będzie szczęśliwa. Marguerite z Uniwersum Londyńskiego mogła znaleźć swoją drogę. Nawet jej Paul był przy niej...

Tego nie wiesz. Mógł być po prostu na tym samym statku powietrznym. Mieszka niedaleko, więc to nie byłby aż taki zbieg okoliczności. Nie miałaś okazji się zorientować, co się zmieniło w jej życiu – i czy cokolwiek.

Ale to było jeszcze gorsze myśleć o tym, że prowadziła takie samotne, nieszczęśliwe życie aż do chwili, gdy zostało jej odebrane.

Wiedziałam na pewno tylko tyle, że zginęła nie z własnej winy i że potwornie się bała.

Z gardła wyrwał mi się szloch. Rozpacz i poczucie winy ciążyły mi, nie pozwalały nabrać powietrza w płuca i zaciskały się supłem w gardle. Podciągnęłam kolana do piersi, oparłam na nich głowę i rozpłakałam się.

Tamta Marguerite, jej ciało i jej życie, pomogły mi, kiedy naprawdę potrzebowałam pomocy. Jak odwdzieczyłam się za tę przysługę? Nie byłam w stanie utrzymać kabła. Pozwoliłam, aby spadła. Firebirdy wdarły się do wymiaru i w życie tamtej Marguerite, a jej śmierć była pozostawioną przez nas bliźną.

W końcu otarłam łzy z twarzy, podniosłam głowę i zaczęłam się zastanawiać, kim jestem tym razem.

Dobrze, skoncentruj się. Nie czułam się fizycznie inaczej pod żadnym poważniejszym względem. Włosy miałam upięte w skomplikowany kok albo warkocz, podtrzymywany licznymi szpilkami. Tak formalne uczesanie kojarzyło mi się z Uniwersum Rosyjskim, ale z całą pewnością to nie w nim się znalazłam. Moje otoczenie było zbyt brudne, moje ubranie zbyt zwyczajne... A poza tym nie byłam w ciąży. Tamto fizyczne wrażenie pozostawało nadal w głębi mojego umysłu, dostatecznie silne, żebym wyczuwała jego brak.

Ciemny korytarz nie dostarczał na razie wielu wskazówek. Oświetlenie było dziwne. Nie widziałam jego źródła, więc musiało się znajdować za zakrętem – migotanie odległego blasku podpowiadało, że to świeca lub pochodnia. Znowu średniowiecze? To nie przypominało żadnego znanego mi miejsca w Uniwersum

Rzymskim, ale mogły istnieć inne wymiary z technologią na poziomie średniowiecza. Ale nie, moje ubranie do tego nie pasowało. Bawełniana spódnica w kolorze khaki sięgała mi za kolana, była ciężka, ale wyraźnie szyta maszynowo. Sznurowane wysokie buty były za dobrze dopasowane. (Możecie mi uwierzyć: średniowieczne obuwie jest do niczego.) Wąskie paski koronki stanowiły wykończenie długich rękawów i wysokiego kołnierzyka mojej cienkiej bawełnianej bluzki. Żadnych kieszeni, żadnej torebki, co oznaczało brak smartfona, mapy, pieniędzy czy jakiegokolwiek dokumentu tożsamości.

Wiedziałam tylko jedną rzecz na pewno o tym świecie i o tej Marguerite – znajdowała się w niebezpieczeństwie. Zła nie zostawiłaby tego inaczej.

Na nowo ogarnęło mnie przerażenie z Uniwersum Londyńskiego – ciemna woda pędząca w moją stronę, gotowa zmiażdżyć moje kości i na zawsze odebrać mi oddech...

Przynajmniej to nastąpiło szybko – powiedziałam sobie i odetchnęłam głęboko. Po tak długim upadku uderzenie w wodę zabiło ją w ułamku sekundy.

To nie pomagało.

Mój mózg znowu zaczął swój refren: dlaczego, dlaczego to się musiało stać, ale zaraz to pytanie stało się rzeczywiste. Chwila, dlaczego Zła przeskoczyła do Uniwersum Londyńskiego? Dlaczego tamten świat miałby być skazany na zagładę? Żadna wersja Josie nie mogła się nigdy tam znaleźć, ponieważ w tym wymiarze Josie nie żyła od ponad dziesięciu lat.

Wtedy przypomniałam sobie to, co moi rodzice mówili o wektorach źródłowych. Jeden wszechświat mógł zapoczątkować istnienie wielu innych. Jeśli się go zniszczy, reszta także się rozsypie. Ponieważ zniszczeniu ulega cała linia czasowa, nie ma znaczenia, czy punkt krytyczny miał miejsce dawno temu – przeszłość, teraźniejszość i przyszłość znikną jednocześnie.

Ile światów było skazanych teraz na zagładę, ponieważ puściłam linę?

Chociaż mój mózg odtwarzał w nieskończoność chwilę, gdy moja dłoń ześlizgnęła się z kabla, racjonalnie wiedziałam, że nie mogło być inaczej. Próbowałam się trzymać tak bardzo, jakby od tego zależało życie nas obu, a nie tylko jej. Zresztą tak właśnie mogło być.

Bez wątplenia Zła liczyła, że zabije także i mnie.

Ale co chciała osiągnąć, zostawiając mnie w dziwnym korytarzu? Nie widziałam drogi wyjścia, ale z pewnością musiała istnieć, skoro Zła w ogóle mogła tu wejść. Trudno było to uznać za śmiertelne niebezpieczeństwo, raczej za irytującą niedogodność.

Dlaczego Zła wybrałaby dla mnie tak powolną metodę śmierci? Mogła zrobić

tak wiele innych rzeczy: powiesić się, znowu skoczyć z wysokości, obciążyć się kamieniami i skoczyć do wody... No dobrze, te możliwości zaczęły sprawiać, że przeszły mnie ciarki.

Wtedy jednak uświadomiłam sobie, że ona nie zrobi nic takiego, nie teraz. Coś tak dramatycznego i nieodwracalnego nie dałoby jej czasu na przeskoczenie z tego wymiaru i uratowanie się. Zabiła Marguerite z Uniwersum Londyńskiego tak szybko i brutalnie, ponieważ chciała, żebym ja zginęła razem z nią. Miałam nadzieję, że uznała, iż jej się to udało. Lepiej, żeby nie wiedziała, że nadal jej depczę po piętach.

Jednak nawet jeśli wiedziałyby o mnie, jej pułapki w przyszłości nie będą się zatrząsać tak szybko. Zła nie tylko potrzebowała czasu, żeby przeskoczyć dalej, potrzebowała także czasu, żebym ja zdążyła przeskoczyć do tego świata, jeśli chciała mieć okazję, aby mnie zabić.

Od tej pory sytuacje, w jakich się przez nią będę znajdować, nie powinny być tak bezpośrednio dramatyczne. Musiałam jednak pamiętać, że poziom niebezpieczeństwa pozostawał bez zmian.

Dlatego pierwsze zadanie brzmiało: wydostać się stąd.

Ruszyłam na czworakach naprzód, w stronę źródła słabego światła. Piasek chrząścił pod moimi dłońmi i stopami. W półmroku nie widziałam żadnych drzwi ani okien. Powietrze było chłodne, niemal zimne, i pachniało stęchlizną. Właśnie tak musiał się czuć ktoś pogrzebany żywcem...

Przeszedł mnie zimny dreszcz. *Opanuj się* – powiedziałam sobie i ruszyłam dalej. *Widzisz przecież blask ognia, prawda? Ogień wymaga dopływu tlenu. Dopóki się pali, masz powietrze.*

Dotarłam do ostrego zakrętu korytarza i w końcu zobaczyłam drzwi. Drewno było stare, zniszczone i wyschnięte. Nie widziałam też żadnej klamki, ale Zła musiała tędy wejść, a ja musiałam tędy wyjść. Wsunęłam palce pod nierówną krawędź drzwi, gdzie było akurat dość miejsca, żebym mogła je złapać i pociągnąć do siebie. Jedno szarpnięcie wystarczyło, żeby drzwi ustąpiły...

...a ściany zapadły się, zasypując mnie lawiną piachu.

Wrzeszczałam, aż piasek zaczął mi wpadać do gardła. Kasłałam, plułam i starałam się wyswobodzić, ale ziemia i piasek bezustannie sypały się na moje nogi, unieruchamiając mnie. Mimo że nie zostałam całkowicie przysypana, musiałam się wykopać, żeby się stąd wydostać. A jeśli moje ramiona także ugrzęzną w piasku, naprawdę zostanę pogrzebana żywcem.

W tym momencie usłyszałam głos odbijający się echem w oddali.

– Marguerite?

To był Paul. Serce wezbrało mi ulgą.

– Tak, to ja! Ratunku! Wszystko się zapada!

Usłyszałam drugi głos. Mojego ojca.

– Trzymaj się! I pod żadnym pozorem się nie ruszaj!

Zamarłam. Chociaż trudno mi było pozwolić, aby piasek osypywał się wokół mnie, to lawina zwalniała, jeśli się nie poruszałam. Słyszałam nie aż tak odległy ruch i skrobanie. Serce nadal tłukło mi się z przerażenia, ale przynajmniej wiedziałam, że pomoc nadchodzi. Zła poniosła porażkę. Wydostanę się stąd...

Z piasku wyłoniło się coś dużego i przemieszczało się w lawinie ziemi, nabierając kształtu i zbliżając się do mnie. Poleciało prosto na mnie i... *O mój Boże, to trup.*

Nie mogłam się powstrzymać. Wrzasnęłam i spróbowałam się cofnąć, co wywołało nową lawinę ciężkiego piasku. Byłam teraz zakopana po pas, ale to nie wydawało mi się ani trochę tak przerażające, jak martwy człowiek nachylający się do mnie. Jego ciało... to coś... było ciemne i wysuszone. Został z niego praktycznie sam szkielet. Miednica, mostek i połowa ręki rozpadły się na moich oczach tuż koło mnie. Najgorsze ze wszystkiego były martwo wyszczerzone, otwarte usta i puste oczodoły.

– Marguerite!

Odwrociłam głowę i zobaczyłam ojca czołgającego się do mnie. W odległości dostrzegłam kątem oka drewnianą drabinę i uświadomiłam sobie, że światło wpada z góry. Co to za podziemna śmiertelna pułapka, w którą zwabiła mnie Zła? Teraz to nie miało aż takiego znaczenia, skoro tata był tutaj. Zobaczyłam parę nóg schodzących po drabinie i wiedziałam, że Paul też zaraz będzie koło mnie.

Kiedy tata się zbliżył, złapałam go za rękę. Uściskałabym go, gdyby nie to, że obawiałam się wywołać kolejną lawinę, która pogrzebałaby nas oboje.

– Wyciągnij mnie stąd, proszę.

– Zaraz, skarbie. Musimy najpierw podeprzeć tę ścianę.

Tata sprawiał wrażenie całkowicie spokojnego, co pewnie powinno mi bardziej pomóc. Migoczący z tyłu ogień odbijał się w okularach w drucianej oprawie, ukrywając jego spojrzenie.

Jedną ręką wskazałam groteskowy szkielet wystający z piasku, utrzymywany w całości przez coś w rodzaju ubrania czy bandaży.

– Ale... to...

Tata uśmiechnął się szeroko.

– Niesamowite, prawda? Pomyśl tylko, znalazłaś to całkiem sama!

Za plecami ojca widziałam Paula czołgającego się w naszą stronę. Ciągnął za sobą jakieś deski czy pręty – coś, czego mogli użyć, żeby zastąpić otwarte przeze mnie drzwi.

Zła chciała, żebym je otworzyła i pogrzebała się żywcem. Świadomość, że wpadłam w jej pułapkę, była jeszcze gorsza niż znalezienie się twarzą w twarz ze szkieletem.

To nie sprawiało, że szkielet stawał się bardziej pożądanym towarzystwem. Wyobrażałam sobie, że czuję zapach zgnilizny, chociaż ciało musiało się rozłożyć wiele lat temu. Dziesiątki albo nawet setki lat...

– Powiedzieliśmy ci wyraźnie, żebyś nie ryzykowała wchodzenia tutaj, dopóki nie popracujemy nad tym jeszcze trochę – oznajmił tata. Nie był na mnie zły. Moje upiorne znalezisko ucieszyło go tak, że nie zamierzał nawet na mnie krzyknąć. – Co ty sobie myślałaś?

– Ja... pomyliłam się. Myślałam, że wam chodzi o jeden z tamtych pozostałych. – Takie wyjaśnienie powinno zadziałać i zazwyczaj wystarczało.

W każdym wszechświecie, w każdym czasie ludziom zdarzało się zrobić coś głupiego.

Tak czy inaczej tata wyglądał na usatysfakcjonowanego odpowiedzią. Poklepał mnie po ramieniu.

– Musisz bardziej uważać, Marguerite. Ale przyznaję, że ma to swoją dobrą stronę. Zostaniesz zapisana jako odkrywca! Może staniesz się najsłynniejszą przedstawicielką naszej rodziny w tym fachu.

Od kiedy „fach” mojej rodziny polegał na wykopywaniu rozkładających się trupów?

Paul w końcu zbliżył się tak, że mogłam go zobaczyć. Wąski korytarz nie pozwalał mu wyminąć taty i znaleźć się obok mnie, ale blask ognia malował jego twarz w ciepłych, złotych tonach. Paul miał na sobie białą lnianą koszulę, oliwkowe spodnie i wysokie buty – tak samo jak mój tata. Równo przystrzyżona broda podkreślała ostre linie jego szczęki i przypominała mi o poruczniku Markowie z Rosji. Jak zawsze ta myśl sprawiła, że moje gardło się zacisnęło i musiałam na chwilę zamknąć oczy.

Kiedy je otworzyłam, zobaczyłam, że Paul jest zaniepokojony i tylko lekko zaskoczony – w jego spojrzeniu nie ma cienia ulgi. Gdyby to był mój Paul, który przeskoczył już za mną do tego wszechświata, byłby szczęśliwy, że widzi mnie całą i zdrową. Zrozumiałby, jak znalazłam się w miejscu tak niebezpiecznym, że rodzice mnie przed nim przestrzegali. Czyli z pomocą przyszedł mi Paul z tego świata.

Mój najwyraźniej pozostał w Wymiarze Londyńskim i czekał, aż ciało zostanie wydobyte z Tamizy.

Ta ponura wizja pozostała ze mną jeszcze na kilka minut potrzebnych Paulowi i tacie do podparcia ściany. Wykopali najpierw mumię, a potem mnie. Grunt to priorytety. Ale czułam zbyt dużą ulgę na ich widok, więc moja złość była skierowana przeciwko osobie, która na nią zasługiwała. Złej Marguerite.

Załóżę się, że specjalnie wypytywała rodziców o najniebezpieczniejsze miejsca i przysłała prosto tutaj – myślałam, kiedy szerokie dłonie Paula odgarniały piasek z moich nóg. Gdyby tata i Paul nie znajdowali się w pobliżu wlotu tunelu, kiedy krzyczałam o pomoc, jej plan mógłby się powieść. Mogłabym udusić się w piasku. Marguerite z tego świata umarłaby razem ze mną.

Kiedy tylko zostałam uwolniona, przecisnęłam się między moim ojcem a Paulem.

– Muszę stąd wyjść – wykrztusiłam.

Piasek ciążył mi w butach i na razie chciałam tylko znowu odetchnąć świeżym powietrzem.

– Możesz już iść, skarbie. – Tata nie odrywał wzroku od swojego nowego przyjaciela, szkieletu. – My zostaniemy tu jeszcze kilka godzin.

Otarłam się o Paula, kiedy go mijałam. Spojrzał na mnie szybko, a w jego oczach niepewność mieszała się z nadzieją. Odezwał się z mocnym akcentem, jakby dopiero wczoraj wyjechał z Rosji:

– Na pewno wszystko w porządku, Marg... panno Caine?

– Tak, na pewno. – Uśmiechnęłam się najzyczliwiej, jak potrafiłam.

Nawet w czerwonym blasku pochodni zobaczyłam, że zarumienił się z zadowolenia. Czyli w tym świecie nie jesteśmy razem. Przynajmniej jeszcze nie. Ale bierzemy to pod uwagę. Jednak chociaż to było przeurocze, jego nieśmiała nadzieja przypominała mi tylko o rozpaczy, w jakiej pogrążył się mój Paul...

Później się tym zajmę.

Przedostałam się do drabiny i zaczęłam się po niej wspinać, z radością dostrzegając w górze skrawek nocnego nieba. Gwiazdy świeciły jasno. Najwyraźniej w pobliżu nie było zbyt wielu elektrycznych świateł.

Kiedy wyszłam z tunelu, wstrzymałam oddech. Blask księżyca oświetlał bezkresną pustynię, zgrupowanie namiotów – i piramidy wznoszące się majestatycznie na tle nocnego nieba. W oddali widziałam zarys profilu patrzącego przed siebie Sfinksa. Chociaż w moim wymiarze w pobliżu piramid znajdowało się miasto Giza, to tutaj nie zostało chyba jeszcze wybudowane. Jak

okiem sięgnąć, nie było nic poza pagórkami piasku – no, nic poza namiotami, starożytnymi budowlami oraz różnymi łopatami, wiadrami i narzędziami, które rozpoznawałam jako charakterystyczne dla wykopalisk archeologicznych.

Byli egiptologami. Mama i tata zajęli się archeologią. To nie był zwyczajny trup. To była mumia.

Stałam nieruchomo na szczycie drabiny, przepełniona podziwem i zdumieniem, aż usłyszałam szczęk odbezpieczanej strzelby. Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam za sobą Josie i Theo. Uzbrojonych i gotowych do strzału.

Rozdział szósty

W pierwszej chwili nie wiedziałam, co mam robić. Błagać siostrę, żeby do mnie nie strzelała? Uniosłam ręce w geście poddania, tak jak widziałam w telewizji.

Josie i Theo jednocześnie jęknęli i opuścili broń.

– Czyli to ty byłaś pod ziemią? – Josie trzymała strzelbę w jednej ręce, lufą w dół, ale wyraźnie nadal była gotowa do działania. Miała na sobie bryczesy w kolorze khaki i białą lnianą bluzkę, mniej ozdobną od mojej. Włosy zaplotła w długi warkocz sięgający jej prawie do połowy pleców. – Myśleliśmy, że trafił się nam jakiś poszukiwacz przygód.

Nie czułam się jak Lara Croft. Miałabym poważne problemy z wypełnieniem jej koszulki.

– Przepraszam, nie chciałam wszczynać fałszywego alarmu.

– Mogło ci się coś stać. – Theo odłożył broń. Wyraźnie czuł się z nią mniej swobodnie niż Josie. – Co ty tam robiłaś?

– Coś mi się pomieszało. Pogubiłam się. To wszystko. – Strzepnęłam jeszcze trochę piasku ze spódnicy. Miałam pełno piachu w butach, pod bluzką, nawet w obszernej, staroświeckiej bieliźnie. Fizyczne rozdrażnienie dokładało się do wewnętrznego nieszczęścia. – Mogę przeprosić was jutro? Na razie muszę się położyć.

Co było zakamuflowanym sposobem powiedzenia: „Muszę zostać sama, żeby spróbować przeskoczyć do następnego wszechświata”.

Josie oczywiście nie zrozumiała mojej aluzji.

– Możesz rysować w dzień, Marguerite. Wtedy będzie bezpieczniej i możesz kogoś zabrać ze sobą.

Wydawała się bardziej poirytowana niż zaniepokojona, ale jednocześnie taka właśnie była Josie. Nie zrozumcie mnie źle. Moja siostra potrafiła okazywać współczucie i troszczyć się o innych, kiedy tego potrzebowali. Ale oczekiwała od nich, że potrafią sami o siebie zadbać. Ta strzelba – cóż, w jej rękach wyglądała naturalnie.

– Przepraszam – powiedziałam. – To się nie powtórzy.

Na pewno? Czy Zła cofnie się kiedyś i po raz drugi spróbuje odebrać życie tej Marguerite?

Tak. Oczywiście, że to zrobi.

W końcu do mnie dotarło, że nie wystarczy iść śladem Złej i naprawiać

wszystko, co ona popsowała. Musiałam ochronić tamte Marguerity, każdą z nich, której mogły zagrażać intrygi Złej. Nie tylko po to, żeby pokrzyżować plany Triady zmierzające do zniszczenia wszechświatów – chociaż to byłby wystarczający powód – ale także dlatego, że był to mój obowiązek, najświętszy, jaki potrafiłabym sobie wyobrazić.

Moje podróże sprowadziły zagrożenie na wiele moich wersji. Na zawsze zmieniły życie niektórych z nich. Ale Zła planowała masowe morderstwo niezliczonych Marguerit, a moim zadaniem było je ocalić.

Musiałam wchodzić w pułapki przygotowane przez Złą. Stawiać czoło jednemu niebezpieczeństwu za drugim. Ratować jedno życie za drugim. Moja porażka oznaczała śmierć miliardów.

– Daj spokój. – Theo podszedł bliżej. Był ubrany bardziej ekstrawagancko niż inni, których do tej pory widziałam w tym wymiarze. Miał kolorowy fular na szyi, a jego zegarek migotał w świetle księżyca, zdradzając obecność brylancików osadzonych we wskazówkach. Theo pomógł mi wejść na ostatnie szczeble drabiny. – Bądź trochę delikatniejsza, Josephine. Nie widzisz, że Marguerite jest wstrząśnięta? Jest blada jak ściana.

– Muszę się tylko położyć, nic więcej.

– Odprowadzisz ją do namiotu, Theo?

Nawet w ciemności widziałam błysk w oczach Josie, gdy wskazywała namiot, który musiał należeć do mnie. Może uważała, że coś między nami jest. Proszę, nie także i w tym świecie...

A jednak Theo nie zareagował na tę propozycję. Wydawał się tylko skrępowany. To oznaczało, że tutaj także nie jesteśmy parą. Dzięki Bogu.

– Nic mi nie jest. – Ruszyłam przed siebie, nie czekając na obstawę. – Do zobaczenia jutro.

– Tylko jeśli obiecasz, że nie będziesz robić niczego głupiego! – zawołała za mną Josie.

Ton jej głosu się zmienił; żartowała teraz ze mnie.

Nigdy nie lubiłam dowcipkować, ale miałam rolę do odegrania. Obejrzałam się przez ramię i pokazałam język.

– Głupiego, tak? No to jakim cudem właśnie odkryłam mumię?

Josie i Theo zareagowali natychmiast. Uklękli przy otworze i zawołali w głąb korytarza, gdzie pracowali tata i Paul. Ja z ulgą mogłam zostać sama.

Wspaniałość egipskich nocy jest niemal przytłaczająca. Przeszedł mnie dreszcz, gdy znowu popatrzyłam na piramidy na horyzoncie. Ich majestat w pierwszej chwili przyćmił wszystko inne, przynosząc nieoczekiwaną

pociechę. Czasem naprawdę piękny obraz lub rzeźba uspokajały mnie, gdy reszta zawiodła. Sztuka może nas w taki sposób wspierać, jeśli na to pozwolimy. Nocny pejzaż przed moimi oczami był czystym dziełem sztuki.

Ale gdy szłam przed siebie, powoli zaczęłam zauważać więcej szczegółów naszego obozowiska. Mieliśmy co najmniej dziewięć namiotów i ognisko, nad którym ustawiono ruszt do gotowania. Namioty nie były małymi, łatwo stawianymi budkami z nylonu, jakie pamiętałam z nielicznych okazji, gdy Josie namówiła mnie na biwak. Były ogromne, każdy miał rozmiar dużego pokoju, uszyte z grubej białej tkaniny, która poruszała się lekko pod wpływem nocnego wiatru. W ciemności za namiotami leżało kilka włochatych kształtów i nagle zrozumiałam, że są to śpiące wielbłądy.

Wielbłądy? Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu. Myśl o mojej mamie na wielbłądzie – albo o Paulu, zazwyczaj tak poważnym i opanowanym, balansującym na wielkim garbie...

Ale wtedy wyobraziłam sobie, jak spada, i na nowo przypomniałam sobie ten okropny upadek w Uniwersum Londyńskim, który zabił inną moją wersję. Mój uśmiech zbladł. Minie bardzo wiele czasu, zanim znowu będę mogła się śmiać.

Mój namiot okazał się jeszcze bardziej luksusowy w środku niż na zewnątrz. Miał coś w rodzaju prowizorycznej podłogi przykrytej chyba tureckim dywanem. Na drewnianych składanych stolikach leżały moje szkicowniki oświetlone migoczącą lampą. Dodatkową prywatność zapewniały pasy różnobarwnych tkanin, wiszące w rogach i na szwach namiotu. Małe łóżko połowe przykrywała ręcznie robiona narzuta w odcieniach ciemnoniebieskich. Obok niego odwrócony na bok skórzany kufer służył jako szafka z szufladami, a na nim leżały koronkowy szal oraz hełm korkowy.

Szkoda, że nie trafiłam do tego wszechświata wcześniej, gdy mogłabym się tym cieszyć – kiedy podróżowanie pomiędzy wymiarami było niemal zabawą. Teraz mogłam tylko jak najszybciej przeskoczyć dalej, żeby uratować następną Marguerite.

Usiadłam na łóżku i rozpięłam wysoki kołnierzyk bluzki. Piasek wcisnął się nawet do Firebirda, ale kiedy dobrze wytrząsnęłam wisior, mechanizm wydawał się nieuszkodzony. Dzięki Bogu. Chyba bym nie wytrzymała, gdyby znowu się zepsuł w innym wymiarze, ponieważ gdy poprzednio tak się stało, zostałam uwięziona prawie na miesiąc.

Nie mówiąc o tym, że zaszłam w ciążę.

Mój Firebird pozostawał w łączności z Firebirdem Złej, gotów podążyć w jej ślady, kiedy tylko przeskoczy dalej. Dlatego odetchnęłam głęboko, nacisnęłam

przyciski i...

...nic.

Niech to szlag. Kiedy sprawdzałam, czy Firebird działa poprawnie – działał – domyśliłam się, o co może chodzić. Najwyraźniej nie mogłam przeskoczyć do wszechświata, w którym była Zła. Każda Marguerite mogła pomieścić dwie osoby: gospodarza i gościa. Musiałam iść śladem Złej, dlatego nie mogłam się stąd ruszyć, dopóki ona się nie ruszy.

A ona się nie ruszy, dopóki nie wymarzy sobie ponurego końca, jaki mógłby spotkać kolejną Marguerite.

Jaki koszmar szykowała tym razem? Przygoda w grobowcu mumii mogła mnie zabić, ale teraz byłam już pewna, że Złą stać na znacznie gorsze rzeczy.

Poczekaj tylko, aż wydostanę się z tego wszechświata. Zapłacisz mi za to.

Ale jak? Nie mogłam jej przecież w żaden sposób dogonić. Jeden gość w danym ciele oznaczał, że w konkretnym wymiarze mogła się znaleźć jedna dodatkowa Marguerite. Ten pościg mógł trwać całą wieczność.

– Marguerite? Jesteś ubrana? – Tuż za udrapowaną kotarą, która służyła za drzwi namiotu, rozległ się głos mojej matki; miała mocniejszy francuski akcent niż zwykle.

– Jeśli „ubrana” znaczy „nie całkiem goła”, to jestem ubrana.

Z westchnieniem schowałam Firebird pod bluzką i zaczęłam ją zapinać.

Jednak moje palce znieruchomiały, kiedy mama weszła do środka, niosąc swoją latarnię. W odróżnieniu od wszystkich pozostałych nie była ubrana jak klasyczny podróżnik-arystokrata z epoki wiktoriańskiej. Miała na sobie długą, zwiewną i wzorzystą szatę oraz jedwabną szarfę ułożoną w całkiem udany turban. To podobne do mamy – znaleźć własny styl dopiero na pustyni.

– Dobrze się czujesz, kochanie? – Mama przysiadła na brzegu mojego łóżka.
– To nieprawdopodobne, że weszłaś do korytarza w trakcie budowy.

– Wiem, mamo. Przepraszam.

– Wieczorem zachowywałaś się bardzo dziwnie...

Kiedy Zła była tutaj, coś w jej zachowaniu zaniepokoiło mamę. Nie na tyle, żeby sobie uświadomiła, jak bardzo coś jest nie tak, ale wystarczająco, aby zwrócić jej uwagę. To oznaczało, że teraz dokładnie mnie obserwuje. To nie musiało się okazać problemem, ale stanowiło jeszcze jeden czynnik, który powinnam uwzględnić w tym wszechświecie.

– Muszę się przespać, to wszystko.

– Porządny wypoczynek nikomu jeszcze nie zaszkodził – zgodziła się mama.

Objęła mnie, a ten gest stanowił zachętę, żebym oparła głowę na jej ramieniu.

Może powinnam być za dorosła, żeby czerpać taką pociechę z przytulenia przez mamę, ale po upadku, gdy prawie się zabiłam, nie wstydziłam się tego, że potrzebuję czułości. Jej palce rozczesywały moje pukle, które wymknęły się z upiętej fryzury. Robiła tak, kiedy byłam mała i przyśnił mi się zły sen, a ona chciała mnie uśpić na nowo.

– Muszę powiedzieć, że pan Markov bardzo szybko pospieszył na dół, żeby cię ratować. Wątpię, aby ktokolwiek mógł go powstrzymać.

Mama w tym wszechświecie także kibicowała Paulowi.

– Nie do wiary, że puścił tatę przodem.

Mama roześmiała się cicho.

– Udawanie kokietki nie pasuje do ciebie, Marguerite. Podejmiesz jakąś decyzję w jego sprawie, prawda?

Pomyślałam, że pewnie tak. Kiedy przeskoczę dalej z tego świata – nazwijmy go Uniwersum Egipskim – ta Marguerite będzie pamiętała moje uczucia do Paula. Będzie pamiętała, że pomagał jej w jednym świecie za drugim, że za każdym razem zakochiwaliśmy się w sobie. Ale czy zapamięta także mrok kryjący się we wnętrzu Paula? Koszmarne wizje innych światów, których żadne z nas nie zapomni?

Na głos powiedziałam tylko:

– Chyba chcesz, żebym była pewna, mamo?

– Oczywiście. Ale znasz tych Rosjan. Bardzo głęboko wszystko przeżywają.

Roześmiałam się znowu.

– Jakbyś sama nie była Rosjanką.

– Oczywiście, ale kilka pokoleń temu. Na butach pana Markova ledwie zdążyły stajać śniegi Sankt Petersburga.

Czyli w tym wymiarze był mieszkańcem Rosji, tak jak sugerował jego akcent. Mój akcent był dziwny – nie do końca brytyjski czy amerykański, coś pośredniego, podobnie jak Josie. Prawdopodobnie był to efekt życia spędzanego na podróżach do Egiptu i muzeów na całym świecie.

Mama mówiła dalej:

– Jeśli nadworny egiptolog cara nie jest dla ciebie dość dobry, to kto będzie?

Drażniła się tylko ze mną, ale to mi przypomniało o Uniwersum Rosyjskim, gdzie moja matka była żoną cara, a ja owocem potajemnego romansu między nią a moim ojcem, gubernierem carewicza. Mama zawsze chciała mieć mnóstwo dzieci, ale ciąża była dla niej niebezpieczna i właśnie dlatego w naszym wszechświecie ona i mój tata porzucili na Josie i mnie. W Uniwersum Rosyjskim zmarła, wydając na świat czwarte dziecko. Okrutny car Aleksander

praktycznie rozmnażał ją do śmierci.

Przytuliłam ją mocno. Pachniała różami.

– Kocham cię, mamó.

Mama wyraźnie nie miała pojęcia, co mogło spowodować ten wybuch uczuć, ale była zbyt doświadczona, żeby o to pytać.

– Ja też cię kocham.

Kiedy wyszła, spróbowałam jeszcze raz przeskoczyć, ale bezskutecznie. Rozebrałam się, co zajęło mi dłuższą chwilę. Nie jest łatwo poradzić sobie z koronkowymi kołnierzykami, pończochami i sznurowanymi wysokimi butami. Włożyłam na siebie luźną, cienką koszulę nocną, którą znalazłam w jednej z szuflad kufra, i postanowiłam nie zasypiać tak długo, jak to możliwe, i próbować przeskakiwać co jakieś dziesięć minut. Ta Marguerite została ocalona przed pogrzebaniem żywcem. Kto wie, z czym będzie musiała się zmierzyć następną?

Byłam jednak zmęczona. Okropnie zmęczona, fizycznie i psychicznie. Kiedy tylko przykryłam się kołdrą i oparłam głowę na poduszce, zapadłam w sen.

Koszmary dręczyły mnie przez całą noc, ale ani razu nie przyśnił mi się straszliwy upadek w Uniwersum Londyńskim, spadanie na pewną śmierć. Znajdowałam się z powrotem w grobowcu, gdzie zmumifikowane ciała wypadały zza drzwi i z korytarzy, całymi tuzinami.

W tym śnie wiedziałam, że to wszystko są moje ciała.

Kiedy obudziłam się rano, spróbowałam znowu przeskoczyć. Nadal nie było drogi ucieczki. Najwyraźniej Zła miała tym razem trudności z wymyśleniem czegoś śmiertelnie niebezpiecznego. Ze względu na tamtą Marguerite miałam nadzieję, że mieszka w miejscu tak bezpiecznym i pilnowanym, że nawet Zła nie potrafi wymyślić, co mogłaby jej zrobić.

Chociaż to by znaczyło, że zostanę w Uniwersum Egipskim jeszcze przez jakiś czas.

Cóż, bywałam w gorszych wymiarach.

Począwszy od Renesansu, wielu malarzy używało barwnika nazywanego brązem mumiovym. Miał odcień zbliżony do umbry – naturalny, a jednocześnie głęboki – i bywał lekko przezroczysty, dzięki czemu doskonale pozwalał oddawać lśniąca powierzchnie. Kolor pozostawał popularny aż do połowy dziewiętnastego wieku, kiedy to prerafaelici najpierw używali go bez opamiętania... A potem dowiedzieli się, że ten odcień tak się nazywa, ponieważ barwnik jest robiony z prawdziwych sproszkowanych mumii egipskich.

Podobno niektórzy malarze zakopali tuby z farbą, gdy dowiedzieli się prawdy. Nawet to nie zniechęciło części ludzi i produkcja tradycyjnego brązu mumioowego ustała dopiero wtedy, gdy skończyły się tanie mumie.

Myślałam o tej historii, przeglądając słoiczki i tubki z farbą w moim pudełku z przyborami malarskimi. Błagam, niech się nie okaże, że w tym świecie sama robię sobie farby. Błagam, niech nie będę kimś, kto zmieliłby martwe ciało, żeby stworzyć obraz. Coś takiego zrobiłaby Zła, ale nie ja.

Gdybym tylko mogła się do czegoś przydać w tym wymiarze... Ale nie miałam wiedzy naukowej potrzebnej do zbudowania stabilizatora. Zapewne będzie to jeszcze trudniejsze tutaj niż w domu, ponieważ technologia jest na mniej zaawansowanym poziomie. Ocaliłam Marguerite z tego świata, ale teraz nie mogłam robić nic poza czekaniem na okazję, by wyruszyć w dalszą podróż.

W końcu przyjęłam do wiadomości, że muszę zająć się swoim życiem tutaj, i założyłam ubranie niemal takie samo jak poprzedniego dnia, tylko mniej zapiaszczone. Nie potrafiłam odtworzyć skomplikowanej fryzury Marguerite z tego świata, ale wykorzystałam koronkowy szal, żeby związać włosy w koński ogon. Miałam nadzieję, że to będzie wyglądać stosownie. Pod bluzką wisiał Firebird, który chciałam wypróbować w ciągu dnia. Kiedy założyłam hełm korkowy, poczułam się gotowa na przygodę. Wyszłam na zewnątrz, gotowa na widok ekspedycji archeologicznej w całej krasie.

Zamiast tego zobaczyłam moich rodziców, Josie, Theo i Paula, siedzących wokół nadal palącego się ogniska. Na ruszcie stał metalowy dzbanek do kawy, a mama kroїła kromki chleba z bochenka zawiniętego w coś, co przypominało woskowany papier. Nadal była ubrana we wzorzystą szatę, a tata czytał gazetę po niemiecku. Paul tylko na moment spojrzał na mnie, ale zaraz nieśmiało odwrócił wzrok i wziął chleb od mamy.

– To do ciebie niepodobne, żeby się spóźnić na śniadanie – oznajmił Theo z uśmiechem. Miał na szyi kolejny pstrokaty fular, a na nosie ciemne okulary w zielonkawym odcieniu. – Czyżby mumia nie pozwalała ci zasnąć przez całą noc?

– Nie. – Z jakichś powodów podejrzewałam, że będzie czerpał dziwną przyjemność z moich koszmarów, więc nie zdradziłam nic więcej. – Przepraszam, jeżeli zasnęłam. Nie chciałam, żeby mnie coś ominęło.

To była prawda. Skoro ugrzęzłam tutaj, mogłam równie dobrze rozejrzeć się trochę, a eksplorowanie starożytnych egipskich grobowców będzie fascynujące, jeśli tylko ze ścian nie zaczną wyskakiwać kolejne mumie.

Moi rodzice wymienili spojrzenia.

– Pamiętasz, że dzisiaj jest Dzień Pański, prawda, Marguerite? – spytał mój ojciec.

Najwyraźniej mama i tata musieli się okazać religijni przynajmniej w jednym wszechświecie.

– Och. Oczywiście. Zapomniałam.

– Dobrze, że nosisz ten hełm korkowy – powiedziała Josie. Zapaliła papierosa, co mnie zaskoczyło. Prawdopodobnie w tym świecie nikt jeszcze nie wie, że palenie powoduje raka. – Inaczej obawiałabym się, że cierpisz na udar słoneczny.

– Marguerite nie może się po prostu doczekać, aż będzie mogła wrócić do roboty.

Mocny akcent Paula, tak bardzo przypominający porucznika Markova, sprawiał, że serce mi tajało. Popatrzyłam na niego akurat w chwili, gdy podał mi kromkę chleba na niebieskim cynowym talerzu i kubek kawy. Przygotował dla mnie posiłek, zanim sam coś zjadł. Uśmiechnęłam się do niego tak ciepło, jak tylko potrafiłam, a on pochylił głowę. Ta chwila powinna być uroczą, ale zaczęłam myśleć o Paulu, którego widziałam u nas w domu, z głową pochyloną, jakby wstyd i rozpacz, jakie odczuwał – pozostałości rozszczepienia – całkiem dosłownie przygniatały go do ziemi i utrudniały mu ruchy.

– Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? – Tata popatrzył na mnie ponad oprawkami okularów. – Jesteś bardzo blada.

– Nic mi nie jest. – Spróbowałam się uśmiechnąć, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Czas skoncentrować się na tym, co w tej chwili najważniejsze w przypadku Paula: nadal był Paulem z tego świata, co najmniej osiem godzin po tym, jak tu przeskoczyłam. Mój Paul pozostał w Uniwersum Londyńskim. Najwyraźniej odczuwał potrzebę, żeby zaczekać na odnalezienie ciała, zanim podąży za mną, ale to mogło trochę potrwać. Przeszukiwanie rzeki to żmudna i długotrwała praca bez gwarancji powodzenia.

Wiedziałam na ten temat aż za dużo. Kiedy powiedziano nam, że mój ojciec wpadł z samochodem do rzeki i zginął, spędziłam dużo czasu, szukając informacji o podobnych wypadkach – przede wszystkim wtedy, gdy już byłam pewna, że jest cały i zdrowy. Jego powrót nie wymazał traumy, jaką przeżywaliśmy, gdy myśleliśmy, że jest martwy. Nie wiem dlaczego, ale nie wymazał. Przez długie tygodnie miałam koszmary, w których okazywało się, że trafiłam do niewłaściwego wszechświata, że ojciec, którego przywiozłam, nie

jest moim ojcem – jakby mózg za wszelką cenę chciał mnie przekonać, że tata jednak nie żyje. Sprawdzenie, co mogłoby się z nim stać, gdyby naprawdę wpadł do rzeki... cóż, to mi w jakiś sposób pomagało. Ale teraz oznaczało, że moja wiedza o tym, jak wygląda ciało napęczniałe od wody, była zdecydowanie zbyt świeża.

Proszę, niech Paul nie musi tego oglądać – myślałam. – *Proszę.*

– Jeśli Marguerite nie ma ochoty odpoczywać, nie widzę żadnego powodu, dla którego nie miałyby się czymś zająć – powiedziała moja matka. – Potrzebujemy robotników, żeby prowadzić wykopaliska, ale ona może szkicować bez nich. Powinna nawet częściej mieć trochę czasu aby bez żadnych przeszkód rysować w grobowcu.

– A im szybciej tam zejdziesz, tym lepiej. – Tata uniósł kawę, jakby wznosił toast. – Nie chcielibyśmy, żeby ten mały wypadek z ostatniej nocy cię nastraszył.

Uniosłam kubek w jego stronę, napiłam się, a potem stłumiłam dreszcz, który mnie przeszedł. Boże, ależ ta kawa była mocna. Piekielnie mocna. Miałam wrażenie, że jeśli wypiję cały kubek, będę mogła przejrzeć czas na wylot. Najwyraźniej, jeśli chciało się pić kawę przed wynalezieniem filtrów, trzeba było mieć do tego prawdziwe zacięcie.

– Nie powinna sama schodzić do grobowca – zauważył Paul. – Chętnie z nią pójde.

Theo spochmurniał, jakby zauważył tę okazję o sekundę za późno. Może powinno być mi przykro ze względu na Theo z tego świata, ale uznałam, że sam się o siebie zatroszczy.

– Będzie mi bardzo miło – odpowiedziałam, a Paul się uśmiechnął.

Dobrze było znowu widzieć jego uśmiech.

Dwadzieścia minut później schodziłam za nim do innego grobowca – po kolejnej drabinie, tym razem prowadzącej w znacznie szerszy korytarz, w którym można było stać wyprostowanym. Latarnia trzymana przez Paula oświetlała długie przejście, które wydawało się ciągnąć w nieskończoność. Gdy uniósł ją wyżej, światło padło na hieroglify i freski na ścianach. Przedemną stał cały egipski panteon odmalowany w kolorach ochry, kobaltu i złota: Horus z zakrzywionym dziobem, Izyda z ramionami rozłożonymi jak skrzydła, Anubis z czarną głową szakala, czekający, żeby zabrać zmarłych do świata podziemnego.

– To niesamowite – wyszeptałam.

Wyciągnęłam palce do symboli na ścianach, ale wiedziałam, że nie należy ich

dotykać.

– Niemal idealnie zachowane. – W głosie Paula dźwięczała duma. – Z pomocą twoich szkiców będziemy mogli to przetłumaczyć. Ludzie, którzy zmarli trzy tysiące lat temu, znowu przemówią.

Otworzyłam szkicownik, którego jeszcze nie miałam czasu przejrzeć. W tym świecie rysowałam równie dużo, co malowałam, a może nawet więcej – niekiedy kolorowymi kredkami, niekiedy ołówkiem – a moje prace zawierały znacznie więcej czasochłonnych szczegółów niż te, które tworzyłam w domu.

– Jako jedyna z nas nie studiowałaś egiptologii – dodał Paul. – Przynajmniej nie formalnie. Ale to ty możesz dokonać największych odkryć.

Właśnie wtedy zrozumiałam, że tata nie żartował, kiedy mówił, że trudnię się „rodzinnym fachem”. Tutaj ja także byłam egiptolożką. Nie zabrałam się z nimi tylko na wycieczkę. Pracowałam razem z mamą i tatą. Byłam częścią zespołu. To się nigdy wcześniej nie zdarzyło.

Zaraz, to nieprawda. Tak samo było w przypadku Złej – tak samo jak inni była częścią planów Centrali. Ale nie powinna być jedyna, ponieważ to wydawałoby się niewiarygodne.

Widzicie, rodzice nigdy nie dawali mi odczuć, że coś jest nie tak, ponieważ w odróżnieniu od Josie nie odziedziczyłam ich genów naukowych geniuszy. Zawsze zachęcali mnie do zajmowania się sztuką i nigdy nawet nie sugerowali, że ten rodzaj kreatywności jest mniej ważny od tego, którym sami zostali obdarzeni. Mimo wszystko jednak to oni zdefiniowali na nowo prawa fizyki. A ja miałam na koncie dokładnie jeden wernisaż. Trudno nie czuć się kimś nieważnym, kiedy twoimi rodzicami są praktycznie Maria Skłodowska i Piotr Curie. Co musiałabym namalować, żeby dorównało Firebirdowi? Może ewentualnie freski w Kaplicy Sykstyńskiej.

Tutaj rodzice potrzebowali mojego talentu plastycznego. Brałam udział w ich odkryciach i triumfach. Ta wiedza wypełniła dziurę w moim sercu, której istnienia aż do tej chwili nie byłam świadoma.

Może wam się wydawać, że rola podróżnika doskonałego, przeskakującego pomiędzy wymiarami, będzie dawać podobne poczucie satysfakcji. Różnica polega na tym, że ktoś mi to umożliwił. Jakkolwiek wspaniały byłby to prezent, jego ciężar pozostawał zawsze taki sam. Podobnie jak niebezpieczeństwo. Podobnie jak błędy, które popełniłam. Ale to – te szkice staroegipskich hieroglifów – było czyste. Całkowicie moje własne, zrodzone z ukochanej przeze mnie sztuki.

W porównaniu do okropności, jakie działy się właśnie teraz

w multiwszechświecie, to było niewielką pociechą. Ale może właśnie tym bardziej jej potrzebowałam. Byłam wdzięczna losowi za nawet tę krótką chwilę zachwytu, moment, który mogłabym niemal nazwać szczęśliwym.

Przycisnęłam szkicownik do piersi, a Paul roześmiał się cicho.

– Wydaje się, że nie możesz się doczekać... aż zaczniesz pracę.

– Nie mogę.

Niezależnie od tego, jak długo byłam uwięziona w tym wszechświecie, zamierzałam robić co w mojej mocy.

Paul zawahał się, zanim powiedział z tym mocnym rosyjskim akcentem:

– Zawsze chciałem umieć rysować i malować tak jak ty.

– Naprawdę?

Skinął głową, nie patrząc bezpośrednio na mnie. Czasem to naprawdę urocze, jak taki wielki, silny mężczyzna może być tak nieśmiały.

– Znajdujemy tyle pozostałości zaginionych cywilizacji. Roztrzaskany posąg. Zakopaną amforę. Widzimy odłamki i fragmenty, marne okruchy tego, co kiedyś było wspaniałą całością. Kiedy o tym myślę, chciałbym móc to na nowo poskładać. Nie takie, jak było wcześniej, bo to oczywiście niemożliwe. Ale na tyle, żeby to zobaczyć, naprawdę zobaczyć takim, jakie kiedyś było. Sztuka, którą tworzysz, to najbliższe, co nam pozostaje.

Nie takie, jak było wcześniej. Przypomniałam sobie gorączkową podróż po wymiarach, gdy rozpaczliwie starałam się na nowo poskładać w całość kawałki duszy Paula. Czy może jeszcze być taki jak dawniej? Czy też będę mogła go zobaczyć tylko tak, jak ten Paul ogląda starożytny Egipt – na obrazach, we wspomnieniach i w snach?

Nie chciałam wierzyć, że dusza mojego Paula przepadła. Nie był zmieniony na zawsze. Nie stał się ruiną jak te, które nas otaczały. Mógł sobie z tym poradzić.

Oczy Paula otworzyły się nagle szerzej, cofnął się o krok i skrzywił, jakby coś go zabolalo. Oparł się ciężko o ścianę, nie zwracając w ogóle uwagi na freski.

– Paul! – Podeszłam do niego zaniepokojona. – Czy...

Dotknęłam jego piersi i pod koszulą wyczułam charakterystyczny zarys Firebirda. To był mój Paul. W końcu się tutaj znalazł.

Chciałam go przytulić, ale wyciągnął ręce, jakby próbował złapać równowagę. Nadal był zdezorientowany.

– Gdzie my jesteśmy?

– W Egipcie. To starożytny grobowiec, który razem badamy. W porównaniu z innymi wymiarami ten jest naprawdę niesamowity, no nie? – Próbowałam

sprawić, żeby się uśmiechnął, ponieważ gdyby mi się to udało, to znaczyło, że nie widział ciała Marguerite z Uniwersum Londyńskiego. Ale twarz Paula była blada, a jego szare oczy pełne cierpienia. Wiedziałam, co było ostatnią rzeczą, jaką zobaczył w tamtym świecie. – Tak mi przykro.

– Mogłaś zginąć. – Jego ciało nagle stężało. Jego oczy otworzyły się szerzej, a głos zniżył niemal do warknięcia, kiedy dodał: – Może zginęłaś.

– Paul?

Nie odpowiedział. Odepchnął mnie tak gwałtownie, że omal nie uderzyłam o przeciwległą ścianę. Coś w jego spojrzeniu przypominało mi zimnego jak kamień Paula z Uniwersum Mafii, który bez wahania zaczął strzelać do Theo.

– Udowodnij, kim jesteś.

– Co takiego?

– Możesz być nią – powiedział Paul. Jego dłonie tak mocno ścisnęły moje ramiona, że nie miałam szansy się uwolnić. – Mogłaś ją zabić i czekać tutaj, żeby zabić także mnie. Dlatego udowodnij mi to. Udowodnij, że jesteś moją Marguerite, albo przysięgam...

Nie dokończył tego zdania. Nie musiał. Dopiero co widział przed sobą martwą Marguerite. Teraz był gotów zabić inną gołymi rękami.

Mój Paul nigdy, przenigdy by tego nie zrobił... Dawniej.

Ale rozszczępienie zmieniło go, pozostawiło pęknięcia i paranoję tam, gdzie dawniej była miłość. Ze zgrozą zdałam sobie sprawę, że mogę już go w ogóle nie znać.

A jeśli on mnie nie pozna... Czy mógłby mnie skrzywdzić?

O Boże. Mógłby.

Rozdział siódmy

– Paul... – Nie mogłam mówić. Przez chwilę nie mogłam prawie oddychać.

Jego spojrzenie świdrowało mnie jak lodem, kiedy zrobił krok bliżej, gotowy na najgorsze.

Przypomniałam sobie porucznika Markova, który zastrzelił zdradzieckiego gwardzistę zamierzającego zamordować wielką księżną, a także syna bossa mafii rosyjskiej, który z zimną krwią przestrzelił kolana Theo. Zdolność do użycia przemocy, w dobrej lub złej sprawie, tkwiła w każdym Paulu – także w tym, którego kochałam.

Mój Paul zapanował nad tym na długo przed rozszczepieniem. Zanim w ogóle go poznałam. Walczył z mrokiem swojej przeszłości i stał się dobrym, silnym człowiekiem. Ale w jego duszy pozostały pęknięcia i dobry mężczyzna, którego kochałam, w każdej chwili mógł się rozsypać. Stać się kimś innym, kimś niebezpiecznym.

Dlatego powinnam się bronić.

– Zgoda – zaczęłam drżącym głosem. – Zostałam po raz pierwszy uwięziona we własnym ciele, ponieważ Zła...

– Zła? – Paul zmrużył oczy, jakby analizował podejrzaną obcą osobę.

– A, właśnie! Tak ją nazywam, tę z Centrali, bo... no, przede wszystkim tak jest łatwiej i nie wydaje mi się, żeby zasługiwała na nazywanie jej Marguerite. Ale ona wie o Włamywaczu, prawda? W takim razie... w takim razie założę się, że nie wie o tych okropnie nieudanych feriach wiosennych, kiedy pojechaliście z Theo do Vegas...

– Stop. – Paul odetchnął głęboko i znowu zaczął przypominać siebie. Mdląca zgroza, która mnie ogarnęła, osłabła. To jasne, że nie muszę się bać Paula. Rozszczepiony czy nie, pozostawał sobą. Na pewno. – Wiedziałem, że to ty, kiedy tylko powiedziałaś, że nazwałaś tamtą Złą.

Nie chciałam zadawać tego pytania, ale musiałam.

– Co się stało w Uniwersum Londyńskim?

– A jak myślisz, co się mogło stać? Muszę to mówić na głos?

Pokiwałam głową jak hipokrytka, którą byłam, domagając się od Paula, żeby mówił, podczas gdy mnie zabrakło odwagi, by zadać pytanie.

– Nie żyje – powiedział ponuro Paul. – Wiedziałem, jak umiera.

Ta świadomość uderzyła we mnie, niemal tak twarda i lodowata jak wody

Tamizy, w które uderzyła tamta Marguerite. Wiele bym dała, żeby zostać choćby o sekundę dłużej, oszczędzić jej świadomości upadku aż do ostatniej chwili, gdy mogłaby nawet nie mieć czasu, żeby zrozumieć, co się dzieje.

Nie mogłaś wymierzyć tak precyzyjnie – powiedziałam sobie. – *Jej by to nie uratowało, a ciebie mogło zabić.* To była prawda, ale nie sprawiała, że czułam się lepiej.

Paul i ja milczeliśmy jeszcze przez chwilę. Otaczający nas starożytni bogowie patrzyli na nas identycznymi łukowatymi oczami, a korytarz zaczął naprawdę wyglądać jak grobowiec, którego był częścią. *Czy myśleliście, że śmierć to gra, w której można oszukiwać?* – wydawały się pytać namalowane postaci. – *Ludzie tutaj pochowani też tak myśleli. Teraz wy wykopujecie ich kości.*

– Czekałem, aż znajdą ciało. – Paul wpatrywał się w ścianę za moimi plecami, nie patrząc na mnie, jakbym była tylko kolejnym hieroglifem... Nie. Nie o to chodziło. Oczami duszy widział martwą Marguerite tak wyraźnie, że nie potrafił się skoncentrować na prawdziwej mnie, tu i teraz. – Wiedziałem, że jej widok nic mi nie powie. Nawet gdybyś to była ty i gdybyś miała na szyi Firebirda w momencie uderzenia w wodę, z całą pewnością roztrzaskałby się albo zostałby porwany przez nurt rzeki. Ale mimo to myślałem, że muszę ją zobaczyć na własne oczy. – Zamknął powieki. – Żałuję, że to zrobiłem.

Mówi się, że uderzenie w wodę z takiej wysokości jest jak uderzenie o beton. Moja wersja z Uniwersum Londyńskiego mogła być w kawałkach. Zrobiło mi się mdło. Musiałam przełknąć ślinę.

– Czy... czy ciocia Susanna musiała...

– Zidentyfikowałem ciało za nią.

– Dziękuję. – Nie wydawało mi się, żeby ciocia Susanna była w stanie znieść ten widok. W tym momencie dotarło do mnie znaczenie tego, co Paul właśnie powiedział. – Zaraz, ciocia Susanna cię znała? Na tyle, żebyś mógł... no, zrobić to?

Paul skinął głową.

– Kiedy opuściłaś Uniwersum Londyńskie, tamta twoja wersja pamiętała, kim byłaś. Wszystko, co robiła przez ten czas. Dlatego, jak się okazuje, odszukała Paula Markova w Cambridge, ponieważ miała nadzieję, że on będzie umiał coś wyjaśnić. Potem zaczęli... spędzać czas razem.

Poczułam, że serce znowu mi pęka na kawałki. Jeszcze jeden świat, w którym Paul i ja mogliśmy być razem, być może na zawsze. Marguerite z Uniwersum Londyńskiego miała wreszcie szansę na szczęście w życiu i wszystko zakończyło się tym tragicznym upadkiem.

– Ciocia Susanna opowiedziała mi trochę o tym, kiedy czekaliśmy, aż... kiedy czekaliśmy – mówił dalej Paul. – Resztę sam sobie dopowiedziałem.

– Widzisz? Naprawdę łączy nas przeznaczenie, ponieważ jeśli istnieje jakiś świat, w którym nie powinniśmy mieć żadnej szansy, to właśnie tamten.

Czułam się płytka, mówiąc w takim momencie o moim życiu uczuciowym, ale nie robiłam tego dla siebie, tylko dla Paula. Potrzebował czegoś, co dałoby mu oparcie. Inaczej poczucie winy i rozpacz, które czuł w tamtych wszechświatach, będą go ciągnąć na dno. Pęknięcia pozostałe w nim po rozszczepieniu duszy mogą się pogłębiać, aż wreszcie naprawdę się rozpadnie.

Moja próba odwrócenia jego uwagi przynajmniej w części się powiodła. Paul odetchnął głęboko i wyprostował się.

– Mówiłaś coś o Egipcie?

Rozłożyłam ręce, żeby wskazać hieroglify.

– Nie, tak właściwie to jesteśmy w Wisconsin.

Prawie się uśmiechnął.

– Egipt. Mam tutaj mocniejszy akcent...

– Jesteś nadwornym carskim egiptologiem i przyjechałeś na wyprawę archeologiczną z moimi rodzicami. Mamy takie wielkie namioty, obrzydliwie mocną kawę i prawdziwe żywe wielbłądy. Mama nosi nawet turban.

Zgroza w oczach Paula sprawiła, że po raz pierwszy od dawna miałam ochotę się roześmiać.

– Czy musimy jeździć na wielbłądach?

– Nie mam pojęcia. Ten temat jeszcze nie wypłynął.

– Oby nie. – Miałam nadzieję, że najgorsze już minęło, ale Paul znowu stęzał.

– Zaraz. Tamta twoja wersja... Zła... przeskoczyła tutaj, żeby cię zabić? Tak jak tę poprzednią Marguerite?

– Ona zatrzaskuje drzwi, odcina mnie od coraz większej liczby wszechświatów. – Podstępny plan stał się dla mnie jaśniejszy, kiedy miałam całą noc na przemyślenia. – Triad stara się uniemożliwić mi uratowanie właściwych wszechświatów. Nie mogę ocalić wszechświata, do którego nie mam wstępu. Nie mam wstępu do wszechświata, w którym jestem martwa. Dlatego zamierzają zabić wszystkie te Marguerity, jedną po drugiej, chyba że będę przeskakiwała w ślad za Złą i kierowała sprawy na właściwy tor. Muszę iść za nią, Paul. Muszę uratować inne Marguerity. Nie tylko dlatego, że dzięki temu będę miała dostęp do tych wymiarów i szansę, aby je uratować, ale... nie mogę tak po prostu pozwolić, żeby inne wersje mnie zostały zamordowane, jeśli mam możliwość

temu zapobiec.

Widziałam, że Paul chciał się sprzeciwić. Bez wątpienia uważał, że mój plan ratowania innych Marguerit jest zbyt ryzykowny. Szczerze mówiąc, zgadzałam się z nim, ten plan był zbyt ryzykowny. Ale właśnie dlatego musiałam to zrobić. Możliwe, że Paul wyczuł moją determinację, ponieważ nie próbował się kłócić.

– Co się stało w tym wymiarze? – zapytał tylko. – Jak próbowała cię zamordować?

– Próbowała pogrzebać mnie żywcem w zapadniętym korytarzu. Jedno z tych przejść nie było stabilne. Wyszłam z tego cała i zdrowa, jeśli pominąć ten kawałek, kiedy wpadła na mnie prawdziwa starożytna mumia. To było o wiele mniej zabawne niż w *Poszukiwaczach zaginionej arki*.

Paul zmarszczył brwi.

– To nie aż tak śmiertelnie niebezpieczne. Jak widać. Ale...

Wyjaśniłam pospiesznie, dlaczego w przyszłości metody Złej nie będą tak bezpośrednio zagrażać mojemu życiu, i początkowo Paul pokiwał głową, zgadzając się ze mną. Jednak jego spojrzenie stało się bardziej odległe, jakby zagubione. Pogładził krótką brodę gestem, który wydawał się naturalny, niemal wyćwiczony, i powiedział z mocnym rosyjskim akcentem:

– Przepraszam, ale na chwilę zapomniałem. Kim jest Zła, panno Caine?

Cholera. Świadomość Paula z tego świata zaczęła zyskiwać przewagę. Podeszłam bliżej, co sprawiło, że w jego oczach pojawiła się nadzieja, dopóki nie sięgnęłam pod jego koszulę, żeby wziąć Firebirda i ustawić przypomnienie.

Paul cofnął się chwiejnie i zaklął półgłosem po rosyjsku – chociaż znowu był moim Pauliem.

– Zaczekaj, muszę ustawić częstsze przypomnienia.

– Mógłbyś zrobić trochę Włamywacza. – Dopiero kiedy to powiedziałam, uświadomiłam sobie, że to mało prawdopodobne. – Pewnie nie znajdziemy odpowiednich składników tutaj, na pustyni.

– Pewnie nie. Potem to sprawdzę. Na razie chcę na wszelki wypadek ustawić przypomnienia.

Paul zaczął manipulować ustawieniami, a jego wielkie dłonie z zadziwiającą zręcznością radziły sobie z małym mechanizmem. Zamiast się odsunąć, stałam tuż koło niego, żeby nie przerywać tej wątlej nici porozumienia, jaka pojawiła się między nami.

Oczywiście właśnie w tym momencie usłyszałam Theo wołającego:

– Hej, jesteście tam?

– Hej, Theo! – zawołałam w odpowiedzi.

Paul cofnął się i schował Firebirda pod koszulę akurat w porę, zanim Theo się pojawił.

Uśmiech Theo z jakiegoś powodu wydawał się bardziej diaboliczny, kiedy podkreślał go ten wąsik. Mógłby zagrać bawidamka w jakimś niemym filmie.

– Jak idzie rysowanie, Marguerite?

– Och, po prostu... – Chciałam powiedzieć, że świetnie, ale szkicownik miałam zamknięty, a Theo nie był głupi. – Jeszcze nie zaczęłam. Czuję się trochę niepewnie w tych korytarzach po tym, co się stało w nocy.

– Nic dziwnego. – Theo podszedł bliżej i położył mi rękę na ramieniu, co wyraźnie świadczyło o tym, że stara się ze mną flirtować. – Kiedy następnym razem będziemy w Kairze, przysięgam, że moją misją będzie sprawić, żebyś zapomniała o swoich zmartwieniach. Może wybralibyśmy się do kinematografu?

O Boże, nawet filmy były tutaj nowością. Byłoby to zabawne, gdyby Paul nie patrzył na nas ponuro i z dezaprobatą. Cofnęłam się poza zasięg Theo i przycisnęłam szkicownik do piersi.

– Zwykle rysowanie wystarcza, żebym zapomniała o wszystkim. I właśnie dlatego powinnam zaczynać.

To nie zniechęciło Theo, który tylko wzruszył ramionami.

– Daj mi znać, co o tym myślisz, kiedy następnym razem będziemy w Kairze.

– Jasne. Na pewno. – To miało zabrzmieć wymijająco, ale Theo znowu się uśmiechnął.

Kiedy tylko zniknął, Paul powiedział:

– Tutaj jesteś z nim.

– Nie, wcale nie! – Zauważyłabym jakieś oznaki w nocy albo rano. – On tylko flirtuje albo po prostu zachowuje się jak zwykle Theo.

– Może jednak łączy cię z kimś przeznaczenie. – Paul odwrócił się, aby wyjść w ślad za Theo. – Ale nie ze mną.

– Dlaczego tak się zachowujesz? – Miałam ochotę nim potrząsnąć. – Dlaczego jesteś taki... taki zazdrosny, taki wściekły... skoro wiesz, że ja...

Paul obrócił się na pięcie. Jego złość wróciła, ale połączona ze smutkiem, który był jeszcze bardziej przerażający.

– Nie jestem wściekły. Nie jestem zazdrosny. Czuję ulgę. Nie powinnaś być do mnie uwiązana, Marguerite. Z Theo będzie ci lepiej.

– Przepraszam, ale nie możesz mi zalecić, kogo mam pokochać, jakbyś był lekarzem przepisującym tabletki.

– Nie rozumiesz? – Podniósł głos prawie do krzyku, tak że odbijał się echem od kamiennych ścian. – Widzę Theo przy tobie i pamiętam, jak do niego

strzelałem. Widzę go przy tobie i mam ochotę potrząsnąć tobą, aż rozpadniesz się na kawałki. To brutalne... coś, w co próbował mnie zmienić mój ojciec... Myślałem, że o tym zapomniałem. Może tak było. Ale rozszczepienie pozwoliło się temu uwolnić. Nie jestem już dla ciebie dobrym partnerem, Marguerite. Nigdy już nie będę.

– Minęło dopiero kilka dni. Skąd możesz to wiedzieć? – Współczułam Paulowi z powodu tego, przez co przechodził, ale musiał powstrzymać ten swój defetyzm. – Paul, nic mi nie zrobiłeś. Nie mógłbyś mnie skrzywdzić.

– Nie wiesz tego. I ja także tego nie wiem. – Paul uniósł rękę, kiedy zaczęłam protestować. Podmuch powietrza poruszył kołnierzykiem jego białej koszuli i potargał rudawe włosy. – Nie wiesz, jakie to uczucie zostać rozszczepionym. Nie wiesz, jak to jest, wiedzieć, że... zostało się okradzionym z samego siebie.

Nie znalazłam odpowiedzi. Nie zastanawiałam się nad tym wcześniej. Ogrom tego naruszenia prywatności – jego intymność i brutalność – sprawiły, że się wzdrygnęłam.

– Teraz jesteś znowu cały. Wiem, że to było straszne, ale będzie lepiej.

– To nie jest skaleczenie, które można zalepić plasterkiem. To coś znacznie głębszego. – Paul milczał przez kilka sekund, wyraźnie szukając z trudem potrzebnych słów. – Moje myśli nie układają się tak, jak powinny. Moje uczucia mają nade mną zbyt dużą władzę. Odkąd tylko pamiętam, walczyłem ze sobą, aby stać się innym człowiekiem niż mój ojciec. Czasem jednak chciałbym zareagować tak samo jak on. Innym razem złość albo rozpacz pojawiają się znikąd, nie mają ze mną nic wspólnego, ale mimo to mnie przytłaczają.

– Nie zamienisz się w swojego ojca.

Byłam o tym całkowicie przekonana.

– Może nie, ale nie mam pojęcia, w co się zamienię. Jedno jest pewne, nie jestem tym samym człowiekiem, którego pokochałaś. Zmieniłem się bardziej, niż mogłabyś to sobie wyobrazić. I nigdy już nie będę taki jak dawniej. – Jego szare oczy w końcu skierowały się prosto na mnie. – Powinnaś uciekać, dopóki jeszcze możesz.

Oddalił się, zostawiając nas oboje pogrążonych w rozpacz i samotnych.

Po chwili zdecydowałam, że zostanę w grobowcu.

Nie kłamałam, kiedy powiedziałam Theo, że praca pozwala mi zapomnieć o wszystkim. Tamtego dnia spędziłam całe godziny w podziemnym korytarzu, szkicując tak delikatnie i precyzyjnie, jak tylko potrafiłam. Piękno fresków poruszało mnie pomimo rozpacz, jaką czułam, i wyobrażałam sobie mojego

odpowiednika sprzed wieków, bez wątpienia ubranego w cieką tunikę i skomplikowany naszyjnik z koralików, jakie zawsze pokazywano w filmach o starożytnym Egipcie. Kopiowanie jego pracy w każdym detalu, każdym cieniu było najlepszym hołdem, jaki mogłam złożyć tamtemu artyście. Zrobienie tego dobrze stwarzało poczucie, że udało mi się coś pomimo wszystkich tych porażek. Potrzebowałam tego uczucia bardziej, niż powinnam.

Było mi tylko ciężko pracować, kiedy łyzy utrudniały widzenie. Ale ocierałam je i rysowałam dalej.

Chociaż chciałam pobiec za Paulem, nie zrobiłam tego. Nawet jeśli teraz tak bardzo cierpiał, być może tego potrzebował. Kiedy cierpimy, ludzie zbyt szybko zaczynają nam mówić: „Daj spokój, zapomnij o tym, nie było aż tak źle”. Nie możemy poradzić sobie z bólem, zaprzeczając jego istnieniu. Musimy go odczuwać. Musimy mu pozwolić, aby trwał tyle, ile trzeba. Czasem to coś wręcz przeciwnego do „zapominania”. Musimy zanurkować na samo dno naszego bólu, przeżyć na nowo każdą okropną chwilę i wytrzymać torturę pytania, co mogłoby się zdarzyć – i co się teraz zdarzy. Musimy się wykrwawić, zanim nasze serca znowu zaczną bić.

Właśnie to robił teraz Paul. Wykrwawiał się.

Po kilku godzinach usłyszałam w końcu kroki w korytarzu. Nadzieja oderwała mnie od pracy. Popatrzyłam w stronę nadchodzącego, nie mogąc się go doczekać. Jednak przede mną pojawił się Theo, a ja potrzebowałam całej samokontroli, żeby nie okazać rozczarowania.

– Jak idzie praca? – Theo podszedł bliżej z rękami splecionymi na plecach. – Nasz rosyjski przyjaciel jest w paskudnym humorze, od kiedy stąd wyszedł.

– Nie wiem, o co może mu chodzić.

Theo zapewne uznał, że pokłóciliśmy się z Paulem, i zobaczył w tym swoją wielką szansę. Nie miałam do niego ani odrobiny cierpliwości w tym momencie.

Otarł czoło pokryte cieniutką warstewką potu.

– Jedyną ucieczką od tego przekłętego żaru są mieszkania zmarłych. To dziwne, prawda?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. – Powietrze było tu chłodne i zatęchłe, więc to miejsce nie wydawało się takim wspaniałym schronieniem, chyba że alternatywą było palące słońce pustyni. – Powinnam chyba już wracać do obozowiska, prawda?

– Nie musisz. Nie spiesz się, Meg.

Meg.

Nic dziwnego, że brzmiał tak znajomo. Theo z Uniwersum Triadu

przeskoczył tutaj za mną.

Odwróciłam się i spojrzałam na tego Theo – tego, który porwał mojego ojca, rzucił na Paula podejrzenia o morderstwo i pomógł Złej przejąć moje ciało. Kiedy zobaczył, że go poznałam, westchnął.

– Wiedziałem. Czy jestem jedynym w całym multiwszechświecie, który nazywa cię „Meg”?

– Tak. Zamierzasz znowu mi wstrzyknąć Włamywacza? – zapytałam ostro.

– Nie. – Theo zrobił krok w moją stronę.

Teraz widziałam, że jest blady, a jego ruchy stały się powolne, niechętne. Cokolwiek zamierzał tu zrobić, nie było to nic dobrego.

Moją jedyną potencjalną bronią były pudełko kredek i szkicownik. Założę się, że ołówek wbity w oko powstrzymałby prawie każdego.

– Posłuchaj mnie. – Podniósł ręce, więc znieruchomiałam niepewna, co on w tym momencie planuje. – Wiem, że jesteś wściekła na Conleya i Triad. Nie dziwię ci się. Ale nie pozwól, żeby emocje zaślepiły cię na to, co się dzieje naprawdę. Możesz w jednej chwili zmienić wszystko, jeśli tylko zgodzisz się na współpracę.

– Nie próbuj ze mną negocjować! – Odsunęłam się od niego, chociaż musiałam się cofnąć w głąb grobowca, dalej od wejścia. – Kiedy do tych waszych zakutych łbów w Triadzie w końcu dotrze, że nigdy, przenigdy nie będę dla was pracować? Jak możecie nie widzieć, że to szaleństwo?

– Owszem, doskonale to widzę – odparł Theo i być może po raz pierwszy mówił mi szczerą prawdę. – Gdybym od początku wiedział, w co się pakuję, nie ma mowy, żebym się na to pisał. Ale teraz jestem tutaj. Wiem o wszystkim. A jeśli jakieś wszechświaty mają zostać zniszczone, zamierzam się znaleźć w jednym z tych, które przetrwają.

Nie mogłam kwestionować jego celu, ale miałam sporo zastrzeżeń do jego metod.

– Tu nie chodzi tylko o ratowanie własnej skóry. Chodzi o ratowanie bilionów ludzkich istnień. Dosłownie! Jak możesz nie robić, co w twojej mocy, żeby temu przeszkodzić?

– Ponieważ to, co w mojej mocy, nie wystarczy, żeby ich powstrzymać! Meg, czy możesz się uspokoić i pomyśleć? Jest już za późno. Triad ma zbyt wielką przewagę. Chcesz wystartować w wyścigu, gdy oni są o centymetry od linii mety. Nie widzisz, że to bez sensu? Conley i Triad nadal chcą cię mieć po swojej stronie, pomimo wszystko...

Wydałam dźwięk, który można by nazwać tylko szyderczym prychnięciem.

– O tak, muszą mi tak wiele wybaczyć...

Theo skrzywił się, poirytowany.

– Cholera jasna, dlaczego robisz sobie coś takiego? Masz jeszcze czas, żeby ocalić cały swój wymiar! Miliardy ludzi, wszystkie zwierzęta, wszystkie rośliny na całej Ziemi... Ryzykujesz to wszystko w tym idiotycznym wyścigu. Czy nie powinnaś być lojalna przede wszystkim wobec nich?

Nigdy nie zastanawiałam się nad tym w kategoriach lojalności. Czy gdybym mogła ochronić tylko jeden wymiar, nie powinien być nim ten, który nazywam domem?

Nie zamierzałam jednak dawać się przekonać Theo.

– To nie przeze mnie mój wszechświat jest zagrożony. Odpowiada za to Triad.

– Mówię tylko, że twoje działania mają konsekwencje. – Twarz Theo kryła się w cieniu w półmroku korytarza. Nie dotknął nawet ciężkiej latarki, którą miał przy pasie. – Te inne wszechświaty można uznać za... za wybory, jakich nikt nigdy nie dokonał.

Przez czas potrzebny na jeden oddech nie byłam już w Egipcie. Leżałam pod ciepłymi futrami w rosyjskiej daczce, na zewnątrz szalała burza śnieżna, a Paul tulił mnie do siebie. Jednocześnie siedziałam w pełnym przepychu pokoju w paryskim hotelu, z dłonią na brzuchu, oszołomiona świeżą wiedzą, że w tamtym wymiarze noszę w sobie dziecko Paula.

Od tamtej chwili żałowałam wyboru, jakiego dokonałam za wielką księżną. A jednak byłoby nieskończenie gorsze, gdybym wymazała ten wybór, wszystkie te życia, cały ten wymiar, raz na zawsze.

– Ci ludzie zasługują na szansę, by żyć – powiedziałam do Theo. – Mają prawo tworzyć własne przeznaczenie.

– Sama nie zawsze szanowałaś wybory twoich wersji, prawda? – Nawet w ciemności widziałam błysk gniewu w oczach Theo.

– Popełniałam błędy – przyznałam. – Kilka razy. Ale to, o czym mówisz, to co innego.

– No to gdzie wyznaczasz granicę, Meg? – odparował Theo. – Gdzie tylko ci się podoba, o ile ja jestem po drugiej stronie?

Miałam ochotę zacząć wrzeszczeć.

– Przestań mnie łąpać za słówka! Popełniłam błąd, ale wy celowo popełniacie ludobójstwo! To jest daleko, daleko poza skalą tego, co potrafiłabym kiedykolwiek zrobić. I wiesz co jeszcze? Mój Theo także nigdy by tego nie zrobił. Dlaczego ty jesteś taki pokrecony?

Rzucił się na mnie i chwycił mnie pod żebrami, tak że straciłam oddech, a moje kredki rozsypały się na wszystkie strony. Spróbowałam go podrapać po twarzy, ale Theo chwycił koronkowy szal przypięty do mojego kapelusza, przycisnął kolanem moje lewe ramię i sięgnął do mojego gardła.

Firebird! Zamierza ukraść Firebirda! Walczyłam, żeby go z siebie zrzucić, ale nie mogłam, nawet wtedy, gdy zrozumiałam, że nie chodzi mu wcale o Firebirda. Nawet wtedy, gdy koronkowy szal zacisnął się na mojej szyi.

Nie mogłam oddychać.

Theo mnie dusił.

Miałam wrażenie, że moja krtań jest miażdżona o kręgosłup. Puls bił szybko i mocno, a z każdym jego uderzeniem szal wrzynał się w skórę.

– Skacz – powiedział Theo. Płakał, łzy spływały mu po policzku, który widziałam, ponieważ odwrócił się, żeby nie widzieć mojej twarzy, gdy to robił.
– Zostawiłem ci wolną rękę. Złap Firebirda i skacz.

Mogłam to zrobić, ale wtedy ta Marguerite była skazana na śmierć, być może wraz z całym tym wymiarem.

Rozpaczliwie szamotałam się pod nim, a przynajmniej próbowałam się szamotać. Niezgrabnie starałam się drapać jego napięte ramiona. To nic nie dawało. Theo przyciskał mnie całym ciężarem i siłą, a ja nie mogłam oddychać. Zaczęło mi się robić ciemno przed oczami. Język wydawał się za duży w ustach. Nie słyszałam niemal niczego poza szumem krwi w uszach.

– Meg, błagam! – zaszlochał Theo. – Proszę, nie zmuszaj mnie, żebym zabił was obie.

Wiedziałam, że zaraz stracę przytomność. Resztkami sił, gdy twarz Theo zaczęła ciemnieć i się rozmazywać, nacisnęłam przyciski Firebirda i...

Znalazłam się w pustce.

Całkowita ciemność. Całkowita cisza. Byłam nieważka, nie miałam ciała.

O Boże.

Jestem martwa.

Rozdział ósmy

Nie mogłam być martwa.

To znaczy – naprawdę nie mogłam. Serce biło mi w piersi coraz mocniej i szybciej, reagując na śmiertelne zagrożenie w nowym wymiarze, wiszące nad nową Marguerite. Czyli musiałam przeskoczyć między wymiarami. Jednak nie czułam rąk i nóg. Nie odróżniałam góry i dołu.

Zanim przeskoczyłam, nie miałam szansy sprawdzić, czy to w ogóle jest możliwe. Gdyby Zła nie przeskoczyła dalej, musiałabym zostać z Theo, który miał mnie zaraz udusić...

Wzdrygnęłam się. Byłam żywa, skoro mogłam się wzdrygnąć. A jednak teraz pamiętałam, jakim uczuciem jest umieranie.

Czy mimo wszystko przeskoczyłam do ciała, w którym znajdowała się Zła? Wiedziałam, że to niemożliwe, ale nie potrafiłam znaleźć innego wyjaśnienia tego, że jestem w całkowitej pustce. Czy zostanę uwięziona w zakamarku umysłu tej Marguerite, dopóki Zła nie wyruszy dalej? Może takim właśnie uczuciem jest istnieć tylko w czyjejs wyobraźni.

Coś musnęło mój policzek, aż drgnęłam zaskoczona. Dłonie, których kilka sekund temu nie czułam, odruchowo uniosły się do twarzy, aby to sprawdzić. Okazało się, że moje włosy unoszą się wokół mnie, jakbym była pod wodą. No dobrze, części ciała zdrowe i sprawne, to już coś, ale co tu się właściwie dzieje?

Rozległ się metaliczny zgrzyt i klekotanie, charakterystyczne dźwięki pracującej maszynierii. Za mną zaczęło się pojawiać światło, początkowo przyćmione, potem coraz jaśniejsze. Odwrócenie się było trudne – musiałam skrecać całe ciało, żeby to zrobić, a do gardła zaczęły mi podchodzić mdłości. W końcu udało mi się zobaczyć, gdzie jestem. Gigantyczne płyty rozsuwały się, jakby były składane, i odsłaniały...

...Ziemię. To znaczy całą planetę, na powierzchni której obecnie się nie znajdowałam.

Kosmos. Jesteś w kosmosie. Oddychałam głęboko. Nie potrafiłam się uspokoić. O cholerny Boże, jestem w kosmosie! W kosmosie nie ma tlenu!

To jasne, że tutaj – gdziekolwiek jestem – jest tlen, ponieważ oddycham. Ale jak długo jeszcze?

Nigdy, przenigdy nie lubiłam wysokości. Nie miałam wprowadzić lęku

przestrzeni, ale należałam do tych osób, którym należy mówić, żeby pod żadnym pozorem nie patrzyły w dół. Teraz mogłam patrzeć tylko w dół.

Zaczęły błyskać czerwone światła i usłyszałam syntetyczny żeński głos mówiący:

– Uwaga, za cztery minuty nastąpi odessanie plazmy.

Zaraz potem męski syntetyczny głos powiedział coś w innym języku, którego nie rozpoznałam, ponieważ po raz drugi w ciągu pięciu minut znalazłam się w śmiertelnym niebezpieczeństwie i nigdy jeszcze nie byłam tak bliska utraty przytomności ze strachu.

Weź się w garść! Nikt poza mną mi nie pomoże. Teraz, gdy w tej komorze było dość światła, widziałam mnóstwo otworów – w większości małych i kwadratowych, ale był też jeden okrągły i duży, który wyglądał jak coś w rodzaju drzwi. Błagam, niech to będą drzwi. To jedyna szansa, jaką mam.

Spróbowałam skierować się do tego otworu. Starłam się płynąć przez to powietrze, ale bezskutecznie. Machałam tylko rękami i nogami, ale prawie się nie poruszałam. Szybko rozejrzałam się po tej części gigantycznej maszyny, w której najwyraźniej się znajdowałam. Jeśli uda mi się dotknąć ściany, będę mogła się podciągać wzdłuż jej powierzchni, aż dotrę do tego, co, tak naprawdę, miałam nadzieję, było drogą ucieczki.

Najbliższa ściana znajdowała się przede mną, o ile „przede mną” miało tu jakikolwiek sens. Dlatego zaczęłam się wić w tamtą stronę, poruszając się tak powoli, że miałam ochotę wrzeszczeć.

– Trzy minuty do odessania plazmy – oznajmił syntetyczny głos, a drugi powtórzył to zaraz za nim.

Trzy minuty to było za mało. Od otworu dzieliło mnie co najmniej piętnaście metrów i nie wydaje mi się, żebym miała zdążyć dotknąć przez ten czas najbliższej powierzchni.

W komorze rozległ się echem inny głos.

– Marguerite? Co ty wyprawiasz?

– Mamo! – Gdzie ona była? Nie widziałam jej, ale to nie miało znaczenia. Ona widziała mnie. – Wyciągnij mnie stąd!

Metalowe płyty znieruchomiały. Mój widok na planetę Ziemię przestał się poszerzać.

– Wstrzymano odessanie plazmy – oznajmił syntetyczny głos.

Powinłam się cieszyć, szczególnie teraz, gdy ze ściany wyłonił się mechaniczny chwytak, żeby mnie ściągnąć.

Zamiast tego chciało mi się płakać.

Straciłam także Marguerite z Uniwersum Egipskiego. Miałam szansę ją uratować i nie udało mi się. W dodatku tym razem zrobił to Theo... Theo...

Czy uda mi się uratować kogokolwiek? Ile Marguerit musi umrzeć?

– Co ty sobie myślałaś? – Mój tata po raz drugi w ciągu dwóch dni podawał w wątpliwość moją poczytalność, a ja mu się nie dziwiłam.

Zła pozostawiała za sobą pasmo szaleństwa, dokąd by się nie udała.

Tata i mama siedzieli po obu moich stronach na stacji kosmicznej „Astraeus”, a przynajmniej taka nazwa wraz z symbolem widniała na rękawach jasnoniebieskich kombinezonów, które mieliśmy na sobie. Na szczęście mieliśmy tu grawitację, albo przynajmniej coś do niej zbliżonego, w wirującej centralnej sferze. Jak się wydaje, to była najbezpieczniejsza część, gdzie mieszkali i pracowali naukowcy wraz ze swoimi rodzinami. Cztery ogromne wachlarze rozpościerały się, żeby gromadzić energię słoneczną, a dyski pod nimi gromadziły zbędną plazmę (cokolwiek to było) odsysaną później próżniowo.

Niecałe trzy minuty dzieliły mnie od wyrzucenia w przestrzeń kosmiczną wraz z plazmą, kiedy mama zauważyła jakieś dziwne odczyty w komorze atmosferycznej.

– Zainstalowane czujniki nie alarmują, jeśli dostanie się tam człowiek, ponieważ, do cholery, nikt nie powinien tam wchodzić! – Tata był taki wściekły, tylko jeśli był przerażony. – Co w ciebie wstąpiło?

Wstąpiło. To było bliższe prawdy, niż mógłby przypuszczać, a przy okazji odpowiedziało mi, jak powinnam to rozegrać.

– Tato, dzieje się ze mną coś złego. To znaczy psychicznie. Robię rzeczy, których nie rozumiem, a czasem nawet nie pamiętam, że je robiłam. Tym razem mogłam zginąć. Co się stanie następnym razem?

Mama i tata otworzyli szerzej oczy, a mama objęła mnie ramieniem.

– Ona może potrzebować leczenia, Henry. Na pewno musi ją obejrzeć lekarz.

– Na Ziemi? – zapytałam z nadzieją.

Może powinnam sądzić, że to niesamowite znaleźć się w kosmosie, ale chciałam stanąć na stałym gruncie. Chciałam powietrza, którym bym mogła oddychać. Chciałam prawdziwej grawitacji. Chciałam nieba. Chciałam przestać myśleć o duszącym mnie Theo.

– Nie musimy się posuwać tak daleko. Możesz zostać na stacji. – Mama wyraźnie uważała, że poprawi mi tym humor. – Na kilka dni zostaniesz zwolniona ze swoich obowiązków i będziesz mogła wypocząć. Wyśpisz się.

Jakiego rodzaju obowiązki mogłam mieć na stacji kosmicznej?

Prawdopodobnie to było trochę tak jak w przypadku stacji badawczej w Uniwersum Oceanicznym, gdzie wszyscy musieli w czymś pomagać – ale tam miałam tylko sprawdzać odczyty pogodowe i przywiązywać jakieś liny. W kosmosie istniał o wiele większy potencjał na popsucie czegoś naprawdę poważnie.

– Rzeczywiście, ostatnio dziwnie się zachowywałaś – przyznał tata. Jego dłoń musnęła moje włosy. – Wczoraj byłaś w okropnym humorze i nie potrafiłaś sobie przypomnieć, kim byli Beatlesi, a to już całkiem bez sensu.

Nie potrafiłam się nie roześmiać. Beatlesi okazali się jeszcze jednym ze stałych zjawisk we wszechświecie – jeśli tylko mogli zaistnieć, istnieli. A jeśli istnieli Beatlesi, mój tata był ich największym fanem.

– Teraz już ich pamiętam. Ale nie pamiętam, że ich nie pamiętałam, jeśli rozumiesz, o czym mówię.

Moi rodzice wymienili zaniepokojone spojrzenia. Prawdopodobnie obawiali się, że jestem na granicy choroby psychicznej. To dobrze, ponieważ musieli mieć tę Marguerite na oku, dopóki nie powstrzymam Złej, która mogłaby wrócić w każdej chwili i spróbować dokończyć to, co rozpoczęła.

Ale groziły nam także inne niebezpieczeństwa. Przyłożyłam dłoń do szyi, dręczona wspomnieniami bólu.

Mama wstała i pociągnęła mnie za sobą, a tata także się podniósł. Czułam różnicę w stosunku do ziemskiej grawitacji. Byłam tutaj odrobinę lżejsza, co nadawało każdej chwili i każdemu poruszeniu cień surrealizmu.

– Chodź – powiedziała mama. – Musisz zostać zbadana.

Okazało się, że „Astraeus” nie jest ani tak ciasny, jak prawdziwe stacje kosmiczne, które w moim wymiarze widziałam w telewizji, ani tak przestronny i wygodny, jak pokazywano w filmach. Ściany i podłogi były zrobione ze żłobionego metalu, odrobinę powgniatanego ze starości. Czarne sufity rozjaśniały rzędy drobnych, białych lampek. W najdziwniejszych miejscach znajdowały się poręcze – wysoko, tuż przy podłodze i tak dalej – ale wydawało się, że do niczego nie służą. Hmm. Nieliczne okna były małe i pozwalały zobaczyć tylko okrągły skrawek czerni. Pilnowałam się, żeby nie wyglądać przez nie. Krótkie korytarze prowadziły do większych pomieszczeń, które nie były podzielone tak jak przestrzeń w biurach, ale miały wyraźnie określone funkcje – zawierały różne stanowiska badawcze. Moi rodzice na kołnierzach mieli małe flagi kanadyjskie i mogłam się założyć, że ja mam podobną, ale zauważyłam także flagi Meksyku, Rosji, Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Japonii i, jak mi się wydaje, Indii. Niektórych flag nie rozpoznawałam,

ale najwyraźniej był to projekt międzynarodowy.

Jeśli ktoś tutaj wiedział, co omal się nie wydarzyło przy odsysaniu plazmy, niczego nie okazywał.

Załoga „Astraeusa” była na tyle duża, że na pokładzie znajdował się dyżurny psychiatra, doktor Singh, która w kilka sekund położyła mnie do badania. Miała krótko ostrzyżone, trochę sterczące czarne włosy i wyglądała na niewiele starszą od Josie. A jednak natychmiast poczułam, że jej ufam.

– Czy odczuwasz depresję? – zapytała.

– Nie. – To znaczy, pewnie nie. Nie miałam pojęcia, co się dzieje w głowie tej Marguerite, szczególnie teraz, gdy jej ciało zajęły dwie międzywymiarowe podrózniczki, jedna za drugą. – Ale jestem naprawdę mocno zestresowana.

Doktor Singh skinęła głową.

– Czy miewasz myśli samobójcze?

Mama i tata popatrzyli na siebie ze zgrozą. Lekarka zauważyła ich reakcję i pochyliła się do mnie.

– Jeżeli wolisz porozmawiać ze mną w cztery oczy...

– Nie, nie, w porządku. Powinni to usłyszeć. – Odetchnęłam głęboko. Co mogłam zrobić, żeby ta Marguerite była jak najbardziej bezpieczna? – Nie mam myśli samobójczych. Ale część rzeczy, które robię, kiedy, no, jestem wyłączona... jest niebezpieczna. Nie wiem dlaczego, to nie ma żadnego sensu, ale tak się dzieje, a ja się tego boję.

– Dobrze. – Doktor Singh położyła mi rękę na ramieniu. – Zgadzam się z twoimi rodzicami, że powinnaś natychmiast iść na zwolnienie. Potrzebujesz snu, wypoczynku i relaksu. A także ćwiczeń fizycznych. Logi wskazują, że nie pilnujesz wszystkich wymagań. Jeszcze nie kwalifikujesz się do upomnienia, ale niedługo zaczniesz. A jeśli twoje ciało jest rozregulowane, czasem umysł idzie w jego ślady. Może to dobra chwila, żebyś skoncentrowała się na swojej twórczości.

Naprawdę musieli zrozumieć to, co kluczowe, więc powiedziałam to na głos:

– Powinnam być obserwowana.

Troje dorosłych znowu wymieniło spojrzenia.

– Nie zaobserwowałaś żadnych halucynacji, żadnych gwałtownych impulsów... – powiedziała doktor Singh.

– A jeśli to się zmieni? – Zmieni się, jeśli Zła powróci kiedyś do Uniwersum Kosmicznego. – Co wtedy?

– Nie mamy powodów zakładać, że tak się stanie – upierała się doktor Singh.

– Stres psychologiczny związany z pracą w kosmosie dotyka wielu ludzi raz

na jakiś czas, ale znakomita większość z nich radzi sobie z tym. Gdybym wsadzała do izolatki każdego, kto zachowywał się dziwnie na pokładzie „Astraeusa”... Cóż, nie zostałyby nam zbyt wiele załogi.

– Możesz zrobić jej skan mózgu? – Mama wyprostowała się i złożyła ręce na kolanach. Jej sylwetka wydawała się aż komicznie poważna, ale ja wiedziałam, że mama zachowuje się tak, kiedy się boi. – Jeśli u Marguerite rozwinął się guz mózgu...

– Sophie, daj spokój. – Tata położył jej rękę na ramieniu i leciutko ścisnął, żeby ją pocieszyć. – Nie pozwól, żeby zapanował nad tobą lęk. Zaszkożysz tym Marguerite.

Ale mama nie zamierzała ustąpić.

– Nie zamierzam szkodzić Marguerite. Wierzę w to, co mówi. Nasza córka powiedziała nam, że coś jest z nią bardzo nie tak. Cierpi i jest przestraszona. Musimy uzyskać tyle informacji, ile tylko możliwe, wykonując każdy potrzebny test diagnostyczny. Tylko wtedy będziemy mogli sformułować opartą na faktach hipotezę dotyczącą stanu Marguerite.

Potrzebowałam strażnika przy drzwiach, a nie serii testów medycznych. Mimo to nie mogłam się nie uśmiechnąć słabo do mamy. Dobrze było wiedzieć, że stoi po mojej stronie, nawet kiedy zachowuję się dziwnie, a lekarze mówią jej, że powinna odpuścić. Nie wszyscy rodzice są gotowi tak bardzo wspierać swoje dziecko. Rodzice Paula nigdy by tego nie zrobili. Miałam szczęście, że mnie trafili się Henry Caine i Sophia Kovalenka.

Doktor Singh skapitulowała z lekkim uśmiechem.

– To na pewno nie zaszkodzi, a ja nie mam żadnych zaplanowanych badań na dzisiaj. Połóż się, Marguerite. To zajmie dosłownie sekundę.

Posłusznie zajęłam miejsce na leżance. Zamiast papierowego prześcieradła, do jakiego byłam przyzwyczajona, leżankę pokrywał przezroczysty plastik, zapewne sterylizowany po każdym użyciu. Jakie badania zamierzali przeprowadzić? Nigdy nie wpadałam w histerię przy zastrzykach czy pobieraniu krwi, ale to nie znaczyło, że lubiłam być kłuta. A może zrobią coś bardziej efekownego. Czy na stacji kosmicznej znajduje się tomograf?

Ale doktor Singh wyjęła coś, co przypominało metalową opaskę, grubą i skomplikowaną, i włożyła mi ją na głowę tak, że w dwóch miejscach dotykała moich skroni. Poczułam ciepłe, elektryczne mrowienie – niezbyt przyjemne, ale nie bolesne – a na ekranie obok zaczęły się pojawiać odczyty. Doktor Singh obserwowała je, spokojnie kiwając głową, aż nagle się zachłysnęła.

– Co tam widzisz? – zapytał ostro tata. – Boże, kiedy Sophie mówiła o guzie

mózgu, pomyślałem...

– Nie o to chodzi. – Doktor Singh podeszła bliżej ekranu, spojrzała na mnie, a potem znowu zaczęła się wpatrywać w wyniki. – Nie ma żadnego guza. Wszystkie wskaźniki chemiczne są z grubsza w normie. Ale aktywność mózgu, w szczególności w przedlinku... To część płata ciemieniowego, sam rdzeń naszej świadomości... Cóż, nigdy nie widziałam niczego podobnego.

Mama podeszła do niej, a mój ojciec wziął mnie opiekuńczo za rękę.

– Możesz wyciągnąć jakieś wnioski? Choćby przypuszczalne? – zapytała mama.

Doktor Singh potrząsnęła głową, ale nie był to gest zaprzeczenia, tylko zdumienia.

– Poziom aktywności przedlinka jest wyższy, niż kiedykolwiek widziałam. Wyższy niż w ogóle powinno być możliwe.

– To dobrze czy źle? – Tata mocniej ścisnął moją rękę.

– Nie wiem – przyznała doktor Singh. – To wygląda, jakby... prawie tak, jakby... ale nie. To niemożliwe.

– Rzeczy wydają się niemożliwe tylko do chwili, gdy się wydarzą. – Głos mamy stwardniał. – Powiedz, co ci przyszło do głowy jako pierwsze. Pierwszy wniosek, jaki ci się nasunął.

Po chwili doktor Singh westchnęła.

– Gdybym nie wiedziała, że to niemożliwe, powiedziałabym, że w mózgu Marguerite działa więcej niż jeden umysł.

O cholera. Znaleźli mnie.

Rozdział dziewiąty

Przez ułamek sekundy zastanawiałam się, czy nie powiedzieć prawdy. „Cześć, jestem podróżniczką z równoległego wymiaru, alternatywną wersją waszej córki, i na trochę przejęłam jej ciało. Jestem tutaj, żeby was ochronić przed jeszcze inną wersją waszej córki, która właśnie próbowała ją zabić. Widzicie? To naprawdę proste wyjaśnienie”.

Tak, jasne. Na razie zamierzałam zachować ostrożność.

– Co to może znaczyć? – zapytałam doktor Singh, starając się brzmieć naturalnie.

Lekarka wpatrywała się w wyniki.

– Nie mam pojęcia. To nie przypomina żadnych wyników, jakie kiedykolwiek widziałam. Nikt nawet teoretycznie czegoś takiego nie zakładał.

– Czy to niebezpieczne? – Tata ujął moją rękę w obie dłonie, zapewne po to, żeby mnie pocieszyć, chociaż wydawało mi się, że to bardziej on potrzebuje wsparcia.

– Gdybyście mi pokazali tylko te wyniki, mogłabym tak powiedzieć. – Doktor Singh spojrzała na mnie i wzruszyła ramionami. – Ale Marguerite jest przytomna, świadoma, najwyraźniej w dobrej kondycji i nie ma żadnych objawów poważniejszych niż krótkoterminowe zaniki pamięci. Z całą pewnością ma to jakieś szkodliwe skutki i musimy ją uważnie obserwować, jednak jej... jej funkcje mentalne wydają się w zasadzie niezmiennione.

– Zakładam, że wzięcie jej pod obserwację jest kolejnym krokiem. – Moja matka z całej siły starała się być w tej sprawie obiektywna, ale jej dłoń lekko drżała, gdy wsuwała sobie luźny pukiel włosów za ucho. – Musimy poczekać i przekonać się, czy ta aktywność... wzmoże się, czy też zacznie zanikać i tak dalej.

– Oczywiście – przyznała lekarka. – Będziemy ją obserwować dwadzieścia cztery godziny na dobę. – Zmarszczyła brwi. – Cały czas używam tego sformułowania, chociaż tutaj nie ma ono sensu...

To sprawiło, że tata się roześmiał i nawet mama lekko się uśmiechnęła. To dobrze, bo nie chciałam, żeby się aż tak przestraszyli. Nietypowa aktywność mózgu ich córki zniknie sama, kiedy tylko wyruszę dalej razem z Firebirdem. Jeśli Zła kiedykolwiek powróci, żeby po raz drugi spróbować morderstwa, od razu zwrócą uwagę na jej dziwne zachowanie.

Misja zakończona.

Pytanie tylko, jak mam wrócić na Ziemię?

Odpowiedź była pod pewnymi względami oczywista. Wrócę na kochaną starą Ziemię, której dotąd nie doceniałam, kiedy tylko znowu użyję Firebirda. Istnieje szansa, że jakikolwiek wymiar na mnie nie czeka i znajdę się z powrotem na stałym gruncie. Ale na razie byłam tu uwięziona. Potrzebowałam chwili samotności, żeby spróbować przeskoczyć.

Jakaś część mnie chciała się zadręczać tym, co Zła może robić w następnym świecie. Tym razem mało nie wysłała mnie w kosmiczną próżnię, więc jak mam zgadnąć, co będzie na mnie czekać? Jednak pozostawałam całkowicie wytracona z równowagi wspomnieniami ze świata, który opuściłam.

Theo mnie zabił.

Udusił mnie moim szalem, przyciskając ciężarem swojego ciała, tak że musiał czuć każdy konwulsyjny skurcz, słyszeć każdy zdławiony dźwięk, a w końcu poczuć, jak tanta Marguerite wiotczeje pod nim i umiera. Czułam się okropnie na myśl o tym, co się stało z moją odpowiedniczką z Uniwersum Londyńskiego, ale śmierć, z którą miałam do czynienia w Uniwersum Egipskim, była jeszcze bardziej przerażająca. Jeśli tylko pozwoliłam myślom błędzić swobodnie, pamięć wracała błyskawicznie do tamtego momentu, do niemal namacalnego wrażenia palców Theo zaciskających się na moim gardle. Za każdym razem to było jak zastrzyk adrenaliny do serca lub szok elektryczny.

Czasem wspomnienie koszmaru jest gorsze niż sam koszmar. Traumatyczne zdarzenie przeżywa się raz, ale wspomnienie może zostać na zawsze. Pamięć nie musi cię nigdy opuścić.

Przypuszczałam, że to pozostanie w mojej pamięci na długo.

Jak miałam pokonać Złą? Nie mogłam jej przecież dogonić. Czy musiałam ścigać ją bez końca, zapobiegając wywołanym przez nią katastrofom?

Owszem, musiałam. Dopóki nie wymyślimy innego planu, pozostawało mi tylko ratować inne Marguerity. Nie zdołałam uratować tych z Uniwersum Londyńskiego i Egipskiego... Ale Marguerite z Uniwersum Kosmicznego była cała i zdrowa.

No, o ile podciągniemy pod to obserwację psychiatryczną.

Doktor Singh zdecydowała, że powinnam odpocząć we własnym pokoju, więc mama i tata zaprowadzili mnie tam. Okazało się, że mam oddzielną kwaterę, co było bardzo miłe. Pokój był malutki, czego pewnie należało się spodziewać. Ściany były pokryte białym tworzywem i ozdobione moimi szkicami węglem,

przymocowanymi za pomocą magnetycznych narożników. Łóżko stanowiło całość ze ścianą i miało pasy bezpieczeństwa, zapewne na wypadek, gdyby w nocy przestała działać grawitacja. Na szczęście nie było tu okna. Otworzyłam kilka szuflad w poszukiwaniu czegoś wygodniejszego do założenia, ale najwyraźniej w kosmosie zawsze nosiło się kombinezony.

– Potrzebujesz czegoś jeszcze? – Mama z czułością poklepała mnie po ramieniu. – Czegokolwiek?

– Może coś bym zjadła?

Nie byłam głodna, ale rodzice potrzebowali jakiegoś zajęcia, poczucia, że mogą pomóc. Skinęli głowami i wyszli szybko, dzięki czemu po raz pierwszy w tym wymiarze zostałam sama.

Usiadłam na łóżku i potarłam jedną ręką głowę, próbując rozmasować ból, zanim się pojawił. Jeśli będę dłużej myśleć o tym, co stało się z poprzednimi Margueritami – dwoma zabitymi przez Triad, utraconymi na zawsze – naprawdę oszaleję. Wspomnienia wytrącały mnie z równowagi tak, że nie mogłam jasno myśleć. Powiedziałam sobie, że muszę się skoncentrować na czymś innym. Czymkolwiek.

Rysunki węglem interesowały mnie najbardziej, więc skupiłam się na nich. Czasem analizowanie twórczości innej Marguerite podpowiadało mi, w czym ona się różni ode mnie, albo pokazywało częściowo, jak wygląda jej życie. Tutaj Marguerite albo nie była tak zafascynowana kolorem jak ja, albo nie miała dostępu do tak szerokiego wyboru materiałów plastycznych. Im bardziej przyglądałam się jej rysunkom, tym bardziej podejrzewałam to drugie, ponieważ widziałam w nich energię. Chęć życia. Każda kreska była pewna, oczy Josie równie wyraziste w czerni, bieli i szarościach, jakbym namalowała je w kolorze.

Uznałam, że ta Marguerite żyje wśród mnóstwa ograniczeń. Zasady regulujące życie w kosmosie musiały być surowe pod każdym względem, od obowiązkowych ćwiczeń fizycznych po tę malutką przestrzeń prywatną. Dlatego znajdowała ujście kreatywności w ramach tych ograniczeń. Pomagało mi, że potrafię ją zrozumieć, zorientować się, jak wygląda jej życie, ponieważ tylko ją udało mi się jak do tej pory uratować.

Tyle właśnie czasu miałam, zanim moi rodzice wrócili z posiłkiem dla mnie (całkiem zwyczajne kanapka i sok, chociaż wszystko było szczelnie zapakowane). Kazali mi się położyć i przykryć kołdrą, jakbym znowu była małą dziewczynką i miała gorączkę.

– Powinnaś odpocząć – powiedział tata. – Odpoczynek pomaga na wszystko.

Uśmiechnęłam się do niego.

– Myślałam, że herbata.

– Herbata rozwiązuje każdy problem. Później przyniosę ci kubek. – Tata pochylił się i pocałował mnie w czoło, czego nie robił od lat.

– Ograniczyliśmy dostęp do twojego pokoju – zapewniła mama. – Włączyliśmy też elektroniczny dozór w drzwiach. Możesz wyjść w każdej chwili, ale każdy twój krok będzie śledzony. Wiem, że to bardzo ścisły nadzór, więc jeśli wolałabyś, żebyśmy nie...

– Nie. Obserwujcie mnie. To nie jest coś, o czym mogę zdecydować pod wpływem chwili, prawda? – Moi rodzice musieli to zrozumieć. – Nic mi nie będzie, jeśli tylko będziecie mnie pilnować.

– A zatem tak właśnie zrobimy. – Tata uśmiechnął się do mnie, chociaż zmartwienie trochę przyćmiewało iskierki w jego niebieskich oczach. – Zadzwon, gdybyś nas potrzebowała.

Wyszli, a ja przez chwilę po prostu leżałam i rozkoszowałam się luksusem bezruchu. Potem jednak położyłam dłoń na Firebirdzie. Całe szczęście, że do badania lekarskiego w kosmosie nie trzeba się rozbierać. Ludzie mieli trudności z dostrzeżeniem obiektu pochodzącego z innego wymiaru – czyli Firebirda – ale mogli go zobaczyć, jeśli uważnie się przyjrzeni. Lekarz przeprowadzający badanie przyglądałby się uważniej. Zautomatyzowane przyrządy zignorowały Firebirda całkowicie.

To oczywiste, że powinnam natychmiast przeskoczyć dalej – ale po dwóch okropnych śmierciach trudno było mi się przygotować na znalezienie się w kolejnym śmiertelnym niebezpieczeństwie. Kiedy spróbowałam tego po raz pierwszy tutaj, poczułam niemal ulgę, gdy nic się nie stało. Nie tylko będę musiała się zmierzyć z niebezpieczeństwem, ale także wezmę na siebie odpowiedzialność za ocalenie kolejnego istnienia...

To udało ci się ocalić – napomniałam siebie. – Teraz czas uratować następne.

Odetchnęłam głęboko, nacisnęłam przyciski – i nic. Zła nie przeskoczyła jeszcze dalej. Opadłam na łóżko, nagle tak zmęczona, że najchętniej przespałabym kilka dni. Może to najlepsze, co na razie mogę zrobić. Niech ta Marguerite odpocznie, a ja poszukam pociechy we śnie.

Rozległ się dzwonek i drzwi rozsunęły się automatycznie. Rodzice obiecali, że moja kwatery zostanie zabezpieczona, więc musiał to być ktoś mający pozwolenie. Prawdopodobnie doktor Singh...

Zamiast tego zobaczyłam Paula ubranego w kombinezon „Astraeusa”. On także był z nami w kosmosie. Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, wsunął kciuk pod kołnierzyk kombinezonu i pokazał Firebirda.

– Paul.

Chciałam się zerwać, uściskać go, znaleźć się w jego silnych ramionach i wyobrazić sobie, że on może mnie ochronić przed wszystkim. To nie byłaby prawda, ale sama iluzja byłaby dla mnie teraz pocieszająca, jak najcieplejszy, najmniejszy kocyk na świecie.

Mimo to nie ruszyłam się z łóżka. Odpychał mnie już tyle razy, że nie zniosłabym chyba kolejnego odtrącenia. Poza tym w tej chwili Paul wydawał się jeszcze bardziej zszokowany niż wtedy, gdy pojawił się w Uniwersum Egipskim.

Przez długą chwilę żadne z nas się nie odzywało. W końcu Paul – bardzo cicho – zapytał:

– Czy to byłem ja?

– Czy to byłeś ty?

– Czy to ja cię skrzywdziłem? – Głos Paula zadrżał. Tak bliskiego załamania widziałam go tylko wtedy, gdy powiedziałam mu, że mój ojciec nie żyje. – Nie. Czy to ja cię zabiłem?

– Nie. Nie! – Wstałam pospiesznie i stanęłam przed nim, dostatecznie blisko, żeby go dotknąć, chociaż tego nie zrobiłam. – To był Theo. Theo z Uniwersum Triadu. Przeskoczył tam za mną.

Paul oparł się ciężko o plastikową ścianę, jakby nie był w stanie dłużej trzymać się prosto.

– To było pomiędzy przypomnieniami... Nie wiedziałem. Kiedy odzyskałem świadomość, zobaczyłem cię znowu martwą. – Oddychał ciężko, jakby starał się nie rozpłakać. – Znowu.

– Hej. – Zrobiłam krok w jego stronę i położyłam mu ręce na ramionach. – Jestem tutaj, okej? Jestem twoją Marguerite i nic mi się nie stało.

Jego szare oczy spojrzały prosto na mnie, a ja zastanawiałam się, czy nadal jestem „jego” Marguerite.

– Twoi rodzice znaleźli ciało – powiedział cicho. – Theo wyjechał załatwić jakieś sprawy... Nikt nie wiedział, kto mógł to zrobić, ale jeśli Theo nie wróci, pewnie domyślą się, kto jest mordercą.

Pomyślałam o Theo z Uniwersum Egipskiego, który mógł być dandysem i podrywaczem, ale nie był mordercą. Znajdzie się w Kairze czy innym egipskim mieście, kompletnie nieświadomy, skąd się tam wziął. Jeśli go złapią, pójdzie do więzienia lub zostanie stracony za zbrodnię, której nie popełnił. Zła niszczyła nie tylko moje życie.

– Dlaczego myślałeś, że mogłeś mnie zabić?

Czy chciałam znać odpowiedź? Nie byłam pewna.

Paul skrzyżował ramiona na szerokiej piersi.

– Dlaczego myślisz, że nie mógłbym tego zrobić?

– Nawet najgorsza wersja ciebie, jaką poznałam... – Czyli Paul z Uniwersum Mafii, o czym oboje wiedzieliśmy, chociaż nie mówiliśmy tego na głos. – Nawet on by tego nie zrobił.

– Nie wiesz, co się dzieje tutaj. – Paul wskazał swoją głowę, swój umysł. – Nie potrafię tego opisać. To jakby... Jakby ścieżki łączące moje myśli i czyny zostały pozrywane albo pozmieniane. Emocje, nad którymi do tej pory potrafiłem zapanować, takie jak złość, zazdrość, nawet nienawiść, teraz przejmują kontrolę nad moim mózgiem. Mógłbym popełnić błąd, Marguerite. Mógłbym to zrobić.

Chłód przesunął mi po plecach lodowaty palec, ale nie zamierzałam się poddawać paranoi. Musiałam jakoś mu pomóc uwierzyć.

– Nie zrobiłeś tego, jasne? To nie ty mnie skrzywdziłeś. Dlatego przestań panikować z powodu czegoś, co mogłoby się zdarzyć, i skoncentruj się na tym, co się zdarzyło.

Teraz jednak mogłam myśleć tylko o Uniwersum Egipskim – jednym z najpiękniejszych światów, jakie odwiedziłam – i o tym, że stało się tragicznym miejscem dla osób, które kochałam.

– Kiedy przypomnienie zadziało, usłyszałam krzyk Sophii, jej głos... – Paul wzdrygnął się i zamknął oczy. – Od razu wiedziałem, że nie żyjesz. Poznałem to po jej krzyku.

– Udało mi się raz na trzy razy. – Mój głos brzmiał głucho nawet w moich uszach. – Zła próbowała wyrzucić tę mnie w przestrzeń kosmiczną, ale udało mi się wrócić.

Paul spojrzał na mnie przenikliwie, jakby mógł wypatrzyć jakieś obrażenia, które uszły mojej uwadze.

– Jeśli uda mi się skonstruować urządzenie, które umożliwi Firebirdom zwiększanie symetrii, i wzmocnię ten wszechświat, to będzie bezpieczna. Odpowiednia technologia powinna być tutaj na wyciągnięcie ręki. To może być pierwszy świat, który mamy realną szansę ocalić.

To była całkowita prawda. A jednak moja poobijana dusza przyjęła to tak, jakby powiedział: „Ty najwyraźniej nie potrafisz nikogo ochronić, ale ja mogę to zrobić”.

Zmusiłam się, żeby zachować pozytywne spojrzenie i myśleć konstruktywnie.

– Dobra. Czyli jesteśmy w kosmosie. Rany.

– Myślałem kiedyś, że chciałbym brać udział w programie badań kosmicznych – oznajmił Paul. – Kiedy byłem mały.

– Cieszę się, że zmieniłeś zdanie – odparłam cicho. – Inaczej byśmy się nie spotkali.

Paul nie odpowiedział. Wycofał się jeszcze bardziej w głąb siebie.

Spróbowałam jeszcze raz.

– Chcesz usłyszeć coś ciekawego?

Paul dziwnie na mnie popatrzył.

– Ostatnie tygodnie były wprawdzie okropne, ale nie nazwałbym ich nudnymi.

– Raczej nie, ale posłuchaj. Kiedy lekarka badała mnie tutaj, na stacji, przeprowadziła jakiś taki futurystyczny skan mózgu i stwierdziła, że tam w środku są dwie Marguerity.

Jego oczy się rozszerzyły.

– Zorientowali się, że jesteś z innego wymiaru?

– Nie. Ale zorientowali się, że mózg tej Marguerite jest jakies dwa razy bardziej aktywny, niż powinien być.

– Intrygujące. – Paul zabrzmiał niemal jak jego ulubieniec, mister Spock. Jego umysł naukowego geniusza wchłonął tę nową informację, dzięki czemu przynajmniej na chwilę zapomniał o swoich zmartwieniach. – Chciałbym zobaczyć te wyniki. Dane mogłyby nam się przydać w skonstruowaniu urządzenia, które wykrywałoby nieproszonych gości.

– To na pewno by się przydało. – Gdybyśmy tylko mogli zidentyfikować Theo z Uniwersum Triadu, kiedy pojawił się w naszym świecie... oszczędziłoby nam to wielu kłopotów.

– Może moglibyśmy też zobaczyć, jak bardzo uszkodziło mnie rozszczepienie – dodał Paul.

– Hej, daj spokój. To tylko rana. Zagoi się

– Nie wiesz tego na pewno. Nie mamy żadnego porównania. Nie wiemy, jak bardzo rozszczepienie wpływa na psychikę i czy „zagojenie się” jest w ogóle możliwe. – Nie odrywał wzroku od swoich butów. – Może dusza może się rozpaść, tak jak przeznaczenie.

– Nasze przeznaczenie się nie rozpadło – warknęłam, zanim zdołałam się powstrzymać. Oboje byliśmy wykończeni, przeszliśmy ciężkie chwile i nie mieliśmy czasu, aby dojść do siebie, ale nie powinniśmy się wyładowywać na sobie nawzajem. Dlatego postarałam się uspokoić, na ile to możliwe, i dodałam: – Wszedłeś do mojego pokoju, chociaż powinien być zamknięty dla

wszystkich z wyjątkiem garstki osób, które zaaprobuja moi rodzice. Czyli tutaj też musimy być razem, prawda? Jeśli przeznaczenie połączyło nas w kosmosie, to znaczy, że musi być naprawdę silne.

– Przeznaczenie sprawiło, że cię skrzywdziłem. Sprawilo, że ty mnie skrzywdziłaś. Raz za razem zbliża do nas Theo, czasem dlatego, żebyś mogła go pokochać. – Paul był wyraźnie skępowany. Jego wysoki wzrost i muskulatura sprawiały, że świat często wydawał się dla niego troszeczkę za mały. W tym malutkim pokoju musiał się czuć jak w klatce. – Jeśli nasze przeznaczenie to tylko prognoza punktów stycznych, przecinania się dwóch ścieżek, to nie łączy nas żadne przeznaczenie.

Czy to mogła być prawda? Tak często się odnajdowaliśmy – tak często się zakochiwaliśmy – i miałyby być tylko kwestią przypadku, czy będziemy razem? Nie chciałam w to wierzyć.

Ale cokolwiek łączyło Paula i mnie, nie była to historia z pojedynczym happy endem.

– To chyba przekreśla założenia twojego doktoratu – oznajmiłam ponuro. – Te dotyczące losu i matematyki.

Skrzywił się, jakby coś go zabolalo. Nigdy nie nalezy żartować z doktorantem na temat jego pracy dyplomowej, szczególnie wtedy, gdy to nie jest odpowiedni czas na żarty. Ale nie wiedziałam, co mam robić. Potrzebowałam magicznych słów, zaklęcia, scenariusza. Zapłaciłabym wszystkie pieniądze, jakie miałam lub mogłabym mieć, za właściwe słowa, jakie należałoby w tej chwili powiedzieć. Zostało mi tylko bezradne milczenie.

– W równaniach istnieją paralele. – Głos Paula był tak samo bezbarwny jak w czasach, gdy dopiero go poznawałam, a on zachowywał się tak sztywno, że nazywałam go jaskiniowcem. – Ale nie muszą oznaczać tego, co mi się wydawało. Może uwierzyłem w przeznaczenie, ponieważ chciałem w nie uwierzyć.

– Wiesz chyba, że nie jesteśmy tylko zestawem równań. – Sięgnęłam do naszych najlepszych wspomnień, chociaż teraz wydawały się takie odległe. – Tamten wieczór, kiedy robiliśmy lazanie, albo wycieczka do Muir Woods, albo walentynki... To wszystko dzialo się naprawdę.

– Zakochałaś się we mnie w innym wymiarze – przypomniał, nie patrząc na mnie. – Może tak naprawdę zawsze chodzilo o porucznika Markova. Może zamiast twoim przeznaczeniem jestem tylko... przystankiem po drodze.

No dobrze, wiedziałam, że dużo przeszliśmy, a Rosjanie mają skłonności do fatalizmu i tak dalej, ale tego było już za wiele.

– Nie mów tak! Nie widzisz, że przemawia przez ciebie rozszczepienie? Ignorujesz wszystko to, co zrobiliśmy razem. Wszystko, czym byliśmy. Czy może nigdy nie byłam dla ciebie niczym więcej niż tylko matematycznym równaniem?

To miało być pytanie retoryczne. Najwyraźniej Paul nie odebrał tego w taki sposób.

– Matematyka nie kłamie – odparł. – W odróżnieniu od naszych uczuć.

Byłam zbyt sfrustrowana, żeby odpowiedzieć. Bez jakiegoś wielkiego kosmicznego przeznaczenia, które by nas miało łączyć, Paul... nie wierzył w nas.

Mówił dalej, wpatrując się w swoje buty.

– Oszukujemy sami siebie wiarą, że możemy mieć to, na czym nam najbardziej zależy. Ale nie zawsze tak jest. Teraz już to wiemy.

– Przestań mówić o nas jak o eksperymencie z fizyki!

– Nie podchodzisz do tego logicznie – odparł Paul.

Kiedy naukowiec ci mówi, że nie podchodzisz do czegoś logicznie, natychmiast zakończ dyskusję, ponieważ on właśnie przekalibrowuje skalę tak, żebyś na pewno przegrała.

Przyciągnęłam kolana do piersi i skuliłam się w rogu łóżka.

– Nie musisz przeprowadzić jakichś eksperymentów z Firebirdem?

Paul miał chyba ochotę coś jeszcze powiedzieć, ale zamiast tego wyszedł nieszczęśliwy, mimo że miał okazję uratować świat.

Kiedy tylko drzwi się za nim zamknęły, wzięłam swojego Firebirda i spróbowałam przeskoczyć dalej z tego ponurego wymiaru.

Nie udało się. Tkwiałam tutaj i dryfowałam w kosmosie, rozpaczliwie daleko od domu.

Walentynki były zaledwie kilka miesięcy temu. Mnóstwo ludzi, łącznie z moimi rodzicami, jest zdania, że to głupie i sztuczne święto, wymyślone po to, żeby sprzedawać kartki z życzeniami, a jeśli dbasz o swój związek tylko przez jeden dzień w roku, to masz poważny problem. Wydawało mi się, że się z nimi zgadzam, aż do chwili, gdy Paul przyniósł mi czerwone róże i czekoladki.

– Wydawało mi się, że tak należy zrobić – powiedział, kiedy siedzieliśmy przytuleni na werandzie z tyłu domu, przy ogniu rozpalonym w małym przenośnym palenisku. Narzuciliśmy na siebie jedną kołdrę, dzięki której byliśmy bliżej. Tego wieczoru nawet niebiesko-pomarańczowe lampki w kształcie tropikalnych rybek, przywiezione przez Josie, wydawały się w jakiś

sposób romantyczne. – Zawsze tak pokazywali w filmach. Ale po drodze Theo powiedział mi, że to sztampowe.

Paul przede mną nie zawracał sobie głowy romansami i właśnie dlatego tak cenił porady Theo.

– Theo prawdopodobnie podarowałby wybrance piwo rzemieślnicze i czapkę bejsbolówkę. – Z przyjemnością wyłuskałam kolejną czekoladkę z szeleszczącego papierka. – Zawsze, ale to zawsze jest odpowiednia okazja, żeby dać mi czekoladki. Zapamiętaj to sobie.

Pokiwał głową z powagą.

– Zawsze.

– Podobały ci się książki?

Obawiałam się raczej o moje prezenty. Dorastałam w otoczeniu naukowców, więc poznałam praktycznie cały nerdowski kanon, zanim skończyłam dwanaście lat. Razem z mamą oglądałyśmy *Star Trek: Następne pokolenie* na Netfliksie, a razem z tatą potrafiliśmy odegrać zabójczy skecz Monthly Pythona ze zdechłą papugą. Ale Paula – przeskakującego klasy, pozbawionego życia towarzyskiego i otoczonego ludźmi starszymi od niego – ominęło dużo przyjemnych rzeczy.

– Słyszałem o *Diunie* – powiedział, spoglądając na powieści ułożone przy palenisku. – I zawsze chciałem poczytać Ursulę LeGuin. Ale ten przewodnik... Co to ma być? Poradnik autostopowicza?

– *Autostopem przez galaktykę*. Lektura obowiązkowa. Wyjątkowo zabawna. – Przynęłam się do niego bliżej, tak że nasze nosy prawie się stykały. – Powinieneś się więcej śmiać.

– Wcześniej nie miałem specjalnie powodów do śmiechu. – Jego szerokie dłonie przeczesały moje włosy. – Nikt nigdy nie uczynił mnie tak szczęśliwym.

– Ja mogę powiedzieć to samo – szepnęłam.

Kochać Paula to było tak, jakby zapalił wewnątrz mnie świecę, a ten wewnętrzny blask rozjaśniał cały świat.

Paul przyciągnął mnie bliżej, pocałował w skroń i wyszeptał:

– Ten ogień przypomina mi daczę.

Naszą jedyną noc namiętności. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, jaką cenę trzeba było za to zapłacić. Wracałam do tego wspomnienia jak do godzin niezmaconego szczęścia.

– Mnie też. Udawajmy, że znowu tam jesteśmy.

Jego oczy pojaśniały. Nie proponowałam, żebyśmy uprawiali seks na werandzie – rany, te drzazgi – ale wiedział, jak bardzo chciałam, żeby mnie

pocałował, a kiedy już zaczęliśmy się całować, wydawało się, że nigdy nie skończymy.

Od walentynek dzieliły nas niecałe trzy miesiące. W tak krótkim czasie miałam już złamane serce i nie byłam pewna, czy Paul i ja kiedykolwiek jeszcze będziemy razem. Byłam nieszczęśliwa i na orbicie geosynchronicznej. Super.

Rodzice zaproponowali, żebym zjadła śniadanie w „mesie”, zgodnie z teorią, że socjalizowanie się dobrze mi robi. Przyszłam tam wcześniej tylko dlatego, że nie potrafiłam znieść już ani sekundy zamartwiania się w pustym białym pudełku, jakim był mój pokój. Kiedy weszłam, pora śniadania właśnie się kończyła. Grupa ludzi w kombinezonach wychodziła ze środka, rozmawiając o rozbłyskach słonecznych oraz o tym, że jakaś Min-Ji zerwała z Cedrykiem. Ktoś pomachał do mnie, więc odmachalam. Czy byliśmy przyjaciółmi? Znajomymi? Podejrzewałam, że tutaj wszyscy znają wszystkich.

Widok czyichś jasnych włosów sprawił, że zamarłam. Mózg wyszeptał *Romola* – podwładna Wyatta Conleya w co najmniej pół tuzinie światów, włącznie z Centralą. Ale nie, to był ktoś inny. Uniwersum Kosmiczne było jednym z wymiarów, w których nie musiałam się nią przejmować.

Najwyraźniej to było całe szczęście, na jakie mogłam na razie liczyć.

Kiedy siedziałam przy stole i popychałam po blaszanym talerzu jajecznicę z jajek w proszku, do jadalni wszedł Paul. Musiał spędzić taką samą samotną i nieszczęśliwą noc jak ja, ale jego twarz niczego nie wyrażała. Jeśli ktoś nie znał go dostatecznie dobrze, uznałby, że jest zimny. Paul już nie oczekiwał, że będę dla niego źródłem jakiegokolwiek pociechy, ale ja nie potrafiłam o tym nie myśleć. Moje rozdarte na dwie części serce wiedziało tylko, że jego druga połówka jest tuż obok, i tęskniło do niego tak rozpaczliwie, że czułam ból w piersi.

Czy my... zerwaliśmy? To słowo brzmiało tak dziecinnie w zestawieniu z okropną przepaścią, jaka otworzyła się między nami. Kiedy jednak zastanowiłam się nad dosłownym znaczeniem tego powiedzenia, zabrzmiało bardzo prawdziwie. Zerwaliśmy ze sobą. Coś między nami zostało przerwane. Nie da się tego więcej połączyć.

Paul usiadł obok na plastikowej ławeczce.

– Jak się czujesz? – Sposób, w jaki to mówił, jasno dawał do zrozumienia, że to tylko zdawkowa grzeczność i nic więcej.

Jeśli chciał rozmawiać o sprawach nieistotnych, to proszę bardzo.

– Cóż, dzisiaj rano przekonałam się, że wymagane ćwiczenia fizyczne

na stacji kosmicznej oznaczają trzy cholerne godziny siłowni dziennie. Podobno ma to jakiś związek z gęstością kości, nie żeby mnie to obchodziło po godzinie na bieżni.

Paul otworzył usta zapewne po to, żeby wyjaśnić, o co chodzi z gęstością kości. Rzuciłam mu spojrzenie mówiące „żadnych naukowych teorii”. Dzięki moim rodzicom byłam w tym bardzo dobra, w każdym razie dostatecznie, by Paul nic nie powiedział.

– Dobra. – Dalej poszturchiwałam jedzenie. – Jakież postępy?

– Wydaje mi się, że tak – oznajmił, czym mnie zaskoczył. To była pierwsza przyjemna niespodzianka od dłuższego czasu. Paul mówił dalej. – Twoja teoria o zatraskiwaniu drzwi, zakładająca, że oni uznali, że im nie pomożesz, więc starają się odciąć cię od wszechświatów, które mają ulec zagładzie... wydaje mi się, że jest prawdziwa.

– To znaczy, że Uniwersum Egipskie i Londyńskie są już spisane na straty?

– Może nie. Ja mogę wrócić do nich obu. Podobnie jak Theo, a nawet twoi rodzice mogliby przeskoczyć do Uniwersum Egipskiego, jeśli w porę skonstruują nowego Fireborda, i wykorzystają dostępne materiały, żeby zrobić stabilizator.

– Czy pokażesz mi, jak zrobić stabilizator?

– Ten termin jest tak właściwie nieprawidłowy, ponieważ „stabilizowanie” to tylko część... – Miał wyraz twarzy taki jak zwykle, kiedy się zorientował, że za głęboko zabrnął w rozważania naukowe, a ja się pogubiłam. – Obawiam się, że to urządzenie jest dość skomplikowane. Możemy ochronić wszechświat, zwiększając asymetrię stosunku materii i antymaterii. Firebird może to zrobić, jeśli zwiększymy jego moc działania. To, co nazywamy stabilizatorem, tak naprawdę zwiększa moc Fireborda, tak żeby to on mógł zadziałać jak stabilizator. Później zostanie opracowany bardziej precyzyjny termin naukowy.

Mama i tata będą szczęśliwi, wymyślając żartobliwe skrótowce – a może wybiorą coś jeszcze z rosyjskich legend, żeby było prawidłową nazwą. Ale przynajmniej wiedziałam, że zmierzamy już we właściwym kierunku.

– Dobrze. Czyli jesteśmy o krok od pokrzyżowania planów Triadu.

Paul skinął głową, ale dodał:

– Musimy założyć, że w jakimś momencie Triad weźmie pod uwagę utworzenie kolejnego podróżnika doskonałego.

– Ale oni nie chcą wciągać w spisek nikogo więcej. Conley wysłał mnie, żebym przeprowadziła sabotaż w wymiarach, które mogłyby stworzyć technologię Firebirdów, pamiętasz? Triad nie chce się dzielić swoją władzą.

– Przyjmujesz, że działaliby otwarcie, co jest nieracjonalnym założeniem. – Kiedy Paul nie wiedział, jak powinien się zachowywać, stawał się właśnie taki: superprecyzyjny, naukowy, niemal lodowaty. Irytowało mnie to dawniej, zanim zrozumiałam, że robi to, aby ukryć swoje poczucie wyobcowania. Za tą sztywną fasadą czuł się samotny tak samo jak ja. – Najbardziej prawdopodobny scenariusz byłby taki, że Conley zrekrutuje potencjalnego podróżnika, wykorzysta go, żeby zrobić tę samą brudną robotę, jaką planował dla ciebie, a potem zdradzi tego podróżnika i zniszczy jego wymiar.

Teraz, gdy Paul powiedział to na głos, nie wiedziałam, dlaczego wcześniej na to nie wpadłam.

– Cholera – mruknęłam, pozwalając, żeby mój widelec spadł na talerz. – Nigdy nam się nie uda ich powstrzymać.

– Może nam się udać. Gdyby już stworzyli następnych podróżników, raczej nie byłiby tak skoncentrowani na ograniczaniu twojej strefy wpływu. Ale musimy działać szybko.

– Okej. – Mogłam sobie z tym poradzić. Pomagało mi, że koncentruję się na czymś w większej skali, na niezliczonych życiach, których los zależał od tego, czy Paul i ja zdołamy im pomóc. – Jak idą prace nad stabilizatorem?

– Myślę, że dzisiaj będę mógł zacząć go konstruować. Ten wymiar, Uniwersum Kosmiczne, posłuży nam jako miejsce próby generalnej. Za kilka godzin powinienem mieć dane potrzebne do skonfigurowania wersji testowej. – Zrobił gest sugerujący, że urządzenie jest z grubsza koliste, tak żeby można było w nie włożyć Firebirda. – Potem spróbuję, a jeśli to zadziała...

– Wtedy wyruszymy w podróż po multiwszechświecie, ratując ludzkie istnienia i przeszkadzając Triadowi. – Może będę miała tę satysfakcję, że z twarzy Wyatta Conleya na zawsze zniknie ten uśmieszek samozadowolenia. – Od razu wrócisz do Uniwersum Egipskiego i Londyńskiego, prawda? Chciałabym, żebyś to zrobił.

Paul zmarszczył brwi.

– Kolejność najprawdopodobniej nie gra roli. Dlaczego chcesz, żebym potraktował te dwa priorytetowo?

– Ponieważ zawiódłam tamte Marguerity. Miałam szanse je uratować i nie zrobiłam tego.

– To nie twoja wina. – Jego głos stał się łagodniejszy i przez moment brzmiał tak, jakby nadal we mnie wierzył. Nie wiem dlaczego, ale to zabolalo bardziej niż jego chłód. To było chwilowe złudzenie, że jest taki jak dawniej, my jesteśmy tacy jak dawniej, a rozdźwięk między nami był tylko złym snem. –

Znalazłaś się w sytuacjach, z których nie było ucieczki.

Może miał rację, ale to nie przeszkadzało poczuciu winy przygniatać mnie z każdą sekundą, z każdym oddechem.

– Pomyślałam tylko, że to byłby sposób, aby... oddać przynajmniej część ich pamięci. Ocalimy je przed całkowitym wymazaniem, jeśli ocalimy ich wymiary, wiesz? Nadal będą miały ludzi, którzy będą je pamiętać. Nadal będą prawdziwe. I nadal będą ważne, ponieważ odegrały jakąś rolę w uratowaniu całych ich wszechświatów.

Paul zastanowił się nad tym i skinął głową.

– Zacznę od tych dwóch.

– Dziękuję. – Odetchnęłam głęboko i skoncentrowałam się na czekającym nas zadaniu. – Uniwersum Kosmiczne będzie bezpieczne, ponieważ zajmiesz się tutaj wszystkim, a ja już ocaliłam tę Marguerite. Przynajmniej to możemy od razu odhaczyć na liście.

Kiedy tylko skończyłam to mówić, zaczęły błyskać czerwone światła. Rozległo się wycie alarmu, a syntetyczny głos oznajmił:

– Nastąpiło nieodwracalne przeciążenie mechanizmu odsysania plazmy. Nastąpiło nieodwracalne przeciążenie. Cała załoga do jednostek ewakuacyjnych. Powtarzam. Nastąpiło nieodwracalne przeciążenie.

Odsysanie plazmy? To znaczy, chodzi o to miejsce, z którego przeskoczyła Zła i w którym ja się znalazłam?

Zalała mnie fala strachu – czystego, śmiertelnego przerażenia, jakby na moim gardle znowu zaciskały się dłonie Theo. Zła miała plan awaryjny. Przygotowała drugą pułapkę – sabotaż pozwalający w dowolnym momencie zniszczyć całą stację kosmiczną.

Za chwilę zostaniemy wyrzuceni w bezkresną przestrzeń, a ja w żaden sposób nie mogę tego powstrzymać.

Rozdział dziesiąty

– Nastąpiło nieodwracalne przeciążenie – powtarzał syntetyczny głos, jakby wszyscy nie wpadli już w panikę. – Przygotować się do opuszczenia stacji.

Paul i ja wypadliśmy z mesy i zobaczyliśmy astronautów biegnących w różne strony. Wszyscy wiedzieli, co mają robić i dokąd iść. My nie mieliśmy pojęcia.

– Jednostka ewakuacyjna – powiedziałam. – Jeśli pójdziemy za innymi, znajdziemy ją.

– Chodź.

Złapał mnie za rękę i pobiegliśmy w stronę, w którą kierowała się chyba większość ludzi. Ale wtedy głośniki zapiszczały, a syntetyczny głos urwał w pół słowa.

Zamiast niego usłyszałam moją matkę.

– Mówi kapitan Kowalenka. Statek powinien opuścić tylko personel dodatkowy. Może uda nam się zlokalizować dekompresję, ale tylko jeśli reszta z was natychmiast wróci na swoje stanowiska.

Mama musiała być naprawdę dobrym szefem, ponieważ prawie wszyscy od razu skierowali się z powrotem.

– Ja jestem dodatkowa – oznajmiłam. – Najprawdopodobniej.

– Ja będę potrzebny – odpowiedział Paul. To bez wątpienia była prawda, ale mimo wszystko zabrzmiał wyjątkowo arogancko. Zaraz jednak odwrócił się i położył mi ręce na ramionach. – Uciekaj stąd, dopóki możesz. Ratuj tę Marguerite. Ratuj siebie.

Chociaż bardzo – nawet nie wiecie, jak bardzo – chciałam się już znaleźć na pokładzie jednostki ewakuacyjnej, nie wiedziałam, czy mogę opuścić „Astraeusa”, gdy moi rodzice i Paul nadal znajdowali się na pokładzie. Czy Marguerite z tego świata ewakuowałyby się i zostawiła ich tutaj? Jakoś w to wątpiłam.

– Idź już. Zobacz, czy uda ci się zorientować, czego od ciebie oczekują – powiedziałam do Paula.

Pobiegł przed siebie. Chociaż nie wiedział, co należy robić w takiej sytuacji, być może jego genialny umysł zdążył się już tego domyślić. Albo może przypomnienie szybko wygaśnie i Paul z tego wszechświata powróci w samą porę, by wziąć się do roboty.

Dla mnie wybór był jeszcze bardziej niepewny. Nie wiedziałam, czy

powinnam uciekać, czy też pozostać i przydać się do czegoś, ale prawda była taka, że nawet nie wiedziałam, co powinnam zrobić, żeby dokonać tego wyboru. Ostatecznie pobiegłam dalej w kierunku, który wybraliśmy z Paulem, z nadzieją, że znajdę większą liczbę ludzi, zorientuję się, dokąd idą, i wtedy podejmę decyzję.

Skręciłam za róg i zobaczyłam mamę pracującą gorączkowo przy panelu komputerowym. Musieli przekazać jej sterowanie do najbliższego interfejsu. Chociaż pisała coś z naddźwiękową szybkością, zauważyła mnie kątem oka.

– Co ty tu jeszcze robisz?

– Nie chciałam cię zostawiać – odparłam, co było prawdą.

Zamierzałam jednak zrobić to, co mi teraz poleci. Chociaż nienawidziłam myśli o tym, że zostawię moją rodzinę, przybyłam tutaj, żeby uratować tę Marguerite, a nie, żeby wpakować ją w jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Mama wskazała ruchem głowy najbliższą konsolę.

– Zajmij się komunikacją z Ziemią. Powinnaś sobie z tym poradzić.

O cholera. Podeszłam do konsoli i uruchomiłam na próbę interfejs. Ku mojemu zaskoczeniu wydawał się naprawdę prosty. Trochę tak jak uczenie się obsługi iPhone'a – w kilka minut z laika stajesz się ekspertem. Wystarczyło kilka dotknięć, żeby wysłać odpowiednie wywołania do inżynierów, operatorów i na alias kapitan_astraeus (czyli do mamy). Zadanie do wykonania sprawiło, że poczułam się silniejsza.

Mama nie przerywała pracy, ale powiedziała:

– Muszę cię o coś zapytać.

Czy to dobra pora na pogawędki matki z córką?

– Tak, jasne.

– Czy wczoraj, kiedy znalazłaś się w komorze odsysającej... Czy ty to zrobiłaś?

Żołądek mi się zacisnął.

– Nie pamiętam, żebym to robiła – powiedziałam uczciwie. – Ale myślę, że tak.

– Marguerite. – Nigdy nie słyszałam, żeby mówiła moje imię w taki sposób, z takim bólem i żalem.

– Przepraszam. Okropnie przepraszam. Nie powinnam była tutaj w ogóle być.

Powinnam była już znaleźć sposób na powstrzymanie Triadu. Gdyby mi się udało, twój świat nie znalazłby się w niebezpieczeństwie. Ta stacja kosmiczna nie byłaby zagrożona. Ale mnie się nic nie udaje. Boże, mamo, okropnie cię przepraszam.

Syreny nadal wyły. Mama dalej pisała. Po kilku sekundach znowu się odezwała:

– Powiedziałaś nam, że powinnaś być obserwowana. Starłaś się nas ostrzec, że coś jest z tobą nie tak. Nie możemy cię o nic obwinać.

To, że mama bierze odpowiedzialność za podstęp Złej i moje błędy, to było już za dużo. Chciałam się z nią zacząć kłócić, ale właśnie wtedy wyłączyła się grawitacja.

W filmach to zawsze wygląda jak ta magiczna chwila prosto z disnejowskiego Piotrusia Pana – możesz latać, możesz latać! Astronauci uśmiechają się i koziółkują, jakby przebywanie w stanie nieważkości było najlepszą zabawą wymyśloną przez człowieka. Ja czułam się, jakbym została wyrzucona z wirującej karuzeli – dezorientowana i zbyt oszołomiona, żeby normalnie funkcjonować. Tylko ciemny sufit z migającymi czerwonymi światłami podpowiadał, gdzie może być „góra”. Mój żołądek zaczął się buntować, wysyłając do gardła nową falę mdłości.

Stopy mamy unosiły się teraz nad jej głową, ale po prostu wyciągnęła z paska linkę, zaczepiła ją o jeden z tych uchwyty na ścianie i pisała dalej. Czy pasek przy moim skafandrze miał coś podobnego? Tak, i teraz na nowo zauważyłam, że te uchwyty były wszędzie. Przypięłam się i dalej pracowałam na moim ekranie, ustanawiając komunikację z Ziemią tak szybko, jak to możliwe.

Na ekranie zamrugła nowa wiadomość, której wcześniej nie widziałam: Główna Kontrola Misji do „Astraeus Ł”. Jeśli „Ł” to był skrót od „łączność”, to połączenie było do mnie. Postukałam ekran, co wydawało się sposobem odpowiedzi...

...i zatłoczony okienkami ekran wypełniła twarz Wyatta Conleya.

Czy to on ma nam teraz pomagać? Już po nas.

– Łączność, z tej strony Kontrola – odezwał się Conley. – Nie możemy się połączyć z Kovalenką. Czy została ranna w wyniku powstałej usterki? *Over*.

– Jest tak jakby trochę zajęta! Mamy tu poważny kryzys, gdybyście nie zauważyli. *Yyy, over*.

Westchnienie irytacji Conleya było wyraźnie słyszalne nawet w kosmosie.

– Potrzebujemy oficjalnego raportu.

– Nie, potrzebujecie działającej stacji kosmicznej i żywych astronautów!

Moja odpowiedź była częściowo blefem, ale o dziwo, dotarła do niego.

– Czy możecie przełączyć część funkcji kontrolnych do Houston? Moglibyśmy przejąć część waszej roboty.

Nie miałam pojęcia, czy to w ogóle możliwe, ale najwyraźniej moja matka

go usłyszała.

– Przełączę kontrolę atmosferyczną! – zawołała przez ramię. – Jeśli uda im się to ustabilizować, dopóki nie pozamykam szybów odsysających, mamy szansę.

– Słyszałeś? – zapytałam Conleya na ekranie, a on skinął głową.

Ten Wyatt Conley nie był wrogiem. Tutaj znalazł lepsze zastosowanie dla swojego geniuszu. Przynajmniej taką miałam nadzieję.

Scena w korytarzu „Astraeusa” zaczęła przypominać płótno Salvadora Dali. Krople ciemnego płynu, najprawdopodobniej kawy, unosiły się w postaci idealnych kulek. Tuż nad podłogą przepłynęła tenisówka ciągnąca za sobą sznurowadła. Moje włosy skręcały się i kołysały wokół mnie, jakbym miała na głowie osobistą chmurę burzową. Zaniepokojone głosy stawały się coraz wyższe, a ja instynktownie napięłam mięśnie, zanim jeszcze usłyszałam, jak mama klnie po rosyjsku.

W następnej chwili miałam wrażenie, jakby ktoś wypchnął spod nas stację. Uderzyłam w przeciwległą ścianę, mama wpadła twarzą na swój ekran. Stłumione wibracje rozeszły się po całym kadłubie „Astraeusa” i jeśli mieliśmy zginać, to szybciej niż początkowo przypuszczałam.

Ale nadal oddychałam. Po kilku ciągnących się w nieskończoność sekundach wibracje ustały. Mama popatrzyła na ekran i westchnęła ciężko z ulgą i żalem.

– Straciliśmy główny generator słoneczny, ale zachowaliśmy systemy atmosferyczne i alternatywne źródła zasilania. To daje nam szansę na całkowitą ewakuację i potencjalnie odzyskanie części aparatury. – Odwróciła się do mnie z oczami czerwonymi od powstrzymywanych łez. – Połącz mnie z Houston. Muszę osobiście im zgłosić, że straciliśmy „Astraeusa”.

Niczego nie straciliśmy! – chciałam zaprotestować. – *No dobrze, popsuł się, ale pewnie go kiedyś naprawicie. No i wszyscy przeżyli. To powinien być sukces.*

W tym momencie uświadomiłam sobie, że mama musi zgłosić, iż jej poważnie niepoczytalna córka doprowadziła do zniszczenia stacji.

Jak w odrętwieniu pracowałam szybko nad ekranem. Po krótkiej chwili na jej ekranie pojawił się Conley. Odepchnęłam się i popłynęłam w głąb korytarza, dostatecznie daleko, żeby nie musieć tego słuchać.

Marguerite z tego świata będzie musiała zapłacić wysoką cenę za to, co się tutaj stało. Czy zostanie umieszczona w zakładzie zamkniętym? Czy będzie leczona? Jakiegokolwiek kuracji by nie wybrali, będzie nieodpowiednia, ponieważ nic jej nie dolega. Miała po prostu tego pecha, że najpierw Zła, a potem ja przejęliśmy jej ciało. Oczywiście przypomni sobie prawdę, ale czy po tym wszystkim, co tu się stało, ktokolwiek jej uwierzy, kiedy zacznie opowiadać, że

została opętana przez podróżniczkę z innego wszechświata?

Może Paul ocali jej wymiar. Może ja ocaliłam jej życie w dosłownym znaczeniu. Ale pod każdym innym względem – pod względem wszystkiego, co sprawiało, że życie było dobre, miało się powód, by żyć – mogłam ją zniszczyć.

W ciągu kilku godzin przywrócono grawitację i mogła się zacząć zaplanowana ewakuacja. Ludzie szli korytarzami, niosąc torby z rzeczami i szykując się do powrotu na Ziemię na miesiące lub lata wcześniej, niż zamierzali to zrobić. Niektórzy szeptali po drodze do siebie, że córka pani kapitan miała załamanie nerwowe. Trudno w to uwierzyć. Była na orbicie razem z całą rodziną. Jeśli to nie miałyby jej pomóc, to co by pomogło?

Tymczasem ja siedziałam w małym pokoju w sekcji medycznej, najwyraźniej służącym także za celę dla przestępców i osób niebezpiecznych. Cieszyłam się, że wróciła grawitacja, w dużym stopniu dlatego, że byłam tak zdenerwowana, że mogłam zwymiotować, a ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam, były unoszące się w powietrzu wymioty.

W tym pokoju było okno, więc zmusiłam się, żeby przez nie wyjrzeć. Zobaczyłam uszkodzenia stacji – część, którą sabotowała Zła, była zgnieciona i asymetryczna, jak paskudny wrzód pomiędzy srebrzystymi łukami „Astraeusa”. Równie dobrze takie szkody mogła wyrządzić zaciśnięta pięść rozniewanego olbrzyma. Cokolwiek ważnego dla działania stacji kosmicznej się tam mieściło – cóż, już nie istniało.

Drzwi wydały dźwięk oznaczający, że ktoś otwiera zamek. Wstałam, gotowa na pojawienie się kosmicznej policji czy też kogoś innego, kto miałby mnie aresztować. Kiedy zamiast tego zobaczyłam Paula, poczułam wzbierającą nadzieję.

A jednak jego twarz była nieruchoma, jak wykuta z kamienia.

– Muszę się spieszyć. – Wszedł do środka, nie do końca zamykając za sobą drzwi. Wokół jego oka zaczęły się pojawiać czerwono-fioletowe początki siniaka. – Nikt mi nie zabronił tu wchodzić, ale domyślałam się, że to wbrew zasadom.

– Nic ci nie jest. – Chciałam dotknąć jego ramienia i upewnić się, że nadal tu jest, ale czy w ogóle miałam jeszcze prawo, by to zrobić? Czy byliśmy jeszcze razem? Nie wiedziałam. To pewnie nie powinno się liczyć w obliczu tego wszystkiego, co właśnie się działo, ale miało znaczenie. Zamknęłam oczy. – Czy ktoś zginął?

– Nie, ale sporo osób zostało rannych po wycieku plazmy do rdzenia generatora słonecznego. Niektórzy ciężko.

– Mówisz, jakby to nie było nic takiego.

Ponosiłam częściową odpowiedzialność za tych rannych. Nie, nie byłam sabotażystką, ale powinnam była się domyślić, że Zła będzie miała plan awaryjny. Pułapki ukryte w pułapkach były dla niej codziennością. Byłam zła na siebie, że tego nie zauważyłam, zła na Paula, że jest taki zimny i bezduszny. Objęłam się ramionami i nie patrzyłam na niego.

Paul tylko odwrócił głowę. To zabolalo, ale zorientowałam się, że on mnie nie ignoruje, tylko zajął się komputerem doktor Singh.

– Nie zdążyła się wylogować – mruknął, przeszukując jej pliki.

Jedno energiczne uderzenie w klawiaturę wyświetliło na ekranie coś wyglądającego jak zapis z sejsmografu – poszarpane zygzakowate linie, gęsto upakowane. Na dole widniał podpis: CAINE, MARGUERITE K.

– To jest zapis aktywności twoich fal mózgowych?

– Tak, to jest to.

– Czego użyła, żeby to wygenerować? Mają tutaj tomograf czy...

– Tutaj postawili na prostotę. – Już się zorientowałam, czego chce Paul i dlaczego jest to dla niego najważniejsze.

Z której szuflady doktor Singh wyciągnęła tę opaskę z czujnikami? Znalazłam ją i podałam Paulowi srebrzysty półokrąg.

Podłączenie czujników do komputera okazało się tak proste, jak podłączenie zestawu słuchawkowego do telefonu przez Bluetooth. Paul położył się na jednej z leżanek, ja nacisnęłam przyciski i...

O Boże.

Mój skan mózgu wyglądał jak upakowane ciasno zygzaki, podobno dwa razy gęstsze, niż powinny być, ale poza tym normalne. Skan Paula był czystym chaosem. Linie rozbiegały się we wszystkie strony, jakby ktoś uderzył pięścią w środek ekranu i go roztrzaskał. Obramowanie wykresu zrobiło się czerwone, a małe okienko w rogu poinstruowało: **SPRAWDŹ POPRAWNOŚĆ DZIAŁANIA PRZYRZĄDÓW.**

Przyrządy działały prawidłowo. Ten chaos naprawdę był w głowie Paula. Właśnie tak wpłynęło na niego rozszczepienie.

Paul i ja wpatrywaliśmy się w ekran komputerowy przez bardzo długą chwilę.

– Może to nie na zawsze – powiedziałam w końcu.

– Może to na zawsze.

Paul usiadł, zdjął czujnik i ostrożnie odłożył go do odpowiedniej szuflady.

Potem wstał i po raz pierwszy od kilku dni popatrzył mi prosto w oczy. Rozpacz, którą w nim dostrzegałam, była straszna.

– Rozumiesz już, dlaczego nie mogę z tobą być?

Nie. Nie, nie, nie.

– Nie do końca panuję teraz nad sobą. Nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze będę nad sobą panował. W każdej chwili coś może... pęknąć. Nie pamiętasz, jak się zachowywałem, kiedy przeskoczyłem do Uniwersum Egipskiego? Mało brakowało, a zrobiłbym ci krzywdę, chociaż nie wiedziałem na pewno, czy jesteś Złą, czy sobą. – Głos Paula zadrżał, ale tylko na chwilę. – Proszę, Marguerite. Muszę żyć ze wspomnieniami moich innych wersji, które cię skrzywdziły. Nie narażaj się znowu na niebezpieczeństwo. Pozwól mi odejść.

Chciałam się z nim kłócić, ale przypominające pajęczynę wzory na ciągle włączonym monitorze mówiły mi, że tu nie chodzi tylko o fatalizm Paula. To, co się z nim stało, i wszelkie konsekwencje były bardzo, bardzo prawdziwe.

Pewnego razu Josie powiedziała mi coś ważnego: „Kiedy ktoś mówi ci, jaki jest, uwierz mu”. Jeśli facet mówi ci, że nie potrafi ufać kobietom, nie zakładaj, że po prostu miał złe doświadczenia, a ty wszystko naprawisz, bo będziesz najmilszą, najlepszą kobietą na świecie. Mówisz wtedy: „Dzięki za ostrzeżenie. Życzę szczęścia. Miło było cię poznać”. A potem odchodzisz i się nie oglądasz. Dlatego, jeśli ktoś mówi, że mógłby cię skrzywdzić, nie czekaj, aż to udowodni.

Paul powiedział, że jest niebezpieczny. To nie była jego wina i być może nie będzie taki już zawsze, ale musiałam mu uwierzyć. Powinnam mu zaufać właśnie dlatego, że on nie mógł ufać samemu sobie.

Chociaż to była ostatnia rzecz na świecie, jakiej bym pragnęła, musiałam pozwolić Paulowi odejść.

– Dobrze – szepnęłam i cofnęłam się.

Zamrugał z zaskoczenia. Na pewno spodziewał się większego oporu. Te pierwsze kilka sekund ciszy rozbrzmiewało echem wszystkich naszych wspólnych wspomnień, wszystkich chwil, które powinniśmy przeżywać razem. Multiwszechświat znowu się podzielił, tworząc przyszłość, w której Paul i ja nie byliśmy razem... A ja będę musiała żyć w tej przyszłości.

Paul odetchnął głęboko i znowu wszedł w tryb naukowca. Być może w ten sposób było mu łatwiej sobie z tym radzić.

– Musimy się skoncentrować na rzeczywistościach kwantowych, które wymagają naszej ochrony. Przeskocz dalej, kiedy tylko to będzie możliwe. Ja zostanę tu na tyle długo, żeby przetestować funkcje stabilizujące Firebirda. Jeśli to zadziała, cofnę się do Uniwersum Londyńskiego i Egipskiego, a potem

dołączę do ciebie.

– Dziękuję, że ocalisz je w pierwszej kolejności. Że dotrzymujesz słowa.

– Marguerite... Nigdy nie złamałbym obietnicy, którą ci dałem. – Nasze oczy się spotkały, zobaczyłam cały ból, który starał się tłumić. – Nigdy. Nawet gdyby miało mnie to kosztować życie.

Przez kilka ulotnych chwil znowu byliśmy razem. Czułam to z taką samą pewnością, jak czułam serce uderzające w mojej piersi. Paul dotknął mojej twarzy, a ja zamknęłam oczy, gdy jego palce musnęły mój policzek. Kiedy się zbliżył, wstrzymałam oddech z nadzieją, że mnie obejmie, pocałuje, w jakiś sposób pożegna.

Paul musnął wargami moje czoło dotykiem tak pełnym czułości, że serce zaczęło mi się krajać. Uniosłam twarz, licząc na pożegnalny pocałunek, ale on już się cofnął. Odsunął się ode mnie.

Niezależnie od tego, czy Paul w to wierzył, czy też nie, łączyło nas coś, co można jeszcze było ocalić. Jeśli przewycięży efekty roszczenia, będziemy mieli szansę.

Odwrócił się do mnie plecami i wyjął swojego Firebirda. Bez wątplenia zaczął się zastanawiać, jak skonstruować odpowiedni stabilizator.

Z nadzieją podtrzymania tej chwilowej więzi wyznałam:

– Kiedy mama zapytała, czy to zrobiłam, przyznałam się, ponieważ wiedziałam, że ta Marguerite musi być pod obserwacją na wypadek, gdyby Zła wróciła. Ale... czy ja właśnie zmarnowałam jej całe życie?

– Zrobiłaś to, co musiałaś zrobić. – Spojrzenie Paula nadal było odległe, szarość jego oczu stała się lodowata. – Potrafisz podejmować trudne decyzje, Marguerite. Potrafisz nawet być bezwzględna. Po prostu nie chcesz się do tego przyznać.

– Nie jestem bezwzględna...

– Masz w sobie zadatki. Musi tak być. Inaczej Zła nigdy by nie zaistniała.

Miał rację. Teraz na Paula i Theo przyszła kolej, żeby osądzić moją najgorszą wersję. Osądzić mrok w moim sercu. Ponieważ kimkolwiek Zła by nie była, była mną.

Paul miał zbyt dobre serce, aby ciągnąć temat i pogarszać sprawę. Schował znowu Firebirda pod kołnierz kombinezonu.

– Muszę już iść. Przeskocz, kiedy tylko będziesz mogła, i próbuj jak najczęściej. Kiedy aresztują cię oficjalnie, zostaniesz przeszukana, a wtedy mogą znaleźć Firebirda.

– Okej – powiedziałam słabo.

Paul skinął głową, po czym wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi bez słowa pożegnania. Wydawało mu się, że dzięki temu sprawia wrażenie silnego i zdecydowanego, ale to tylko pokazało, że nasze rozstanie zabolowało go tak samo jak mnie, a może nawet bardziej.

Przepraszam – powiedziałam do Marguerite z tego świata. Zapamięta wszystko, co się działo, kiedy byłam w jej ciele – to kolejna rzecz, która wyróżnia podróżnika doskonałego. Pozostawiamy szlak wspomnień, które przejmują nasze inne wersje. Ale czy wyniki doktor Singh wystarczą, aby udowodnić, że ta Marguerite mówi prawdę o tym, co się wydarzyło?

Przynajmniej Marguerite z Uniwersum Kosmicznego będzie wiedziała, że to się stało w słusznej sprawie. Będzie wiedziała, że jej wolność została poświęcona w zamian za bezpieczeństwo całego jej wymiaru. Musiałam wierzyć, że uzna, iż to było tego warte.

Położyłam dłoń na Firebirdzie, żeby wykonać kolejną z licznych prób przeskoczenia do następnego wszechświata, i przeprosiłam tę Marguerite w myślach, chociaż byłam pewna, że jeszcze wiele razy będę powtarzać w głowie te słowa. Tym razem jednak Firebird w jednej chwili pociągnął mnie ze sobą.

Powinnam była najpierw dokończyć przeprosiny.

Rozdział jedenasty

Jakieś pół metra przede mną leżał kompletnie nagi Adam. Mam na myśli biblijnego Adama. Podpowiadał mi to wąż owinięty wokół pobliskiego drzewa. Obraz został namalowany z niezwykłą biegłością, w żywych, ale precyzyjnie wycieniowanych barwach. Dynamiczna kompozycja sprawiała, że wzrok przykuwała wyciągnięta ręka sięgająca do Boga, a wyraz oczu Adama był tak pełen emocji, jakby był żywym człowiekiem. Myślał: *Boję się, ale chcę tego.*

Gdybym zobaczyła ten obraz w muzeum, zakładałabym, że powstał w pracowni jednego z mistrzów epoki Renesansu. Z taką interpretacją były jednak dwa problemy. Po pierwsze malowidło było tak świeże, że czułam jeszcze zapach farby. Po drugie nie tylko nie znajdowałam się w galerii, ale leżałam na drewnianym rusztowaniu, płasko na plecach, a obraz widniał nade mną, tak wielki, że nie widziałam jego krawędzi.

Na czym polegało tutaj śmiertelne niebezpieczeństwo? Nic nie wiedziałam. Czy rusztowanie jest chwiejne i zaraz się zawali? Wydawało mi się całkiem solidne. W powietrzu nie czułam zapachu dymu. Moje ciało było w całkowitym porządku, bez żadnych ran czy uszkodzeń.

Ostrożnie przewróciłam się na bok, żeby przyjrzeć się ubraniu, które miałam na sobie – suknia z surowej wełny w kolorze rdzy, niewygodne buty, jakaś wstążka przytrzymująca mi włosy...

...a kiedy popatrzyłam w dół, przekonałam się, że znajduję się kilkanaście metrów nad marmurową posadzką.

Dawniej bałam się trochę wysokości, ale po tym, jak zwisałam ze statku powietrznego i znajdowałam się na orbicie Ziemi, głupie kilkanaście metrów wyglądało niegroźnie. Czy Zła liczyła na to, że przewrócę się na bok zbyt energicznie i zabiję się przy upadku? Było ją stać na znacznie więcej...

– Czy nie dostrzegasz w tym herezji? – rozległ się pełen dumy, władczy głos. Słowa odbiły się echem pod sufitem, który musiał być ogromny, chociaż widziałam tylko jego fragmenty wokół rusztowania. – Jak zamierzasz usprawiedliwić swoją mistrzynię?

Przesunęłam się na platformie tak, aby zobaczyć, kto przemawia do mnie z dołu. Pod ogromnymi kolumnami podtrzymującymi strzeliste łuki stała grupka ludzi. Większość z nich miała na sobie suknie lub togi wyraźnie bardziej wystawne od mojej. Ich ubrania miały żywe kolory, lśniły połyskiem jedwabiu

lub aksamitu. Kilka osób nosiło ciemnoczerwone sutanny i kapelusze kardynałów Kościoła rzymskokatolickiego. Nie miałam jednak wątpliwości, kto się do mnie odezwał. Była to kobieta w wysokim, stożkowym nakryciu głowy i białej szacie tak bogato zdobionej złotymi haftami, że lśniła w świetle.

Chociaż nigdy wcześniej jej nie spotkałam, domyśliłam się, kto to jest: Jej Świątobliwość papieżycy Marta III.

Witamy z powrotem w Uniwersum Rzymskim – pomyślałam.

– Czy odmawiasz odpowiedzi?! – krzyknęła. Nawet z tej wysokości widziałam, jak marszczy brwi. – Czy pochwalasz heretyckie dzieło swojej mistrzyni?

Dostatecznie dobrze znałam historię powszechną, żeby wiedzieć, że nie chcę się narażać papieżowi. Czy na tym polegał plan Złej? Rzucić mnie na pastwę Inkwizycji?

– Nie, proszę pani... Wasza Świątobliwość!

– Dlaczego zatem nie powstrzymałaś jej przed namalowaniem tej obrzydliwości? Przed przedstawieniem Adama samego w chwili Stworzenia, bez Ewy, matki ludzkości?

Papieżycy Marta pomachała złotą laską, wskazując ogromne pomieszczenie, w którym się znajdowaliśmy.

W końcu dotarło do mnie, że to Kaplica Sykstyńska – dopiero co powstała, dopiero stająca się arcydziełem. Zamiast Michała Anioła zaszczyt jej ozdobienia powierzono innemu malarzowi, a ja najwyraźniej byłam jedną z uczennic tego malarza. Pełna podziwu położyłam się znowu na plecach i popatrzyłam na obraz, w którym rozpoznawałam teraz całkowicie oryginalną interpretację stworzenia człowieka, momentu, gdy Adam dostał od Boga iskrę świadomości. Pomagałam malować Kaplicę Sykstyńską! To był absolutnie, niezaprzeczalnie najwspanialszy wszechświat, w jakim kiedykolwiek się znalazłam. Moja rozpacz z powodu rozstania z Paulem na jedną cudowną chwilę zniknęła, pozostawiając tylko czysty zachwyty.

– Nadal odmawiasz odpowiedzi! – zagrzmiała papieżycy, co przypomniało mi, że powinnam się ruszyć.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Świątobliwość! – zawołałam. – Czy wolno mi zejść na dół, żebym mogła zwrócić się do Waszej Świątobliwości bezpośrednio? Z... no... całym odpowiednim szacunkiem? – To brzmiało jak coś, co można powiedzieć do papieża.

Po chwili milczenia papieżycy Marta III odpowiedziała:

– Zezwalam.

Okazało się, że rusztowanie zostało zbudowane przez ludzi zdecydowanie przeceniających akrobatyczne zdolności większości malarzy. Potrzebowałam dłuższej chwili, żeby zejść, a kiedy mi się to udało, dyszałam ciężko ze zmęczenia. Jednak wykorzystałam ten czas, żeby się zastanowić, jak odpowiedzieć, skoro nie miałam pojęcia, kim jest moja „mistrzyni”, dlaczego papieżyca nie czepia się jej bezpośrednio i jakie mogły być przyczyny dokonanych przez nią wyborów artystycznych.

Papieżyca Marta miała najwyżej metr sześćdziesiąt wzrostu, była starszą kobietą, niemal staruszką, a jej ramiona zaczynały się garbić. Jednak wyczuwałam promieniujące z niej poczucie władzy, pewne jak źródło światła. Ta kobieta wiedziała, że przed jej gniewem będą drżeć cesarze, a w tym momencie jej gniew skierował się przeciwko mnie.

– Wasza Świątobliwość – zaczęłam. Czy powinnam dygnąć? To na pewno nie zaszkodzi. Zrobiłam tak, a potem szybko mówiłam dalej. – Jeśli dobrze rozumiem, moja... yyy... mistrzyni zamierza namalować stworzenie Ewy na oddzielnym panelu. Chce sportretować oddzielnie ojca i matkę ludzkości, zanim połączy ich, żeby opowiedzieć resztę historii Stworzenia.

Papieżyca Marta nic nie powiedziała, a jej milczenie wydało mi się złowieszcze. Jeśli Zła znalazła sposób, aby rzucić na mnie podejrzenia o herezję w czasach średniowiecznych... Cóż, należałyby jej się punkty za kreatywność. Jednak nie wydawało mi się, aby o to chodziło. Szczerze mówiąc, nie miałam wrażenia, że jestem w niebezpieczeństwie.

Zamiast strachu czułam tylko cichy smutek związany z pewnością, że Paul i ja zostaliśmy rozdzieleni... być może na zawsze.

Papieżyca oznajmiła w końcu:

– Jeśli to prawda, takie wyjaśnienie nas satysfakcjonuje. Oczekuję jednak pełnego opisu planów dotyczących sklepienia, gdy tylko mistrzyni Anuncjata powróci z Dolomitów.

Skinęłam głową.

– Oczywiście. Wasza Świątobliwość. – Musiałam pamiętać, żeby dodawać to za każdym razem.

– Trzyma swoje plany w tajemnicy, a mimo to ma czelność narzekać na to, ile jej płacimy! – Papieżyca Marta zaczęła spacerować gniewnie, a jej elegancki dwór rozstał się z szelestem jedwabów, żeby zrobić jej miejsce. – Czy ona ośmiela się targować z matką świętą? Widziałam ją noszącą złote łańcuchy, piękne suknie, a nawet klejnoty. – Papieżyca uniosła dłoń do szyi, jakby pokazywała naszyjnik, który widziała na mistrzyni Anuncjacie. Potem jej oczy

skoncentrowały się na mnie i wykrzyknęła ostro: – Spójrzcie tylko! Jest tak szczerze wynagradzana, że nawet jej uczennice mogą nosić łańcuchy!

Z tymi słowami złapała łańcuszek Firebirda i zerwała mi go z szyi.

Szlag! Większość ludzi z tego wymiaru nie zauważyłoby wcale Firebirda, ale papieżyca Marta myślała o dokładnie takiej rzeczy w tym momencie, gdy jej wzrok padł na mnie. Ponieważ myślała o czymś, co ktoś nosił na szyi, zobaczyła to, co ja nosiłam.

W pierwszym odruchu chciałam rzucić się na nią i natychmiast zabrać siłą Firebirda, ale coś mi podpowiadało, że napaść fizyczna na papieża nie skończyłaby się dobrze. Zastanowiłam się, jakie wyjaśnienie mogłoby zadziałać.

– To nie jest coś, co kupiłam – wykrztusiłam. – To... rodzinna pamiątka, Wasza Świątobliwość. Dostałam ją od mojej matki. – Co w sumie było mniej więcej prawdą. – Proszę, ja...

– Jej Świątobliwość nigdy nie odebrałaby zwyczajnej uczennicy jej cennej pamiątki – powiedziała półgłosem kobieta z otoczenia papieżyca, robiąc krok naprzód. – Jej wspaniałomyślność i szczodrość są sławione w całym świecie chrześcijańskim.

Widziałam tę damę już wcześniej, w tym świecie i kilku innych. To była Romola Harrington. Całe moje ciało stężało, ponieważ w Centrali była jedną z wielu podwładnych Wyatta Conleya. Już wcześniej przeskakiwała do różnych wymiarów, żeby mi przeszkadzać. A jednak spotykałam ją także w światach, w których była tylko sobą, a nawet moją przyjaciółką. Była kimś na najdalszej orbicie układu zawierającego moją rodzinę, Paula, Theo i Conleya – kimś, kto mógł, ale nie musiał, być z nami powiązany.

Czy Romola z Centrali przybyła tutaj, żeby zastawić na mnie pułapkę? Czy była to tylko jej wersja z Uniwersum Rzymskiego, zachowująca się tak jak zwykle?

– Powinnaś prosić o wybaczenie za to, że zwątpiłaś w łaskawość matki świętej – powiedziała Romola.

To brzmiało, jakby mnie ganiła, ale widziałam, że tak naprawdę połechtala próżność papieżyca Marty, aby sprawić, że odzyskam Firebirda.

– Oczywiście. Proszę o wybaczenie, Wasza Świątobliwość. – Znowu dygnęłam na wszelki wypadek.

Papieżyca Marta obojętnie wyciągnęła rękę i podała Firebirda Romoli.

– Proszę zwrócić tę błyskotkę dziewczynie, lady Romolo.

No nie. Romola miała teraz Firebirda. Jeśli pracowała dla Conleya, nie było mowy, żeby mi go oddała. Ale na nią mogłam się rzucić, przynajmniej kiedy już

nie będziemy w obecności papieżycy...

Nie było takiej potrzeby. Romola tylko obracała Firebirda w dłoniach z teatralnym podziwem – bez końca, niemal obleśnie – ale potem uśmiechnęła się i oddała mi go.

– Cóż za intrygujący naszyjnik. To pięknie ze strony twojej matki, że ci go podarowała.

Udało mi się uśmiechnąć, gdy wisior znalazł się w mojej dłoni.

– Tak, o pani.

Może „o pani” było lekką przesadą, ale nie obchodziło mnie to. Pławiłam się w uldze ze świadomością, że ta Romola pochodzi z tego wymiaru, a ja mam znowu Firebirda na szyi. To było malutkie zwycięstwo, które mogłam zestawić z utratą Paula.

Papieżyca Marta gestem pozwoliła mi odejść.

– Wracaj na Zatybrze, dziewczyno. Powiedz też swoim obłąkanym rodzicom, że niebawem chciałabym się przyjrzeć ich wykresom planetarnym.

– Dziękuję, Wasza Świątobliwość.

Tym razem skłoniłam się nisko i szczerze, ponieważ naprawdę nie chciałam spędzać ani chwili dłużej w towarzystwie drażliwej papieżycy. A jednak nie spieszyłam się do wyjścia. Przeszłam główną nawą w tempie spacerowym. Byłabym głupia, gdybym zmarnowała choć chwilę, którą mogłam spędzić na podziwianiu cudów powstającej dopiero Kaplicy Sykstyńskiej.

Kiedy wyszłam na zewnątrz na zalane późnopołudniowym słońcem i zatłoczone ulice Rzymu, byłam w stanie zacząć myśleć trzeźwo.

To nie była próba zamordowania mnie. Owszem, papieżyca była niezadowolona, ale jej gniew kierował się tak naprawdę przeciwko mistrzyni Anuncjacie. Poza tym nie przypuszczałam, aby któraś z nas miała zostać stracona. Michał Anioł przez całe lata zachowywał się nieznośnie wobec papieża Juliusza II i jak mi się wydaje, najgorszą karą, jaka go spotkała, było odroczenie płatności.

Dlaczego więc Zła ściągnęła mnie tutaj?

Może przez przypadek znalazła się w Uniwersum Rzymskim. Theo powiedział mi kiedyś, że niektóre wszechświaty są „matematycznie podobne” do innych, co oznacza, że jeśli w obliczeniach znajdą się najmniejsze niedokładności, lądujesz w kompletnie innym wymiarze. Zła mogła tu przeskoczyć, zorientować się, że jest w niewłaściwym miejscu, i zostać tylko po to, żeby uwięzić mnie w skazanej na zagładę stacji kosmicznej. Ponieważ nie umiała wymyślić skutecznego sposobu zabicia tej Marguerite, postanowiła

wykorzystać ten wszechświat jako celę w areszcie, a nie jako potencjalne narzędzie zbrodni.

To ma dużo sensu – powiedziałam w myślach do Paula, jakby był tutaj, żeby razem ze mną wszystkim się zająć. To naprawdę było najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie. Powinnam się raczej martwić o następny wszechświat.

Mimo wszystko dopóki pozostawałam w Uniwersum Rzymskim, musiałam się mieć na baczności.

Rozstanie z Paulem powinno mnie bardziej boleć, ale na razie miałam wrażenie, że jestem w szoku, zbyt odrętwiała, by czuć ból. Mówi się, że ludzie, którym amputowano rękę lub nogę, często czują ją jeszcze przez miesiące albo nawet lata – zakończenia nerwowe nadal wysyłają sygnały o swędzeniu i dotyku, które nie są już prawdziwe. Nazywa się to bólami fantomowymi. Może właśnie to odczuwałam teraz – to poczucie, że Paul nie mógł zerwać ze mną naprawdę, że nadal jest przy mnie.

Jest, pod najważniejszymi względami – napomniałam siebie i wyprostowałam ramiona. – *Pomaga ci uratować inne Marguerity i ochronić multiwszechświat. Dlatego skoncentruj się na tym, co ważne.*

Chociaż w rodzinnym świecie nigdy nie byłam w Watykanie, z filmów i telewizji znałam ten wspaniały staroświecki plac i katedrę, zazwyczaj przepełnione tłumem turystów. Katedra Świętego Piotra, jeśli już, wydawała się tutaj jeszcze bardziej imponująca, ponieważ inne budynki miały najwyżej po trzy piętra. Jej gigantyczna kopuła wznosiła się ponad kamienicami z cegły w ziemistym kolorze, tworzącymi nieopodal skupisko. Miasto nie zachowywało pełnego szacunku dystansu, pozbawione bruku drogi wokół Watykanu były pełne grup pielgrzymów ściskających w dłoniach różańce, handlarzy sprzedających owoce lub chleb z wozów zaprzężonych w muły oraz rozmawiających z ożywieniem mnichów w habitach. Moja poprzednia wizyta w Uniwersum Rzymskim była krótka i pełna napięcia, miała też miejsce w nocy. Ta scena pozwalała mi naprawdę przypatrzeć się czemuś, co bardzo przypominało nasze średniowiecze.

Lęk i poczucie, że powinnam się spieszyć, nie opuszczały mnie. Nadal miałam złamane serce. Nie mogłam jednak pozwolić, aby Conley i Triad przemienili Firebirda w zwyczajną broń. Możliwość zobaczenia innych światów była darem, bezcennym i niezastąpionym. Nawet teraz musiałam pamiętać o podziwieniu, ze świadomością, że stoję w całkowicie nowym świecie.

Przez chwilę szłam powoli w tłumie, głównie po to, by zapamiętać te widoki

i zapachy. Przede wszystkim zapachy. To były stare dobre czasy, zanim wynaleziono dezodorant, a do tego nikt nie zajmował się sprzątaniami po mułach. Nawet ten smród był jednak na swój sposób interesujący, bo sprawiał, że zaczynałam doceniać mój świat.

Musiałam znaleźć swój dom tutaj, w Uniwersum Rzymskim. Podczas poprzedniej wizyty nie dotarłam do niego, a teraz zupełnie nie orientowałam się w tym mieście. Średniowieczni ludzie nie przykładali większej wagi do oznakowania ulic. Kiedy minęła mnie zakonnica w komicznie szerokim kornecie na głowie, zatrzymałam ją.

– Przepraszam, siostrze, ale się zgubiłam.

Tak jak każde słowo, jakie padło w Uniwersum Rzymskim, powiedziałam to w języku, który mógł być wczesnym włoskim lub późną łaciną. Zdolności językowe wpojone we wczesnym dzieciństwie zapisywały się w pamięci tak głęboko, że podróżnicy międzywymiarowi odruchowo mówili w języku swojej wersji z danego świata.

Zakonnica uśmiechnęła się do mnie anielsko.

– Jak mogę ci pomóc, moje dziecko? Dokąd chcesz się udać?

Miałam ochotę powiedzieć, że do Zamku Świętego Anioła. Właśnie tam przebywał Paul – ojciec Paul, w tym wymiarze ksiądz, który nie powinien tego robić, ale kochał mnie rozpaczliwie. Chciałam znowu poczuć jego miłość.

Ale jeśli nie było to uczucie mojego Paula – tego, którego kochałam najbardziej ze wszystkich – to mi nie wystarczało. Już nie.

– Na Zatybrze – odparłam z nadzieją, że dobrze zapamiętałam nazwę rzuconą przez papieżycę Martę. – Czy wie może siostra, gdzie mieszkają wynalazcy?

Znalezienie Zatybrza okazało się dość proste. Była to dzielnica niedaleko Watykanu, położona u stóp wzgórza i tuż nad brzegiem Tybru. Większość miasta znajdowała się po drugiej stronie, w tym prawie wszystkie popadające w ruinę monumenty Cesarstwa Rzymskiego. Tutaj domy były skromne, z pobielonej cegły lub otynkowane w różnych odcieniach przygaszonego pomarańcza, różu i złota.

Zakonnica nie miała pojęcia, gdzie szukać wynalazców, ale okazało się, że nie potrzebuję pomocy. Na jednym z wyższych budynków zobaczyłam miedzianą kopułę rozmiarów mniej więcej Mini Coopera, z szeroką szczeliną pośrodku. Z otworu wyłaniało się coś, co musiało być pierwszym teleskopem w tym wymiarze.

No jasne, byłam w domu.

– Hej?! – zawołałam, wchodząc do środka. – Jest tu ktoś?

– Jesteśmy na górze, kochanie! – Głos mojej matki dobiegał z góry, bez wątpienia ze strychu służącego za obserwatorium.

W rogu pokoju zobaczyłam drewnianą drabinę. Samo wnętrze wyglądało jak wyjęte prosto z obrazów Vermeera, z prostymi drewnianymi meblami, obszernym kominkiem oraz zaledwie kilkoma obrazami zdobiącymi ściany. Były to moje szkice przedstawiające moją rodzinę w togach i kapeluszach.

– Polerujemy soczewki. – To był tata siedzący razem z mamą na górze. – Dziś w nocy niebo może być czyste, co oznacza, że w końcu będziemy mieli okazję przyjrzeć się Jowiszowi!

Moi rodzice: za każdym razem inni, za każdym razem ci sami. Chciałam zobaczyć ich w średniowiecznych ubraniach. Dzięki temu miałabym potem pierwszorzędny temat do żartów, kiedy już to wszystko się skończy. Chciałam poczuć, że kiedyś znowu będę mogła się śmiać.

Ale najpierw musieliśmy sobie z tym poradzić, co oznaczało, że powinnam kontynuować pościg, kiedy to tylko będzie możliwe.

Najprawdopodobniej Zła nie przeskoczyła jeszcze dalej. Ten jej poprzedni scenariusz był naprawdę pomysłowy, więc przypuszczałam, że nie będzie się spieszyć i zaplanuje wszystko dokładniej. Zastawi pułapki wewnątrz pułapek, a to nie jest coś, co można zrobić w godzinę. (Poziom rozwoju technologicznego tego świata wskazywał raczej na zegary słoneczne niż mechaniczne, więc mogłam tylko oszacować, jak długo tu jestem.) Mimo wszystko musiałam spróbować, więc usiadłam na ławie przy stole, wyjęłam spod ubrania Firebirda i nacisnęłam przyciski, żeby przeskoczyć.

Nie znalazłam się w innym wszechświecie. To mnie nie zaskoczyło.

Ale w tym momencie – dokładnie w tym momencie – ziemia drgnęła tak, że naczynia potoczyły się po podłodze, a moi rodzice krzyknęli z zaskoczenia. Słyszałam krzyki także na zewnątrz. Zaczęło się trzęsienie ziemi.

Jako mieszkanka rejonu Zatoki San Francisco, a co za tym idzie – ktoś, kto przez większość życia siedział na uskoku San Andreas, byłam oswojona ze wstrząsami. Ten, który właśnie potrząsnął Rzymem, nie był nawet aż tak silny. Mimo to zdarzył się dokładnie w chwili, gdy uruchomiłam Firebirda.

W głowie słyszałam rodziców powtarzających po raz setny, że korelacja nie oznacza związku przyczynowo-skutkowego. To, że dwie rzeczy dzieją się jedna po drugiej, nie musi koniecznie świadczyć o tym, że jedna z nich wywołała drugą.

Jednak gdy jedną z tych rzeczy jest urządzenie zdolne zniszczyć cały

wymiar...

To było skrajnie mało prawdopodobne. Wszyscy mi tak mówili, a ja znałam ich dostatecznie dobrze, żeby wiedzieć, że nigdy by się nawet nie zastanawiali nad skonstruowaniem Firebirda, gdyby to nie była absolutna prawda.

Mało prawdopodobne. Ale nie całkiem niemożliwe.

Ziemia znowu się zatrzęsała, tym razem dłużej. Dłuższe trzęsienia ziemi mają większą siłę.

A jeśli... a jeśli na tym polegał plan Złej? A jeśli znalazła sposób, żeby zniszczyć ten wymiar bez mojej pomocy, wcieliła ten sposób w życie i uciekła?

Może tym razem nie próbowała mnie zamordować. Może tym razem zamierzała zamordować cały ten świat.

Rozdział dwunasty

Daj spokój – pomyślałam, zamiatając drewnianą podłogę, kiedy wstrząsy ustały. Gdyby miał nastąpić kolaps tego wymiaru, byłoby to na pewno o wiele bardziej dramatyczne niż trzęsienie ziemi mające najwyżej pięć w skali Richtera. Poza tym nie robiłam z Firebirdem niczego dziwnego ani nadzwyczajnego. Wybrałam tę samą sekwencję, którą wybierałam tuziny razy wcześniej.

Poza tym wstrząsy ustały. Od trzęsienia ziemi minęło co najmniej dwadzieścia minut, co wystarczyło, żeby moja rodzina i sąsiedzi zaczęli sprzątać.

– Gdybyśmy tylko znali zasady rządzące powstawaniem tych wstrząsów – powiedziała mama. Była ubrana w coś, co wyglądało na codzienną sukienkę z brązowej tkaniny, a włosy miała związane wstążką, podobnie jak ja. Biorąc pod uwagę, jak niewielką wagę przywiązywała do stroju w domu, tutaj właściwie nie wyglądała szczególnie dziwnie. – Ale nigdy nie znalazłam wyjaśnienia, które mogłoby tłumaczyć wszystkie przypadki. Ludzie bez namysłu nazywają to działaniem Boga, bez zadawania sobie pytania, w jaki sposób Bóg wykonuje swoją wolę na Ziemi.

Tata miał na sobie bryczesy, luźną białą koszulę i czapkę, która do tego stopnia przypominała elfią, że pomimo wszystkich okoliczności omal nie wybuchnęłam śmiechem na jego widok. Oglądał talerze, które spadły na podłogę, w poszukiwaniu pęknięć lub wyszczerbień.

– Myślę, że to z pewnością ma jakiś związek z górami – stwierdził. – Czyż ziemia nie unosi się lub nie zapada po trzęsieniach? Czyż nie tworzą się nowe szczeliny?

– To na pewno ma związek z górami – oznajmiłam pospiesznie i wymiotłam piasek i kurz na ulicę, gdzie sąsiedzi naprawiali okiennice i uspokajali spłoszone konie. – *Właśnie, pomyśl o podręcznikowym wyjaśnieniu trzęsienia ziemi. To właśnie się stało. To nie miało nic wspólnego z twoim Firebirdem. Absolutnie nic.* – Pomyślałam, że... no... powierzchnia Ziemi jest zrobiona z ogromnych płyt tektonicznych, które pokrywają ogromne fragmenty świata. Kiedy się stykają lub rozsuwają, następują trzęsienia ziemi. Z czasem napięcie pomiędzy płytami może spowodować wypiętrzenie gór. Albo wulkanów.

Wyrazu twarzy moich rodziców, którzy zagapili się teraz na mnie, nie dałoby się opisać. Jeden raz znałam się na nauce lepiej od nich. Gdybym tylko mogła

się tym cieszyć, zamiast starać się stłumić panikę.

– To interesujące – powiedziała w końcu moja matka. – Kiedy doszłaś do takich wniosków?

O kurczę. Zaraz, jak ludzie wpadli na istnienie płyt tektonicznych?

– Yyy, no tak jakoś logicznie. Poza tym widać przecież na mapie, że Afryka i Ameryka Południowa pasują do siebie.

Moi rodzice wymienili zaskoczone spojrzenia.

– Czym jest „Ameryka Południowa”? – zapytał tata.

Uuuups.

– Och! To... to nieważne. Ale powinniście się zastanowić nad tymi płytami tektonicznymi. Założę się, że moja teoria się potwierdzi.

Wielkie i genialne umysły mamy i taty zaczęły jednocześnie pracować na pełnych obrotach, co sprawiało zwykle, że na godziny pograżali się w rozmowie, a ich światy i myśli nakładały się tak szybko, że nikt poza nimi nie miał szans tego zrozumieć.

Znowu spochmurniałam, kiedy przypominałam sobie pierwszy wstrząs i to, że nastąpił tuż po mojej próbie użycia Firebirda. Nieważne, jak przekonujące było wyjaśnienie związane z płytami tektonicznymi, ten zbieg okoliczności był zbyt wyraźny, żebym mogła go zignorować. Nie próbowałam po raz kolejny przeskakiwać dalej. Minie jeszcze sporo czasu, zanim poczuję się na tyle bezpiecznie, aby tego spróbować.

Nie zawsze musi to być związek przyczynowo-skutkowy. Ale korelacja bywa istotna z różnych powodów. Może mój Firebird tego nie spowodował. Może moje urządzenie i trzęsienie ziemi były jakoś... powiązane.

No nie. Otworzyłam szerzej oczy, kiedy przypominałam sobie coś, co Paul powiedział mi w Uniwersum Kosmicznym. Powiedział, że kiedy Triad naprawdę pogodzi się z tym, że nie będą dla nich pracować, zaczną tworzyć nowych podróżników doskonałych. Ludzi, których będzie mógł przekonać lub oszukać, namówić do zrobienia brudnej roboty – czyli niszczenia wszechświatów.

A jeśli to właśnie stało się tutaj? Jeśli coś w mojej próbie użycia Firebirda stanowiło sygnał dla innego podróżnika doskonałego, że czas rozpocząć ostateczne odliczanie?

Żołądek mi się skręcił. Musiałam się oprzeć o tynkowaną ścianę. Spróbowałam się uspokoić. Ten wymiar nadal istniał. Wstrząsy ustały. Czasem trzęsienie ziemi było po prostu trzęsieniem ziemi.

Wtedy ziemia znowu zadrżała. Nic nie spadło. Latarnie wiszące pod sufitem

zakołysały się po niewielkich łukach.

– Wstrząsy wtórne – powiedziałam na głos.

Moi rodzice skinęli głowami, nieszczęśliwie przejęci. Po trzęsieniu ziemi następowały wstrząsy wtórne. To było normalne.

Ale włosy zaczęły mi się jeżyć na głowie i byłam przekonana, że powinnam się dowiedzieć, co się dzieje naprawdę.

– Mamo, tato, muszę lecieć. – Odłożyłam miotłę i sięgnęłam po opończę.

– Dokąd się możesz spieszyć w takiej chwili? – zapytał tata.

Zarzuciłam opończę na ramiona.

– Do Zamku Świętego Anioła.

Moi rodzice wiedzieli, co to oznacza. Mama złożyła dłonie na kolanach.

– Kochanie, wiem, jak bardzo pragniesz go zobaczyć, szczególnie po czymś tak przerażającym. Ale czy to dla was bezpieczne? Czy to nie jest okrutne wobec ojca Paula?

– Postanowiliście oboje przerwać to szaleństwo. – Głos mojego ojca brzmiał ponuro. – Nie pozwól, żeby teraz ogarnęło cię zwątpienie. Jeśli to zrobisz, zagroźysz pozycji ojca Paula w Kościele. Jej Świątobliwość zgodziła się roztoczyć opiekę nad naszymi badaniami, jeśli jednak się dowie, że skusiłaś księdza, który przez ciebie porzucił swoje powołanie...

Ale ze mnie kusicielka.

– Muszę porozmawiać z Paulem – powiedziałam i skierowałam się do drzwi.

– Nawet jeśli to będzie po raz ostatni. – Kiedy zamknęłam za sobą drzwi, rodzice nie próbowali mnie zatrzymać.

Zapytałam o drogę ludzi na ulicy, sprzątających bałagan pozostały po trzęsieniu ziemi w ostatnich promieniach pomarańczowego słońca. Na szczęście niedługo trafiłam na wóz wyjeżdżający z siedziby gildii murarskiej, cokolwiek to było. Jej członkowie zostali wezwani, aby pomóc w naprawach w Zamku Świętego Anioła, więc zaproponowali mi podwózkę i gliniany kubek słabego piwa.

Wypiłam je. Nie przepadałam za piwem, ale potrzebowałam odwagi, choćby i w postaci płynnej.

Gdy znowu zobaczę Paula, może on być ojcem Paulem z tego wszechświata – pełnym miłości do mnie i znajdującym się w niebezpieczeństwie z powodu potajemnego romansu, który niedawno zakończyliśmy. Ale oczywiście miałam nadzieję, że spotkam mojego Paula. Jeśli od razu przeprowadził testy, które zakończyły się powodzeniem, mógł już uratować Uniwersum Kosmiczne. Oczywiście miał wrócić do Uniwersum Londyńskiego i Egipskiego na moją

prośbę wynikającą z dobrych intencji, ale jak się teraz zastanawiałam, niezbyt przemyślana. Ile czasu zajmie mu skonstruowanie potrzebnych stabilizatorów? To może potrwać, szczególnie w Uniwersum Egipskim, gdzie będzie miał do dyspozycji tylko trochę prostych materiałów, które moi rodzice zabrali na wyprawę archeologiczną.

Musiałam jednak myśleć pozytywnie. Paul powiedział, że to urządzenie samo w sobie nie było takie skomplikowane, więc to możliwe, że udało mu się je skonstruować całkiem szybko, prawda? Wtedy mógłby się pojawić w Uniwersum Rzymskim w dowolnym momencie.

Albo za kilka godzin. Albo za kilka dni.

Zamknęłam mocno oczy i wbrew sobie starałam się wierzyć, że myślę się w sprawie wstrząsów.

Dotarłam do Zamku Świętego Anioła w zapadającym zmierzchu. Na straży stali ci sami dwaj faceci, których widziałam poprzednio. Takie same wąsy, takie same pasiaste mundury w jaskrawych kolorach, taki sam ironiczny wyraz twarzy. Wszystko po staremu.

– Do tej komnaty co zawsze? – zapytał jeden z nich.

– Tak, bardzo proszę. Byłabym też wdzięczna za powiadomienie ojca Paula, że tu jestem.

Drugi strażnik oddalił się, żeby znaleźć Paula.

– Niektórzy nigdy nie zmądrzeją – mruknął pod nosem.

Zaprowadzono mnie do tej samej niewielkiej kaplicy, w której byłam poprzednio. Jedno z witrażowych okien rozbiło się, co spowodowało, że podłoga była zasłana zielonymi i szkarłatnymi odłamkami, ale wydawało się, że trzęsienie ziemi nie wyrządziło innych szkód. Jeśli żelazne świeczniki z setkami małych świeczek, stojące koło ołtarza, przewróciły się, to zostały już ponownie ustawione, a wszystkie płomyki lśniły jasno, zapewniając dość światła.

Wydaje mi się, że każdy płomyk symbolizował modlitwę. Moi areligijni rodzice uczyli mnie o różnych doktrynach w kontekście historycznym, bez tego rodzaju szczegółów. Byłam jednak prawie pewna, że zapala się świeczkę za kogoś, jeśli się o niego boisz, modlisz się za niego i chcesz, aby jakaś siła wyższa się nim zaopiekowała. Wzięłam małą świeczkę, pomyślałam o dwóch nieżyjących Margueritach i zapaliłam ją od innej świecy.

Nie mogłam się naprawdę modlić za ludzi, którzy już zmarli, ale mogłam przynajmniej ich pamiętać.

Usłyszałam moje imię, cicho wypowiedziane.

– Marguerite?

Odwróciłam się i zobaczyłam w drzwiach kaplicy Paula w długiej czarnej sutannie. Lśnienie złota na jego szyi nappełniło mnie nagłą nadzieją. *Firebird. To mój Paul! Ocalił wszystkie inne światy i przybył tutaj, aby ocalić także ten wymiar!*

Nie. Na jego szyi wisiał krzyż obiecujący ocalenie, ale nie tego rodzaju, jakiego potrzebował obecnie multiwszechświat.

– Przyszłaś tutaj. – Ojciec Paul podszedł bliżej do mnie, splatając dłonie, jakby w ten sposób chciał je powstrzymać przed wyciągnięciem do mnie. – Nie sądziłem, że to zrobisz.

Był tak bardzo inny od mojego Paula, a jednocześnie taki znajomy. Jeśli zignorować sutannę i długie włosy, a potem poszukać śladów mężczyzny, którego kochałam, czułam się, jakbym znowu po raz pierwszy widziała Paula...

Nowy doktorant, wyższy o głowę od wszystkich obecnych w pokoju, umięśniony bardziej niż robotnik na budowie. Tanie, spłowiałe ubranie, kupione w sklepie Goodwill za kilka dolarów, jakie zostały mu ze stypendium, ponieważ rodzice odcięli się od niego. Nie odrywał wzroku od podłogi, chyba że zaczynał rozmawiać z moimi rodzicami o fizyce, a i wtedy używał tylko liczb, a nie słów. Popatrzyłam na jego mocno zarysowaną szczękę, potężną sylwetkę i w duchu ochrzciłam go „jaskiniowcem”.

Piosenki i filmy przekonują nas, że kiedy spotkamy miłość swojego życia, to Ziemia przestanie się obracać, chmury się rozstąpią, a serce zacznie w nas śpiewać. Rzeczywistość nie jest tak uporządkowana. Prawda jest taka, że cały czas poznajemy nowych ludzi, ale nigdy nie umiemy z góry przewidzieć, ile będą dla nas znaczyć. Nigdy nie wiesz, kogo zapomnisz, a kogo będziesz już zawsze potrzebować.

– Powiedziałaś mi, że nie powinniśmy się więcej spotykać – stwierdził ojciec Paul.

Smutek w jego głosie brzmiał tak znajomo, że na krótką chwilę znalazłam się znowu na pokładzie „Astraeusa”, przed ekranem z wynikami pokazującymi, jak bardzo roztrząskana została dusza Paula. A ból stał się tak świeży, jak w chwili, gdy poprosił, żebym pozwoliła mu odejść.

Dzieliliśmy to z ojcem Paulem – okropną wiedzę o tym, jak to jest kochać kogoś nad życie, a mimo to być zmuszonym zrezygnować z tej miłości.

– Przepraszam – powiedziałam całkowicie szczerze. – Ale gdy ziemia tak się zatrzęsa... wydawało mi się, że to koniec świata.

Paul w dwóch krokach pokonał dzielącą nas przestrzeń i przytulił mnie

do piersi. Wtuliłam się w niego mocno, wdzięczna za tę pociechę i za jego miłość.

Chociaż w tym wymiarze jego śluby kapłańskie nie pozwalały nam być razem, miłość ojca Paula do mnie była całkowicie czysta. Całkowicie prosta. Nie zadawał pytań, dlaczego nam zależy na sobie nawzajem. Nie żądał, aby matematyczne podstawy rzeczywistości wspierały nasz związek. Nikt nie poddał go torturze rozszczępienia duszy. Pozostawał całością i całe swoje serce oddał mnie.

Wyobraziłam sobie, jak bez końca przemierzam multiwszechświat, wymiar za wymiarem, w poszukiwaniu tego jednego, gdzie potrafimy się kochać nawzajem, a nikt nie próbuje nas ścigać ani rozdzielać. Wszystko, co mogłoby się wydarzyć, wydarzyło się, więc musi istnieć też i taki świat. Doskonały świat, w którym Paul i ja nie popełniliśmy żadnych błędów.

– Nadal się lękasz? – zapytał półgłosem Paul z ustami tuż przy moim czole.

– Tak – przyznałam.

Teraz już się domyśliłam, że nawet w najczarniejszym scenariuszu nie grozi mi śmierć. Jeśli pojawią się jakieś oznaki sygnalizujące kolaps wymiaru (a pojawią się, prawda?)... No cóż, nadal mam swojego Firebirda. Nie mogę przeskoczyć do wymiaru, w którym aktualnie znajduje się Zła, ale zawsze mogę wrócić do domu lub przenieść się do jeszcze innego świata.

Bałam się jednak o ojca Paula. O moich rodziców, którzy jako pierwsi oglądali planety przez teleskop. O Kaplicę Sykstyńską, która zasługiwała na wykończenie. A także o tę Marguerite.

Zawiodłam już dwie wersje siebie samej. Nie chciałam zawieść także całego wszechświata.

– Wydaje się, że wstrząsy już się skończyły. – Głos Paula potrafił być tak kojący, tak silny. – Wiesz, że nie możesz tutaj zostać.

Jeśli mój Paul się tutaj pojawi, powinniśmy jak najszybciej się odnaleźć – a jak mielibyśmy to zrobić w średniowiecznym świecie, gdzie w nocy panowały nieprzeniknione ciemności?

– Przyjdź do mnie, kiedy tylko będziesz mógł – poprosiłam. – Zgoda? Przyjdź do mojego domu. Moi rodzice nikomu nie powiedzą. Nie sprzeciwiają się temu.

Ojciec Paul zawahał się, ale skinął głową.

– W końcu jesteś gotowa – wyszeptał. – Nareszcie uwierzyłaś, że dla ciebie jestem zdolny porzucić Kościół.

Pragnienie w jego oczach było tak samo piękne jak bolesne.

Nawet w tym świecie, gdy na drodze stał nam cały Kościół rzymskokatolicki,

Paul i ja znaleźliśmy sposób, aby być razem. Ścisnęłam jego dłonie.

– Jesteś pewien?

– Jestem tego pewien bardziej niż czegokolwiek na świecie. Bóg przyprowadził mnie do Kościoła, ale nie obdarzył mnie łaską czystości. Dlatego nie było moim przeznaczeniem zostać księdzem. Modlitwa pozwoliła mi uwierzyć, że Bóg przyprowadził mnie do Rzymu, ponieważ w ten sposób mogłam spotkać ciebie.

Jego niezłomna wiara w nasze przeznaczenie zaparła mi dech w piersiach. Gdyby tylko mój Paul mógł się tego dowiedzieć...

Nie chciałam kraść chwil, które powinny należeć do tej Marguerite, ale obawiałam się, że świat może się skończyć. Nawet jeśli ona nigdy nie będzie miała okazji go pocałować, on powinien ją pocałować przynajmniej raz.

Może ja także potrzebowałam szansy, żeby pocałować mojego Paula na pożegnanie.

– Chodź tutaj – wyszeptalam i przesunęłam mu dłonie na policzki.

Paul nie poruszył się w odpowiedzi, ale też się nie odsunął, gdy dotknęłam ustami jego ust. Nasz pocałunek początkowo był nieśmiały – delikatny – aż coś w nim rozjarzyło się płomieniem.

Jego usta uchyliły się odrobinę, wystarczająco, abym mogła przytrzymać jego wargę swoimi wargami. Paul z cichym pomrukiem przyciągnął mnie do siebie i nareszcie znalazłam się znowu w jego kojących objęciach. Zacisnęłam dłonie na jego czarnej sutannie, gdy całował mnie coraz mocniej, aż gorączka pomiędzy nami stała się tak pełna namiętności, jak w podobnych chwilach, jakich zaznałam z którymkolwiek Paulem w dowolnym świecie.

Gdy pocałunek się zakończył, Paul złapał gwałtownie oddech. Spodziewałam się, że zacznie przeproszać lub żałować tego, ale on wyprostował tylko ramiona z nową determinacją.

– Przyjdę do ciebie – powiedział cicho. – Nic już mnie z tobą nie rozdzieli, Marguerite.

– Mam taką nadzieję. Mam nadzieję, że wszystko już będzie piękne.

Błagam, niech się nie okaże, że coś popsułam dla tych dwojga. Niech to trzęsienie ziemi będzie tylko przypadkiem. Niech się nie okaże, że zawiodłam cały ich świat.

Ojciec Paul nie znał prawdziwej natury nurtującego mnie lęku. Przesunął tylko dłonią po moich włosach.

– Modliłem się o to od miesięcy – oznajmił. – Wtedy, gdy postanowiliśmy się rozstać, myślałem, że zaznam spokoju. Jednak nigdy jeszcze nie byłem tak

od niego daleki. – Paul nie sprawiał wrażenia faceta, który szuka wymówki, żeby wykorzystać okazję. Uśmiechnął się, jakby doznał boskiego objawienia. – Tylko przy tobie moja dusza zaznaje ukojenia, Marguerite. Cokolwiek musiałbym zrobić, aby z tobą być, muszę podążać tą drogą, nawet gdyby chodziło o opuszczenie Kościoła. Nic już nas nie rozdzieli, nic na tym świecie.

Łzy napłynęły mi do oczu. Zamrugalam, żeby je stłumić, ale jedna spłynęła mi po policzku.

– To dobrze – wyszeptałam.

Jeśli ten wszechświat przetrwa, jeszcze jedni Marguerite i Paul będą mieli szansę być szczęśliwi.

Na razie musiałam tylko wymyślić, jak z nim zostać, dopóki mój Paul nie pojawi się w tym wszechświecie, żeby wyjaśnić, co się dzieje...

Na zewnątrz zaczął głośno ujadać pies, każde szczeknięcie było wyraźnie słyszalne przez rozbite okno. W pierwszej chwili poczułam irytację, ale przypomniałam sobie, że psy zawsze wiedzą, kiedy się zbliża trzęsienie ziemi. Naukowcy nie umieli dokładnie przewidzieć, kiedy nastąpi, pomimo wszystkich swoich przyrządów, stopni naukowych i Nagród Nobla, ale psy zawsze to wyczuwały.

Tym razem wstrząs zachwiał całym zamkiem i sprawił, że ja i Paul upadliśmy na podłogę. Ocalałe jeszcze okna roztrzaskały się, a ja osłoniłam głowę, gdy ze wszystkich stron posypało się szkło. Paul popchnął mnie mocno w bok, czego nie zrozumiałam, dopóki nie zobaczyłam, że jeden ze świeczników przewrócił się zaledwie centymetry od miejsca, gdzie byłby brzeg mojej szaty. Tuliliśmy się do siebie, a wstrząsy trwały jeszcze co najmniej dwie lub trzy minuty – czyli bardzo długo w kategoriach trzęsienia ziemi.

W końcu wstrząsy ustały, ale ja nadal drżałam.

– Coś jest nie tak – wyszeptałam przytulona do Paula na kamiennej podłodze.
– To nie jest tylko trzęsienie ziemi.

– Masz rację, to musi być coś jeszcze – powiedział Paul, czym mnie zaskoczył.

Czy zamierza przypisać winę naszemu grzesznemu pocałunkowi? Nie. Wskazał okno, a mój wzrok pobiegł wzdłuż linii jego palców, przez roztrzaskany witraż aż do księżyca, który był właśnie pochłaniany przez ciemność.

– To tylko zaćmienie. – Po tym wszystkim to wydało mi się cudownie anty klimatyczne. – Zaćmienia nie są nadprzyrodzone, wiesz? To nie tak, że Bóg się gniewa. Możesz zapytać moich rodziców.

Paul rzucił mi dziwne spojrzenie.

– Wiem to oczywiście – powiedział bardzo grzecznie, ale uświadomiłam sobie, że ten wymiar był dostatecznie zaawansowany, by wiedzieli, że to nie demon zjada księżyc. – Ale na dzisiaj nie było zapowiadane zaćmienie, prawda? Z pewnością twoi rodzice uprzedziliby o tym Jej Świątobliwość.

– Może to zrobili.

Ale przecież mama i tata byli podekscytowani perspektywą dzisiejszej obserwacji Jowisza. Z ich punktu widzenia to miała być główna atrakcja wieczoru. Czy zaćmienie księżyca było dla nich zbyt pospolite, żeby mieli się tym przejmować?

Czy może ciemniejące niebo dowodziło, że moje najgorsze obawy stały się rzeczywistością?

Krzyki na korytarzu świadczyły o tym, że ludzie wpadli w panikę. Paul przycisnął wargi do mojego czoła w szybkim pocałunku.

– Muszę porozmawiać z innymi, dowiedzieć się, czy to zwykły błąd kalendarzowy, czy też...

Pocałowałam go w odpowiedzi, tym razem w usta.

– Idź. Ale przyjdź do moich rodziców, kiedy tylko będziesz mógł, dobrze? Najszybciej jak to możliwe.

Paul wziął mnie za rękę i przycisnął ją do piersi. Nie wyczułam Firebirda, tylko szybkie bicie jego serca.

– Na zawsze – obiecał. – Na zawsze, Marguerite.

Wybiegł z kaplicy, a ja wstałam i otrzepałam zakurzone ubranie. Pomimo strachu starałam się zachować spokój i myśleć o racjonalnych wyjaśnieniach. Ciemność na niebie mogły spowodować gromadzące się burzowe chmury. Może moi rodzice tak dali się ponieść entuzjazmowi z powodu swoich odkryć, że zapomnieli uprzedzić papieżycę Martę III o zbliżającym się zaćmieniu, co byłoby w stu procentach do nich podobne.

Wszystko było możliwe. A jednak mój wewnętrzny głos powtarzał jak mantrę: *Mogę przeskoczyć stąd, jeśli tylko będę musiała*. Ciężar Firebirda na piersi nigdy nie był bardziej uspokajający.

Kiedy wychodziłam z kaplicy, przypominałam sobie, jak byłam w niej poprzednio. Wszystkie świece paliły się w równych rzędach. Witrażowe okna były całe, rzeźbiąc niezwykle obrazy ze światła, ujęte w delikatne żelazne ramy. Teraz niemal wszystko zostało zniszczone. Nie mogłam nie wyobrazić sobie, jak moja miłość do Paula leży tutaj wraz z innymi potrzaskanymi i porzuconymi rzeczami.

Wybiegłam z Zamku Świętego Anioła i po drodze zauważyłam, że strażnicy porzucili swój posterunek przy bramie, żeby dołączyć do tłumu ludzi zgromadzonych na wzgórzu i wpatrujących się z przerażeniem w niebo. Podniosłam głowę i zobaczyłam, że księżyc całkowicie zniknął – a teraz, w coraz szerszym kręgu wokół niego, jedna po drugiej gasły gwiazdy.

Zniknęła resztką moich nadziei, że to tylko zaćmienie.

O Boże – pomyślałam. To się działo naprawdę. Jeśli Paul nie pojawi się tu szybko z ratunkiem, Uniwersum Rzymskie zginie.

Dokładnie w tym momencie ktoś wpadł na mnie i przewrócił mnie na ziemię.

Nabiłam sobie siniaki na kamienistym gruncie. Ze skaleczenia na policzku pociekła ciepła krew, ale zupełnie się tym nie przejęłam. Podniosłam się na czworaki, nie patrząc nawet na nieszczęsną spanikowaną duszę, która na mnie wpadła. Kto mógłby winić tych ludzi za to, że panikują?

Jakaś ręka chwyciła mnie za ubranie na piersi i sięgnęła pod spód. W pierwszej chwili pomyślałam, że jakiś dupek próbuje mnie wykorzystać seksualnie, co byłoby przerażające, nawet gdyby nie zaczynała się właśnie cholerna apokalipsa. Odwinęłam się, żeby uderzyć go pięścią w twarz, i zobaczyłam podnoszącą się z ziemi Romolę.

Ścisnęła w dłoni Firebirda, identycznego jak ten, którego miała na szyi.

– Oddawaj to! – Rzuciłam się na nią, ale Romola odtrąciła mnie ciężką laską, którą miała w drugiej ręce. Znowu się przewróciłam, ale znalazłam się poza zasięgiem. – Co ty wyprawiasz?

– Kończę eksperyment. – Uśmiechnęła się z całkowitym zadowoleniem. – Nie byliśmy pewni, czy się powiedzie, ale wygląda na to, że się udało.

Ziemia zadygotała pod nami na tyle, że straciłam równowagę. Romola ustała na nogach dzięki swojej lasce.

Jeśli myślała, że ta laska pomoże jej na dłużej, to się myliła. Nie obchodziło mnie, jak mocno mnie uderzy i jaką krzywdę mi zrobi. Liczyło się tylko to, żebym odzyskała Firebirda.

– Jak mogłaś to zrobić? – zapytałam, wstając chwiejnie. – Jak mogłaś zniszczyć cały wszechświat?

– Ja nic nie zrobiłam – powiedziała Romola. – To ty.

O czym ty mówisz? – chciałam zaprotestować. – *To niemożliwe! Nie zrobiłam niczego, co mogłoby zniszczyć ten wszechświat. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła!*

Ale moje myśli wróciły już do wcześniejszych wydarzeń tego dnia. Do pierwszego spotkania z Romolą, kiedy zaczęłam się mieć na baczności, ale

nie dostatecznie. Do chwili w Watykanie, gdy papieżycy Marta zabrała mi Firebirda.

– Wzięłaś go od papieżycy – powiedziałam do Romoli, gdy stałyśmy pod złowieszczco ciemniejszym niebem. – Dotknęłaś go i wtedy zrobiłaś coś z ustawieniami... Coś, co...

– Sprawilo, że zapoczątkujesz proces zniszczenia całego tego wymiaru w chwili, gdy spróbujesz z niego przeskoczyć. To był naprawdę szczęśliwy traf. Myślałam, że będę musiała podać ci środek nasenny i potajemnie zdjąć ci Firebirda z szyi, ale ta papieska wścibskość i twoja przesadna reakcja... Cóż, udało nam się osiągnąć cel jeszcze szybciej, niż się spodziewaliśmy. – Uśmiech Romoli pasowałby na okładkę czasopisma z modą ślubną, a nie na koniec świata. – To prawda, wiedzieliśmy, że to może zadziałać tylko raz. Kiedy już będziesz wiedziała, na co zwracać uwagę, nie uda nam się oszukać ciebie ponownie. Ale o to chyba nie musimy się martwić, prawda?

Tu nie chodziło tylko o zniszczenie Uniwersum Rzymskiego. To był także plan Triadu, żeby mnie zamordować.

Na szczęście ten plan był także głupi. Chore pomysły Centrali, dotyczące ratowania Josie, powiedziały mi, co się dzieje, gdy ktoś znajdzie się w znikającym wszechświecie.

– Jeśli ten wszechświat zostanie zniszczony, moja świadomość wróci do domu, co oznacza, że będę mogła się wami zająć, kiedy dostanę kolejnego Firebirda. – Ile to by nie miało potrwać.

Romola roześmiała się donośnie.

– To właśnie stałoby się w przypadku niemal każdego innego podróżnika. Nawet w przypadku podróżnika doskonałego, jeśli jego dusza uległaby rozszczepieniu. Inaczej nie moglibyśmy uratować Josie. Ale cały i zdrowy podróżnik doskonały, dysponujący całą swoją siłą... O, to już inna historia.

– O czym ty mówisz?

– Przywykłaś do tego, że jesteś uprzywilejowana, prawda? Polegasz na swoich zdolnościach. Dla podróżnika doskonałego wszystko jest takie łatwe. – Romola ostentacyjnie obejrzała Firebirda, łup, który mi odebrała. – To dlatego, że podróżnik doskonały lepiej się wtapia w inne wymiary. Ale widzisz, trzeba za to zapłacić cenę. Jesteś tak zsynchronizowana z tym wszechświatem, że zawsze zachowujesz kontrolę... I tak zsynchronizowana, że jeśli ten wszechświat wybuchnie, a ty nie będziesz miała Firebirda...

Urwała, pozwalając mi czekać na zakończenie zdania. Poczułam przyływ lodowatej paniki, kiedy uświadomiłam sobie, o czym ona mówi. Powiedziałam

to pierwsza:

– Gdy zginie ten wszechświat, ja zginę razem z nim.

Rozdział trzynasty

Romola zakołysała Firebirdem jak hipnotyzer zegarkiem, drwiąc sobie ze mnie.

– Jestem użyteczna w tak niewielu wymiarach, a pan Conley rzadko zleca mi coś ważnego. Wydaje mi się, że to się teraz zmieni, nie uważasz?

Miliardy ludzi miały umrzeć, a ta kretynka nie mogła się doczekać awansu. Nawet moje ocalenie nie miało w tej sytuacji większego znaczenia, ale byłam gotowa walczyć o wszystkie te istnienia. Zacisnęłam pięści, szykując się na uderzenie w głowę, cios noża, cokolwiek.

– Masz ostatnią szansę, Romola. Oddaj mi Firebirda.

– Masz ostatnią szansę – odpowiedziała jak echo. – I właśnie ją straciłaś.

Romola upuściła laskę. Zobaczyłam, że sięga do swojego Firebirda, żeby przeskoczyć, więc rzuciłam się na nią...

...i znalazłam się na ziemi, gdy zrobiła błyskawiczny unik.

Podniosłam się pospiesznie i rozejrzałam rozpaczliwie, pewna, że w narastającym chaosie zobaczę Romolę... Jest! Żółta aksamitna opończa, dobrze widoczna w ciemności, zdradziła jej obecność w tłumie zgromadzonym na wzgórzu. Pobiegłam w dół, ignorując krwawiące skaleczenia na twarzy i ramionach. Koniecznie musiałam ją dopaść. Zgubiłam ją w tłumie, znowu ją zauważyłam, znowu zgubiłam. W końcu jednak wypatrzyłam żółty aksamit, skoncentrowałam się na nim i zaczęłam się do niej zbliżać. Gdy znalazłam się w zasięgu ciosu, złapałam ją za ramiona, obróciłam gwałtownie i warknęłam:

– Oddawaj to.

– Czego ode mnie chcesz? – Jej drwiący uśmiech zniknął zastąpiony czystym, autentycznym przerażeniem. Żołądek mi się zacisnął, gdy zobaczyłam, że nie ma Firebirda w ręku ani na szyi. To była wersja Romoli z tego wszechświata, którą jej odpowiedniczka właśnie zdradziła. – O co mnie podejrzewasz? Przysięgam... Te dziwne zwiastuny na niebie... To nie ja za nie odpowiadam...

– Wiem. – Cofnęłam się jak w transie. – Wiem.

Romola właśnie uciekła z tego wymiaru, zabierając oprócz własnego także mojego Firebirda.

To oznaczało, że znalazłam się w zbliżającym się do końca świecie bez żadnej nadziei na ucieczkę.

Opadłam na kolana, zbyt oszołomiona, żeby choćby krzyknąć.

Potrzebowali podróżnika doskonałego, aby zniszczyć wszechświat – myślałam

odrętwiała. – *Znaleźli go.*

A teraz miałam umrzeć dalej od domu niż ktokolwiek wcześniej.

Naprawdę, dosłownie nie mogłam już nic zrobić. Bez Firebirda byłam bezsilna. Byłam uwięziona w umierającym świecie.

Paul – mój Paul – mógł jeszcze mnie uratować. Był jedyną osobą, która mogła to zrobić. Jednak w tym celu musiałby już przetestować swój plan ocalenia wymiaru przed zniszczeniem, wprowadzić go w życie w trzech wszechświatach i przeskoczyć tutaj w jak najkrótszym czasie. Ile godzin zostało jeszcze Uniwersum Rzymskiemu?

Zaraz. Nie. Serce mi się zacisnęło, gdy uświadomiłam sobie, że Paul nie mógłby mnie uratować. Przybyłby do tego wymiaru z tylko jednym Firebirdem, swoim. Znałam go dostatecznie dobrze, aby mieć pewność, że spróbowałby mi go założyć na szyję, żebym to ja przeżyła, podczas gdy on by zginął. Wiedziałam także, że nigdy bym na to nie pozwoliła.

Nie miałam absolutnie żadnej drogi ucieczki.

Ktoś wrzasnął z przerażenia. Kilka osób zemdlało. Popatrzyłam w tę samą stronę co spanikowany tłum, na wznoszący się nad nami Zamek Świętego Anioła.

Zamek... roztapiał się.

Dosłownie się roztapiał. Ociosane kamienie rozjaśniały się gorącem, miękły, a potem zaczynały się zapadać i ściekać na inne. Na naszych oczach zamek przemieniał się w wulkan. O ile wiedziałam, ojciec Paul był jeszcze w środku.

– Paul! – wrzasnęłam. – Paul, musisz stamtąd uciekać!

Tłumy duchownych i strażników starały się uciec ze środka. Dostrzegłam pojedyncze sylwetki wybiegające tylnym wyjściem. Dla reszty było już jednak za późno. Lawa zaczęła spływać ze wzgórza w naszą stronę, promieniując piekielnym żarem, a cały Zamek Świętego Anioła zapadł się pod własnym ciężarem.

Mój wrzask zabrzmiał, jakby ktoś go ze mnie wyrwał. Jakby nic nie mogło zostać wewnątrz mojej skóry teraz, gdy nie mogę się już z nim spotkać.

Teraz lawa stała się falą spływającą coraz szybciej ze wzgórza w naszą stronę. Wszyscy wokół mnie rzucili się do ucieczki, a po krótkiej chwili ja zrobiłam to samo. Łzy sprawiały, że niewiele widziałam, ale to nie miało znaczenia. Nie miało znaczenia, dokąd uciekam. Nawet jeśli ojciec Paul nie zginął w walącym się zamku, teraz już nigdy się nie spotkamy. Myśl o nim, tak czułym, tak dobrym, umierającym w tym rozpalonym piekle przeze mnie... Wolałabym sama umrzeć zamiast niego, niż do tego dopuścić. Nie miało znaczenia, że

Romola i Triad mnie oszukali. Powinnam była się zorientować. Powinnam być mądrzejsza, bardziej odważna.

Mogło mu się udać uciec z zamku – myślałam, ale to byłoby jeszcze gorsze. Jeśli ojciec Paul nadal żył, musiał umrzeć wraz z tym światem, a ja już wiedziałam, że ta śmierć będzie okropna.

Powinnam położyć się na ziemi i pozwolić, aby lawa spaliła mnie na śmierć. Zasługiwałam, żeby się dowiedzieć, co czuli ludzie w zamku, gdy umierali zwęgleni do kości. Moja śmierć i tak była już nieunikniona. Tylko mój Paul mógłby mnie uratować, a wszelkie nieskończone małe szanse na to zniknęły razem z Zamkiem Świętego Anioła. Jeśli pozwolę, aby lawa mnie dosięgnęła, przynajmniej nie będę już się bać.

A jednak biegłam dalej. Chociaż mój mózg wiedział, że to beznadziejne, jakaś niepowstrzymana część mojego serca domagała się, żebym żyła, żyła, żyła.

Uciekający ludzie zatrzymali się nagle przede mną, tak że wpadłam gwałtownie na czyjeś plecy. Zostałam brutalnie odepchnięta do tyłu, czego nie rozumiałam, aż do chwili, gdy ktoś inny zrobił to samo parę metrów ode mnie i tym razem osoba popchnięta spadła w gigantyczną szczelinę, która otworzyła się przed nami. Przepaść robiła się coraz szersza i połknęła kobietę w całości. Jej krzyk odbijał się echem jeszcze daleko, daleko w dole.

– Ognie piekielne otwierają się przed nami! – krzyknął jakiś mężczyzna. – Zbliży się chwila sądu ostatecznego!

Niemal wszyscy rozproszyli się, uciekając na prawo i lewo, w dwóch kierunkach, jakie nam pozostawały. Oszołomiona przerażeniem i poczuciem winy podeszłam chwiejnie do samej krawędzi rozpadliny i zajrzałam do środka. To była bezdena, niemal całkowicie czarna otchłań, otwarta szeroko jak paszcza potwora. Odległy ognisty blask na dnie musiał pochodzić z płaszcz ziemskiego.

Mama i tata powinni tu być – pomyślałam otumaniona. – *Wtedy mogłabym im naprawdę wyjaśnić, co to są płyty tektoniczne. Zrozumieliby, gdybym mogła im pokazać płaszcz ziemski. Poza tym wtedy mama i tata byłiby tutaj ze mną. Na pewno są przerażeni, a ja chcę ich mieć przy sobie, chcę do rodziców...*

– Radujcie się! – wykrzyknął ktoś. – Znalazłem ją i możemy jeszcze być ocaleni!

Znałam ten głos. Należał do Wyatta Pieprzonego Conleya.

Kiedy odwróciłam się na pięcie, zobaczyłam go stojącego w czerwonej sutannie z płonąca pochodnią w ręku. Był w tym świecie kardynałem Conleyem i nie wątpiłam ani przez moment, że to tylko wersja z Uniwersum Rzymskiego.

Nie ma mowy, żeby którykolwiek Conley z Triadu był tak głupi, aby przybyć do ginącego wszechświata.

– To ta dziewczyna. – Kardynał Conley wskazał mnie drżącym palcem. Jego twarz i sutanna były pobrudzone popiołem. Za nim tłoczyło się kilka tuzinów ludzi, w tym paru księży, ale głównie mieszczan, tak samo sponiewieranych i przerażonych jak ja. Głos Conleya wzmościł się, gdy zaczął mnie oskarżać. – Zaledwie dwa tygodnie temu twierdziła, że opętał ją zły duch! Jej rodzice, czarownicy, swoimi zaklęciami przekonali Jej Świątobliwość, że dziewczyna była po prostu chora, ale ja wiedziałem, że wstąpił w nią demon!

Nie mogłam nawet zaprotestować. Marguerite z Uniwersum Rzymskiego sama musiała w to wierzyć. Jak inaczej osoba ze średniowiecza miała odebrać moją wizytę z innego wszechświata? Z całą pewnością żaden zły demon nie mógłby sprowadzić na ten świat gorszego losu, niż ja to zrobiłam.

– Upierałem się, że demon powinien zostać z niej wyegzorcyzmowany – powiedział kardynał Conley. Pot perlił się na jego skórze. Nie zostało w nim nic z zadufanego w sobie, żądnego władzy intryganta. Teraz odczuwał tylko przerażenie, pragnął tylko zemsty. – Nikt mnie nie słuchał, a teraz demon sprowadził Piekło na Ziemię.

Ludzie wydawali okrzyki aprobaty. Ja stałam na krawędzi przepaści i zastanawiałam się, czy on mnie zepchnie. Jeśli to zrobi, ile potrwa, zanim spadnę do dołu?

Conley zrobił krok w moją stronę. Z jego oczu biło szaleństwo.

– Jeszcze nie wszystko stracone. Jeśli teraz zniszczymy demona, zgładzimy jego ziemską powłokę. Bóg może nas jeszcze oszczędzić!

Coś w końcu wyrwało mnie z odrętwienia i rozpaczy. Jestem zupełnie pewna, że była to nienawiść.

Wróciłam do życia. Jasne, umrę tutaj, wiedziałam o tym. Nie było drogi ucieczki. Ale niech mnie diabli, jeśli ostatnią osobą, jaką w życiu zobaczę, będzie Wyatt Conley.

– Tak, zniszczmy demona. – Zacisnęłam dłonie w pięści i podparłam się pod boki. Kiedy zrobiłam krok naprzód, kardynał Conley uciekł do tyłu jak karaluch. – Ale czy wiecie, gdzie ten demon się ukrywa? Naprawdę sądzicie, że diabeł zawracałby sobie głowę zwyczajną dziewczyną, żeby czynić zło na Ziemi? Jestem malarką, zaledwie uczennicą! Nie mam władzy, jakiej pragnie Szatan. Wiecie, kto ma taką władzę? Kardynał.

– Ona kłamie – odparł szybko Conley. – Diabeł przemawia przez nią...

– Zostałam opętana przez złego ducha, ale on nie opowiedział wam

o wszystkim! Kardynał zataił przed wami prawdę! – Krzyczenie na niego sprawiało mi przyjemność. – Zły duch został wygnany, a zaraz potem wyjawiałam absolutnie wszystko. Jej Świątobliwość papieżycy wie, że moja dusza jest czysta. Jednak tamtego dnia został opętany ktoś jeszcze. Ktoś, kto nadal nie pamięta, co się z nim działo przez całe godziny. Ktoś, kto nigdy nie poddał się dobrowolnie osądowi papieża!

Nawet w blasku pochodni widziałam, że twarz Conleya zrobiła się blada jak ściana. Nie byłam pewna, jak poradził sobie z amnezją, która pozostała po wizycie Conleya z Uniwersum Triadu, ale pozbawiony swojej dumy, bogactwa i rangi był tylko tchórzem. Dlatego nietrudno było zgadnąć, że zachował tę niewyjaśnioną lukę w pamięci w tajemnicy. Każda linia jego twarzy potwierdzała prawdziwość moich słów.

Tłum także to dostrzegł. Rozległy się pomruki niezadowolenia, nastąpiło poruszenie i gniewne spojrzenia przeniosły się ze mnie na kardynała Conleya.

– Czy mówię nieprawdę? – zwróciłam się do niego. – Jeśli tak, udowodnij to. Powiedz mi, o czym rozmawialiśmy, gdy ostatnio spotkaliśmy się w Zamku Świętego Anioła. A może tego nie pamiętasz?

Usta Conleya otworzyły się i znowu zamknęły. Wyglądał jak ryba łapiąca powietrze.

– To on jest demonem. – Wskazałam kardynała drżącego teraz jak liść. – To on jest przyczyną, dla której wszyscy umrzemy. To on jest mordercą tego świata!

Tłum rzucił się przed siebie gotów rozerwać go na kawałki. Conley chciał uciekać przed nimi zaślepiony przerażeniem i wpadł w przepaść. Przez chwilę widziałam czerwoną plamę w ciemności, zanim rozpalony blask płaszczą w dole pochłonął nawet ten jego ślad. Teraz wrzask Conleya zabrzmiał aż do samego Piekła.

Podczas gdy niosący pochodnie tłum radował się przekonany, że udało mu się ocalić całe stworzenie, ja ruszyłam dalej wąską ścieżką, którą jeszcze dawało się przejść. Teraz ziemia już bezustannie drżała nam pod stopami, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Ignorowałam żwir uderzający mnie po kostkach, lepka krew na policzku i na nogach ze skaleczeń, które nigdy nie zostaną opatrzone. To nie miało znaczenia. Praktycznie nic nie miało znaczenia.

Jeśli nie pozostawało mi już nic poza byciem świadkiem zagłady tego wymiaru, chciałam przynajmniej odważnie stawić temu czoło.

Gdy znalazłam duży głaz na zboczu wzgórza, w miejscu, gdzie nikogo nie było, usiadłam na nim i spojrzałam w nocne niebo. Księżyc pojawił się, ale był

teraz cztery razy większy niż zwykle, jakby zamierzał pożreć horyzont. Gwiazdy wokół niego wirowały, lśniły i wybuchały w niespokojnych odcieniach pomarańcza i złota. Taki nocny pejzaż van Gogh mógłby namalować w ostatnim przyływie natchnienia przed popełnieniem samobójstwa.

Twarze tych, którzy mnie pokonali, pojawiały mi się przed oczami, jakby ze mnie drwili – Conley, Romola, Theo z Uniwersum Triadu – ale nie pozwalałam, żeby to oni zdominowali moje ostatnie chwile. Nie było dla nich miejsca w moich myślach. Pozostał mi już tylko czas dla tych, których najbardziej kochałam.

Dlatego pomyślałam o mamie nucącej swoim niezliczonym roślinom w doniczkach, gdy je podlewała z blaszanej konewki. O tacie siedzącym przy tęczowym stole i pijącym earl greya z kubka z Beatlesami. O Josie zjeżdżającej przede mną na wodnej zjeżdżalni, kiedy byłyśmy małe, podnoszącej ręce i wrzeszczącej radośnie, zanim nastąpił wielki plusk. Nawet o Theo – moim Theo, prawdziwym Theo – z tego dnia, gdy zabrał mnie na przejażdżkę swoim samochodem wzdłuż wybrzeża, puszczał The Kills na cały regulator i jechaliśmy z opuszczonymi szybami, żeby czuć wiatr we włosach.

Zawsze o Paulu, w tak wielu wersjach, w tak wielu światach. Pomyślałam o nim z Uniwersum Egipskiego, ubranym jak dziewiętnastowieczny podróżnik i nieśmiałym, a także o tym z Uniwersum Mafii, okrutnym i zimnym, a jednak także bezbronnym, gotowym ujawnić kompletnie obcej osobie swoje tatuaże i swoje słabości tylko po to, żeby zostać zauważonym. O Paulu z Uniwersum Wojennego, który pragnął mnie tak bardzo, że nie potrafił ze mnie zrezygnować nawet wtedy, gdy go zdradziłam. O chłopaku z Uniwersum Cambridge, który popełnił jeden głupi błąd, za który będzie płacić przez całe życie. A także o moim ukochanym poruczniku Markovie, tańczącym ze mną walca w Pałacu Zimowym, stojącym w Komnacie Wielkanocnej, kochającym się ze mną w sercu zamieci...

Nie próbowałam powstrzymać łez spływających mi po policzkach. Pomyślałam tylko o Paulu, który tak krótko należał do mnie. O wielkim, umięśnionym, małomównym facecie pochylającym się w drzwiach, w których się ledwie mieścił, ubranym w ciuchy z second handu, ostrzyżonym krótko i nierówno. O tym, który robił ze mną lazanie na Święto Dziękczynienia i śmiał się, gdy próbowaliśmy powstrzymać makaron przed zawijaniem się na brzegach. Który znał każdy koncert Rachmaninowa, ale pewnie nie rozpoznałby Beyoncé, nawet gdyby stanęła tuż przed nim. Który oddał wszystko, co udało mu się w życiu uzyskać, i ryzykował życie, żeby mnie ochronić. Który patrzył na mnie,

kiedy malowałam, i powiedział, że potrafię widzieć ludzi takimi, jacy są naprawdę.

Ale tylko ciebie nigdy naprawdę nie widziałam – pomyślałam. – Dopiero gdy już było za późno.

– Marguerite!

Odwróciłam się i popatrzyłam w ciemność. Czy ja śniłam? Nie. To był on. To był ojciec Paul. Biegł do mnie.

Z mojego gardła wyrwał się szloch. Uciekł z katastrofy Zamku Świętego Anioła tylko po to, by umrzeć wraz z resztą nas. Może powinnam była życzyć mu tej szybszej śmierci, która oszczędziłaby mu dalszego lęku i rozpacz.

Ale byłam samolubna i małoduszna, więc potrzebowałam teraz Paula bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Zerwałam się, żeby podbiec do niego, ale wstrząsy się nasiliły. Udało mi się przejść niecałe dwa metry, zanim znowu upadłam na ziemię. Widziałam, że Paul też ma trudności, ale nie zatrzymywaliśmy się. Biegliśmy, czołgaliśmy się, z trudem zbliżaliśmy się do siebie, żeby mieć szansę umrzeć w swoich ramionach.

Odległe wrzaski rozległy się w oddali, gdy światło nad naszymi głowami stało się jaśniejsze. Spojrzałam w górę i zobaczyłam, że niebo jest rozdzielane, jakby było zrobione z tkaniny, a tę tkaninę darły na strzępy ogniste szpony. To nie miało sensu, ale może prawa fizyki zaczynały znikać wraz ze wszystkim innym. Grawitacja mogła nas lada chwila zawieść i sprawić, że polecimy prosto w umierające niebo.

Żeby tylko zdążyła do Paula – myślałam, a może się modliłam. Teraz już nie było między jednym a drugim wielkiej różnicy. Jeśli mogłam dostać przynajmniej tyle, będę mogła znieść resztę. Musiałam dotrzeć do Paula.

Gdy wstałam chwiejnie, wstrząsy ustały – może tylko na chwilę, ale nic więcej nie potrzebowałam. Pobiegłam tak szybko, jak mogłam, do Paula, który biegł jeszcze szybciej do mnie. Zderzyliśmy się, objęliśmy się, a ja płakałam i śmiałam się jednocześnie.

– Udało nam się, udało...

W tym momencie uświadomiłam sobie, co wyczuwam pod jego ubraniem: twarde zarys Firebirda. Cofnęłam się i westchnęłam z zaskoczenia, gdy zobaczyłam, że Paul nie ma na szyi jednego Firebirda, ale dwa.

– Skąd wiedziałeś? – wyszeptałam, nie ośmielając się uwierzyć własnym oczom. – Nie mogłeś wiedzieć...

– Musimy się stąd wydostać – powiedział Paul, jak zawsze dalece

niewystarczającymi słowami.

Zdjął jednego Firebirda z szyi, żeby założyć go na mnie.

Nadal nie mogłam w to uwierzyć.

– Zdążyłeś, żeby mnie uratować... – wyszeptałam oszołomiona.

Urwałam jednak w pół zdania, kiedy w końcu przyjrzałam się wisiorowi na łańcuszku. Nie wiedziałam, co to jest, ale to nie był jeden z naszych Firebirdów. Zaszokowana ponad wszelkie możliwości wpatrywałam się w niego, osłupiała.

To nie był mój Paul. Kto to był, do cholery?

– Proszę, Marguerite – odezwał się.

Kiedy spróbował założyć mi Firebirda na szyję, uniosłam rękę, żeby go powstrzymać. Gdzie ten ktoś próbował mnie zabrać? O co tu chodziło?

– Skoro nie jesteś moim Paulem... to kim jesteś?

Paul popatrzył na mnie. Jego szare oczy były czujne.

– Innym, który cię kocha.

Nic z tego nie rozumiałam. Czy mogłam mu wierzyć?

Czy miałam jakiś wybór?

Miałam. Kiedy poprzednio ktoś z multiwszechświata mnie oszukał, była to Romola, a efektem jej podstępu było zniszczenie całej rzeczywistości. Nie mogłam pozwolić, aby coś takiego zdarzyło się znowu, nawet gdyby miało mnie to kosztować życie.

Ziemia pod nami znowu zadrżała. Budynki w oddali zaczęły się kruszyć i znikać, być może zapadając się w inną przepaść, która otworzyła się do jądra Ziemi. Niski, straszliwy, wibrujący pomruk dobiegał gdzieś daleko z dołu – śmiertelny krzyk planety.

– Proszę! – Paul przekrzykiwał coraz głośniejszy grzmot. – Zaufaj mi, Marguerite. Uwierz mi.

I tak właśnie zrobiłam. Uwierzyłam mu.

Pochyliłam głowę przed Firebirdem. Paul włożył mi go na szyję i objął mnie, żeby pomóc mi utrzymać równowagę pomimo wstrząsów.

– Weź Firebirda i ustaw kombinację, kiedy dam ci znak. Gotowa?

– Tak.

Smugi ognia zaczęły się rozchodzić po ziemi w złożonych spiralach, wznosząc się coraz wyżej w apokaliptycznej pozodze. Dym i siarka wydobywały się kłęбами z wnętrzości Ziemi. Takiego Piekła nie wyobraziłyby sobie nawet William Blake.

– Teraz! – krzyknął Paul, a ja przeskoczyłam, zostawiając za sobą koniec

świata.

Rozdział czternasty

Wpadłam w samą siebie i zatoczyłam się na ścianę. Roztrzęsiona oparłam się obiema rękami, żeby wziąć kilka głębokich oddechów. Żyłam. Udało mi się.

Paul – którykolwiek Paul to był – uratował mnie ze świata na skraju zapadnięcia się w wieczną nicość i sprowadził tutaj. Ale gdzie było to „tutaj”?

Gdziekolwiek było, grawitacja działała, nieba nie pokrywały ogniste spirale, a ziemia nie znikwała w szczelinach wypełnionych lawą, więc nie zamierzałam kręcić nosem.

Byłam w jakimś pomieszczeniu, bezpieczna od deszczu, wiatru i piekielnych ogni. Światło się paliło, a mnie nic nie bolało. Nigdy wcześniej nie zdawałam sobie tak wyraźnie sprawy z tego, że właściwie to wszystko, co jest nam potrzebne. Wszystko inne w życiu człowieka jest... opcjonalne.

Nadal jednak musiałam się dowiedzieć, gdzie dokładnie zostałam sprowadzona i dlaczego.

Najpierw zwróciłam uwagę na Firebirda na mojej szyi. Metalowa oprawa była bardziej surowa – miała ostre krawędzie zamiast ozdobnych zawijasów, jakie zaprojektowali moi rodzice. Wisior był też krótszy, a łańcuszek miał grubsze ogniwa. Różnił się nawet wagą – był cięższy, zarówno sam Firebird, jak i łańcuszek. Jaki wszechświat to stworzył?

Odsunęłam się od ściany i rozejrzałam po pomieszczeniu, w którym się znajdowałam. Jako pierwsze zauważyłam łóżko, prostą metalową ramę przykrytą czarnym kocem, ale obok stało biurko z podniszczonego drewna, na którym zobaczyłam staroświecką elektryczną maszynę do pisania, wpiętą do gniazdka w ścianie absurdalnie grubym czarnym sznurem. W kącie stała metalowa szafka na dokumenty. Sądząc po tym i po nijakich świetlówkach na suficie, mogłam się domyślić, że to biuro przerobione na sypialnię. Ale dlaczego?

Jedne drzwi. Podeszłam do nich i nacisnęłam klamkę. Zamknięte. W pierwszej chwili pomyślałam, że nie chciałabym, żeby ktoś tu wszedł, ale zamek nie działał od tej strony. Ktoś mnie tutaj zamknął. Dlaczego?

Ostatnim krokiem było przyjrzenie się samej sobie, chociaż niewiele było tu interesujących rzeczy. Miałam trochę przyciężkie czarne pantofle, gładką ciemnoniebieską spódnicę tuż za kolana, zapinaną bluzkę z taniego materiału i – uniosłam ręce, żeby dotknąć kręconych włosów – tym razem zdecydowanie

krótszą fryzurę.

Coś mi to przypominało...

Szybkie pukanie do drzwi sprawiło, że podskoczyłam, ale zaraz wzięłam się w garść. Ktokolwiek stał po drugiej stronie, musiał mnie tu zamknąć.

– Proszę.

Do środka wszedł Paul, w mundurze wojskowym, który rozpoznawałam. Gdy na mnie spojrzał, wyraz jego twarzy zmienił się z najgłębszej ulgi w coś, co w jego zamierzeniu miało wyglądać na spokój.

– Udało ci się.

– Jesteśmy w Uniwersum Wojennym – powiedziałam – gdzie ja i Theo byliśmy parę tygodni temu.

– Pamiętasz mnie. – Paul nie potrafił mi spojrzeć w oczy. – Nie byłem pewien, czy będziesz mnie pamiętać.

– Nie minął nawet miesiąc... – urwałam.

On nie miał na myśli dosłownie tego, że zapomniałabym go tak szybko. Uważał tylko, że nie obchodził mnie na tyle, abym często, albo też w ogóle, wracała do niego myślami.

Kiedy Wyatt Conley rozszczepił duszę Paula i wysłał każdą jej część do innego wymiaru, aby mnie szantażować i zmusić do wykonania dla niego brudnej roboty, jeden odłamek trafił tutaj. Uniwersum Wojenne dysponowało technologią tak samo zaawansowaną jak mój świat, jednak tutaj była ona wykorzystywana tylko w celach militarnych. Ten naród – jakkolwiek się nazywał, bo w sumie się tego nie dowiedziałam – był wplątany w rozpaczliwą wojnę światową, która ciągnęła się całe dekady. Moje ogólne wrażenie z Uniwersum Wojennego było takie, że przypominało czasy drugiej wojny światowej, tylko trwającej od pięćdziesięciu lat.

Conley przysłał mnie tutaj, żebym przeprowadziła sabotaż projektu Firebird, który był na granicy przełomowego sukcesu. W tym świecie moi rodzice byli czołowymi naukowcami w służbie armii, Paul jednym z badaczy pracujących dla nich, Josie została niesamowitą pilotką myśliwców, a Theo okazał się facetem, w którym zakochała się moja wersja z tego wymiaru. Jednak Paul z Uniwersum Wojennego był we mnie zakochany, a ja uznałam, że mogłabym to wykorzystać do własnych celów. Ponieważ wydawało mi się, że nie mam innego wyboru, pozwoliłam, aby Paul zaprosił mnie na romantyczny wieczór w mieście, flirtowałam i rozmawiałam z nim, a nawet pocałowałam go namiętnie na ulicy San Francisco.

Nasz pocałunek trwał do chwili, gdy Paul zauważył mojego Firebirda

i wszystko się wydało.

Ostatecznie udało mi się wynegocjować rozejm: sfalszowaliśmy dowody na sabotaż, a w rzeczywistości daliśmy Uniwersum Wojennemu potrzebne dane. W zamian za to odzyskałam Firebirda, ale Paul aż do końca był wściekły i rozgoryczony z powodu mojego oszustwa. Spodziewałam się, że znienawidzi mnie na zawsze.

Tymczasem on właśnie ryzykował życiem, żeby mnie uratować.

– Dziękuję – powiedziałam bardzo cicho. – Za to, co zrobiłeś... Co to znaczy...

– Tu nie chodzi tylko o ciebie. – Paul odwrócił wzrok. – Także o Triad. Chodź ze mną.

Skierowałam się do drzwi.

– Dokąd idziemy?

– Na spotkanie personelu projektu Firebird. – Paul odsunął się od drzwi, kiedy przechodziłam, żeby nawet przelotnie mnie nie dotknąć. – Czas się przyznać do wszystkiego.

Po tym, co powiedział Paul, spodziewałam się, że moi rodzice są tak samo mną zawiedzeni jak on. Kiedy jednak zaprowadził mnie do małej salki konferencyjnej, moi rodzice, ubrani w oficjalne mundury wojskowe, podnieśli wzrok znad rozłożonej na stole roboty i uśmiechnęli się do mnie.

– To ty jesteś ta inna? – zapytał tata takim tonem, jakiego bym się po nim spodziewała, gdyby pewnego dnia zobaczył na ulicy Paula McCartneya. – Marguerite, która niedawno odwiedziła nasz świat?

– Ja... no... tak. – Na taką sytuację nie byłam przygotowana.

Moja matka potrząsnęła głową i uśmiechnęła się pobłaźliwie, jakbym zrobiła coś niemądrego.

– Dlaczego nam nie powiedziałaś, kim naprawdę jesteś? Bylibyśmy przeszczęśliwi, gdybyśmy mogli z tobą porozmawiać.

– Myślałam, że będę musiała przeprowadzić sabotaż – przyznałam. – To nie dawało widoków na udane relacje.

– Rzeczywiście. – Tata zabębnił palcami po stole. – Ale ty i nasz porucznik Markov znaleźliście sposób, żeby to obejść, prawda? Teraz mamy własną technologię Firebirda, która bardzo się nam przydaje.

– Przecież byłam tutaj zaledwie tydzień czy dwa tygodnie temu! – Szczerze mówiąc, straciłam rachubę czasu, w szczególności wtedy, gdy znalazłam się w kosmosie, ale byłam całkiem pewna, że opuściłam Uniwersum Wojenne nie

aż tak dawno w „prawdziwym” czasie. – Jakim cudem już macie Firebirdy?

– Z dwóch powodów – odezwał się Paul. Chociaż ja z ulgą usiadłam na krześle przy stole konferencyjnym, on nadal stał w drzwiach, jakby pilnował bezpieczeństwa tego spotkania, a nie brał w nim udział. – Po pierwsze i tak byliśmy prawie gotowi. Mieliśmy już materiały i zgromadziliśmy większość niezbędnej wiedzy. Potrzebowaliśmy tylko impulsu do działania, którego dostarczyły nam informacje twojego Theo Becka.

Gdyby nie byli blisko odniesienia sukcesu, Conleyowi nie zależałoby tak na sabotażu.

– Okej – odparłam. – A ten drugi powód?

Moi rodzice wymienili konspiracyjne uśmiechy.

– Cóż – odezwała się mama – w ciągu ostatnich dni przeprowadziliśmy kilka niezwykle ciekawych rozmów z innymi konstruktorami Firebirdów.

– Innymi? – Czy w Uniwersum Wojennym całe tłumy ludzi były o krok od odkrycia podróży międzywymiarowych? To brzmiało kompletnie niewiarygodnie. – Ilu naukowców pracuje nad tym tutaj?

– Nie, nie, kochanie, nie tutaj – westchnął tata. – Rozmawialiśmy z samymi sobą z różnych wszechświatów, w tym z twojego.

Rozmowy międzywymiarowe? No jasne, Uniwersum Cambridge! Pracowali nad taką technologią, a ostatnią rzeczą, jaką zrobiłam, zanim opuściłam tamten świat, było poproszenie mojej wersji stamtąd, żeby koniecznie mogli się skontaktować z innymi wymiarami.

Wysłuchała mnie. Zrobili to. A teraz...

– Połączyliśmy siły. – Poczulałam, że na mojej twarzy pojawia się uśmiech. – Wszyscy razem będziemy działać przeciwko Conleyowi i Triadowi.

– Właśnie tak. – Mama pochyliła się nad stołem tak zadowolona z siebie, że nazwałabym ją „zadufaną”, gdyby nie to, że miała wszelkie powody do dumy. – Spisek mający na celu przeciwstawienie się Triadowi już został zawiązany.

Gdyby ktoś w tym momencie odpalił wszystkie fajerwerki z Dnia Niepodległości, to taki spektakl nie byłby dość wspaniały, żeby wyrazić, jak niesamowicie ekstatycznie się czułam. Udało nam się! W końcu, w końcu wyprzedziliśmy Triad i Wyatta Conleya. Mogliśmy przestać odpowiadać na ich ataki i zacząć działać.

Jako jedna z nielicznych podróżników doskonałych w multiwszechświecie właśnie z pionka stałam się bronią.

Bycie bronią odpowiadało mi znacznie bardziej.

– Możemy teraz ochronić wszechświaty – oznajmiła moja matka. –

Eksperymenty przeprowadzone przez Paula z Uniwersum Berkeley...

Uniosłam rękę, prosząc o chwilę przerwy.

– Zaraz. Uniwersum Berkeley?

– Cóż, różne wszechświaty muszą mieć różne nazwy. – Tata powiedział to tak gładko, że można by pomyśleć, iż to on, a nie ja, podróżował przez całe miesiące między światami. – To pozwala uniknąć nieporozumień, szczególnie w sytuacji, gdy komunikujemy się przede wszystkim z innymi wersjami nas samych. Trudno wysłać wiadomość do „Henry’ego”, skoro jestem tylko jednym z Henrych, prawda?

– Wykorzystaliśmy głównie nazwy wybrane przez ciebie – dodała mama.

No dobrze, ale była ta jedna nazwa, której nie wybierałam.

– Który wymiar to Uniwersum Berkeley?

Paul skrzyżował ramiona na piersi i oparł się o ścianę.

– Twój.

– Ale... – W pierwszej chwili chciałam powiedzieć coś w rodzaju: „Ale mój świat jest prawdziwy”, tyle że to nie miało sensu. Każdy wymiar był tak samo prawdziwy i rzeczywisty jak każdy inny. Żaden wszechświat nie znajdował się w centrum. Teraz, gdy nawiązała się między nimi komunikacja, mój wymiar także potrzebował nazwy. Ale mimo wszystko... Uniwersum Berkeley? – Moi rodzice wykładają w Berkeley w wielu wymiarach.

Tata uniósł brew.

– Muszę zauważyć, że w wielu wszechświatach także toczą się wojny, a jednak to my jesteśmy Uniwersum Wojennym. Sophie i ja wykładamy także w Cambridge w wielu rzeczywistościach kwantowych, a jednak istnieje tylko jedno Uniwersum Cambridge. A chociaż w absolutnie każdym odkrytym do tej pory wymiarze istnieje ocean, mimo wszystko wybraliśmy Uniwersum Oceaniczne. Innymi słowy, moja droga córeczko, te wszystkie nazwy są arbitralne i nonsensowne, więc nie ma o co robić zamieszania, prawda?

– Chyba nie.

Potrzebowałam trochę czasu, żeby przywyknąć do Uniwersum Berkeley, ale poradzę sobie z tym we własnym tempie.

– Tak jak mówiłam – ciągnęła mama – eksperymenty przeprowadzone przez Paula Markova z Uniwersum Berkeley wykazały, że istotnie możemy wykorzystać Firebirda do ustabilizowania wymiarów w sposób całkowicie uniemożliwiający Triadowi ich zniszczenie. Jak do tej pory zostały zabezpieczone dwa takie wszechświaty: tak zwane Uniwersum Kosmiczne, gdzie udało nam się z nim skontaktować, a także Uniwersum Londyńskie. –

Zmarszczyła brwi i spojrzała na tatę. – Używam właściwych nazw, prawda, Henry?

– Owszem – odpowiedziałam. Paul dotrzymał słowa i w pierwszej kolejności zajął się ochroną tych światów. Dwie Marguerity zostały zamordowane przez Złą i Triad, a my zrekompensowaliśmy ich utratę w jedyny sposób, jaki mogliśmy. – A co z Uniwersum Egipskim?

– Przebywa w nim obecnie – powiedział tata. – Wydaje się, że trudniej jest tam zbudować stabilizator. Markov pracuje nad tym.

Dobrze było wiedzieć, gdzie on jest, i mieć pewność, że jest bezpieczny. Jednak moja ulga była ograniczona, ponieważ nadal czułam gryzący zapach dymu z wymiaru, którego śmierć była dla mnie całkowicie świeża.

– Ale... Uniwersum Rzymskie... Tego nie udało wam się uratować.

– Kiedy znaleźliśmy cię tam, było już za późno. – Uśmiech taty zniknął. – Ledwie zdążyliśmy wysłać tam porucznika Markova, żeby cię uratował. Jeszcze dziewięćdziesiąt sekund i byłoby za późno.

Dziewięćdziesiąt sekund. To będzie źródło moich koszmarów. Ale co z zagłady Uniwersum Rzymskiego nim nie będzie? Zmusiłam się, żeby skoncentrować się na tym, co powiedział tata, a co było dla mnie nowością.

– Znaleźliście mnie?

– Nasz wymiar wyprzedzał twój pod jednym względem: opracowaliśmy już metodę śledzenia podróżników w multiwszechświecie, zarówno poprzez ich Firebirdy, jak i niepowtarzalne wzorce rezonansu – wyjaśniła mama. – Kiedy dostaliśmy twój wzorec rezonansu, mogliśmy dokładnie określić, gdzie się znajdujesz. Potem zaobserwowaliśmy, że twój Firebird opuścił Uniwersum Rzymskie bez ciebie, co nawet w najlepszym przypadku oznaczałoby niezwykle poważny problem.

– Kiedy nasz Markov zorientował się, że nieprawidłowości sygnału oznaczają, że następuje kolaps wymiaru... Cóż, resztę przeżyłaś sama – dodał tata.

Pamiętałam wydarzenia sprzed najwyżej piętnastu minut, ale już trudno było mi w nie uwierzyć.

– Widziałam... pazury rozrywające niebo, kamienie roztapiające się w lawę. W ziemi otwierały się szczeliny, a gdy w nie zaglądałam, widziałam płaszcz ziemski... – Wzdrygnęłam się i objęłam się ramionami. – To nie mogło się dziać naprawdę.

– To nie działo się naprawdę. – Głos Paula z Uniwersum Wojennego stawał się coraz bardziej surowy i poważny za każdym razem, gdy się odzywał. –

Dezintegracja tego wymiaru obejmowała całkowite zawieszenie praw fizyki. Twój mózg nie był w stanie prawidłowo przetwarzać tego, co się działo.

– Ludzie po prostu nie mają zdolności rejestrowania tego rodzaju rzeczy – wtrącił łagodniej tata. – To brzmi, jakby twój artystyczny umysł podsuwał ci barwne metafory, że tak to ujmę, aby nadać sens temu, co działo się wokół ciebie.

Mama skrzyżowała ramiona.

– Henry, czy wzięłeś pod uwagę, że umysł całkowicie logiczny lub też ukierunkowany na myślenie naukowe mógłby szybko zostać przytłoczony w takiej sytuacji? Porucznik Markov był wystawiony na ten chaos przez zaledwie dwie minuty, ale gdyby spędził tam więcej czasu albo gdyby któreś z nas dwojga zostało tam uwięzione... Próbowalibyśmy przetwarzać informacje w sposób racjonalny, co doprowadziłoby do przeładowania. Niewykluczone, że w krótkim czasie stalibyśmy się niezdolni do myślenia i działania.

– Podczas gdy talent Marguerite do symboli i wizualizacji ochronił ją? – Tata pokiwał głową. – Fascynująca teoria.

– Nie zamierzam jej testować, jasne? – Głos mi drżał. Nie potrafiłam przestać sobie wyobrażać surrealistycznej, ognistej zagłady Uniwersum Rzymskiego. – Ponieważ nigdy nie chcę patrzeć na śmierć kolejnego wymiaru. Nie tylko na nią patrzyłam... Spowodowałam ją. To przeze mnie...

Moi rodzice znieruchomieli. Paul wyprostował się i odsunął od ściany.

– Co takiego?

Wyjaśniłam im, co się zdarzyło, zastanawiając się, czy mnie za to znienawidzą. Oni tylko popatrzyli na siebie ponuro.

– Cholernie podstępny atak. Inaczej tego nie można nazwać – mruknął tata. – Podły, nawet jak na standardy Triadu.

– Wszystko będzie dobrze, Marguerite. – Mama pochyliła się nad stołem, żeby dotknąć mojej ręki. – Teraz już wiesz, przed czym się pilnować. Drugi raz nie uda im się tego zrobić.

Błagam, niech to będzie prawda.

– Co się teraz stanie? – zapytałam. – Czy... odeślecie mnie do domu i zabierzecie swojego Firebirda?

Moi rodzice i Paul wymienili spojrzenia. To mama udzieliła odpowiedzi.

– Zamierzamy podarować ci tego Firebirda. To ogromne poświęcenie, ponieważ nadal mamy dopiero dwa, ale warte swojej ceny. Tylko ty masz szansę uratować inne Marguerity i w porę ustabilizować wszechświaty. Namierzyliśmy Marguerite z Centrali...

– Złą – powiedziałam. – Nazywajcie ją Złą.

Mój ojciec nie mógłby już wyżej unieść brwi, ale mama gładko kontynuowała:

– Namierzyliśmy Złą i wiemy, gdzie obecnie się znajduje. Kiedy tylko przeskoczy dalej, będziesz mogła iść w jej ślady.

W tym momencie zaczęły wyc syreny alarmowe. Zatkanam uszy, a moi rodzice i Paul popatrzyli w górę ze zgrozą malującą się na twarzach. W jednej chwili mama złapała mnie za rękę i pociągnęła ze sobą, gdy wszyscy troje wybiegli z pokoju, zostawiając rozłożone papiery.

– Co się dzieje?! – zawołałam, przekrzykując wyjący alarm.

– Ewakuujemy się! – Paul przyspieszył bieg, żeby otworzyć przed nami drzwi. – Oddziały Sojuszu Południowego wkraczają w rejon Zatoki San Francisco.

Czymkolwiek był Sojusz Południowy, kiedy poprzednio się tu znalazłam, ich samoloty omal mnie nie zbombardowały.

– Napadają na nas dzisiaj? W tej chwili?

– To nastąpi niedługo. – Mama zachowywała spokój, chociaż przyspieszyła kroku i pociągnęła mnie za sobą. – Mamy rozkazy, żeby w ciągu dwóch godzin przenieść cały projekt Firebird na lotniskowiec „J.A. Quinteros”. A od tej chwili, Marguerite, ty także jesteś częścią tego projektu.

Rozdział piętnasty

Baza wojskowa, a przynajmniej ta część, w której się znajdowaliśmy, wydawała się cicha i spokojna, ale kiedy tylko wyszliśmy na zewnątrz, żeby ewakuować się na „Quinterosa”, znaleźliśmy się w środku chaosu.

Pojazdy wojskowe tłoczyły się na wszystkich drogach. Żołnierze i marynarze, których przydzielono do wywożenia sprzętu i amunicji, nosili ogromne pudła. Pozostali biegli do wyznaczonych pojazdów ewakuacyjnych. Ja siedziałam z tyłu jeepa pomiędzy rodzicami, a Firebird na mojej szyi huśtał się na każdej studziencie kanalizacyjnej i dziurze w drodze. Paul siedział za kierownicą i prowadził w sposób, który początkowo wydał mi się lodowatą obojętnością na bezpieczeństwo wszystkich wokół nas. Potem zauważyłam, że wszyscy jadą lub biegną w tę samą stronę.

Nisko wiszące szare chmury blokowały blask słońca, co nie było niczym niezwykłym w San Francisco. Jednak niebo było ciemne nie tylko z powodu chmur. Dym unosił się nad horyzontem z różnych miejsc, czasem oddalonych o wiele kilometrów, czasem o wiele bliższych. Nie wydawał mi się efektem obecnie szalejącego pożaru, wyglądał raczej jak dym z pogorzelniska. Okropnie było wiedzieć, że ogień pochłonął setki hektarów ziemi rolnej, ale jeszcze gorszy był widok dymu unoszącego się nad centrum miasta, a może także nad Berkeley. Ile setek lub tysięcy ludzi zginęło?

Jednak po zagłądzie Uniwersum Rzymskiego nie miałam dość siły, żeby wpaść w panikę. Zamiast tego czułam odrętwienie i zdumienie, że nadal żyję – i że Paul z tego świata przybył, aby mnie uratować.

Gargantuiczna skala lotniskowca nie stanowiła dla mnie zaskoczenia, ponieważ w mojej wersji Zatoki San Francisco był na stałe zacumowany USS „Midway”, ale to nie sprawiało, że „J.A. Quinteros” wydał mi się mniej onieśmielający. Wznosił się w oddali i wyciągał do nieba, a wejście na pokład przypominało trochę wspinaczkę na szczyt. Moi rodzice polecili jakimś marynarzom wnieść przyrządy i dokumentację po rampie, a Paul poprowadził mnie przodem.

– Nie powinieneś pomagać przy transporcie tych supertajnych rzeczy? – Skinieniem głowy wskazałam mężczyzn uginających się pod ciężkimi pudłami.

Paul spojrział na mnie z ukosa i mocniej zacisnął rękę na moim łokciu.

– Właśnie to robię.

Nie powiedział tego, żeby zażartować, ale każda chwila wytchnienia w tym napięciu była zbyt cenna, aby ją marnować. Kiedy zaczęłam się śmiać, jego surowa twarz odrobinę – naprawdę troszeczkę – się rozjaśniła.

Innym, który cię kocha – powiedział do mnie w Rzymie...

W tłumie żołnierzy tuż pod nami ktoś krzyknął:

– Marguerite!

Odwróciłam się i w samym środku zamieszania zobaczyłam Theo – szeregowego Theodore’a Becka z tego wymiaru – machającego desperacko czapką od munduru, żeby zwrócić moją uwagę.

Nagle straciłam zdolność oddychania.

W jednej chwili poczułam się, jakbym znowu była w Egipcie, przygwożdżona do posadzki grobowca, z oczami wypełnionymi łzami i szyją miażdżoną w pętli szubienicznej zrobionej z mojego szala, a Theo płakał i dusił mnie na śmierć.

– Marguerite? – Paul podszedł bliżej, a dotyk jego ręki na moim ramieniu stał się mniej stanowczy, a bardziej opiekuńczy. – Okropnie wyglądasz.

Cały Paul – bezpośredni w każdym wszechświecie.

– Theo – szepnęłam. – Zobaczyłam Theo.

Paul zmarszczył brwi i przeniósł spojrzenie ze mnie na Theo – nadal machającego, bo wyraźnie się nie zorientował, że go zauważyłam – a potem znowu na mnie.

– No to dlaczego się nie cieszysz?

– Na pewno powiedzieli ci, że zginęłam w Uniwersum Egipskim. Ale pewnie nie dodali, w jakich okolicznościach.

– Nie, ale co to...

– Theo mnie zamordował. – Te słowa nie stawały się ani odrobinę łatwiejsze do wypowiedzenia. Rzeczywistość była zbyt straszna, żeby w nią uwierzyć. Wiedziałam, że to prawda. Nie potrafiłabym zapomnieć tamtego przerażenia i bólu aż do końca życia, ale jednocześnie nie miałam poczucia, że to się stało. – Nie mój Theo. Nie twój Theo. Ten z Uniwersum Triadu. Zacisnął mi na szyi mój koronkowy szal i dusił mnie, dopóki nie umarłam. – Zaraz się poprawiłam. Jakkolwiek straszne to dla mnie było, nie ja stałam się główną ofiarą Theo. – To znaczy ja przeskoczyłam, zanim straciłam przytomność, ale Marguerite z tamtego świata umarła pewnie kilka sekund później.

Paul cofnął się chwiejnie o krok, jakby sam został zaatakowany. Kiedy znowu spojrział w dół na Theo, jego szare oczy pociemniały od czystego gniewu.

– Jak on w ogóle mógł...

Potem zaklął po rosyjsku i odwrócił głowę, żeby nie musieć nawet patrzeć

na Theo.

Tymczasem Theo machał obiema rękami najszerzej, jak tylko mógł, rozpaczliwie starając się zwrócić na siebie moją uwagę. Chociaż jego widok napęniał mnie przerażeniem, wiedziałam, że ten strach dotyczy Theo Becka z Uniwersum Triadu. Nie z tego świata i nie z mojego.

Mój Theo nie zasługiwał na takie potraktowanie, podobnie jak ten Theo zasługiwał na to, by pożegnać się ze swoją dziewczyną, jeśli byłam w stanie to wytrzymać.

Odwrociłam się do Paula z determinacją.

– Powinam iść do niego. Czy mamy pięć minut?

Paul popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

– Nie chcesz chyba spotkać się ze swoim mordercą.

– Nie chcę, ale on nie jest moim mordercą. Tu nie chodzi o mnie, jasne? Chodzi o Marguerite z tego świata i o niego. – Wskazałam Theo, który zachęcony zaczął się przedzierać przez tłum w naszą stronę. – Skoro ewakuujemy całe San Francisco, to domyślam się, że sytuacja jest gorzej niż przerażająca. To może być ostatni raz, kiedy będzie mógł zobaczyć dziewczynę, którą kocha, i powinien się z nią pożegnać. Właśnie to zamierzam mu umożliwić. Możesz się opanować na tyle, żeby okazać odrobinę wspaniałomyślności? – Złość, którą czułam na myśl o fatalizmie mojego Paula, zaczęła we mnie wzbierać, ale to nie było w porządku. To był inny mężczyzna, inne życie. – Kocham cię w tak wielu światach, Paul. Może teraz będziesz mógł zobaczyć, ile ich jest, i w końcu mi uwierzysz. Ale ten świat należy do Theo.

Z tymi słowami pobiegłam po rampie w dół. Paul mnie nie zatrzymywał.

– Marguerite! – Theo zniknął mi na chwilę z oczu, ponieważ teraz znalazłam się niżej i nie widziałam go w tłumie.

Zgubił się wśród mundurów, przepychanki, zapachu potu i wody morskiej. Dlatego przepychałam się w stronę, z której dobiegał jego głos, aż w końcu go zobaczyłam. Złapał mnie za ramiona i przytulił mocno...

...a ja znowu przypomniałam sobie koronkowy szal i agonię towarzyszącą jednej z nieskończonej ilości moich śmierci...

...ale nie zapomniałam lekcji, którą dostałam podczas poprzedniej podróży między światami. Każda wersja z każdego wszechświata była niepowtarzalna. Theo z Uniwersum Triadu był kłamcą, mordercą i sukinsynem. Mój Theo był najlepszym, pozbawionym cienia samolubności przyjacielem, jakiego mogłabym mieć. Jeśli chodziło o Theo, który mnie tulił w tym momencie, wiedziałam tylko, że moja inna wersja kocha go z całego serca. To właśnie zamierzałam

teraz uszanować.

– Gdzieś ty była? – Theo ucałował moją szyję i policzek. – Od tamtej dziwnej przygody, jaką mieliśmy w bazie, nie pozwalali mi się z tobą zobaczyć. Nie wróciłaś do domu nawet raz, bo Bóg mi świadkiem, że zaglądałem tam tak często, jak tylko mogłem.

– To ściśle tajne. – Rodzice nie musieli mi nic mówić, to było oczywiste. – Przepraszam, Theo. Wiesz, że powiedziałabym ci wszystko, gdyby mi pozwolili.

Theo ujął moją twarz w dłonie. Jego wyraziste brązowe oczy chłoneły mój widok.

– Powiedz mi tylko, że to nie jest niebezpieczne. Jeśli jesteś bezpieczna, cała reszta nie ma znaczenia.

– Jestem bezpieczna. – Tak naprawdę w moim przypadku to było dalekie od prawdy, ale mówiłam w imieniu Marguerite z Uniwersum Wojennego, która była teraz chroniona jako kluczowy element projektu Firebird. To prawdopodobnie oznaczało, że jest na tyle bezpieczna, na ile to możliwe w tym wymiarze. – A co z tobą? Dokąd cię wysyłają?

– Mamy jechać na wschód, w Góry Skaliste. Na razie nic więcej nie wiem. Napiszę, kiedy tylko będę mógł, na adres twoich rodziców i opowiem ci o wszystkim z wyjątkiem nazwy obozu. Przysięgam.

– Lepiej, żebyś to zrobił.

Kiedy Theo przyciągnął mnie do pocałunku, odwzajemniłam go z całą miłością, jaką miałam w sercu. Jeśli ta Marguerite czuła do niego to, co ja czułam do Paula, tak właśnie pocałowałaby go na pożegnanie. Przytuliłam go mocno i otworzyłam usta, podczas gdy morska bryza poruszała moimi włosami, a jego ciepłe dłonie gładziły moje plecy. Kiedy opuszczę ten wymiar, Marguerite z Uniwersum Wojennego będzie to pamiętać. Dla jej dobra i dla niego chciałam, aby ta chwila była piękna.

Dźwięk gwizdka przeszył powietrze, a Theo przerwał pocałunek. Część żołnierzy wokół nas skierowała się już w inną stronę – ta fala miała za chwilę zabrać Theo. Uśmiechnął się, jak zwykle krzywo, i jak zwykle czarująco.

– Jeśli ci się wydaje, że to było dobre... to poczekaj tylko, aż się będę z tobą znowu witał.

– Mam nadzieję, że to będzie niedługo.

Biorąc pod uwagę, jak toczyła się ta wojna, nie potrafiłam sobie wyobrazić, ile czasu minie, zanim się znowu zobaczą. Miesiące? Może lata?

A może dłużej. W rozpaczliwych czasach wojny za każdym razem, gdy kogoś żegnasz, wiesz, że być może to już na zawsze.

Theo pocałował mnie jeszcze raz.

– Kocham cię – wyszeptał tuż przy moich wargach.

– Ja też cię kocham.

Aby to powiedzieć, używałam jej głosu, jej ciała, umysłu i serca. To sprawiało, że to była prawda.

Theo rzucił mi ostatnie spojrzenie rozdzierające serce, a potem odwrócił się, żeby wypełnić dane mu rozkazy i włączyć się w wojnę, która mogła go zabić. Patrzyłam za nim, dopóki potrafiłam odróżnić jego sylwetkę w tłumie otaczających mnie żołnierzy, a potem jeszcze tak długo, jak potrafiłam sobie wmawiać, że może jeszcze przelotnie go zobaczę. Dopiero kiedy wiedziałam, że naprawdę ostatecznie zniknął mi z oczu, odwróciłam się i weszłam na pokład „Quinterosa”.

Musiałam pożegnać tego Theo na zawsze. Co zrobię, gdy ponownie spotkam mojego?

Ani przez chwilę nie wątpiłam, co zamierzam zrobić, gdy znowu zobaczę Theo z Uniwersum Triadu.

Nie czułam rozkołysanego oceanu, wznoszącego się i opadającego pode mną. Gigantyczne rozmiary lotniskowca sprawiały, że nawet na falach pozostawał całkowicie stabilny. Ale chociaż ten okręt był ogromny – dostatecznie wielki, aby pomieścić tuziny myśliwców i boisko baseballowe na rozległym pokładzie – kiedy tylko weszłam do środka, dopadła mnie klaustrofobia. Korytarze były ciasne, schody wąskie i strome. Paul zaprowadził mnie do rodziców i wyszedł bez słowa. Nie mogłam się nadmiernie martwić jego reakcją, ponieważ byłam zbyt zajęta przyzwyczajaniem się do nowego otoczenia.

Kabina, do której zaprowadzili mnie rodzice, była mniej więcej wielkości garderoby w moim domu, na tyle duża, by z trudem pomieścić składane łóżko, mały stolik i krzesło przymocowane do podłogi.

– Ten pokój jest chyba jeszcze mniejszy niż tamten na stacji kosmicznej – powiedziałam, kiedy tylko postawiłam na podłodze małą kartonową walizkę, którą mi przyniesiono.

– Stacji kosmicznej? – Mama zmarszczyła brwi.

– No wiesz, w Uniwersum Kosmicznym. Słyszeliście o nim, jestem tego pewna.

Tata poprawił okulary na nosie gestem świadczącym o tym, że jego ciekawość ruszyła właśnie pełną parą.

– Owszem, ale nie byliśmy pewni, dlaczego ten świat zyskał taki przydomek.

Czy jest, no, pod jakimś względem bardziej kosmiczny?

– Może niebo w tym wszechświecie jest bardzo zanieczyszczone, więc ludzie budują stacje w górach, z których można obserwować kosmos?

Po dziwnym wirze emocji, które mnie ogarnęły, gdy pocałowałam Theo na pożegnanie, uśmiech był dla mnie prawdziwą ulgą.

– Nie, nie o to w ogóle chodzi. Stacja kosmiczna to stacja w kosmosie. No wiecie, poza atmosferą ziemską. – Wskazałam w górę.

Mama i tata rozpromienili się, a tata niemal bez tchu zapytał:

– Jest w trakcie podróży na inną planetę?

– Nie, orbituje wokół naszej. – Chociaż ja przeraziłam się, gdy się okazało, że jestem poza Ziemią, mogłam zobaczyć, że sam ten pomysł napełnił ich zachwytem. – Mama była jej kapitanem.

Wyraz zachwyty na ich twarzach pojawił się tylko na chwilę i zgasł tak szybko, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie powiedziałam czegoś złego. Moja matka odezwała się:

– Gdybyśmy nie prowadzili tej głupiej, bezproduktywnej wojny... Pomyśl o rzeczach, które moglibyśmy robić, Henry. O odkryciach, których moglibyśmy dokonać. Zamiast tego wolno nam tylko zaglądać do innych wymiarów, żeby nauczyć się budowania nowych broni.

– Wiem, Sophie. – Tata objął ją od tyłu gestem dziwnie znajomym pomimo ich wojskowych mundurów i surowego, pustego, metalowoszarego otoczenia. – Wiem.

Byli tak smutni, tak zagubieni. Moi rodzice znajdowali sposób, aby stać się odkrywcami i wynalazcami w każdym świecie, ale nigdy nie przypuszczałam, że zobaczę wymiar, w którym ich miłość do wynalazków zostanie choćby częściowo przyćmiona żalem z powodu ich zastosowań.

– No dobrze – odezwałam się i sięgnęłam do walizki. Musiałam jakoś zmienić temat. – Czy dostanę jakąś mapę statku, plan, czy jak to się nazywa na okręcie? Chciałabym umieć znaleźć w razie czego stołówkę.

To miał być żart, ale mama i tata wymienili spojrzenia, które jasno mówiły: „Ty jej to powiedz”.

– Cóż, skarbie – wyjaśnił w końcu tata – masz tutaj łóżko i stół dla siebie, kilka książek w walizce i własną łazienkę, co swoją drogą jest tu prawdziwym luksusem, a my będziemy ci osobiście przynosić posiłki. Dlatego nie musisz się martwić, że się zgubisz, i nie masz powodów, żeby gdziekolwiek chodzić.

Przypomniałam sobie pokój, w którym się znalazłam po przeskoku, pół sypialnię, a pół biuro, z zamkami w drzwiach. Wtedy byłam zbyt roztrzęsiona,

żeby to przeanalizować, ale teraz cel tych zabezpieczeń wydawał się jasny.

– Obserwujecie mnie na wypadek, gdyby Zła postanowiła wpaść z wizytą.

– Kiedy tylko Uniwersum Berkeley zawiadomiło nas o zagrożeniu – powiedziała mama – zgłosiłaś się na ochotnika. To znaczy, nasza ty, nie ty.

– Jasne. To dobrze. To był właściwy krok. – Jakie zniszczenia mogłaby wyrządzić Zła na lotniskowcu? Nie chciałam tego sprawdzać. – Rozumiem, nie będę stąd wychodzić pod żadnym pozorem.

– Wiedziałem, że zrozumiesz. – Tata popatrzył na mnie tak jak wtedy, gdy uświadomił sobie, że jestem o trzy centymetry wyższa od mamy. Z dumą, ale i melancholijnie. – Powiem ci szczerze, Marguerite, że kiedy dowiedzieliśmy się, co się dzieje, nie rozumiałem, dlaczego Josie nie została podróżnikiem doskonałym. To ona nigdy nie mogła się doczekać, aż rzuci się głową naprzód w coś nowego.

Josie zaciągała mnie na niezliczone kolejki górskie i do parków linowych. Kiedy tylko dowiedziałam się, że Centrala ją wybrała do tej roli, wiedziałam, że to całkowicie logiczne. Zanim jednak zdążyłam się zgodzić z tatą, dodał:

– Ale w tej roli nie potrzeba poszukiwacza przygód, raczej kogoś, kto potrafiłby... spojrzeć na każdy świat świeżym okiem. Kto potrafiłby spostrzec jak najwięcej szczegółów. Nie poszukiwacza przygód, ale artysty. To ciebie potrzebowaliśmy od samego początku.

To było jak ten moment w Egipcie, gdy uświadomiłam sobie, że w tamtym wymiarze mam znaczący wkład w pracę rodziców – ale jeszcze lepsze. Tysiąc razy.

– Dzięki – zdołałam wykrztusić, mimo ściśniętego gardła.

Mama westchnęła, zarówno z satysfakcji, jak i po to, by zasygnalizować, że czas się zbierać.

– Za kilka godzin przyniesiemy ci obiad, kochanie. Jeśli potrzebowałabyś więcej książek, daj nam znać. Mogę też przynieść talię kart.

– Tak właściwie to moglibyście przysłać tu Paula z obiadem? – Może on nie był jeszcze gotowy, żeby znowu ze mną porozmawiać, ale kto wie, ile czasu mieliśmy? Nie mogłam przegapić żadnej okazji. – Musimy pogadać.

W ciągu pięciu minut poznałam każdy centymetr mojego nowego spartańskiego lokum. Łazienka była czysta, ale maleńka i do tego dziwaczna – zamiast prawdziwego prysznicza był tylko wąż ze słuchawką prysznicową i odpływ w podłodze, tak jakby cała łazienka była kabiną prysznicową. Zamiast ze szkła, lustro było z wypolerowanego metalu i pozwoliło mi zobaczyć rozmytą

wersję siebie w tym odrobinę staroświeckim stylu, jaki zapamiętałam. Kręcone włosy miałam przycięte do podbródka i upięte z jednej strony szpilkami. Nie nosiłam prawie makijażu poza ciemnoczerwoną szminką, której nie zdołał rozmazać nawet pocałunek Theo.

Wreszcie nie musiałam próbować przeskoczyć z tego wszechświata w każdej wolnej chwili. Zamiast tego skuliłam się na łóżku. Chociaż miałam zbyt napięte nerwy, żeby naprawdę się odprężyć, to prawdziwym luksusem było, że mogłam po prostu leżeć. Po prostu być, przynajmniej przez chwilę. Dzięki nowemu śledzeniu międzywymiarowemu moi rodzice będą mogli mi powiedzieć, kiedy Zła wreszcie przeskoczy dalej.

W sennym otępieniu, które nie do końca było drzemką, pomyślałam, że wyraźnie się nie spieszy. Czy to dlatego, że Centrala uznała, iż zginęłam razem z Uniwersum Rzymskim? A może dlatego, że Zła starała się wymyślić jeszcze bardziej śmiertelną pułapkę? Nie miałam pojęcia, czym mogłaby przebić poprzednie dokonanie.

Pukanie do drzwi sprowadziło mnie gwałtownie na ziemię.

– Obiad – odezwał się Paul po drugiej stronie drzwi.

Przetoczyłam się na bok, żeby wstać, wzięłam głęboki oddech i otworzyłam drzwi z uśmiechem.

Paul stał tak sztywno, jakby prężył się na bacność przed kapitanem, a w rękach trzymał tacę z jedzeniem.

– Cześć – powiedziałam. – Dzięki. Wejdz, proszę.

Tak zrobił i postawił tacę na stole najszybciej, jak to możliwe. Kiedy jednak zamknęłam za nim drzwi, stężał. Najwyraźniej miał nadzieję, że ta wizyta będzie bardzo krótka.

– Czy moi rodzice nie powiedzieli ci, że chciałabym z tobą porozmawiać? – zapytałam.

– Tak, ale nie mogę odgadnąć, o czym mielibyśmy rozmawiać. Oczywiście poza projektem Firebird, ale o tym możesz rozmawiać z rodzicami. To bez wątpienia będzie bardziej produktywne.

Każde jego słowo było suche, a jego postawa całkowicie oficjalna. Nie miałam łatwego zadania.

– Nie chcę rozmawiać o Firebirdzie. Chcę rozmawiać o Paulu. Moim Paulu. – Jak miałam do niego dotrzeć? – Kocham go, ale on ma problemy, bardzo poważne problemy, a ja nie wiem, jak mu pomóc. Pomyślałam, że jeśli ktokolwiek pomógłby mi go zrozumieć, to byłbyś właśnie ty, prawda? Jesteś czasem taki zamknięty i nieprzenikniony. Tylko inna twoja wersja może cię

naprawdę zrozumieć.

– Nie jesteście tacy sami – odparł Paul.

– Nie, ale nie jesteście także zupełnie inni. – Chciałam powiedzieć, że nie wszystko tamtego wieczoru w Chinatown było udawane, ale wiedziałam, że nie powinnam tego robić. – Proszę. On nas potrzebuje.

Nieruchoma twarz Paula niczego nie zdradzała, ale przysiadł na brzegu mojego łóżka. Jego plecy pozostały tak sztywne, jakby siedział w kościelnej ławce.

Byłam niemal tak samo wygłodniała jak ciekawa, więc zajęłam miejsce przy stole, żeby zjeść przyniesioną kanapkę. Mimo wszystko jednak byłam w stanie zmęczyć tylko kilka kęsów. Chleb z Uniwersum Wojennego smakował jak tektura, a biorąc pod uwagę oszczędność racji żywnościowych, nie zdziwiłabym się, gdyby to była tektura.

– No dobrze – powiedziałam i odłożyłam kanapkę. – Pamiętasz, że Paul został rozszczępiony, a część jego duszy ukryto w tobie.

– Zakładam, że byłeś w stanie odnaleźć i połączyć wszystkie cztery odłamki jego duszy. W przeciwnym razie nie prowadzilibyśmy tej rozmowy.

– Tak, ale to nie wystarczyło. – Powinnam była zrobić zdjęcie tego okropnego skanu mózgu z Uniwersum Kosmicznego. Gdybym mogła go teraz pokazać, skala uszkodzeń stałaby się oczywista. – Paul jest kompletnie zagubiony. Wszystkie te mroczne impulsy, łącznie z brutalnością... Jest tak, jakby ledwie nad nimi panował. Nie ufa sobie w kontaktach ze mną i kontaktach z kimkolwiek, a do tego nie wierzy, że to może się zmienić.

– To nie jest rana, która się zagoi. – Ton głosu Paula był chłodny, jakbyśmy mówili o kimś obcym, a nie o innej wersji jego samego. – Jeśli odłamki nie scaliły się odpowiednio w chwili połączenia, to nigdy tego nie zrobią.

Oparłam się ciężko na krześle.

– Nie wiesz tego na pewno.

– Rany duszy są odmienne od ran ciała. Rozszczępienie to coś innego niż skaleczenie skóry. To bardziej jak... rozbicie porcelany. – Dłonie Paula nakreśliły w powietrzu jakiś kształt, coś stłuczonego, co sobie wyobrażał. – Możesz je złożyć w całość, nawet skleić tak zręcznie, że rysy będą ledwie widoczne. Ale te pęknięcia pozostaną. Nie zagoją się.

W takim razie Paul i ja nigdy już nie będziemy razem. Oparłam łokcie na stole i ukryłam twarz w dłoniach. Wszystkie moje uczucia zatoneły w okropnym, ostatecznym poczuciu utraty.

Jednak po chwili Paul dodał:

– Ale tylko dlatego, że coś popękało, nie znaczy, że jest zniszczone na zawsze. – Kiedy spojrzałam na niego, mówił dalej: – Ja, no, sam muszę panować nad brutalnymi impulsami. Nigdy nie straciłem nad sobą kontroli. To wybór, jakiego dokonałem, dyscyplina, jaką sobie narzuciłem. Twój Paul może zrobić to samo.

Czy mógł? Nie wiedziałam. Ale nie dowiemy się tego, jeśli mój Paul nie będzie chciał choćby spróbować. Żeby spróbować, musiałyby uwierzyć.

– Te impulsy... – zaczęłam. – One są spadkiem po rodzicach, prawda?

Zawsze sztywniał, gdy ktokolwiek choćby o nich wspominał.

– To oczywiste. Ale nie muszę być takim mężczyzną, jakim jest mój ojciec.

– Nie, nie musisz. Ale pęknięcia pozostają, tak?

Paul odetchnął z trudem.

– Jeśli ta rozmowa nie ma być konstruktywna, to...

– Zaczekaj. Nie. Chodzi o to, że myślałam o tym, jak przekonałeś sam siebie... zacząłeś wątpić... – W końcu znalazłam właściwe słowa. – To sprawiło, że uważasz, że nikt nie mógłby cię pokochać takiego, jakim jesteś.

Chociaż naprawdę musiałam to powiedzieć, prawie pożałowałam, że to zrobiłam, ponieważ Paul wzdrygnął się i wiedziałam, że te słowa trafiły go jak kule.

Nie odezwał się od razu, ale pozwoliłam, aby cisza się przeciągała. Od teraz nie było już miejsca na nic poza prawdą między nami.

W końcu Paul powiedział:

– Moi rodzice... Wiesz, że są spaczonymi ludźmi.

– W moim świecie i kilku innych są gangsterami. Mafiozami? Nie wiem, jakiego słowa tu używacie.

– Gangsterzy. – Oparł się o ścianę; znużenie zastąpiło oficjalną sztywność. – To mnie nie zaskakuje. Tutaj czerpią zyski z czarnego rynku. Odsprzedają żywność, sprzęt, nawet leki po astronomicznych cenach, tylko dlatego, że potrafią przekupić właściwych ludzi i dostać te towary, podczas gdy państwowe magazyny pozostają puste.

– Czy chcieli, żebyś w tym uczestniczył?

– Mdli mnie na myśl o tym, a oni zawsze o tym wiedzieli. Zawsze kpili ze mnie z tego powodu. Mówili, że jestem „za dobry”, żeby walczyć o własne miejsce w świecie. Mama i ojciec nie widzą tego jako wojny z Sojuszem Południowym. Dla nich zawsze każdy człowiek musi walczyć za siebie, w każdych okolicznościach.

Może to była ich cecha stała – jedyna rzecz prawdziwa w przypadku państwa

Markov w każdym świecie. Byłam pewna, że tak samo jest w moim.

– W moim świecie rodzice Paula w ogóle zerwali z nim kontakty. Nie dają mu żadnych pieniędzy tylko dlatego, że został naukowcem.

Zawsze wiedziałam, że coś jest mocno nie tak z matką i ojcem, którzy są wściekli na swoje dziecko za to, że w wieku dwunastu lat dostało się do college’u.

– Moi są bardziej wyrozumiali – powiedział Paul. – Służba wojskowa jest obowiązkowa, a poza tym mają nadzieję, że pewnego dnia awansuję dostatecznie wysoko i będę mógł przekazywać im kradzione towary. Są przeświadczeni, że kiedyś zacznę tak robić. Że „nabiorę rozsądku”. Ludzie tacy jak oni rozumieją pojęcia dobra i zła, ale przekonują siebie, że to, co robią, jest dobre. Wydaje się, że wybór twojego Paula uświadomił jego rodzicom, jak bardzo są małoduszni i samolubni. – Jego uśmiech był cienki jak linia blizny. – Ludzie potrafią wybaczyć wszystko z wyjątkiem udowodnienia im, że nie mieli racji.

Pomyślałam o pustym pokoju Paula w akademiku. Nie było go stać na nic poza pojedynczym kompletem szorstkiej pościeli, który kupił w sklepie charytatywnym. Miał dwie pary dżinsów podniszczonych w tym samym stopniu i stos używanych T-shirtów. Nawet największy luksus, parę dobrych butów na wspinaczki górskie, kupił w second handzie. Moi rodzice podarowali mu nowy płaszcz zimowy, a kiedy upiekli dla niego tort na urodziny, nie posiadał się ze zdumienia. Był im taki wdzięczny. Wydaje mi się, że od lat nie miał tortu urodzinowego.

Może jego ojciec, Leonid, nie zachowywał się podle bez powodu. Może starał się obudzić w Paulu jakąś złość i okrucieństwo. Gdyby Paul zaczął mieć dość swojego ubóstwa, gdyby w jakimś momencie pomyślał: *To absurd. Nie muszę tak żyć. Mogłbym tak łatwo odebrać pieniądze tym idiotom, którzy mnie otaczają* – wszystko by się zmieniło. Gdyby wykorzystał swój geniusz do kradzieży tożsamości albo hackowania banków, mógłby zostać milionerem w kilka tygodni. Może nawet w kilka dni. Projekt Firebird bez niego mógłby się nie udać, podczas gdy Paul stałby się dokładnie takim człowiekiem, jak chciał tego jego ojciec.

Ale on nawet nie drgnął. Ani razu.

– Trudno mi było zaakceptować takiego Paula i nie w każdym świecie jesteśmy razem – oznajmiłam. – To nadal jest trudne. Ale wiem, że go kocham i że jest między nami coś, w bardzo wielu światach, co wykracza poza zwykły przypadek. Paul patrzy na to inaczej. To tak, jakby teraz, gdy został

rozszczepiony, zakładał, że nigdy nie będziemy razem.

Paul zastanowił się nad tym, analizując własne wnętrze. Poznawanie innej wersji siebie – różności ludzi, którymi możesz być, pozostając jednocześnie całkowicie sobą – jest oszałamiające. Pomimo mojej rozpaczliwej fascynacji obserwowałam, jak ktoś inny przeżywa to samo.

– Zawsze wydawałaś się zupełnie poza zasięgiem – powiedział w końcu. – Nie tylko z powodu Theo. Bo tak trudno mi uwierzyć, że ktoś mógłby odwzajemnić moją miłość, nie oczekując niczego.

Już wcześniej wiedziałam, jak bardzo musiała go zboleć moja zdrada, ale teraz uświadomiłam sobie w pełni, jak głęboka jest ta rana.

– Przepraszam – szepnęłam.

Paul mnie nie słuchał. Nie potrzebował już przeprosin. Chciał sam to zrozumieć.

– Skoro mnie jest tak trudno, twojemu Paulowi Markovowi musiało się to wydawać niemal niemożliwe. Koncepcja przeznaczenia dawała mu nadzieję. Teraz, gdy mu to odebrano, nie potrafi już w nic uwierzyć.

– Wie, że jest bardzo bliski moim rodzicom – powiedziałam. – A także mojemu Theo. Ale pewnie myśli, że chodzi tylko o badania naukowe. O to, na ile może im pomóc.

– Nie wiem. Nie jestem nim. Ale... mógłbym w coś takiego uwierzyć.

Siedzieliśmy w milczeniu jeszcze przez chwilę. Zjadłam kilka kęsów kanapki, ale całkowicie machinalnie, ledwie czując nijaki smak jedzenia. Jak mogłabym kiedykolwiek naprawić takie szkody? Jak miałam przekonać Paula, żeby w nas uwierzył, gdy całe jego życie i wszystkie te inne wszechświaty mówiły mu, że to niemożliwe?

Kiedyś pomyślałam o przeskakiwaniu ze świata do świata w poszukiwaniu tego, w którym miłość łącząca mnie i Paula byłaby doskonała. Teraz nie wiedziałam, czy taki świat w ogóle mógłby istnieć.

– Dlaczego Theo? – Paul odezwał się jako pierwszy. – Jak myślisz, dlaczego wybrałaś jego, a nie mnie?

– Prawdopodobnie wykorzystał swój urok osobisty. W moim świecie on pracuje razem z wami, moi rodzice są promotorami jego doktoratu, więc być może powstrzymywał się, bo nie chciał się im narazić. Potem zakochałam się w Paulu, a Theo z Uniwersum Triady pogrzebał jego szanse i to był koniec. W świecie, w którym nie miałby powodów, żeby nie próbować... Cóż, to chyba właśnie jest ten świat.

– Czyli nie ma właściwie różnicy między nami, jeśli chodzi o twoje

potencjalne uczucia. – Paul starał się, żeby to brzmiało rzeczowo, ale wyczuwałam urazę, której nie udało mu się do końca ukryć.

– Wiem, że Marguerite z tego świata kocha tego Theo. Ale gdy Paul i ja byliśmy razem... w Rosji, w Rzymie... – Mój głos się załamał. – Nie wiedziałam, że można kogoś tak kochać, dopóki nie pokochałam ciebie. To znaczy... jego.

– Rozumiem, o co ci chodzi. – Głos Paula był teraz łagodny.

W końcu mi uwierzył.

– Może, gdybym odwiedziła dostatecznie dużo światów, żeby złożyć wszystkie fragmenty układanki, mogłabym wszystko naprawić. Może bym go zrozumiała.

– To bez znaczenia, nawet gdybyś odwiedziła milion światów. Nigdy nie będziesz wiedziała wszystkiego o drugim człowieku, nawet jeśli to osoba, którą kochasz. To niemożliwe i wcale byś tego nie chciała. – Ku mojemu zaskoczeniu Paul uśmiechnął się, a jego twarz była pełna ciepła i czułości, jak tamtego wieczoru w Chinatown. – Musisz pokochać zagadkę. Musisz zaryzykować.

Pisk głośnika zaskoczył nas oboje. Dopiero teraz zauważyłam w kącie mały siatkowy ekranik z gałką, który umożliwiał mi komunikację z resztą statku.

– Marguerite – odezwał się tata metalicznym głosem – mamy potwierdzenie, że, no, Zła zmieniła lokalizację. Przeskoczyła do następnego wszechświata.

Wstałam zza stołu i przekręciłam gałkę, żeby odpowiedzieć.

– Muszę zaraz wyruszać. Ta Marguerite, którą zostawiła, jest w niebezpieczeństwie.

– Rozumiem – oznajmił tata. – Bezpiecznej podróży i pamiętaj, że będziemy cię obserwować. Pomożemy ci, jeśli to będzie możliwe.

– Dziękuję. Kocham cię i przekaz mamie, że ją kocham.

To było trochę głupie, skoro ich Marguerite miała zaraz odzyskać kontrolę nad własnym życiem. Ale ucieszyłam się, że wypowiedziałam te słowa, gdy usłyszałam w odpowiedzi:

– My też cię kochamy.

Paul wstał, tak że znaleźliśmy się twarzą w twarz. Zaledwie tydzień czy dwa temu miałam nadzieję, że już nigdy nie będę musiała go spotkać. Teraz tak trudno było się z nim pożegnać.

– Chciałabym cię pocałować. To zły pomysł?

– Raczej tak. Ta Marguerite nie była zachwycona tym, co się stało – odparł, mając na myśli nasz pocałunek w Chinatown. – Nie obwiniała mnie o to, a kiedy poznaliśmy całą prawdę, nie obwiniała nawet ciebie. Ale nie zamierzam teraz

wykorzystywać sytuacji.

– Wiem, że to zapamiętała, ale mam nadzieję, że zapamiętała także, jak bardzo mi pomogłeś. Jak dobrym jesteś człowiekiem.

Paul chłonał mnie spojrzeniem. Być może po raz ostatni widział mnie patrzącą na niego z miłością.

– Ja także mam taką nadzieję. Życzę ci szczęścia.

– Dzięki.

Będę go potrzebować. Co Zła zaplanowała dla mnie tym razem? Wiedziałam tylko, że nie będzie dobrze. Znowu spojrzałam na Paula, żeby zaczerpnąć odwagę z widoku jego twarzy, a potem nacisnęłam przyciski Firebirda...

...i wpadłam w fotel samolotowy tak gwałtownie, że się zakołysałam. Za sobą usłyszałam niezadowolony pomruk. Chyba zrzuciłam komuś napój z tacy.

Stewardessa stała w przejściu obok mnie, a jej firmowy uśmiech lekko zakłócało widoczne zdziwienie.

– Proszę pani? Czy wszystko w porządku?

– W porządku. Jasne. Jak najlepszym.

– Może podać coś jeszcze do picia? To już ostatnia runda serwisu pokładowego w czasie tego lotu. – Mówiła z leciutkim akcentem, chyba latynoskim. – Kawa, herbata, woda?

– Nie trzeba, dziękuję.

Kiedy stewardessa oddaliła się, pomyślałam: Zła wsiadła do samolotu. Mój mózg wypełniły koszmarne obrazy wysadzanych maszyn, ognistych katastrof na pasie startowym, a także upiornych zaginięć nad oceanem, które udaje się wyjaśnić dopiero rok później. Zacisnęłam dłonie na poręczach fotela, ponieważ jeśli Zła zrobiła coś takiego, nie miałam absolutnie żadnej szansy, żeby się uratować.

Ale czy Zła potrafiłaby przenieść tę hipotetyczną bombę przez kontrolę bezpieczeństwa? Gdzie kupiłaby środki wybuchowe? Sama nie miałam pojęcia, jak to zrobić, a ona pochodziła ze świata tak odmiennego od mojego, że wątpię, aby to wiedziała. Ten świat był wyraźnie bardzo zbliżony do mojego. Samolot i pasażerowie wyglądali całkiem zwyczajnie, a ja miałam na sobie legginsy i koronkowy top z Anthropologie, który podziwiałam, ale – przynajmniej w domu – nigdy nie udawało mi się zebrać z kieszonkowego dostatecznej sumy, żeby go kupić. Poza tym, skoro to była ostatnia runda serwisu pokładowego, Zła leciała tym samolotem co najmniej od godziny czy dwóch, a może znacznie dłużej. Nie czekałaby tak długo, gdyby jeszcze przed lądowaniem miała wybuchnąć bomba. Tak czy inaczej byłabym tu uwięziona.

Może niebezpieczeństwo nie znajduje się na pokładzie tego samolotu. Może czeka w jego miejscu przeznaczenia.

Poczułam narastające ciśnienie w uszach. Przełknęłam mocno ślinę i zaraz wróciło do normy. W tym samym momencie usłyszałam głos pilota:

– Zaczynamy podejście do lądowania w Quito w Ekwadorze...

Ekwador? Już wiedziałam, w którym wszechświecie jestem i kto będzie na mnie czekał na lotnisku. Tam właśnie uciekł Paul z Uniwersum Triadu, kiedy zwrócił się przeciwko Triadowi, aby mnie chronić. Tam właśnie musiał nadal mieszkać, ukrywając się przed bandziorami nasłanymi przez Wyatta Conleya.

Dlaczego Zła miałyby lecieć do Ekwadoru? Nienawidziła Paula, a w każdym razie nie wahała się przed zadawaniem mu bólu. W tym momencie uświadomiłam sobie, jaki mogłaby mieć powód. Jeśli umówiła się z Pauliem na lotnisku, mogła powiedzieć innym, że on tam będzie. Na przykład ludziom pracującym dla Wyatta Conleya.

Serce mi się zacisnęło, gdy zdałam sobie sprawę, że Zła zastawiła pułapkę na Paula... a ja byłam przynętą.

Rozdział szesnasty

Jedyny plan, jaki zdołałam wymyślić podczas lądowania, polegał na wymknięciu się z lotniska tak, żeby Paul mnie nie zauważył. Zła na pewno zadzwoniła do niego albo wysłała e-mail z prośbą, żeby wyszedł po nią, ale jeśli ludzie Triadu czekali na nasze spotkanie, aby wkroczyć do akcji, to spotkanie było wykluczone. Oczywiście mogli też czekać na niego poza lotniskiem, a w takim przypadku miałam związane ręce. Ale jeśli unikanie Paula teraz mogło w czymś pomóc, właśnie to planowałam.

Przeszłam przez odbiór bagażu, żeby sprawdzić, czy uda mi się przemknąć przed wyjściem do innego terminala. Miałam nadzieję, że karty kredytowe, które były w moim portfelu, działają w Ekwadorze. Jeśli mój tPhone także działa, zadzwonię do mamy i taty, żeby sprawdzić, co mi powiedzą.

Potem... Cóż, zastanowię się nad tym w swoim czasie. Może po prostu wrócę do kasy i kupię bilet na najbliższy lot do Stanów Zjednoczonych. Liczyłam na to, że wystarczy mi pieniędzy.

Wszystkie lotniska są w sumie bardzo podobne. Szłam razem z innymi pasażerami, z przewieszoną przez ramię ciemnozieloną torbą, i starałam się nie unosić głowy. Nie chciałam, żeby Paul mnie zobaczył... Ale sama chciałam zobaczyć Paula, więc nie potrafiłam się powstrzymać przed rzucaniem szybkich spojrzeń na tłum czekający za bramkami odprawy.

Za chwilę zauważyłam znajomą twarz, a potem następną... i zamarłam.

Paul nie wyszedł po mnie na lotnisko.

Tuż za barierką czekali Theo i Wyatt Conley. Theo miał ciemne okulary, które ukrywały wyraz jego oczu, ale Conley uśmiechał się, wręcz szczerzył się radośnie i podniósł rękę, żeby do mnie pomachać.

W drugiej ręce trzymał kartkę z napisem: „WITAJ W DOMU”.

Stałam jak wryta. Jakiś podróżny wpadł na mnie z tyłu i wymamrotał coś po hiszpańsku, pewnie „idiotka”, podczas gdy inni tłoczyli się wokół mnie. Moje dłonie zacisnęły się na pasku torby. Jedna myśl w mojej głowie rozrastała się, aż wyparła wszystkie pozostałe: *Triad odnalazł Paula*.

– Cześć, Marguerite – powiedział Conley, jakby był starym przyjacielem, do którego przyleciałam z wizytą. – Cieszę się, że jesteś. Mamy różne miejsca do odwiedzenia i mnóstwo tematów do rozmowy. Ale przede wszystkim obawiam się, że muszę sprawdzić twoją tożsamość.

Miałam wrażenie, że nie jestem w stanie zaczerpnąć dostatecznej ilości powietrza. Zakręciło mi się w głowie tak, że się zachwiałam. Jednak wzięłam się w garść i spojrzałam prosto na Conleya.

– Naćpałeś się? – odezwałam się.

– Odpowiedz tylko na jedno pytanie – odparł Conley. – Jakiego koloru jest łódź podwodna Beatlesów?

To brzmiało jak podstęp, jak pułapka. W pierwszej chwili chciałam zacząć krzyczeć, że Conley i Theo to terroryści i powinni zostać natychmiast zastrzeleni. Jednak teraz wiedziałam, że nie tak łatwo jest się wyplątać z jednej z intryg Wyatta Conleya. Na razie musiałam grać według ich reguł. Dlatego przypomniałam sobie moment, gdy przekonałam tłum, żeby wrzucił go wrzeszczącego w otchłań piekielną. Potem uśmiechnęłam się z całym ciepłem, jakie poczułam na to wspomnienie, i udzieliłam poprawnej odpowiedzi:

– Fioletowa.

– Oto nasza podróżniczka doskonała w końcu powróciła. – Conley gestem zaprosił mnie, żebym do nich dołączyła.

Theo odwrócił głowę, ponieważ ciemne okulary najwyraźniej nie stanowiły dostatecznej ochrony.

Sama bliskość Theo przerażała mnie na każdym poziomie. Mogłam to znieść tylko dlatego, że bliskość Conleya w jakiś sposób była jeszcze gorsza. Moja nienawiść do Wyatta Conleya była w stanie przyćmić wszystko, nawet mojego mordercę.

Postanowiłam zachować ostrożność.

– Jestem pewna, że nie ja jedna umiałabym udzielić odpowiedzi na to pytanie – stwierdziłam i podeszłam bliżej, chociaż zatrzymałam się w odległości kilku kroków. – Beatlesi nie są szczególnie niszowym zespołem.

– Nie, nie są – odparł Conley. – Jednak twórczość potrafi się rozwijać na różne sposoby. Tylko w twoim wymiarze Beatlesi śpiewają o fioletowej łodzi podwodnej. W multiwszechświecie jest też kilka „wielkich zielonych łodzi podwodnych”, ale zazwyczaj są one żółte.

– Żółta łódź podwodna? – Dziwne. O wiele mniej zabawne.

Pamiętałam, jak tata trzymał mnie za ręce i tańczył ze mną przy kreskówce, kiedy byłam zupełnie malutka, niedawno nauczyłam się chodzić. Razem śpiewaliśmy o fioletowej łodzi podwodnej. Nagle pożałowałam, że nie mogę wrócić do czasów, kiedy byłam po prostu małym dzieckiem, śmiać się razem z rodzicami, być kochana i szczęśliwa, a nic na świecie nie mogło być groźniejsze od Zielonych Smutasów.

Conley nie zauważył mojej reakcji.

– To interesujące, nieprawdaż, jak wiele rzeczy, które uznajemy za uniwersalne, jest tak niepowtarzalnych dla jednego konkretnego punktu w czasoprzestrzeni.

– Tak, fascynujące. – Nie miałam ani odrobiny cierpliwości do dalekosiężnych spekulacji Conleya. – Dlaczego mnie tu sprowadziłeś?

Ku mojemu zaskoczeniu odpowiedział mi Theo.

– Musieliśmy sprawdzić, czy jeszcze żyjesz.

– Na pewno nie dzięki wam. – Położyłam rękę na Firebirdzie i uniosłam brew.
– No to chyba będę lecieć.

Nie zrobiłabym tego. Nie zostawiłabym Marguerite z Uniwersum Triadu w takiej sytuacji. Zawiodłam już zbyt wiele moich innych wersji. Ale nie zamierzałam też tolerować pustych gadek Conleya ani chwili dłużej.

– Zostań jeszcze trochę – poprosił serdecznie Conley.

Oddał kartkę Theo i wsadził ręce w kieszenie markowych džinsów. Dzięki celowo swobodnemu zachowaniu i pociągłej, piegowatej twarzy nie wyróżniałby się na uniwersytecie, tak samo jak Theo i Paul. Mógłby uchodzić za doktoranta, ubranego równie niedbale co wszyscy, ale z odrobiną elegancji, z leciutką aurą pewności siebie i bogactwa. Bez wątpienia uważał, że wygląda, jakby nie stanowił zagrożenia, a ludzie, którzy go nie znali, mogliby się nabrać na te pozory.

– Musimy porozmawiać, prawda, Marguerite? Wiesz już teraz więcej. Widziałaś więcej. Wydaje mi się, że możesz być prawie gotowa, aby nas wysłuchać.

Chyba żartował.

– Nawet teraz jakaś inna Marguerite znajduje się w niebezpieczeństwie. Właśnie w tej chwili! Nie możesz mi wmawiać, że powinniśmy być najlepszymi przyjaciółmi, kiedy w innym wszechświecie zabijasz inną mnie.

Uniósł dłonie w taki sposób, jakby się poddawał.

– Jako gest dobrej woli wysłałem twoją odpowiedniczkę z Centrali do „neutralnego” wszechświata, który nie ma zostać zniszczony, nie pracuje nad technologią Firebirdów i jest całkowicie poza strefą naszych zainteresowań. To mają być rozmowy pokojowe, jasne? W ten sposób dopilnowałem zawieszenia broni. Może nawet uda nam się to przekształcić w rozejm.

– Mam na to tylko twoje słowo – zauważyłam.

Czy Zła naprawdę słuchałaby jego poleceń?

– Masz rację – zgodził się Conley. – Nie możesz sprawdzić tego, co właśnie

ci powiedziałem. Dlatego masz wybór: albo mi zaufasz, albo przeskoczysz dalej, niczego się nie dowiadując, i spróbujesz wrócić na trop swojej odpowiedniczki. Nie sądzę, żeby to było dla ciebie łatwe. Prawda?

Byłam już na jej tropie dzięki informacjom, które dostałam w Uniwersum Wojennym, ale Conley nie mógł o tym wiedzieć. Gdyby się zorientował, że Uniwersum Wojenne nie padło ofiarą sabotażu, tylko bierze udział w mającym go powstrzymać spisku kilku alternatywnych wymiarów, stracilibyśmy całą przewagę, jaką udało nam się uzyskać. Dlatego na razie musiałam się podporządkować.

– Okej – odparłam. – Zostanę i wysłucham cię pod jednym warunkiem. Powiesz mi, co zrobiłeś z Paulem.

Conley uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Absolutnie nic.

– Chrzanisz. Znalazłeś go w Ekwadorze...

– Zrobiliśmy to w ciągu pierwszych dwóch dni – wtrącił się Theo. Wpatrywał się w czerwone Chucksy, przesuwając jednym w przód i w tył po kafelkowej posadzce. – Ale nikt mu nie zrobił krzywdy, Meg. Słowo honoru.

– Meg – powiedziałam. – Kiedy ostatni raz mnie tak nazwałeś, dusiłeś mnie na śmierć. Wybacz, jeśli nie będę ci wierzyć na słowo.

Theo wzdrygnął się i zamilkł.

A Conley dodał:

– Może powinienem się wyrażać precyzyjniej. Nie zrobiliśmy Paulowi absolutnie nic... Jeszcze.

Myślałam, że to ja jestem przynętą na Paula. Okazało się, że to on jest przynętą na mnie.

Przybliżyłam się i stanęłam tuż przed Conleyem. Nie był ode mnie dużo wyższy.

– Pokaż mi, że nic mu nie jest. Pozwól mi zobaczyć Paula. Potem... zgoda, pogadamy.

– Widzisz? Wiedziałem, że potrafisz być rozsądna. – Conley klasnął w dłoń.

– To jak, przywiozłaś jakieś bagaże?

– Skąd mam wiedzieć? – warknęłam.

Jednak skierowałam się do odbioru bagażu, bo kręciło mi się w głowie i znowu z trudem łapałam oddech. Czułam się trochę tak jak wtedy, gdy Zła przeskoczyła do mojego ciała, ale kiedy położyłam dłoń na piersi, wisiał tam tylko jeden Firebird.

– Choroba wysokościowa – mruknął Theo. – Quito leży prawie trzy tysiące

metrów nad poziomem morza. Niektórzy potrzebują trochę czasu, żeby się przystosować.

– A ty wyglądasz, jakbyś na pokładzie samolotu nie zmrużyła oka. – Conley położył mi dłoń na ramieniu, żeby mnie poprowadzić, co sprawiło, że przeszedł mnie lepki i zimny dreszcz. – Wiesz co? Podjedźmy, zobaczmy Paula i dajmy ci chwilę na odpoczynek. Kiedy się prześpisz, spokojnie porozmawiamy. Będziemy mieli do dyspozycji cały czas świata.

Okazało się, że zabrałam torbę podróżną w kwiaty, którą Theo musiał zanieść do limuzyny czekającej przed wejściem. Liczyłam na to, że jest ciężka. Miałam nadzieję, że zapakowałam tuzin książek w twardej oprawie. W limuzynie Conley usiadł przodem do kierunku jazdy, co oznaczało, że ja musiałam siedzieć tyłem. Moje mdłości nasiliły się, gdy manewrowaliśmy na chaotycznie zatłoczonych ulicach górzystego Quito.

Kiedy mówię o chaosie, nie przesadzam ani trochę. Ludzie tutaj najwyraźniej uważali wyznaczone pasy ruchu w najlepszym razie za luźne sugestie. Kierowcy samochodów i ciężarówek skręcali i hamowali z poślizgiem, ignorowali znaki, przejeżdżali na czerwonym – do wyboru, do koloru. Chociaż żołądek mi się skręcał, do pewnego stopnia cieszyłam się, że nie widzę, co jest przed nami, bo pewnie dostałabym zawału serca.

Stanowczo nie zamierzałam patrzeć na to, co miałam przed sobą, czyli na Conleya i Theo. Szantażysta i morderca byli tak blisko mnie, że słyszałam, jak oddechają. Mdłości wzmogły się, gdy o tym pomyślałam, więc byłam w stanie tylko starać się wytrzymać.

To wszystko przypomniało mi na moment o porannych mdłościach, których doświadczyłam w Uniwersum Rosyjskim. Niemal machinalnie przesunęłam dłonią po brzuchu i spróbowałam sobie przypomnieć tę dziwną, wodnistą ociężałość wczesnych etapów ciąży. Chyba tylko raz poczułam, jak dziecko się porusza, a i wtedy przypominało to raczej trzepoczącą się złotą rybkę, ponieważ od tamtej nocy w dacy nie minęły nawet pełne cztery miesiące.

Dziecko Paula i moje nadal znajdowało się w Uniwersum Rosyjskim i czekało, aby się narodzić. Walczyłam za wszystkich ludzi, dla których Triad stanowił zagrożenie, ale w głębi duszy wydawało mi się, że najbardziej walczę za to dziecko.

– Masz zamiar zwymiotować? – To były pierwsze słowa, jakie Theo wypowiedział, od kiedy opuściliśmy lotnisko. Brzmiał mrukliwie, prawie jakby był nadąsany, a mimo to każda sylaba cięła mnie jak nóż. – Jeśli tak, to możesz

najpierw otworzyć okno?

– Jeśli zwymiotuję, to prosto na ciebie.

Skrzyżowałam ramiona na piersi i wlepiłam wzrok w okno. Lepiej patrzeć na ten wariacki ruch uliczny niż na Theo.

Kiedy w końcu zjechaliśmy z zakorkowanej ulicy głównej i zagłębiliśmy się w jedną z dzielnic, byłam zaskoczona tym, jak, no, zwyczajnie wszystko wyglądało. Szyldy były po hiszpańsku, a większość sklepów i samochodów była trochę mniejsza niż w innym wymiarze, ale poza tym zobaczyłam normalne centrum handlowe na wolnym powietrzu – miało nawet ogródki kawiarniane.

Limuzyna zwolniła, kiedy mijaliśmy kawiarnię sieci Juan Valdez, a Wyatt lekko postukał w szybę.

– No i proszę bardzo.

Serce we mnie wezbrało, kiedy rozpoznałam Paula – Paula z Uniwersum Triadu, tak podobnego do mojego, że odróżniało go tylko kilka detali. Siedział przy okrągłym marmurowym stoliku i pisał coś na swoim starym laptopie, którego pokrywa trzymała się na taśmie klejącej. Zastanawiałam się, dlaczego marszczy brwi. Może o tej porze zazwyczaj czatowaliśmy, a ja nie zalogowałam się tak jak codziennie? Ponieważ to on okazał się „przynętą” w tej konkretnej pułapce, Zła w żaden sposób nie dawała mu znać, że wsiada na pokład samolotu do Ekwadoru.

Byłoby tak łatwo otworzyć drzwi i wyskoczyć. Limuzyna nie jechała nawet z prędkością dziesięciu kilometrów na godzinę. Chciałam rzucić się w ramiona Paula, pokazać mu tego Firebirda i opowiedzieć wszystko o spisku przeciwko Triadowi. W tym momencie niczego więcej nie pragnęłam.

Nie ruszyłam się z miejsca. Musiałam się przekonać, ile wie Conley, dlatego dalej udawałam, że daję się wciągać w jego grę.

Duże dłonie Paula poruszały się na klawiaturze, gdy bezskutecznie szukał czegoś lub kogoś. Jakie to ironiczne, że potrafimy spojrzeć z dystansu na ludzi, z którymi chcemy być blisko, tylko wtedy, gdy się od nich odsuniemy lub gdy oni to zrobią.

Czy będę musiała stracić Paula, zanim go w pełni zrozumiem?

– Czym on się tu zajmuje? – zapytałam półgłosem. – Wiem, że wiesz.

– Nie wszystko – przyznał Conley, czym mnie zaskoczył. – Markov jest dość dobry, żeby zacierać za sobą ślady. Wydaje się, że pracuje dorywczo jako programista, a okazjonalnie nawet coś tłumaczy. Mieszka w hostelu młodzieżowym w pobliżu zabytkowej części miasta. Czasem zawiera znajomość z innymi studentami, którzy tu przyjeżdżają, ale możesz się nie martwić,

Marguerite. Żadna przyjezdna dziewczyna nie skusiła go... przynajmniej o ile wiemy.

Starał się wzbudzić we mnie zazdrość. Cóż za strata czasu. Znałam Paula dostatecznie dobrze, żeby wiedzieć, że prawie nie miał okazji całować innych dziewcząt przede mną i był o wiele zbyt nieśmiały, żeby zostać uwodzicielem.

Nawet gdyby nie był nieśmiały, Paul nigdy by mnie nie zdradził. Nawet myśl o mnie z innym Paulem była dla niego niemal zbyt trudna do zniesienia. Jego wierność była czymś, w co nigdy nie musiałam wątpić.

– No dobra – powiedziałam. – Paul jest cały i zdrowy. Dziękuję.

– Nie ma za co.

Wyatt Conley uśmiechnął się, jakby oddał mi ogromną przysługę.

– I lepiej, żeby tak zostało. – Pozwoliłam sobie, aby spojrzeć na Conleya z ułamkiem nienawiści, jaką w rzeczywistości czułam.

Jego uśmiech stężał. Oboje wiedzieliśmy, co się kryje za tą grą.

– To już zależy od ciebie.

Później limuzyna pojechała prosto do luksusowego hotelu i wysadziła mnie tam – z Theo do towarzystwa.

– Pomóż jej się zameldować – zwrócił się do niego Conley. – Dopilnuj, żeby mogła sobie pospać jak zabita.

Sposób, w jaki wymówił „zabita”, był wyraźnym nawiązaniem do tego, co się stało w Egipcie. Może taka tania, oczywista sztuczka nie powinna być tak skuteczna, ale poczułam świeżą falę strachu i nieprzyjemną gulę w gardle.

Czekał już na mnie pokój w hotelu na tyle eleganckim, że miał marmurowe podłogi i wodospad w holu. Okazało się nawet, że to apartament na najwyższym piętrze, ponieważ Wyatt Conley wszystko musiał robić z rozmachem. Theo i ja wjechaliśmy razem windą w kamiennym milczeniu. Raz wyciągnął rękę, żeby wziąć moją torbę podróżną, ale tylko zacisnęłam mocniej dłoń na jej uszach. Nie chciałam, żeby taka szumowina dotykała moich rzeczy. Miałam już dość jego „pomocy”.

Oczywiście właśnie dlatego Conley kazał Theo towarzyszyć mi. Biorąc pod uwagę, że byłam w obcym kraju, praktycznie bez pieniędzy, oszołomiona i zmagająca się z mdłościami, szanse, że ucieknę, były minimalne. Chciał jednak, żeby Theo był obecny jako przypomnienie, jak źle może być. Mimo wszystkich swoich zapewnień o bezpieczeństwie i współpracy Conley chciał, żebym się bała o życie.

Tyle tylko, że teraz, gdy naprawdę musiałam się mu uważniej przyjrzeć,

widziałam, że Theo dosłownie ugina się pod ciężarem poczucia winy. Jego zawadiacki krok zamienił się w szuranie nogami i nawet teraz, po godzinie od mojego lądowania, ani razu nie spojrzał mi w oczy.

Theo mnie zamordował i nienawidził siebie za to. Pamiętałam, jak bardzo płakał, jak błagał mnie, żebym przeskoczyła, żeby mógł zabić tylko jedną z nas. Jeśli Theo lub Conley myśleli, że po czymś takim zabijanie przychodzi łatwiej, to się mylili.

Przerażał mnie sam pomysł konfrontacji z nim. Jednak okazało się, że tamta tragedia miała na Theo jeszcze większy wpływ niż na mnie.

Theo dotknął kartą magnetyczną zamka, a potem cofnął się, żeby mnie przepuścić. Popchnęłam drzwi ramieniem i weszłam w luksusową wytworność. Z salonu rozciągał się widok panoramiczny na miasto, a umeblowanie stanowiły eleganckie i nowoczesne skórzane fotele i sofy. Był tu nawet szklany stół otoczony połączanymi ratanowymi krzesłami. W rogu znajdował się lustrzany bar, na wypadek gdybym nagle uznała, że wolę szkocką od wody mineralnej. Marmurową podłogę przykrywały puszyste dywany, a obrazy wiszące na ścianach wyglądały jak prawdziwe dzieła sztuki. Weszłam w głąb na tyle, żeby zajrzeć do sypialni, gdzie ogromne łóże otoczone było miękką moskitierą. To nie był Ritz – ale mimo wszystko tak mógł wyglądać pokój hotelowy, jaki zarezerwowałaby Jennifer Lopez.

Rzuciłam torbę podróżną na rzeźbioną ławę z drewna tekowego i wskazałam barek. Trudno było zachowywać się swobodnie w obecności mojego mordercy, ale udało mi się zachować spokój w głosie.

– Ja piję tylko od wielkiego święta albo przy końcu świata. Ale może ty się poczęstujesz?

– Lepiej nie.

Theo nie wiedział, jak to rozumieć. Doskonale.

Z teatralną przesadą przejrzałam zawartość barku, która mogłaby zawstydzić niejednego pub. Stałam plecami do Theo, więc nie widział, jak moje palce się trzęsą, gdy przesuwam nimi po rzędach butelek i puszek. Wybrałam puszkę wody gazowanej, usiadłam na połączanym krześle i spróbowałam udawać, że to tron.

– Powiedz mi, Theo, jakie to było uczucie, zabić ją?

Popatrzył na mnie, blady jak ściana.

Otworzyłam puszkę obojętnym ruchem, jakby żołądek się we mnie nie skręcał.

– Tamta Marguerite nie miała pojęcia, dlaczego to robisz. Uważała cię

za uroczego, przystojnego Europejczyka, z tym twoim pomadowanym wąsikiem i kolorowymi fularami. Nie pamiętała nawet, jak przyszła do tego grobowca. Powróciła tam tylko na ostatnie sekundy życia.

Przepraszam – pomyślałam do niej. – *Bardzo przepraszam*. Jednak założyłabym się, że nie miałyby nic przeciwko temu, abym użyła tego wspomnienia, by uderzyć w jej mordercę.

– Czy próbowała coś powiedzieć? Czy miała czas płakać?

– Proszę, Meg. – Głos Theo załamywał się. – Wiesz, że nie chciałem tego robić.

– Cóż, jasne, ale najwyraźniej czegoś chciałeś znacznie bardziej. Chodziło o pieniądze czy władzę? Czekaaj, nie musisz odpowiadać. W sumie mnie to nie obchodzi.

Theo podszedł bliżej i w końcu zdjął okulary. Ciemnobrązowe oczy miał pełne łez.

– Umarła szybko. Praktycznie w następnej chwili po tym, jak przeskoczyłaś. Ale to nie było ani odrobinę łatwiejsze. Siedziałem tam koło niej przez... prawie przez godzinę, tak myślę, nie jestem pewien... A kiedy wyszedłem na powierzchnię, zobaczyłem strzelbę i pomyślałem, że powinienem się zastrzelić. Złapać strzelbę, usiąść na najbliższym stołku i odstrzelić sobie cholerną głowę.

– Ale zamiast tego uciekłeś na wielbłądzie. – Warga mi zadrżała, ale udało mi się to ukryć wypiciem łyka wody. – Z klasą. Przy okazji dowiodłeś, że nie czułeś się aż tak źle z tego powodu, czego byś teraz nie powiedział.

– Nie mów tak! – upierał się Theo. – Nie wiesz, przez co przeszedłem z tego powodu, Meg. Naprawdę nie wiesz.

Coś we mnie pękło.

– Przez co ty przeszedłeś? Prawie mnie udusiłeś, zamordowałeś inną moją wersję z zimną krwią, a ja mam się przejmować tym, jak to wpłynęło na ciebie?!

– Nie... nie to miałem na myśli...

– Owszem, Theo, myślę, że właśnie to. Czy tego chciałeś, czy nie, właśnie to miałeś na myśli. Ponieważ możesz sobie twierdzić do upadłego, że zależy ci na mnie, ale dbasz tylko o siebie. – Miałam ochotę rzucić w niego puszką, ale nie zrobiłam tego. Słowa, które miał usłyszeć, zabolą go bardziej niż fizyczne obrażenia. – Założę się, że tu nie chodzi tylko o chciwość. Założę się, że to także zazdrość. O wszystkie te światy, w których Paul i ja zakochujemy się w sobie, a ty zostajesz z boku. Nienawidzisz Paula za to, że mnie kocha, czy też mnie za to, że kocham jego?

Theo nie zaprzeczył ani nie przytaknął. Potrząsnął tylko głową.

– Wydaje się, że zawsze jestem na drugim miejscu.

Roześmiałam się głośno, z zaskoczeniem, które faktycznie czułam, i odrazą, na którą zasługiwał.

– Są światy, w których jesteśmy razem, Theo! Światy, w których Kocham Cię z całego serca. Przeskoczyłam kiedyś do wszechświata i znalazłam się z tobą w łóżku. Całowałam cię. Czułam, jak mnie dotykasz. Ja Kocham tylko Paula, ale są też inne Marguerity. Część z nich wybrała cię. Część z tych światów należy do was obojga. Ale Wyatt Conley stara się zniszczyć te światy, a ty mu w tym pomagasz.

Odsunęłam się od stołu. Theo cofnął się przede mną, ale niedowierzanie i złość na jego twarzy były wyraźnie widoczne. Wściekłość dodawała mi siłę, więc mówiłam dalej.

– Zabijasz tysiące moich i twoich wersji, które mogłyby być szczęśliwe. Każda szansa, jaką moglibyśmy mieć, to tylko jeszcze jeden patyk, który wrzucasz do ognia. Dlatego właśnie wiem, że nie mógłbyś mnie Kochać, Theo. Gdyby było inaczej, nie potrafiłbyś nas niszczyć raz za razem.

– To nie jest raz za razem... to nie są tysiące... Boże, Meg, to się niedługo skończy. Mogłoby się skończyć dzisiaj, gdybyś tylko wysłuchała Conleya.

– Naprawdę? – Zmuszałam go, żeby cofał się coraz bliżej drzwi. – Czy Conley właśnie to ci powiedział, kiedy postanowiłeś go posłuchać? Że to się niedługo skończy? Ciekawa jestem, czy dalej będzie ci to powtarzał po dziesiątej wersji mnie, którą zamordujesz. Albo setnej wersji Paula. Albo tysięcznej nas obojga. Jesteś naukowcem, więc dlaczego to ja mam ci uświadamiać, że multiwszechświat jest nieskończony? Conley chce władzy absolutnej, a władza absolutna jest niemożliwa. Zabijanie nigdy się nie skończy, co oznacza, że nie będziesz mógł przestać. – Wskazałam drzwi. – A teraz się wynoś.

Theo wypadł z pokoju, jakby uciekał z pożaru. Uznałam, że większość jego wersji była od niego odważniejsza. On sprawiał wrażenie całkowitego tchórza.

Jeśli jednak był tak samolubny, jak podejrzewałam, będzie chciał znaleźć jeden z tych światów, które mamy dla siebie. Będzie chciał ochronić go przed Wyattem Conleyem. A jeśli mogę spowodować jakikolwiek rozdźwięk między Conleyem a jego sługusem numer jeden...

...ale nie mogłam. Gdyby cokolwiek miało powstrzymać Theo z Uniwersum Triady przed ślepym wykonywaniem poleceń Wyatta Conleya, byłby to rozkaz zamordowania mnie. On ten rozkaz wykonał, co oznaczało, że nie można go już powstrzymać. Mogłam się właściwie założyć, że będzie znajdować dla siebie

kolejne usprawiedliwienia, aby uciec przed odpowiedzialnością za to, co zrobił.

Czy mogę w tym wszechświecie zrobić cokolwiek poza graniem na zwłokę? Dowiedzieć się czegośkolwiek, co mogłoby być przydatne? Zbliżyć się do Paula, który nawet teraz czekał na drugim końcu Quito, samotny i bezradny?

Zobaczmy – powiedziałam sobie i oparłam się na krześle, wyczerpana. – *Zobaczmy.*

Rozdział siedemnasty

Obudziłam się w łożu z baldachimem i zamrugałam, niepewna gdzie jestem. Niebo za oknami było ciemne, chociaż horyzont zaczynał jaśnieć.

Świt był porą dnia, której zazwyczaj nie miałam ochoty poznawać. Jednak zamiast przykryć się puchową kołdrą i spróbować znowu zasnąć, usiadłam i zaczęłam się zastanawiać. Mdłości, które wczoraj czułam, zniknęły, a chociaż nadal oddychałam z pewną trudnością, nie miałam już poczucia, że to niebezpieczne. To znaczyło, że w miarę przystosowałam się do wysokości.

Burczenie w brzuchu przypomniało mi, że nie mam pojęcia, ile Zła jadła wczoraj w tym ciele, o ile w ogóle jadła. Chociaż słabo znałam hiszpański, byłam w stanie na tyle zrozumieć hotelową ulotkę, żeby dowiedzieć się, że zamówienia na desayuno zaczną być przyjmowane dopiero za godzinę. Czas na odżywcze śniadanie z barku.

Jet lag nie przypomina tego uczucia odrealnienia, które mi towarzyszyło po przeskakiwaniu z jednego końca świata na drugi w różnych wymiarach – pomyślałam, wybierając mieszankę bakalii i colę. Potrzebujemy na to nowego słowa. Universe lag? Firebird lag?

Nie znosiłam czekania. Napięcie męczyło mnie bardziej, niż zrobiłby to stres. Nawet przeskakiwanie do światów, w których czekały na mnie najnowsze śmiertelne pułapki zostawione przez Złą nie wykańczało mnie tak jak siedzenie na skórzanej kanapie, oglądanie wbrew woli wschodu słońca i czekanie, aż pojawi się obleśny Conley.

Wiedziałam, że nasza rozmowa ma posłużyć konkretnym celom. Wiedziałam, jak ważne jest sprawdzenie, czego dokładnie Conley dowiedział się o sojuszu pomiędzy wymiarami. A jednak potrafiłam być odważna podczas podróży. Umiałam zrobić to, co konieczne. Kiedy czekałam, czułam się mała, pusta w środku i przestraszona.

Gdyby Paul był ze mną – pomyślałam, ale porzuciłam tę myśl, nawet jej nie kończąc. Skontaktowanie się z nim tutaj, w Quito, naraziłoby go na niebezpieczeństwo, może nawet sprawiłoby, że Conley by go zamordował. Szczerze mówiąc, w tym momencie wystarczyłaby mi dowolna bliska osoba. Nawet Theo z mojego świata. Albo Josie. Albo mama i tata...

Kofeina musiała rozejść się po moim układzie krwionośnym, ponieważ w końcu zobaczyłam to, co od samego początku miałam tuż przed nosem:

telefon stacjonarny.

Usiadłam prosto. Sięgnęłam po tPhone'a niemal zaraz po wyjściu Theo, ale został zdalnie wyłączony, bez wątpienia przez Triad. Ze zmęczenia nie pomyślałam nawet o telefonie stacjonarnym. Jeśli zaś chodziło o Wyatta Conleya, geniusza ery komórek – założyłabym się, że w ogóle nie pamiętał o istnieniu telefonów stacjonarnych, chociaż znajdowały się w każdym pokoju hotelowym.

Przełknęłam resztę coli, wzięłam telefon i obejrzałam go. Nie znalazłam niczego, co wyglądałoby jak pluskwa, przynajmniej zgodnie z tym, co pokazywano w tych nielicznych filmach szpiegowskich, które oglądałam. Jeśli Conley założył podsłuch, to cóż, niewiele mogłam zrobić. Mimo to byłam gotowa się założyć, że nie pomyślał o telefonie stacjonarnym. Na tym sposobie komunikacji polegali już tylko ekscentryczni, lekko nieżyciowi ludzie... Tacy jak moi rodzice.

Numer domowy znałam na pamięć.

Potrzebowałam chwili, żeby zamówić rozmowę u hotelowego operatora. Potem usłyszałam dziwny podwójny sygnał rozmowy międzynarodowej, a w końcu odezwał się senny głos:

– Halo?

– Mamo! To ja, Marguerite. Przepraszam, wiem, że jest szósta rano...

– Tutaj jest piąta, ale nic nie szkodzi. – Mama była już całkowicie rozbudzona. – Rozumiem, że rozmawiam z Marguerite z Uniwersum Berkeley?

– Yyy, no tak, owszem. – Oni także zostali w to włączeni? Kurczę, Cambridge działało naprawdę szybko.

Usłyszałam, jak mama woła:

– Henry, wstawaj! To inna Marguerite!

Tata zapytał z daleka:

– Dobra czy zła?

– Dobra – odparła mama, a ja nie mogłam się nie uśmiechnąć.

Kiedy usłyszałam, że znowu podniosła słuchawkę, powiedziałam pospiesznie:

– Posłuchaj, mamu, okropnie przepraszam, że nie mówiłam wam prawdy, kiedy tu byłam poprzednio.

– Naprawdę nic nie szkodzi, skarbie. Przyznaję, to było dziwne, kiedy nasza Marguerite poinformowała nas o tym, co zaszło, ale poznanie całej prawdy o planach Conleya sprawiło, że twój podstęp okazał się cenny dla nas wszystkich.

Przez ten czas ktoś włączył drugą słuchawkę i tata wtrącił:

– Szczerze mówiąc, powinniśmy byli coś zauważyć.

– Wiedzieliście, że to Zła przeskoczyła tu poprzednio? To znaczy, moja wersja z Centrali. Nie... nie słuchaliście jej, nie zrobiliście tego, co chciała?

– Zła – powiedział tata. – Stosowny przydomek. Nie, wiedzieliśmy, jak sobie z nią poradzić. Spodziewaliśmy się jej na dwanaście godzin, zanim się pojawiła, i wiedzieliśmy, że nasza Marguerite praktycznie na pewno nie jest zagrożona.

– Jak mogliście być tego pewni?

Zła nie wahała się przed zabijaniem innych.

– Ponieważ ostatni wszechświat, jaki Wyatt Conley zamierza zniszczyć, to jego własny. – Tata mówił tym swoim tonem dającym do zrozumienia: „Skarbie, powinnaś ruszyć głową”. Zazwyczaj mnie to irytowało, ale tym razem miał rację. – On morduje taktycznie, a nie z czystego okrucieństwa. Inaczej wszyscy już dawno bylibyśmy martwi.

– Poza tym Conley uczeplił się pomysłu współpracy z podróżnikiem doskonałym, czyli z tobą – dodała mama. – Twój wymiar ma technologię i stanowi zagrożenie. Ty jesteś jedynym sposobem pozwalającym mu zniwelować to zagrożenie, jeśli pominąć całkowite zniszczenie wymiaru.

– Zrobiłby to – powiedziałam. – Zniszczył już jeden.

Moi rodzice milczeli przez chwilę, jakby oddawali cześć zmarłym. W końcu odezwała się mama.

– Nadal liczy na twoją współpracę. Zła, jak ją nazywasz, jest tak fanatycznie oddana sprawie, że dzięki temu on uwierzył, że zdoła przekonać ciebie. Zależy nam, żeby nadal koncentrował się na tym celu, ponieważ niedługo zorientuje się, że śledzimy trasę Złej. Na pewno już to podejrzewa.

– Owszem. – Dotknęłam łańcuszka na szyi. – Nie zapytał, skąd mam tego Firebirda, chociaż to powinno go zainteresować w pierwszej kolejności.

– Cholera jasna. – Tata odetchnął gwałtownie. – Cóż, kiedy będziesz z nim rozmawiać, spróbuj się zorientować, ile wie. Oczywiście i tak to zamierzałaś zrobić, prawda? Uważaj na niego. Z niczym się nie zdradzaj. Niech się domyśla i zgaduje.

– Okej, mogę spróbować. – Usiadłam na sofie. Miałam wrażenie, że mogłabym znowu zasnąć pod wpływem kojących głosów moich rodziców. – Dzięki, tato. Dobrze mieć coś do zrobienia poza... ściganiem Złej, chociaż i tak nie mogę jej złapać.

– Nie mów tak – odezwała się mama. – Nie marnujesz czasu, Marguerite.

– Ale Uniwersum Rzymskie zniknęło... A dwie inne Marguerity już zginęły...

– A ty ocalałaś kolejną od śmiertelnego wypadku w kosmosie – przypomniała mama. – Odwracasz uwagę Conleya od tego, co robi reszta z nas, i zyskujesz dla nas czas.

– Potrzebujemy tego czasu, żeby asymetrie rozeszły się po wymiarze i w pełni go zabezpieczyły. Dlatego nie powinnaś w sobie wątpić, skarbie. Robisz świetną robotę – dodał mój ojciec.

Jeśli rozmawiali z innymi wymiarami, być może śledzili nie tylko moje ruchy.

– Możecie mi powiedzieć, gdzie jest mój Paul Markov?

– Nadal w Uniwersum Egipskim – odparła mama. – Skonstruowanie stabilizatora wymaga tam sporo czasu, ale zakładamy, że znalazł sposób doładowania Firebirda, w którym na pewno zaczęła się kończyć energia. Jeśli jednak technologia w tym świecie jest na podobnym etapie rozwoju jak w naszym, powinien sobie z tym poradzić, kiedy dotrze do jakiegoś miasta, na przykład do Kairu...

Zakładają? No jasne. Samo to, że mogli śledzić nas w innych wymiarach, nie znaczyło, że mogą z nami rozmawiać. Komunikacja była możliwa tylko pomiędzy światami z odpowiednio zaawansowaną technologią. Paul, przebywający w Uniwersum Egipskim, nie miał pojęcia, co się dzieje gdzie indziej.

– Czy on wie, że żyję?

Milczenie trwało tak długo, że domyśliłam się odpowiedzi.

– On w ogóle nie dowiedział się o tym, co się stało w Uniwersum Rzymskim, dlatego nie ma powodów bać się o ciebie – wyjaśnił tata. – Cóż, pomijając to, że na wolności grasuje twoja wersja, która jest maniakalną morderczynią, co można by uznać za wystarczający powód do obaw.

– Nie będzie wiedział, jak mnie znaleźć. Może tylko namierzyć mojego Firebirda, a to go zaprowadzi... – żołądek mi się zacisnął – do Centrali.

– Spróbujemy wysłać mu ostrzeżenie. – Mama wyraźnie nie chciała mi dokładać zmartwień. – Trzymaj się, Marguerite. Bądź dzielna.

Chciałam. Zamierzałam. Ale miałam wrażenie, że otaczające mnie niebezpieczeństwa mnożą się z każdą chwilą. Zupełnie jakbym próbowała rozbić szklaną barierę, a teraz otaczało mnie tysiące drobnych odłamków, dostatecznie ostrych, aby skaleczyć do krwi.

Zaproszenie na lunch pojawiło się w postaci ręcznie napisanego liściku przyniesionego przez konsjerżę. Środkiem transportu okazała się limuzyna prowadzona przez zwalistego kierowcę, który albo nie znał angielskiego, albo

zamierzał konsekwentnie udawać, że go nie zna. Założyłam dzinsy i ciemnoczerwony T-shirt z głębi torby podróżnej, jedno i drugie skrajnie pogniecione. Wyatt Conley nie był wart tego, żeby się dla niego stroić, a co dopiero prasować ubrania.

Zostałam zabrana do restauracji mieszczącej się w kompleksie zbudowanym na planie koła, z zielonym patio na środku, dostatecznie dużym, żeby wysoko nad nami wznosiło się kilka drzew tropikalnych, a bujna zieleń ozdabiała wszystkie sklepy i salony. Większość budynków tutaj miało częściowo otwarty dach, nawet w przypadku instytucji, których bym o to nie podejrzewała, takich jak banki. Droga otaczała łukiem cały kompleks i skręcała kawałek za restauracją, w której zaprowadzono mnie do stolika ocienionego przez pióropusze palmy.

Zdażyłam tylko wziąć do ręki menu, gdy usłyszałam ryk silnika V8. Powód, dla którego umiałam rozpoznać ten dźwięk, siedział za kierownicą czerwonego wozu sportowego i nazywał się Theo. Podjechał dynamicznie pod kompleks i zaparkował po drugiej stronie kępy zieleni. Nie zaskoczyło mnie, gdy zobaczyłam Wyatta Conleya wysiadającego od strony pasażera.

– Oczywiście, limuzyny są eleganckie – powiedział Conley, podchodząc do mnie. Theo włókł się za nim. – Ale ja preferuję bardziej seksowne auta.

– To brzmi logicznie. – Skrzyżowałam ramiona na piersi. – Mężczyźni od dawna wykorzystują samochody sportowe, żeby rekompensować sobie małe penisy. Dlaczego ty nie miałbyś tego robić?

Conley zmrużył oczy, ale zaraz się opanował.

– Dość tej dziecinady, Marguerite. Czas przejść do interesów.

Kiedy zajmował miejsce, spojrzałam ukradkiem na Theo. Nie wydawał się ani pewny siebie, ani zawstydzony. Nie unikał mojego wzroku tak jak wczoraj, ale nie zwracał też na mnie uwagi. Zupełnie jakby był zatopiony w myślach, chociaż nie miałam pojęcia, co mogłoby być ważniejsze od tego, co tu się działo. Może naprawdę go nie obchodziło, co się ze mną stanie.

Kelnerka przyniosła nam kawę i menu oprawione w grubą skórę. Conley odłożył je bez patrzenia na talerz.

– Chciałbym na początku wyjaśnić kilka rzeczy. Po pierwsze pamiętasz tamtą ofertę pełnego partnerstwa, którą składałem parę miesięcy temu? Nie jest już aktualna. Sprawy zaszły za daleko. Jednak wydaje mi się, że nadal możemy ustalić warunki, które uznasz za rozsądne, a już z pewnością bardziej korzystne niż drugie wyjście.

Pollo to znaczy kurczak – myślałam i uporczywie nie odrywałam wzroku

od menu. Wystarczy zamówić coś z *pollo* i będę bezpieczna.

– Nie wydaje mi się, żeby pełne partnerstwo wchodziło w grę w jakimkolwiek momencie. Ale mów dalej. Zdradź mi te fascynujące warunki.

– Zagwarantuję bezpieczeństwo twoje, twojej rodziny i Paula Markova z twojego świata. Nie będziemy podejmować próby zniszczenia twojego wszechświata i nikt z twoich bliskich nie zostanie już rozszczepiony, przynajmniej nie z powodu działań kogoś z Triadu. To wszystko, co możesz dostać. – Conley westchnął z satysfakcją. Wydawało mu się, że w końcu mnie przemógł. – W zamian za to będziesz podróżować tam, gdzie ci wskażę, i robić to, co będę chciał. Jeśli taka perspektywa cię niepokoi, no to cóż, pomyśl, że tamte światy giną, żeby ratować twój.

Nie odezwałam się, zasłoniłam tylko twarz dłonią. Czy to dostatecznie długo, aby uznał, że się waham? Jeśli pomyśli, że jestem choć odrobinę niepewna, przynajmniej zaczynam się zastanawiać nad tym, co proponuje, to może powie Złej, żeby opuściła ten cały „neutralny” wszechświat, w którym się znajduje, a ja będę mogła przeskoczyć dalej.

Jeśli nawet zobaczy, że jestem zmęczona – boję się, że nigdy już nie odzyskam Paula, nie potrafię znieść myśli o tym, że choć jeden świat więcej znajdzie się w niebezpieczeństwie. To byłaby przecież szczerą prawdą.

– Ostatecznie przegrasz – mówił dalej Conley. Jego głos był teraz cichszy, śmiertelnie niebezpieczny. W końcu usłyszałam węża kryjącego się w jego skórze. – Wiesz, że twój świat nie ma szans przeciwko sojuszowi tego wymiaru i Centrali. To jasne, że nie chcesz tego przyznać. Twoja duma cierpi już przez samo to, że musisz siedzieć tutaj i mnie słuchać. Myślisz, że nie wiem, jak bardzo mnie nienawidzisz? Naprawdę myślisz, że tak dobrze się kryjesz za tym głupim menu? Daj sobie spokój, Marguerite. Nie możesz wygrać. Możesz tylko uratować siebie i swoich bliskich. Czy przełknięcie dumy to naprawdę zbyt wiele, żebyś zrobiła to dla ludzi, których kochasz?

Pomyślałam o tych wszystkich sytuacjach, które wymagały poświęcenia mojego, a także mamy, taty, Paula, a nawet mojego Theo. Wiedziałam, że Wyatt Conley nie ma pojęcia, ile ktoś byłby w stanie zrobić dla tych, których kocha. Podobnie jak milczący, ponury Theo, który siedział obok niego. Conley nie kochał nikogo poza samym sobą.

– Pozwól mi się zastanowić – odezwałam się. – Muszę pomyśleć.

– O czym tu myśleć? – Conley podniósł głos na tyle, że goście przy sąsiednich stolikach popatrzyli na nas, niewychowanych Amerykanów kłócących się podczas lunchu. Opanował się trochę i dodał: – Nie dostaniesz

lepszego propozycji.

Wzruszyłam ramionami.

– Może da mi ją Centrala.

– Mówię w imieniu obu pozostałych wszechświatów Triady... – zaczął niecierpliwie Conley.

– Tak ci się wydaje. Ale ja odwiedziłam osobiście Centralę. – To jarmarczne, chore megalopolis, duszące zarówno ziemię, jak i niebo. – Jeśli ci się wydaje, że jesteś tam kochany, to, rany, nie wiesz nawet, jak bardzo się mylisz.

Theo podniósł głowę. Udało mi się go teraz zainteresować. Conley milczał kilka sekund, zanim uśmiechnął się krzywo.

– Co to ma być, teatrzyk amatorski? Myślałem, że jesteś na to za mądra.

– To nie jest teatrzyk. To szczerą prawdą. – Jedyne przyjemne wspomnienie, jakie miałam z Centrali, to chwila, gdy się tego dowiedziałam. – Uważają, że posuwasz się za daleko, i zamierzają w bliskiej przyszłości przywołać cię do porządku. Zaraz, jak cię nazwał twój odpowiednik z Centrali? Hmm... A, już wiem. Nazwał cię „straszny sukinsynem”. To cytat.

Kelnerka podeszła, żeby przyjąć zamówienie, przyjrzała się uważnie osobom przy stoliku i oddaliła się. Była niegłupia.

– Zmyślasz – powiedział sztywno Conley.

– Gdybyś tak uważał, śmiałybyś się teraz ze mnie. – Mogłam bezpiecznie odłożyć menu i spiorunować go wzrokiem. – Ale ty wiesz, że mówię całkowitą prawdę. Troje założycieli Triady z Centrali nienawidzi cię i odliczają dni do chwili, gdy będą mogli ci pokazać, gdzie twoje miejsce.

– Mamy umowę – odparował Conley.

– Troje założycieli. Jednym z nich jest twoja inna wersja, która cię nie znosi. Dwoje pozostałych to moi rodzice, którzy kochają mnie, każdą wersję mnie, o wiele bardziej, niż ty ich obchodzisz. Spójrz prawdzie w oczy, Conley. Jeśli chcesz dobić targu, musisz złożyć lepszą ofertę. Ponieważ dokładnie wiem, gdzie mam iść, żeby dostać więcej.

Cała jego wystudiowana swoboda zniknęła.

– To oni dali ci Firebirda, tak? Wiedziałem! Wiedziałem, że nie będą potrafili się nie wtrącać!

Nie pomyślałam o takim wytłumaczeniu, ale było lepsze, niż wszystko, na co bym mogła wpaść.

– Chcesz może jeszcze raz rozważyć swoje możliwości?

Conley odsunął krzesło od stolika. Zawsze wyglądał jak przerośnięty gimnazjalista, a teraz tak też się zachowywał.

– Wracam do siebie i zamienię parę słów z Centralą. Ostatecznie potrzebujemy tylko jednego podróżnika doskonałego i to nie musisz być ty. Jeśli masz jakieś preferencje dotyczące wymiaru, w którym chciałabyś umrzeć, zgłoś je teraz. W tym momencie mogę ci obiecać, że twój świat pójdzie z dymem, a ja z przyjemnością będę się temu przyglądać.

Nie. No nie. Przeholowałam i sprawiłam, że postanowił sięgnąć po ostateczne środki.

– Zaczekaj... Nie powiedziałam, że nie możesz złożyć lepszej oferty... Lepszej niż Centrala...

– Za późno – odparł. – Beck, chodź ze mną.

– Idę, szefie. – Głos Theo wydawał się dziwnie odległy. – Mam już w ręku kluczyki.

– Proszę. – Łzy napłynęły mi do oczu. – Nie rób tego, proszę!

– W końcu nauczyłaś się błagać. Podoba mi się to. Ale niewystarczająco, żeby mnie to obeszło. – Z tymi słowami Conley ruszył przed siebie.

Oparłam się ciężko na krzesło i patrzyłam, jak on i Theo idą do samochodu. Widok zaczął się rozmazywać, kiedy zaczęłam płakać. Dlaczego to zrobiłam? Miałam się tylko zorientować, ile on wie, a nie wyprowadzać go z równowagi. To było takie przyjemne – raz powiedzieć mu, co myślę, wykorzystać przeciwko niemu prawdę – a teraz mój długi język mógł skazać na śmierć cały mój wymiar.

Czy ja także wtedy umrę? Jeśli moja dusza będzie w innym wymiarze, gdy ciało zostanie zniszczone, to czy zniknę, czy też stanę się rodzajem... ducha?

Przynajmniej mój świat wiedział, jak się bronić. W tym momencie na pewno wytworzyli już asymetrię, która ich ochroni. Jednak aby to zadziałało, potrzeba było czasu – tata powiedział mi to dziś rano. Czy mieli dość czasu? Czy jeśli Wyatt Conley zaatakuje ich teraz, uda im się to przetrwać?

Otarłam twarz serwetką i postanowiłam znaleźć telefon stacjonarny, żeby ostrzec inne wymiary w multiwszechświecie przed tym, co się niedługo wydarzy. Silnik sportowego auta ryknął – Theo musiał siedzieć za kierownicą – i wchodził na wysokie obroty. Jak widać nawet teraz, gdy cały wymiar stoi w obliczu zagłady, Theo uwielbia swoje konie mechaniczne. Samochód z piskiem hamulców wyjechał z parkingu i zaczął objeżdżać kompleks.

Przyspieszał po łuku tak, że zapało mi dech w piersiach. Minął mnie jak rozmazana czerwona plama, chociaż nawet wycie silnika nie zagłuszało zaniepokojonych głosów innych gości w restauracji. Tam, gdzie droga przechodziła w zakręt na końcu łuku, Theo wcisnął gaz, rozpędzając samochód na pewno do ponad stu kilometrów na godzinę...

...i nie wszedł w zakręt.

Nawet nie próbował.

Patrzyłam z otwartymi ustami, jak Theo wjeżdża na krawężnik, a samochód wyskakuje w powietrze tuż przed zderzeniem z latarnią.

Rozdział osiemnasty

Wokół mnie rozległy się wrzaski, gdy czerwony samochód sportowy wbił się w gruby betonowy słup latarni. Ogłuszające uderzenie metalu przeszło w syk zgniecionego silnika, a przez gęsty dym widziałam, że samochód jest niemal rozdarty na pół.

Jak to możliwe, że Theo rozbił samochód? – pomyślałam oszołomiona, zanim uświadomiłam sobie prawdę.

Theo zrobił to celowo.

Moje ciało i mózg nie potrafiły dojść do porozumienia. Stałam i chwiałam się lekko. Chciałam zemdleć, ale zrobiłam kilka niepewnych kroków przed siebie, a potem oparłam się o latarnię, żeby nie upaść. Jednak już za kilka sekund byłam w stanie odepchnąć się i podbiec do wraku. Ktoś krzyknął coś do mnie po hiszpańsku, pewnie ostrzegając, żebym wracała w bezpieczne miejsce, ale Theo kiedyś mi wytłumaczył, że rozbite samochody wybuchają tylko w filmach. Nic poza eksplozją nie mogłoby mnie powstrzymać.

Podeszłam od strony pasażera, z której drzwi zostały wyrwane, a Conley...

Mogłam tylko starać się nie zwymiotować. Nienawidziłam tego człowieka... to znaczy, nienawidziłam go, kiedy żył. Ale teraz czułam mdłości, gdy na niego patrzyłam. Nigdy nie chciałam zobaczyć zmiażdżonej głowy Conleya. Nie chciałam się dowiedzieć, jak pachnie płyn mózgowy. Teraz już tego nie zapomnę.

Najzimniejsza, najbardziej wyrachowana część mojego umysłu – ta, którą zrozumiałaby Zła – wiedziała, że to drastycznie zmienia układ sił. W tym wymiarze Triad miał tylko jednego przywódcę, który był także ich jedynym podróżnikiem doskonałym. Ten świat nigdy już nie będzie stanowił zagrożenia dla mojego.

Jednak nic z tego nie wydawało się istotne w zestawieniu z tym, że gdzieś we wraku znajdował się Theo. Zrobił to celowo, a ja instynktownie wiedziałam, że zrobił to dla mnie.

– Theo? – Głos mi się załamał, kiedy zaczęłam ostrożnie obchodzić samochód. *Błagam, niech on nie będzie tak zmasakrowany, niech nie ma zmiażdżonej głowy, błagam, błagam, błagam.* – Theo, słyszysz mnie?

– Meg?

W końcu podeszłam do drzwi od strony kierowcy. Theo siedział bezwładnie

na fotelu, który był wysunięty nienaturalnie daleko do tyłu – musiał zostać wyrwany siłą uderzenia. Twarz miał już opuchniętą i siną, z jego nosa i uszu ciekła krew. Jedna ręka, połamana w kilku miejscach, leżała bezwładnie na skrzyni biegów. Drugą wyciągnął do mnie.

Wzięłam ją, udając, że nie zauważam krwi gromadzącej się między naszymi dłońmi. To był ten sam człowiek, który zamordował inną mnie, te same palce, które zaciskały szal owinięty wokół mojej szyi. A jednak nie potrafiłam patrzeć na tę posiniaczoną, zrozpaczoną twarz i nie odwzajemnić jego uścisku. Chwytał mnie drżącą dłonią.

– Theo, coś ty zrobił?

– Wiedziałem... wiedziałem, że mogę go załatwić. – Theo spróbował uśmiechnąć się triumfalnie, ale zakasłał i skrzywił się z bólu. Ten sukinsyn nigdy... nie zapina pasów. Zawsze... zawsze pamiętaj, żeby...

Pas bezpieczeństwa opinał go pod nienaturalnym kątem. Musiał mieć złamane kilka żeber, może także mostek.

– Trzymaj się. Na pewno zadzwonili po karetkę, więc lekarze będą tu lada chwila. Rozumiesz? Trzymaj się.

– To nie... tak. – Przetoczył głowę, żeby na mnie spojrzeć, ale nie byłam pewna, czy w ogóle mnie widzi. – Odebrałem życie. Można... można zapłacić za życie tylko życiem.

– Boże, Theo...

Nienawidziłam tego Theo z całego serca. Uderzyłam go, klęłam go, nawet próbowałam zabić, ale nie byłam kimś, komu sprawiałoby przyjemność patrzeć, jak umiera.

Moja pamięć podsunęła obraz z drugiej nocy, którą spędziłam w równoległym wymiarze, w Uniwersum Londyńskim, gdzie nosiłam ciało teraz już nieżyjącej dziewczyny. Byłam przeświadczona, że mój ojciec został zamordowany, i wędrowałam chwiejnie po klubach nocnych z nadzieją, że alkohol przytępi niekończący się ból w moim sercu. Theo przyszedł wtedy po mnie, wziął mnie w ramiona i przytulił na środku klubu. Tulił mnie do piersi, kiedy płakałam, a wokół nas pulsowały basy i kołysali się tańczący. Udawał, że jest moim Theo – manipulował mną, wykorzystywał mnie – ale wiem, że tamtej nocy autentycznie mi współczuł. To mógł być moment największej szczerości, jaki dzieliłam z tym Theo, aż do tej chwili teraz.

– Conley... powiedział... powiedział tamtej, żeby ruszała dalej. – Theo przełknął ślinę, skrzywił się i z trudem zaczerpnął oddech. – Musisz iść za nią.

– Zrobię to – obiecałam. – Już zaraz.

– Pytałaś mnie... co ona czuła. Tamta ty. Kiedy ją zabiłem. – Theo spróbował się uśmiechnąć, ale wyszło to groteskowo z powodu rozciętej wargi. – Teraz już wiem.

Wzdrygnął się – nie, to był skurcz. Znowu zakasłał, a krew ciekąca z nosa połała się teraz szerokim strumieniem. Oczy mu się wywróciły, oddech zrobił się rżący.

– Nie. – Mocniej ścisnęłam jego rękę. Chociaż go tak bardzo nienawidziłam, okazało się, że nie potrafię patrzeć, jak umiera. – Nie, Theo, trzymaj się. Możesz nam jeszcze pomóc. Ty możesz sprawić, że Uniwersum Triadu się zmieni. Możesz naprawić szkody... pomóc odkręcić różne rzeczy... – Urwałam, ponieważ uświadomiłam sobie, że on mnie już nie słyszy.

Rżenie ucichło i przez moment myślałam, że to już, aż Theo wyszeptał:

– Meg...

Jego dłoń zwiotczała w moim uścisku. Krew z nosa i uszu zaczęła płynąć wolniej, a potem przestała. Głowa Theo opadła do tyłu, niepodtrzymywana przez połamany fotel. Nikogo już tutaj nie było.

Cała roztrzęsiona uwolniłam dłoń i dotknęłam jego twarzy. Zamknięcie jego oczu wydawało się nieskończenie dziwne, jego powieki były cienkie i delikatne pod moimi palcami. Kiedy cofnęłam rękę, zobaczyłam, że zostawiłam ślady krwi.

Cofnęłam się chwiejnie od wraku, ignorując krew ciekącą z mojej ręki. W oddali usłyszałam syreny. Jeśli kierowca limuzyny, ochroniarz albo inny oprych zatrudniony przez Conleya nadal mnie obserwował, widocznie uznał, że nie jestem już priorytetem, albo doszedł do wniosku, że nikt nie zapłaci mu wynagrodzenia. Tak czy inaczej, nikt nie próbował mnie zatrzymać ani skrzywdzić. Byłam zdana tylko na siebie, kompletnie sama w Ekwadorze.

Myśl. – Podeszłam do kawiarni na rogu, gdzie wszyscy goście stłoczyli się, żeby się gapić, i usiadłam w ratanowym fotelu. – *Możesz znaleźć telefon i zadzwonić znowu do rodziców. Przyjadą po ciebie.* To znaczy, na pewno przyjadą po Marguerite z Uniwersum Triadu. Kiedy tylko będę miała pewność, że jest bezpieczna, zamierzałam posłuchać rady Theo i wrócić do ścigania Złej.

Nie. Potrzebowałam Paula. Był tutaj, w tym właśnie mieście. Ale jak mam znaleźć Paula w tej gigantycznej metropolii, której nie znam i w której języku potrafię powiedzieć jakieś trzy tuziny słów?

Skoncentrowałam się znowu na roztrzaskanym, dymiącym wraku, który miałam przed sobą, i uświadomiłam sobie, że jeden z najbogatszych ludzi na świecie właśnie zginął tragicznie na oczach tłumu. W ciągu kilku minut

znajdzie się to na YouTube, jeśli jeszcze się nie znalazło. Dziennikarze zjawiają się tutaj jeszcze przed karetkami pogotowia. Paul dowie się tak samo szybko, jak wszyscy na świecie, a jeśli ja będę na jednym ze zdjęć lub filmów zrobionych smartfonami trzymanymi przez rozgadany tłum, zobaczy, że tu jestem.

Paul będzie wiedział, że powinien mnie znaleźć.

Miałam całe ręce we krwi Theo. Ta myśl wydawała się jednocześnie niezwykle ważna i odległa o tysiące kilometrów. Na stoliku obok leżały pozostawione papierowe serwetki, więc wzięłam je i zaczęłam wycierać czerwień. Tyle czerwień. Paul nie mógł tego zobaczyć, nie mógł się dowiedzieć, co się stało z facetem, który nazywał go swoim braciszkiem.

Miałam poplamioną krwią bluzkę, dżinsy i skórę, ale na Firebirdzie nie było nawet plamki. Przyczyna całego zamieszania lśniła w południowym słońcu, jasna jak zawsze.

Theo powiedział, że Conley już zawiadomił Złą. Jak? Nie mogli się komunikować tak jak my, bo inaczej już by wiedzieli... zaraz. No jasne, Romola. Zadzwoił do niej, a ona przeskoczyła do innego wszechświata na dość długo, żeby zadzwonić, i gotowe. Może ma też innych podwładnych, innych podróżników niedoskonałych, którzy są gotowi skakać między światami i utrudniać nam wszystkim życie, ale byłam pewna, że tylko Romola wie o wszystkim.

Liczyło się to, że Zła zniknęła. Mogłam teraz przeskoczyć do tak zwanego „neutralnego wszechświata”, ponieważ Firebird podejmie jej ślad, kiedy tylko się tam znajdę. Wtedy wyścig zacznie się na nowo.

W tym momencie neutralny wszechświat wydawał się niemal niebywałym luksusem.

Wyjęłam długopis i pogniecioną kartę pokładową na lot z San Francisco do Quito, a potem zapisałam kilka rzeczy. Wiedziałam, że moje inne wersje pamiętają, co się działo, gdy zajmowałam ich ciała, ale Marguerite z Uniwersum Triady może być w zbyt dużym szoku przez pierwsze minuty. Zapisałam nazwę hotelu i numer pokoju, podkreśliłam słowa: *Paul niedługo tu będzie*. Jakaś część mnie chciała zostać, dopóki on się nie pojawi, znaleźć chwilę pociechy w jego ramionach... Ale kiedy on to zobaczy, powinien być ze swoją Marguerite. Będą potrzebować siebie nawzajem.

Nie musiałam wspominać o tym, że Conley nie żyje, że Theo poświęcił życie, żeby nas ochronić, ani o tym, że ona nie powinna jeszcze raz podchodzić do samochodu i zaglądać do środka. Tego, co tam widziałam – co zrobił Theo – ani ona, ani ja nie będziemy w stanie zapomnieć do końca życia.

Wsunęłam kartę pokładową do kieszonki na piersi T-shirta, odetchnęłam głęboko i przeskoczyłam.

Po tym, jak zobaczyłam dwie osoby ginące w okropnej katastrofie samochodowej, znalezienie się po przeskoku za kierownicą samochodu było przerażające.

Ale samochód nie znajdował się na drodze.

Był w wodzie.

O Boże. O Boże! Rozpaczliwie szarpnęłam drzwi, patrząc, jak fale rzeki, zatoki, czy co to było, chlupią na masce, a pierwsze strużki wody moczą moje nogi. Panika zaczęła napływać razem z wodą. Spojrzałam, czy to auto ma otwierany dach jak nasz nowy samochód, ale nie miało. Woda całkowicie przykryła maskę, a samochód przechylił się i zaczął tonąć.

Moje palce zacisnęły się na klamce, ale zaraz sobie przypomniałam, że nie powinnam otwierać drzwi.

W końcu listopada, kiedy myśleliśmy, że mój ojciec został zamordowany, wydawało się nam, że utonął, gdy jego uszkodzony samochód wpadł do wody. Okazało się, że tata został porwany do równoległego wymiaru, ale dowiedzieliśmy się tego dopiero po ponad miesiącu.

Widzicie, kiedy opłakuje się tak długo czyjąś śmierć, nie można tak szybko przejść nad tym do porządku dziennego, nawet jeśli się tę osobę odzyska.

Koszmary o wypadku ojca śniły mi się przez ponad sześć tygodni po tym, jak wrócił do domu cały i zdrowy. Paul twierdził, że pomoże mi wiedza, że jeśli nauczę się, co robić w takiej sytuacji, w końcu będę potrafiła uratować się we śnie i koszmary znikną. To nie do końca zadziałało, ale w końcu złe sny odeszły same. Jednak tuziny filmów z ekspertami do spraw bezpieczeństwa samochodowego i dziennikarzami telewizyjnymi, które obejrzałam, wyjaśniały, jak należy się wydostać z tonącego samochodu i nauczyły mnie, że ciśnienie wody sprawia, że trudno jest otworzyć drzwi. Należy spróbować wyjść przez okno.

Moje palce znalazły przycisk otwierający okno i szyba zjechała do połowy w dół, a potem się zatrzymała. W tym samym momencie cała deska rozdzielcza pociemniała. Woda spowodowała spięcie w systemie elektrycznym samochodu.

Szyba mogła być otwarta w wystarczającym stopniu, żeby udało mi się przecisnąć.

Mogła.

Wysunęłam głowę na zewnątrz, skręciłam pod kątem ramiona i zaczęłam się

wydostawać z samochodu. Szyba zaczęła o mój pasek, a chociaż szarpałam się rozpaczliwie, samochód nadal tonął. Jedną ręką mocowałam się z paskiem; udało mi się go rozpiąć, a potem zapałam się obiema rękami o drzwi samochodu i napałam na nie tak mocno, jak tylko mogłam. Dżinsy zsunęły mi się na uda, ale moje biodra przedostały się przez okno. Byłam prawie wolna.

Samochód przechylił się, a ja wpadłam do wody z nogami uwięzionymi między oknem a ramą. Walczyłam, ale stopy cały czas zaczepiały o coś. Przez jeden koszmary moment pomyślałam, że samochód pociągnie mnie w dół jak kotwica, aż na samo dno. W ostatniej chwili, zanim znalazłam się pod wodą, zaczerpnęłam głęboki oddech.

Zanurzyłam się. Wszystko stało się takie zimne. Włosy unosiły się wokół mnie jak ciemna chmura. Słońce nadawało mulistej wodzie bursztynowy kolor. Samochód nadal trzymał mnie za nogi, a jego ciężar z pewnością wystarczył, żeby ściągnąć mnie na dół i zabić, jeśli nie zdołam się uwolnić. Rozpaczliwie kopałam, kopałam i... tak! Moje stopy się wyslizgnęły. Dżinsy i buty poszły na dno razem z samochodem, a ja mogłam popłynąć w górę.

Kiedy znalazłam się na powierzchni, zaczerpnęłam powietrza. Na szosie, koło barierek rozbitej w miejscu, w którym mój samochód wypadł z drogi, zebrał się mały tłumek. Żaden prąd nie pociągnął mnie na dno – dzięki Bogu, bo nie byłam pewna, czy bym sobie z nim poradziła. Niedotlenienie w połączeniu z gwałtownym wysiłkiem fizycznym sprawiło, że zakręciło mi się w głowie, ale adrenalina zaczęła działać. Miałam jeszcze siłę, więc popłynęłam z trudem do brzegu.

Dziękuję, tato – pomyślałam, kiedy poczułam śliski rzeczny muł pod bosymi stopami. – *Dziękuję, Paul*. Wszystkie te koszmary i filmy właśnie uratowały mi życie.

Przez chwilę leżałam po prostu na brzegu, zbyt wyczerpana, żeby się chociaż zasłonić. Jeśli świat chciał oglądać mój tyłek widoczny przez mokre majtki, to proszę bardzo. W tym momencie w ogóle mnie to nie obchodziło.

Potrafiłam sobie poradzić z wieloma rzeczami. Teraz już to wiedziałam. Ale te dwa wydarzenia, jedno za drugim, pozostawiły mnie tak wykończoną i wytrąconą z równowagi, że byłam niezdolna do działania. Niezdolna do czucia czegokolwiek. Jakaś życzliwa kobieta, która miała w samochodzie apteczkę, przykryła mnie kocem termicznym. Pozwoliłam sobie, żeby przez chwilę po prostu trwać. Powtarzałam w myślach: *Jest mi ciepło*.

Jednak kiedy przyjechała policja, byłam już w stanie mówić.

– Świadkowie twierdzą, że to wyglądało, jakbyś celowo zjechała z drogi –

powiedział policjant, który przykucnął przede mną z notesem. – Ale potem walczyłaś jak diabli, żeby się wydostać.

– Nie wjechałam do wody celowo. – Kropelka spłynęła po kosmyku moich włosów na policzek. – Ja... ja chyba zasnęłam za kierownicą.

– Zasnęłaś? Jeśli cię teraz zbadamy alkomatem, to co nam wyjdzie?

Nie zdziwiłabym się, gdyby Zła wypła kilka kieliszków przed wjechaniem do rzeki, ale czułam się całkowicie, niemal brutalnie trzeźwa.

– Przysięgam, nic nie piłam. Ale ostatnio zarwałam kilka nocy i...

– Masz szczęście, że nikomu innemu nic się nie stało. – Policjant chyba mi uwierzył, ale i tak poszedł po alkomat. – Trzymaj się teraz. Do kogo mamy zadzwonić?

Jeśli w momencie wypadku miałam przy sobie komórkę, teraz znajdowała się ona na dnie rzeki, kompletnie zniszczona. Dlatego podałam policjantom nasz numer stacjonarny, ale kiedy nikt nie odbierał, a ja nie potrafiłam podać z pamięci żadnego innego numeru, zgodzili się odwieźć mnie do domu. Jeśli nikogo tam nie było, to cóż, wiedziałam, gdzie trzymamy zapasowy klucz.

Przynajmniej w moim wszechświecie, ale ten wydawał się bardzo podobny. Wszystkie tablice rejestracyjne były kalifornijskie, a chociaż nie byłam całkiem pewna, wydawało mi się, że widziałam już tę okolicę. Nie mogłam znajdować się zbyt daleko od naszego domu w Berkeley. Nawet sweter, który na sobie miałam, był jednym z tych, które znałam także w moim świecie.

Conley powiedział, że to neutralny wszechświat. Ten, który nie musi ulec zniszczeniu – w którym Marguerite nie musi umrzeć. Zła mimo to próbowała ją zabić.

Czy Conley mnie okłamał? Nie wahałby się, gdyby to miało posłużyć jego celom. Myślę jednak, że tym razem powiedział prawdę.

Przypuszczałam, że Zła próbowała zabić tę Marguerite... Po prostu dla zabawy.

Nazywała to rodzajem sztuki, jak przekazał mi Paul z Centrali. Tym, czym dla mnie były pędzle i farby, dla niej były manipulacja i morderstwo.

Wiedziałam – z powodu tego, co sama miałam w sercu, i z powodu tak wielu innych Marguerite, które poznałam – że ja nigdy nie rezygnuję z uprawiania sztuki.

Kiedy podjechaliśmy pod dom, samochód mamy stał przed nim, ale skrzynka na listy była wypchana, jakby nikt nie sprawdzał jej od wielu dni. Policjant, który mnie przywiózł, zmarszczył brwi.

– Twoi rodzice gdzieś wyjechali?

– Często jeżdżą na konferencje naukowe. – To była prawda, chociaż zawsze pamiętali o zawiadomieniu urzędu pocztowego, żeby zawiesić doręczenia. Najwyraźniej tym razem zapomnieli. Uniosłam jedną z doniczek i zobaczyłam zapasowy klucz tam, gdzie zawsze był, obsypany drobnym pyłem. – Widzi pan? Poradzę tu sobie.

Policjant wszedł ze mną do domu, dał mi kopię raportu i powiedział, że mam jutro przyjść na posterunek, żeby z nimi porozmawiać. Chociaż nie wydawało mi się, żebym miała mieć poważne kłopoty, podejrzewałam, że tę Marguerite w bliskiej przyszłości czeka zawieszenie prawa jazdy. Nie będzie się tym przejmowała, kiedy przeskoczę dalej, a ona przypomni sobie, co się stało i co mogłoby się stać. Zamawianie przez sześć miesięcy Ubera było niewielką ceną w porównaniu z utonięciem.

Kiedy radiowóz w końcu odjechał, zamknęłam za sobą drzwi i skierowałam się do mojego pokoju. Zwolniłam jednak kroku, kiedy rozejrzałam się uważniej. To był mój dom, ale coś było nie tak.

Coś było bardzo, ale to bardzo nie tak.

Rośliny doniczkowe mamy, jej duma i chluba... umierały. Niektóre były już martwe. Ich liście zbrązowiały i poskręcały się na brzegach z braku wody. To zaszokowało mnie do tego stopnia, że poszłam po konewkę, zanim pomyślałam, że powinnam najpierw wziąć prysznic i się ubrać. Ciągle miałam na sobie srebrny koc termiczny i niewiele poza tym.

W tym momencie usłyszałam z sypialni głos mamy.

– Kto tam jest?

– Mamo? Spałaś może? – To wszystko nie miało dla mnie żadnego sensu. – Miałam wypadek samochodowy... Nic mi nie jest, ale samochód utonął...

Urwałam w pół zdania, kiedy mama, szurając nogami, weszła do pokoju. Nigdy nie była na czasie z modą, nosiła swetry będące prawie w moim wieku i o ile wiedziałam, nie cierpiała makijażu. Ale rozciągnięte spodnie od dresu i T-shirt, które miała na sobie, były brudne i poplamione jedzeniem, a włosy wyglądały na niemyte od co najmniej tygodnia.

– Marguerite? Co się stało?

– Chyba zasnęłam za kierownicą.

To powinno wyrwać ją z otępienia. Podbiegnie do mnie i zacznie zadawać pytania o trajektorie i prędkości, głaszcząc mnie jednocześnie po włosach i mówiąc, że powinnam wziąć gorącą kąpiel.

Zamiast tego rozzłościła się.

– Nie potrafisz nawet sama o siebie zadbać! Krzyczysz na mnie, że o siebie nie dbam, a potem sama robisz coś takiego?

– Nie zrobiłam tego specjalnie! – Moja matka była tak opanowana, że bardzo rzadko miałam do czynienia z takim wybuchem w jej wykonaniu. Może nawet nigdy. Oczy płonęły jej jak w gorączce i nagle zaczęłam się bać. Nie jej. O nią. Ponieważ kimkolwiek była ta niezrównoważona kobieta, nie była Sophią Kovalenką, jaką znałam. – Przepraszam, mamó. Przepraszam. Ja... ja sprzedam może kilka obrazów i po trochu oddam ci pieniądze za samochód...

– Jasne. Wszystko będzie dobrze, kiedy tylko zaczniesz znowu malować, a ja wrócę na uniwersytet. Nowy samochód będzie równie dobry co stary. – Jej uśmiech był pełen goryczy. – To wszystko się stanie lada dzień.

Co miałam powiedzieć?

– Zapłacę za to. Obiecuję. Jakoś.

Objęła mnie wtedy, a ja byłam zaskoczona tym, jaka jest chuda. Obie byłyśmy kościste, w znacznie większym stopniu niż nakazuje moda na szczupłość, byłyśmy bliskie punktu, w którym lekarze zaczynają cię wypytywać o anoreksję, kiedy przychodzisz się zaszczepić na grypę. Taką miałyśmy budowę ciała. Ale moja matka schudła jeszcze bardziej, w stopniu, który nawet w jej przypadku mógł być szkodliwy.

– Przepraszam, kochanie – wymamrotała w moje wilgotne włosy. – Przepraszam. Wiesz, że cię kocham.

– Ja też cię kocham. – Chociaż mówiłam szczerze, powiedziałam to przede wszystkim dlatego, że wydawało mi się, iż powinna to usłyszeć.

– Gdyby coś się z tobą stało...

– Nic się nie stanie, obiecuję. Widzisz? Nic mi nie jest. – Spróbowałam się do niej uśmiechnąć.

Ale twarz mamy spochmurniała.

– Nie możesz mi obiecać, że nic się nie stanie. Nikt nie może.

Stałyśmy naprzeciwko siebie przez kilka długich, okropnych sekund, aż w końcu stwierdziłam:

– Muszę wziąć prysznic.

– Załóż też coś suchego. – Przez chwilę brzmiała, jakby była sobą. – Potem będziemy mogli się przespać.

– Pizza – usłyszałam samą siebie. – Zjemy pizzę, a potem pójdziemy spać.

– Dobrze.

Mama wróciła do swojej sypialni. Mogła oczywiście pójść po telefon, żeby zadzwonić do pizzerii, ale podejrzewałam, że sama będę musiała to zrobić.

Dlaczego mama wyglądała tak okropnie i zachowywała się tak dziwnie, gdy dowiedziała się o moim wypadku? Jak mogła dopuścić, żeby jej rośliny pousychały? Nie widziałam żadnych równań na ścianach pomalowanych farbą tablicową – widniały tam tylko jakieś bardzo stare wzory, które teraz wyglądały jak kredowe cienie. Czy Paul i Theo nie przychodzili tutaj? A inni doktoranci?

Gdzie był mój tata?

Kiedy tylko opłuczę się i ubiorę, będę musiała poszukać odpowiedzi na te pytania. Jednak podejrzewałam, że nie spodoba mi się to, czego się dowiem.

Wiedziałam tylko, że ta wersja mojej matki jest najsłabszą, najbardziej załamana, jaką kiedykolwiek widziałam. Gdyby Zła zamordowała tę wersję mnie, mama nie poradziłaby sobie z tym.

Ale Zła mimo to próbowała. Nawet w neutralnym świecie, gdzie nie miała żadnych powodów, aby używać przemocy, żadnych rozkazów Wyatta Conleya, Zła mimo wszystko spróbowała morderstwa.

Rozdział dziewiętnasty

Pierwsze wyszukiwanie w Google przyniosło wytłumaczenie ciemności spowijającej ten dom.

TRAGICZNY FINAŁ NAPADU RABUNKOWEGO. NIE ŻYJĄ PROFESOR FIZYKI I JEGO CÓRKA

Chociaż tata i Josie jechali jego samochodem, to Josie siedziała za kierownicą. Ten szczegół został podany w artykule przypadkowo, ponieważ dziennikarz nie rozumiał, jakie to miało znaczenie. Gdyby Josie prowadziła własny samochód, nikt nie próbowałby na nich napadać, ponieważ złodzieje samochodów nie byłiby zainteresowani jaskrawożółtym volkswagenem beetle, którego gliny zauważyłyby w ciągu kilku sekund. A gdyby to tata prowadził, zrobiliby dokładnie to, czego chcieli napastnicy: wysiadł, zmusił Josie, żeby zrobiła to samo, i oddał kluczyki.

Ale gwałtowny temperament Josie – to, że zawsze reagowała na ryzyko, atakując je wprost – sprawił, że zachowała się lekkomyślnie. Jak twierdził artykuł, „odmówiła opuszczenia pojazdu”, nie precyzując dokładnie, co takiego zrobiła. Cokolwiek to było, sprowokowało bandytę do sięgnięcia po broń.

Josephine Caine (21 lat) zginęła na miejscu. Profesor Caine był w stanie rozmawiać z przybyłymi na miejsce ratownikami, jednak w drodze do Alta Bates Medical Center stracił przytomność, a po przybyciu do szpitala lekarze stwierdzili jego zgon.

Można by pomyśleć, że zdążyłam już przywyknąć do światów, w których ktoś z członków mojej rodziny nie żył. Trafiałam na nie tak często, że zaczęłam sobie z tym lepiej radzić. Ale to nie stało się ani odrobinę łatwiejsze.

Skoro Josie w chwili śmierci miała dwadzieścia jeden lat, to się musiało zdarzyć trzy lata temu. Od tamtej pory mama była... jak rozumiem, załamana. Zdruzgotana. Czy w ogóle jeszcze prowadziła wykłady? Była na urlopie? Nadal mieszkaliśmy w tym domu, ale sądząc po piętrzącej się na zewnątrz poczcie, nie radziła sobie najlepiej, o ile w ogóle.

Właśnie dlatego poczułam taką wściekłość.

Siedziałam w pokoju z kolanami podciągniętymi pod brodę i wpatrywałam się w świecący ekran laptopa. Z ekranu uśmiechała się do mnie Josie ze zdjęcia

zrobionego w ostatniej klasie liceum, a także tata na ostatnim zdjęciu z jego profilu na stronie uniwersytetu. Jak Zła mogła próbować odebrać mojej matce jedyną osobę, jaka jej została? Przeszedł mnie zimny dreszcz, gdy uświadomiłam sobie, że mama mogłaby nawet popełnić samobójstwo. Właśnie to chciała osiągnąć Zła – tym razem zamierzała odebrać życie nam obu.

To pełne jadu okrucieństwo wykraczało poza wszystko, co do tej pory zrobiła Zła, szczególnie że, zgodnie ze słowami Conleya, nie było żadnego powodu taktycznego, aby ta Marguerite miała umrzeć.

Tamte morderstwa mogły sprawiać Złej przyjemność, ale cały czas myślałam, że przynajmniej częściowo motywuje ją chęć odzyskania Josie. Nie doceniałam jej sadyzmu. Nie spodziewałabym się, że jest zdolna do takiej podłości.

A jednak musiałam przyznać, że w jakimś stopniu Zła była podobna do mnie.

Dowiedziałam się o potencjalnym mroku w duszy Theo bardzo wcześnie. Potem poznałam mrok, który skrywał w sobie Paul. Jednak okazało się, że to we mnie tego mroku jest najwięcej.

Raz w życiu planowałam zabić człowieka. Kiedy byłam przekonana, że Paul zamordował mojego ojca, w pierwszym przypływie bólu i rozpaczyny naprawdę myślałam, że byłabym w stanie zabić. Ale nawet wtedy, gdy pojawiła się okazja, zawahałam się – dzięki Bogu, ponieważ Paul był niewinny, a tata żył. Tym, co mnie wtedy napędzało, nie była nawet nienawiść, tylko miłość, jaką czułam do taty. To ona i poczucie ogromnej straty powodowały, że rozważałam morderstwo, nic innego nie byłoby w stanie mnie do tego nakłonić.

Co więc sprawiło, że inna moja wersja stała się Złą?

Popatrzyłam na ściany jak zawsze ozdobione obrazami. To jednak był jeden z tych nielicznych światów, które odwiedziłam, gdzie nie koncentrowałam się na portretach. Malowałam pejzaże naturalne i pejzaże miejskie, nawet martwe natury z owocami i wazonami – tego rodzaju rzeczy. Ta Marguerite po mistrzowsku wykorzystywała kolory, podobnie jak światło – mogłabym się od niej sporo nauczyć. Potrafiłam jednak wyczuć ból, który sprawił, że unikała malowania ludzkich twarzy.

Z głębokim westchnieniem usiadłam ciężko w fotelu. Prawdopodobnie zrobiłam już wszystko, co mogłam, dla tej mojej wersji. Z pewnością nie chciałam dłużej przebywać w tym depresyjnym wszechświecie. Nie podobało mi się, że zostawiam mamę w takim stanie, ale nie mogłam jej przywrócić taty i Josie. Poza tym już niedługo kolejna Marguerite znajdzie się w niebezpieczeństwie.

Wzięłam Firebirda i spróbowałam przeskoczyć. Nic.

Wyczerpanie ogarnęło moje ciało i duszę. Czułam fizyczny ból – mięśnie nadal bolały mnie po desperackiej ucieczce z samochodu, a siniaki na biodrach i kolanach właśnie zaczęły pulsować nieprzyjemnie. Emocjonalnie również byłam tak wykończona, że chyba nie przejęłabym się nawet wtedy, gdyby w domu wybuchł pożar.

Do łóżka – powiedziałam sobie. – *Natychmiast*. Ustawię budzik, żeby mnie budził co trzy godziny i w ten sposób będę mogła próbować przeskoczyć tak szybko, jak to możliwe. Zaraz jednak przypomniałam sobie, że mój telefon utonął w rzece razem z samochodem. Świetnie.

W moim wymiarze Josie podarowała mi na szóste urodziny budzik z Hello Kitty. Kiedy ma się sześć lat, trudno o wspanialszy prezent. Josie była z siebie dumna, że tak doskonale trafiła, a budzik pozostawał jednym z moich skarbów, mimo że dawno wyrosłam z wieku, gdy Hello Kitty była w moim guście. Nawet kiedy zaczęłam używać tPhone'a, nie wyrzuciłam tego budzika. Nadal stał w głębi szafy i służył jako głowa manekina pod wełnianą zimową czapkę.

Jeśli Josie także w tym wymiarze podarowała mi zegar, Hello Kitty miała okazję znowu się przydać. Dlatego podeszłam ciężko do garderoby, zapaliłam światło, żeby zacząć w niej grzebać, i znieruchomiałam.

Moja teczka z portfolio była wepchnięta w kąt, zgnieciona jak stara gazeta, a na dnie garderoby leżały płótna. Zmarszczyłam brwi i przyklekłam, żeby się im przyjrzeć. Już pierwszy rzut oka wystarczył, żeby zrobiło mi się zimno.

To był portret Josie – z wydrapanymi oczami.

Przejrzałam je wszystkie i za każdym razem zniszczenia były identyczne. Josie, tata i mama mieli podziurawione oczy, usta lub jedno i drugie. Uszkodzenia sprawiały, że ich twarze wydawały się puste i upiorne – coś jak to, co można zobaczyć na plakatach filmowych horrorów. W pierwszej chwili zaczęłam się zastanawiać, czy ta Marguerite postanowiła zniszczyć stare obrazy z pobudek artystycznych jako symbol unicestwienia jej rodziny. Potem jednak na dnie garderoby zobaczyłam malutkie płatki farby. Nie, to zostało zrobione dzień lub dwa dni temu. Zrobiła to Zła.

Na samym końcu znalazłam autoportret, bardzo podobny do jednego z najwcześniejszych, jakie sama namalowałam. Byłam nawet ubrana na nim w niebieski T-shirt w kwiaty, który dalej miałam. Jednak cała twarz została zniszczona, wyszarpana tak gwałtownie, że nóż przeciął płótno w kilku miejscach.

Nienawidziła siebie bardziej niż kogokolwiek z pozostałych. Siedziałam na podłodze w garderobie pomiędzy rzędami butów i przyglądałam się po kolei

każdej twarzy. Dlaczego ich nienawidziła? Czy po prostu nienawidziła wszystkich? Może coś poszło nie tak w macicy i mój mózg nie rozwinął się prawidłowo. Zła mogła być psychopatką, cieniem człowieka...

Ale ta odpowiedź byłaby za prosta. Pozwalałaby wszystko usprawiedliwić. Jeśli miałam pokonać Złą w jej grze, musiałam ją zrozumieć. A to oznaczało, że muszę przestać się ukrywać za tym wszystkim, co mnie od niej odróżniało.

Powinnam się zmierzyć z takim samym mrokiem, do jakiego musiał się przyznać Theo. Z takim samym mrokiem, z jakim walczył nawet w tym momencie Paul. Musiałam spojrzeć trzeźwym okiem na Złą i przekonać się, co nas łączy. Musiałam się dowiedzieć, pod jakimi względami jesteśmy takie same.

Dlatego spróbowałam sobie wyobrazić, że jestem dziewczyną z Centrali. Jestem sobą w tym niebezpiecznym, mającym obsesję na punkcie statusu megalopolis – córką dwojga największych wynalazców w tym świecie. Dlaczego to miałyby mnie tak spaczyć? Nie rozumiałam, dlaczego to uczyniło ze mnie morderczynię, chociaż wiedziałam, że mogłabym stać się z tego powodu próżna i snobistyczna. Wiedziałam nawet, że to mogłoby odciągać moją uwagę od malowania, a przynajmniej sprawiać, że częściowo o nim zapomnę. W moim świecie mama i tata zawsze mnie wspierali, kupowali mi pędzle i płótna, przekonywali wykładowców na wydziale sztuk pięknych, żeby pozwalali mi siedzieć na zajęciach z technik malarskich, i ani razu nie zadali pytania: „Ale z czego będziesz żyła?”.

Jednak w Centrali pieniądze nie tylko dawały władzę. Były także cnotą samą w sobie. Jesteś tym, ile zarabiasz. Przynosisz wymierną wartość pieniężną albo jesteś bezużyteczna.

Dlatego Zła zawsze musiała być lekceważona. Niedoceniana. Kiedy Triad wybrał Josie na podróżnika doskonałego z tego wszechświata, a Wyatt Conley do tego się w niej zakochał... musiała się poczuć całkowicie niewidzialna.

To nie była wymówka. To nie było nawet wytłumaczenie. Ale na jakimś podstawowym, niewyrażonym w słowach poziomie czułam, że w końcu zobaczyłam w jej duszy coś, co mogło przypominać mnie.

Zniszczone płótna leżały na moich nogach i patrzyły pustym wzrokiem. Po śmierci Josie zarówno moich rodziców, jak i Conleya ogarnęła obsesja odzyskania odłamków jej duszy, ponieważ uważali, że dzięki temu ona do nich wróci. Zawiazali spisek międzywymiarowy i byli gotowi doprowadzić do kolapsu innych wszechświatów. Josie przyćmiewała tamtą mnie po swojej śmierci jeszcze bardziej, niż robiła to za życia.

Paul z Centrali powiedział, że moja odpowiedniczka była najbardziej entuzjastyczną wolontariuszką Triadu. Theo z Centrali, mniej uprzejmie, ale być może bardziej precyzyjnie, nazwał ją suką. Teraz widziałam, że robiła to wszystko, żeby dowieść swojej wartości – pokazać, że jest odważniejsza, bardziej bezwzględna, bardziej niepowstrzymana, niż Josie kiedykolwiek była, a wszystko to dla ludzi, których musiała nienawidzić z głębi serca.

Jeśli się jej uda, jaką nagrodę dostanie? Josie powróci do życia, żeby znowu ją przyćmiewać.

Zaraz. To się stało trzy lata temu? Otworzyłam szerzej oczy. To nie był przypadkowo wybrany neutralny wszechświat – to był ten, w którym zginęła ich Josie. Kiedy Zła przeskoczyła tutaj, znalazła moją mamę załamana i pogrążona w depresji. Nie zwracała uwagi na to, że jej życie się rozpada, mimo że ja nadal tu byłam. Zamiast jej współczuć, Zła musiała pomyśleć: *Widzicie, ja nadal nie jestem dość dobra. Nigdy nie będę jej wystarczać. Kiedy sobie uświadomi, że straciła także mnie, w końcu zrobi się przykro.*

To było prawie tak, jakbym znowu siedziała za kierownicą samochodu i patrzyła w wodę. *Ja jej pokażę* – musiała pomyśleć Zła, zanim wcisnęła gaz.

Byłam pewna, że kryje się za tym coś więcej. Radość, jaką Zła czerpała z tego, co robiła, była niepojęta i niewybaczalna.

Dotarłam jednak do źródła. Wiedziałam, co stanowi dla niej siłę napędową. Za jej bezgranicznie złą wolą krył się ból, którego nie mogła ukoić, niezależnie od tego, ile wszechświatów by zniszczyła.

Może przyjdzie czas, kiedy będę mogła użyć tej wiedzy przeciwko niej.

Już wiedziałam, że muszę podejmować z nią walkę, za każdym razem.

– Mamo?! – zawołałam, idąc do jej sypialni. Zastanawiałam się nad tym przez całe godziny. Niebo na zewnątrz zaczynało jaśnieć, co świadczyło o zbliżającym się świcie. – Mamo, obudź się.

– Marguerite? – zapytała niewyraźnie zza drzwi, co uznałam za pozwolenie na wejście do środka i tak właśnie zrobiłam.

Kiedy zobaczyłam, jak wygląda jej pokój, pożałowałam tego. Śmierdział, jakby leżało w nim brudne pranie, a połowa łóżka – ta, gdzie spałby tata – była pokryta stosami ulotek reklamowych, zmiętych skarpetek i brudnych papierowych talerzy. Mama usiadła w tym śmietniku i podrapała się po głowie.

– Kochanie, co się stało?

– Mamo, zajmowałaś się badaniem wymiarów równoległych, prawda? Różnic między kwantowymi rzeczywistościami?

Zmarszczyła brwi zdziwiona.

– Ja... chyba wiesz, że jestem na urlopie dziekańskim...

– Ale to była twoja dziedzina, tak?

– Oczywiście, że tak. Pracowaliśmy nad tym razem z twoim ojcem. – Teraz zaczęła się irytować. – Dlaczego mnie budzisz, żeby...

Urwała w pół słowa w chwili, gdy sięgnęłam do łańcuszka na szyi i wyjęłam Firebirda.

– Nie jestem twoją Marguerite, mamó. Jestem z innego wymiaru.

– Co to ma niby znaczyć?

– Popatrz na to, mamó. – Usiadłam obok niej na łóżku. – Popatrz na Firebirda i powiedz mi, że to nie ty go zrobiłaś.

– Co za... – Jej dłoń zacisnęła się na wisiorze, a usta otworzyły ze zdziwienia.

– Wynałazłaś Firebirda już w kilku wymiarach. – Na razie postanowiłam trzymać się jak najprostszych wyjaśnień. Nie byłam pewna, ile mama będzie w stanie przyjąć do wiadomości. – Odwiedziłam kilka z nich, a Firebird w końcu przeniósł mnie tutaj. Sprowadził mnie do ciebie.

Moja matka nic nie powiedziała. Siedziała, oglądała Firebirda i milczała – aż wydała dźwięk, który uznałam za szloch. Kiedy jednak mama znowu spojrzała na mnie, śmiała się.

– Udało nam się – oznajmiła ze łzami w oczach i szerokim uśmiechem. Chociaż była wychudzona i brudna, nagle znowu stała się moją mamą. – Zrobiliśmy to, Henry i ja.

Uściskałam ją mocno.

– I lepiej, żebyś o tym nie zapomniała.

Zanim zjadłyśmy śniadanie, powiedziałam mamie o najważniejszych rzeczach. Obie byłyśmy zmęczone i niewyspane, ale zauważyłam, że mama jest znowu przytomna, tak jak nie była od śmierci taty i Josie.

– Zachowywałaś się dziwnie przez ostatnie dni. – Wypiła łyk herbaty darjeeling. – Ale nigdy w życiu nie podejrzewałabym czegoś takiego.

– Pracowałaś może z doktorantem Paulem Markovem w tym wymiarze? – zapytałam. – Albo z Theo Beckiem?

Mama potrząsnęła głową.

– Nie byłam opiekunem naukowym dla nikogo od... no wiesz.

Zarówno Paul, jak i Theo prawdopodobnie robili doktorat gdzie indziej, pod kierunkiem kogoś innego.

– Masz może jakichś byłych doktorantów, z którymi możesz się skontaktować, żeby zajęli się tym razem z tobą?

– Może Xiaoting. Wykłada teraz w Yale. Miałam do niej zadzwonić... Przesłała mi e-maila, a ja jakoś nie mogłam znaleźć czasu...

– Skontaktuj się z nią. – Mama potrzebowała teraz odpowiedniego wsparcia. Xiaoting i inni doktoranci, którzy niemal mieszkali u nas przez tyle lat, będą doskonali na początek. – Skontaktuj się ze wszystkimi byłymi doktorantami, z którymi zdołasz. Niedługo będziesz mogła sama skonstruować coś podobnego. Kiedy tylko będzie po wszystkim, poproszę Paula albo Theo, żeby przeskoczyli do tego wymiaru i wyjaśnili ci wszystko w kilka dni.

– Jeśli zorientuję się, jak działa komunikacja międzywymiarowa, być może uda mi się nawet to przyspieszyć. – Na jej twarzy odmalowała się tęsknota. – To nie będzie to samo, co być znowu z moim Henrym i Josephine. Doskonale to rozumiem. Ale sama wiedza, jacy teraz są... jacy mogliby być, gdyby tu byli... Czuję, że znowu mogę oddychać. Tak jakbym przestała oddychać w chwili ich śmierci, ale aż do dzisiaj nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Przytuliłam ją mocno od tyłu i znowu popatrzyłam na zwiędłe, zwiotczałe rośliny.

– Wydaje mi się, że ja też nie najlepiej sobie z tym radzę. – Ostatecznie mogłabym od czasu do czasu wziąć konewkę.

– Nie. Razem się tu zaszyliśmy. Myślę, że powinniśmy znaleźć nowe miejsce. Takie bez... Takie, gdzie mogłybyśmy zgromadzić nowe wspomnienia.

Rozumiałam to, mimo że sam pomysł przeprowadzki był dla niej bolesny. Ten dom był czymś więcej niż schronieniem i miejscem, gdzie przechowywało się rzeczy. To był nasz dom w najgłębszym, najpiękniejszym znaczeniu tego słowa. Ale można mieć więcej niż jeden dom.

– To chyba dobry pomysł.

Mama zrobiła wdech nosem i wydech ustami – znak, że zmuszała się do opanowania.

– Zaraz zacznę pracować nad komunikacją międzywymiarową. I będę pamiętała, żeby uważać na przybyszów.

– Wymyśl może jakieś pytanie zabezpieczające. Inne nie będą w stanie przypomnieć sobie odpowiedzi, a gdybym ja musiała tu wrócić, zawsze ci wyjaśnię, kim jestem.

– Dlaczego postanowiłaś mi to powiedzieć?

– Zamierzam od tej pory mówić o tym w każdym świecie. – Byłam całkowicie zdecydowana. – No, przynajmniej we wszystkich, w których nie spałam mnie za to jako czarownicy. Macie prawo wiedzieć, co się dzieje. Poza tym, im więcej wszechświatów sprzymierzy się przeciwko Triadowi, tym lepiej.

Uniwersum Triadu praktycznie wypadło już z gry. Conley trzymał tam całą władzę i wiedzę dla siebie, a teraz nie żył. O ile wiedziałam, byłam jedynym podróżnikiem doskonałym, jaki pozostał w multiwszechświecie.

Pomyślałam, że możemy przejąć inicjatywę. Możemy przechylić szalę na naszą stronę.

– Powiedz mi coś jeszcze o tym, co się z nimi dzieje – poprosiła mama. – Chociaż jedną rzecz.

– Niech pomyślę. Josie zastanawia się, czy nie zacząć startować w zawodach surfingowych jako amatorka, więc nie musisz się martwić, że zrezygnuje ze studiów. Tata nie może się doczekać, aż kupi sobie taki samochód, który sam parkuje. Czy w tym wszechświecie był tak samo beznadziejny w parkowaniu równoległym jak w naszym?

– Chyba jeszcze gorszy. – Mama odwróciła się do mnie i odgarnęła mi pukiel włosów z twarzy. – Kiedy spróbujesz opuścić ten wymiar? Nie chcę cię poganiać, kochanie, ale naprawdę nie mogę się doczekać, aż porozmawiam o tym wszystkim z moją Marguerite.

– Niedługo. Powinam spróbować teraz.

Wszystkie moje zamiary, żeby sprawdzać to w regularnych odstępach przez całą noc, zniknęły, gdy doznałam objawienia w związku ze Złą. Na szczęście zazwyczaj potrzebowała trochę czasu, żeby wcielić w życie bardziej złożone plany.

– Jeszcze jedno – powiedziała mama, gdy wzięłam Firebirda. – Nie lekceważ swojej siły woli, Marguerite. Ani jej.

Skinęłam głową i nacisnęłam przyciski. Nie spodziewałam się, że coś się wydarzy...

...a potem zdążyłam tylko oprzeć się o wyłożoną kafelkami ścianę, żeby nie poślizgnąć się pod prysznicem.

Pospiesznie zdjęłam Firebirda i położyłam go na stoliku obok kabiny. Parę razy wytrzymał już zanurzenie w wodzie, a mama i tata starali się, żeby był wodoodporny, ale wolałam nie kusić losu, jeśli nie musiałam. Najwyraźniej wylądowałam w tym wymiarze w trakcie mycia głowy, więc musiałam splukać szampon, zanim mogłam zrobić cokolwiek innego.

Pod pewnymi względami czułam się rozczarowana, że nie zdążyłam się lepiej pożegnać z moją matką w... Uniwersum Josie. Musiałam przestać polegać na tym, że będę miała czas na dłuższe pożegnania. Mojej matce przydałby się jeszcze jeden uścisk, więcej informacji... cokolwiek. Ale co w ogóle mogłoby jej wystarczyć? Nie mogłam jej oddać taty i Josie, chociaż dałam jej najwięcej,

co tylko mogłam: nadzieję. Może to wystarczy.

Na razie musiałam się zorientować, gdzie jestem, dlaczego i co Zła zrobiła tym razem. Chociaż mycie włosów nie wydawało się szczególnie niebezpieczną czynnością, Zła nie opuściłaby tego wymiaru, nie narażając mnie na niebezpieczeństwo.

Ta łazienka jest naprawdę mała – pomyślałam, kiedy wyszłam spod prysznicza i owinęłam włosy ręcznikiem, a potem zaczęłam się wycierać drugim. Taka jak w Uniwersum Mafii, gdzie mieszkaliśmy na Manhattanie. Ale coś w wystroju wnętrza – dziwnie obły kran, niegustowne granatowe kafelki, słuchawka prysznicza z różnymi ustawieniami – podpowiadało mi, że nie jestem w Stanach Zjednoczonych. Rzeczywiście, kiedy poszukałam w szafce jakiegoś balsamu przeciwko puszeniu się włosów, informacje na tubie były po angielsku i... czy to był chiński? Japoński? Cóż, niedługo się dowiem.

Na haczyku w łazience wisiał prosty biały T-shirt, dzinsy i żółty jedwabny żakiet w stylu kimono haftowany w kwiaty i rajske ptaki. Wyglądał prawie jak ten, który miała moja odpowiedniczka z Uniwersum Londyńskiego – to była jedyna należąca do niej rzecz podpowiadająca, że mamy coś wspólnego.

Ból w dłoniach... tracę uchwyt... Tamiza daleko w dole...

Musiałam uratować tę Marguerite.

Gdy zakładałam znalezione ubrania, przyjrzałam się swojemu ciału. Nie miałam żadnych ran. Nie wydawało się, żeby dom się palił. Co takiego zrobiła Zła? W tym momencie zauważyłam coś jeszcze w szufladzie szafki: buteleczkę tylenolu. Potrząsnęłam nią i przekonałam się, że została tylko jedna czy dwie tabletki.

Czy jeśli zamierzała przedawkować, nie wzięłaby wszystkiego? Ale nie byłam tego pewna. Nie zdziwiłabym się, gdyby Zła wiedziała dokładnie, ile należy wziąć, żeby przedawkować.

Na razie czułam się nieźle, ale może potrzeba było czasu, żeby tabletki zaczęły działać. Czy lekarze mogliby mi zrobić płukanie żołądka, gdybym ostrzegła ich teraz i zadziałała w porę?

Założyłam Firebirda na szyję, związałam wilgotne włosy w kok na karku i wyszłam z łazienki do domu, którego nigdy wcześniej nie widziałam – zaskakująco dużego, biorąc pod uwagę małą łazienkę. Podłoga była z drewna tekowego, a ściany pomalowane na biały kolor. Poszłam za dźwiękiem lejącej się wody i trafiłam do gigantycznej jadalni ze stołem tak wielkim, że mógłby służyć rodzinie królewskiej, ale tak samo zawałonym rzeczami jak tęczy stół u nas w domu. Rośliny w kątach pokoiw należały do innych gatunków –

dominowały bambusy z pędami w kolorze jadeitu wyrastającymi prosto w górę z niskich, kwadratowych doniczek w żółtobrazowej polewie.

– Halo?! – zawołałam i skierowałam się do pomieszczenia, które wyglądało na kuchnię.

– Postanowiłaś przestać się dąsać i zejść na dół? – To był głos mojej matki.

Zajrzałam przez drzwi i zobaczyłam ją w turkusowych spodniach do jogi i koszulce na ramiączkach, splukującą talerze przed włożeniem ich do przemysłowych rozmiarów zmywarki, która wyglądała absurdalnie w kuchni zwyczajnej pod każdym innym względem. Mama uśmiechnęła się do mnie bez cienia bólu i rozpacz, jakie pamiętałam z poprzedniego wszechświata, a ja nagle uświadomiłam sobie, jaka ona jest piękna, kiedy jest szczęśliwa.

– A, Marguerite, to ty.

Domyślałam się, że Josie siedzi w złym humorze na piętrze.

– Jasne. Hej, pamiętasz może, ile zostało tylenolu w tej butelce?

– Chyba tabletki czy dwie. Dlaczego pytasz?

Zła nie przedawkowała, przynajmniej nie to.

– Tak sobie.

Mama wróciła do zmywania.

– Nie wiem, co dzisiaj rano wstąpiło w twoją siostrę. Wiesz, że próbowała się wymknąć z domu o świcie? Co ona sobie myślała?

Znając Josie, pewnie uznała, że będą dobre fale do surfowania. Jednocześnie Josie była dostatecznie dorosła, żeby wychodzić z domu, kiedy chciała, a mama i tata nigdy nie próbowali jej powstrzymać. Hmm. Czy mam tutaj młodszą siostrę? Wspomnienie twardej, nieznośnej Katii z Uniwersum Rosyjskiego sprawiło, że się uśmiechnęłam.

– Nie mam pojęcia.

– Cóż, powiedziałam jej, że może zejść na obiad, więc przypuszczam, że niedługo ją zobaczymy. Mam nadzieję, że zdążyła się uspokoić. – Mama uśmiechnęła się, westchnęła i zamknęła drzwi zmywarki. – Dzięki Bogu, że z reguły najwyżej dwie z was jednocześnie tracą panowanie nad sobą.

– Yyy, jasne. – Ujęła to jakoś dziwnie, ale nie było sensu się nad tym zastanawiać.

Musiałam się zorientować, co się dzieje z tą Marguerite, a nie z jej rozpuszczoną młodszą siostrą. Zanim opowiem o wszystkim tej wersji mamy, chciałabym dokładnie wiedzieć, o jaką pomoc powinnam poprosić.

Dlatego kontynuowałam poznawanie domu. Wyposażenie kuchni wyglądało trochę dziwnie – sprzęty były albo za małe, albo rozmiarów przemysłowych,

z zaokrąglonymi krawędziami, a zlew miał odrobinę inną baterię, co podpowiadało mi, że nie jesteśmy w Kalifornii. Domyślałam się, że to Azja, ale gdzie dokładnie? Na stole w jadalni oczywiście piętrzyły się papiery z wydrukowanymi lub zapisanymi równaniami, które niewiele mi mówiły. Ale zaraz... czy to jest...?

Podniosłam Nagrodę Nobla, ciężki dysk ze szczerego złota. Profil Alfreda Nobla wpatrywał się w przestrzeń z nadzieją, że ludzie zapamiętają go za to, a nie za wynalezienie dynamitu. Mama i tata zdobyli już Nagrodę Nobla w Uniwersum Triadu, co oznaczało, że był to drugi wymiar, w którym miałam okazję zobaczyć świadectwo jednego z największych osiągnięć w historii ludzkości służące jako przycisk do papieru.

– Miałaś ostatnio jakieś wieści z wymiarów równoległych?! – zawołałam do mamy.

Jeśli dostali Nobla za wynalezienie technologii albo przynajmniej za udowodnienie swojej teorii, będzie wiedziała, o czym mówię. To sprawi, że wyjaśnienia staną się bardzo proste.

Ale kiedy mama pojawiła się w drzwiach łączących kuchnię z jadalnią, marszczyła brwi.

– Kochanie, dobrze się czujesz? – Podeszła i położyła mi rękę na czole. – Pytałaś o tylenol. Czy to dlatego, że masz gorączkę?

– Nie, ja tylko... Wyjaśnię wszystko za chwileczkę.

Najwyraźniej mama nie miała pojęcia, o czym mówiłam.

Skoro nie dostali Nobla za udowodnienie istnienia wymiarów równoległych, to za co go dostali?

Może znowu są oceanografami – pomyślałam i przeszłam do ogromnego salonu, w którym okna były obramowane ciężkimi białymi zasłonami. Było przez nie widać kolejne bambusy, tym razem rosnące na zewnątrz, a w oddali zarysy nowoczesnego miasta. Może mama i tata zajęli się czystą matematyką.

Salon był mniej formalny od jadalni i miał na ścianach mnóstwo moich obrazów. Wyglądało na to, że próbuję nawet rzeźby, sądząc po wymodelowanej dłoni z gliny na jednej z półek. Na skrawku ściany koło największego okna zobaczyłam oprawione w ramki okładki czasopism z twarzami mamy i taty. Na jednej okładce była tylko ilustracja – gigantyczna morskozielona podwójna helisa z identycznymi profilami po obu stronach. Na górze, tuż pod tytułem magazynu, widniał ogromny nagłówek: ERA KLONÓW.

Klonów?

– Jest siódma – oznajmił głos, który brzmiał znajomo, ale dziwnie. –

To znaczy, że jest już pora obiadowa? Czy wolno mi już wyjść z więzienia, czy mam siedzieć głodna?

Odwróciłam się i zobaczyłam moją matkę w jadalni, podpierającą się rękami pod boki, a przed nią bardzo rozzłoszczoną... mnie.

– Więzienie – westchnęła mama. Nie wyglądała na choćby odrobinę zaskoczona tym, że do pokoju wszedł mój sobowtór. – Naprawdę, czy nie jesteś już trochę za duża na...

– Wiesz, na co jestem trochę za duża?! Na traktowanie mnie jak przedszkolaka w złym humorze – warknęła tamta ja.

Była ubrana w spódnice typu skater i T-shirt w niemal identycznych odcieniach niebieskiego.

– Najwyraźniej nie jesteś za duża na to, żeby się zachowywać jak przedszkolak – odparowała mama.

Ja tylko stałam i się gapiłam.

Było nas dwie. Ja razy dwa. Czy miałam bliźniaczkę jednojajową, czy też...

Popatrzyłam znowu na nagłówek. ERA KLONÓW. Teraz zauważyłam także podtytuł brzmiący: JAKIE ZNACZENIE DLA NASZEJ PRZYSZŁOŚCI MA RODZINA CAINÓW?

Jestem klonem. Jesteśmy klonami. Innymi słowy, w tym wszechświecie istniała więcej niż jedna osoba, którą Firebird mógł uznać za mnie. Tu istniało więcej moich wersji, co oznaczało, że więcej niż jedna Marguerite mogła przeskoczyć do tego wymiaru jednocześnie...

Weszłam pośpiesznie do jadalni i popatrzyłam na tamtą wersję mnie. No i oczywiście na szyi nad krawędzią T-shirta zobaczyłam łańcuszek Firebirda.

Kiedy weszłam, w pierwszej chwili była zaskoczona – zaszokowana moją obecnością w takim samym stopniu jak ja jej widokiem. Ale zaraz dotarło do niej, co to oznacza.

Zła i ja stanęłyśmy w końcu twarzą w twarz.

Rozdział dwudziesty

Zła nie zawahałaby się przed zrobieniem mi krzywdy.

Ja zamierzałam ją uprzedzić.

Rzuciłam się na nią, tak że poleciała z całym impetem na ścianę. Mama krzyknęła. Zła próbowała podrapać mi twarz. Udało jej się złapać mnie za wilgotne włosy i szarpnąć. Skrzywiłam się z bólu, chwyciłam jej Firebirda i poczułam, że łańcuszek pęka.

Przewróciła mnie, ale zdążyłam ściągnąć swojego Firebirda i rzucić oba w kąt, zanim je złapała. Zła uderzyła mocno moją głową o podłogę, a potem jeszcze raz. Złapałam ją za włosy i szarpnęłam w bok na tyle mocno, że upadła koło mnie.

– Marguerite! Victoire! – Mama przyklękła przy nas i próbowała nam przeszkodzić. – Czy wyście oszalały? Przestańcie...

Zła wypuściła mnie, żeby z całej siły uderzyć mamę łokciem w twarz, co było dla mnie niemal tak szokującym widokiem jak dla mamy przeżyciem.

– To nasza sprawa! – wrzasnęła Zła do mojej zdumionej matki.

Ten moment wystarczył, żebym przetoczyła się na nią i przycisnęła jej rękę do podłogi.

– Nie myślałaś, że cię kiedykolwiek dogonię – powiedziałam półgłosem, kiedy wiała się przede mną. – Nie wzięłaś pod uwagę tego świata, prawda... Aaaa!

Zęby Złej wbiły się w moją skórę, kiedy ugryzła mnie brutalnie, ale ja jej nie puściłam.

Mama mnie złapała i spróbowała odciągnąć.

– Dziewczyny! Dziewczyny! Co w was wstąpiło?

Udało mi się uwolnić od mamy, ale tylko na chwilę. Nie mogło jej powstrzymać nic oprócz prawdy.

– Mamo! Posłuchaj, czy zastanawiałaś się kiedyś nad badaniem multiwszechświata? Rzeczywistości równoległych?

Zła otworzyła szeroko oczy. O kurczę, ale głupio wyglądam, kiedy jestem zaskoczona.

– Dawno temu... – powiedziała w końcu mama. – Jeszcze na studiach... Dlaczego...

– Nie jestem z tego wszechświata. – Ruchem głowy wskazałam szarpiącą się Złą. – Ona też nie.

– Zwariowałaś! – wrzasnęła Zła. – Mamo, ona jest psychiczna. Dawno już to zauważyłam, ale nie chciałam nic mówić. Teraz do reszty jej odbiło. Musisz ją powstrzymać, mamo, zanim zabije nas obie!

– Nikogo nie zamierzam zabijać – zapewniłam. – Mamo, przyjrzyj się Firebirdom. Tym wisiorom, które rzuciłam w kąt. Zobaczysz, co to jest!

Czy je rozpozna? Raz się to udało, ale we wszechświecie, w którym ona i tata pracowali nad tą technologią ponad dziesięć lat. Tutaj moja mama nie była nawet fizykiem. Firebird nie będzie tak oczywistym dowodem.

– Wsadzą cię do pokoju bez klamek i nigdy nie wypuszczą. – Zła prawie pluła tymi słowami. Wiedziałam, że się rumienię, kiedy jestem zła, ale nie miałam pojęcia, że moje policzki robią się tak czerwone, a zmarszczka między brwiami tak głęboka. Furia Złej promieniowała z niej tak widocznie jak żar. Ta wściekłość należała tylko do niej. – Wsadzą cię do wariatkowa bez tego głupiego naszyjnika i nigdy się stamtąd nie wydostaniesz.

Miałam nadzieję, że uda mi się uniknąć szpitala psychiatrycznego, a przynajmniej sprawić, że Zła zostanie tam zamknięta razem ze mną. Dopiero w tej chwili zdałam sobie jednak sprawę z tego, że nie mam pojęcia, co zrobić ze Złą teraz, kiedy ją złapałam. Nie mieliśmy przecież więzienia, do którego szło się za zbrodnie przeciwko multiwszechświatowi.

– Wstawajcie obie. – Mama otrząsnęła się z zaskoczenia na tyle, by przywołać swoją krew Kozaków. – Natychmiast!

Popatrzyłam na moją matkę z nadzieją, że zobaczy, jak bardzo jestem przestraszona. Jak bardzo to jest prawdziwe.

– Nie mogę jej puścić, mamo. Jeśli ją puszczę, może zabić nas obie. I ja nie przesadzam. Mówię poważnie.

– Widzisz? – jęknęła Zła. W jej oczach lśniły łzy, prawdopodobnie z bólu po szarpnięciu za włosy, ale wykorzystywała je jak wybitna aktorka. – Ona ześwirowała, mamo. Boję się...

– Przestańcie – powtórzyła mama. Nie ruszyła się nawet do Firebirdów, które leżały w kącie. Zaczęła się wycofywać w stronę stołu, gdzie pod papierami prawdopodobnie leżała jej komórka. – Mówię serio.

W tym momencie usłyszałyśmy otwierające się drzwi i kroki zmierzające w naszą stronę. To był pewnie tata. Albo może Josie. Czy któreś z nich uwierzy w to, co mówiłam o Firebirdach? Czy może Zła w końcu będzie miała okazję, żeby zwrócić ich przeciwko mnie?

Mama ze swojego miejsca widziała, co się dzieje w korytarzu, i westchnęła z ulgą.

– O, dzięki Bogu. Chodź i pomóż mi z tymi dwiema.

– Nie ma sprawy, Sophio – powiedział Theo i wszedł do pokoju.

Theo. Zalały mnie okropne obrazy ostatniej chwili, gdy widziałam jego twarz: zakrwawionego Theo z Uniwersum Triadu, umierającego we wraku samochodu. Ten Theo, którykolwiek to był, nosił takie same Chucksy, taki sam T-shirt z Beatlesami w stylu udającym vintage, taki sam trzydniowy zarost. Kiedy zobaczył na podłodze dwie Marguerity, jego twarz pobladła.

Zauważyłam na jego szyi łańcuszek Firebirda. To nie był jakiś tam Theo. To był mój Theo.

– Co do... – wymamrotał.

– Jesteśmy klonami – powiedziałam. – Jesteśmy klonami, dlatego możemy tu być jednocześnie.

– Przeskoczyłam tu za nią, a ona chce mnie zabić! – krzyknęła Zła, momentalnie zmieniając strategię.

– Czy ty rozumiesz, o czym one mówią? – zapytała mama, ale nikt jej nie odpowiedział.

Theo znieruchomiał, zamknął oczy, jakby się nad czymś intensywnie zastanawiał, a potem zapytał:

– Co było najbardziej krępującą rzeczą, jaka przydarzyła nam się w Uniwersum Wojennym?

Zła tylko na niego patrzyła, a ja się odezwałam:

– Kiedy znaleźliśmy się razem w łóżku.

– Słucham?! – Mama pobladła.

– To nie tak, jak to brzmi! – Theo podniósł ręce. – Dobra. Właściwie to tak, jak to brzmi. Ale to nie dotyczyło mnie i mojej Marguerite, ani twojego Theo i twojej Marguerite, przynajmniej o ile mi wiadomo...

– Oboje zwariowali – warknęła Zła, ale wiedziała, że zaraz wszystko się wyda.

Zaczęła się szarpać tak, że myślałam, że uda jej się mnie zrzucić, ale Theo usiadł jej na nogach, a ona jęknęła, akceptując porażkę.

– Dobra – powiedział Theo. – Po pierwsze, Sophio, pani doktor Kovalenko, czy też jak ja cię tu nazywam, musimy porozmawiać o wymiarach równoległych.

– Już jej mówiłam – oznajmiłam. – Ale możesz coś zrobić, żeby nam uwierzyła? No wiesz, matematycznie?

Theo uśmiechnął się do mnie.

– Naprawdę bardzo przekonująca matematyka, świeżutka na zamówienie.

Pół godziny później Zła siedziała przywiązana do krzesła, stół w jadalni pokrywał jakieś pięćdziesiąt nowych równań, a moja mama nie posiadała się ze zdumienia.

– Nie do wiary. – Siedziała przy stole i wpatrywała się nieobecny wzrokiem w przestrzeń. Nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek udało mi się zaszokować moją matkę wiedzą naukową dwa razy w jeden dzień. – Boże, Henry wyskoczy ze skóry z radości.

– Wiem, co czujesz – oznajmiłam i spojrzałam na Złą siedzącą dokładnie koło mnie.

Jeśli o nią chodziło, ignorowała nas wszystkich. Uniosła wysoko podbródek, jak żołnierz, który dostał się do niewoli i nie zamierza podawać żadnych informacji poza swoim stopniem i numerem identyfikacyjnym.

Inna sprawa, że żadne z nas nie zamierzało jej o nic pytać. Patrzyłam, jak Theo porównuje swojego Firebirda z tym z Uniwersum Wojennego.

– Trochę toporny, ale biorąc pod uwagę, pod jaką presją czasu działali, jestem naprawdę pod wrażeniem.

– Ja jestem im naprawdę wdzięczna – powiedziałam. – Bez niego zginęłabym razem z Uniwersum Rzymskim.

Theo spojrzał na mnie przelotnie i znowu przeniósł uwagę na wisiory z Firebirdami.

– Jeśli ci to pomoże, wydaje nam się, że to jedyny wymiar, który Triad zdążył do tej pory zniszczyć.

– Trochę pomoże.

Ale niewiele.

– Henry zamierzał zajmować się fizyką – stwierdziła mama, nadal oszołomiona. – Zanim spotkaliśmy się w Oksfordzie. Potem zmienił dziedzinę na genetykę, przede wszystkim dlatego, żebyśmy mieli wspólne zajęcia.

– Tym razem poznaliście się na studiach? – To było trochę zbyt zwyczajne. Wolałam własny wszechświat, gdzie moich rodziców połączyły szalone teorie naukowe na długo, zanim poznali się osobiście. – W moim wymiarze studiowałam na Sorbonie.

– A, to wszystko tłumaczy. – Mama potrząsnęła głową i znowu była sobą. – To pokazuje, gdzie nastąpił punkt dywergencji rzeczywistości. Ale ten spisek, o którym mówiłaś, to zagrożenie ze strony Triadu... Jak mamy się przed tym bronić?

– Wiedza to połowa sukcesu. – Theo ruchem głowy wskazał Złą. – Druga połowa to odpowiednie zwiększenie asymetrii stosunku materii do antimaterii

w twoim wszechświecie. Mogę to zrobić za pomocą mojego Firebirda i stabilizatora, który skonstruujemy.

– Jak mają to zrobić? – Wskazałam oprawione okładki czasopism na ścianie.
– To nie jest ich dziedzina.

– Ani moja, przynajmniej w tym wszechświecie. Najwyraźniej uznałem, że tym razem genetyka jest bardziej pasjonująca. Mimo to wydaje mi się, że Paul i ja zdołamy im to wytłumaczyć. – Theo wyjął komórkę i wprowadził hasło, żeby ją odblokować.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie Paula i jego informacje kontaktowe.

– Skąd znałeś PIN? – zapytałam zaskoczona.

– Używam takiego samego u nas. To, no, urodziny mojej mamy. – Theo wydawał się lekko zawstydzony tym dowodem na jego sentymentalną naturę, ale zaraz zmienił temat. – To zawsze prawdziwa ulga znaleźć na liście kontaktów w nowym wszechświecie „Markova”, prawda? Byłoby jeszcze lepiej, gdybym mógł z nim pogadać. Na razie nie udało mi się dodzwonić ani dostać odpowiedzi na SMS, ale zakładam, że lada chwila się tutaj pojawi.

– Paul? – Mama uśmiechnęła się, bez wątplenia zadowolona, że przynajmniej częściowo wie, co się dzieje. – Pojechał dzisiaj nurkować, ale słońce już prawie zachodzi, więc powinien niedługo wrócić.

Nurkowanie? Może to właśnie robił Paul, jeśli mieszkał gdzieś, gdzie nie miał gór, na które mógłby się wspinać.

– Gdzie my właściwie jesteśmy? Co to za kraj?

Mama zamrugła.

– No jasne... Skąd mielibyście wiedzieć. Jesteśmy w Singapurze, kochanie. Singapur? Theo i ja wymieniliśmy spojrzenia.

– To właśnie tutaj można zostać wychłostanym za żucie gumy? – zapytał.

– To lekko podkolorowana wersja tutejszego prawa. – Mama umilkła na chwilę. – Lekko. Starajcie się zachowywać jak najlepiej. Jednocześnie jest tutaj bardzo bezpiecznie, przynajmniej jeśli chodzi o znane zagrożenia.

Zła, do tej pory nieznane zagrożenie, nadal ignorowała nas wszystkich.

Zgodnie z tym, co powiedziała mama, ona i tata obudzili się rano, kiedy Victoire – czyli klon, do którego przeskoczyła Zła – próbowała wymknąć się z domu. Nie mieli pojęcia po co, ale dostała szlaban na wychodzenie aż do kolacji i powinna cały dzień siedzieć w pokoju. Miała tam dostęp do internetu i łazienkę, a jedzenie było jej przynoszone, więc to nie tak, że rodzice wsadzili ją do jakiegoś gułagu, ale usta Złej wykrzywiły się szyderczo, kiedy mama opowiadała nam o tym. Bez wątplenia wykorzystała ten czas, żeby zgromadzić

informacje o najskuteczniejszych metodach popełnienia samobójstwa w sposób, który mógłby załatwić także mnie.

Ponieważ jednak wstała tak wcześnie i została złapana na gorze, nie zdążyła zobaczyć pozostałych klonów ani okładek czasopism. Jeśli słyszała w domu inne głosy, zakładała po prostu, że to zwyczajne siostry, istniejące tylko w tym wszechświecie. Nie miała pojęcia, że jest klonem, więc nie spodziewała się zagrożenia aż do chwili, gdy mnie zobaczyła.

Odwróciłam głowę i zobaczyłam, że Theo przygląda się mnie, a nie Firebirdowi. Zauważył fascynację i zgrozę, z jaką patrzyłam na Złą. Kiedy uśmiechnęłam się do niego, powiedział:

– Tak przy okazji, ty zwykle zupełnie inaczej wyglądasz. To jest nadęcie na maksa.

– Też potrafię się nadać – odparłam, ale oboje wiedzieliśmy, że on ma na myśli coś głębszego i bardziej mrocznego. – Rozumiem, że czujesz się lepiej? Lekarstwo na Włamywacza zaczyna działać? – Zaraz jednak zastanowiłam się nad własnym optymizmem. – Czy może... chciałeś na jakiś czas znaleźć się w zdrowszym ciele?

– Kuracja mi pomaga. – Theo odetchnął głęboko, jakby chciał się pozbyć tego lęku. – Myślę, że za jakiś czas będę taki jak dawniej. Ale nie ukrywam, że przyjemnie jest być w mojej wersji, która nigdy nie miała do czynienia z tym świństwem. Wydaje mi się, że tutaj nawet ćwiczę regularnie. Piękne mięśnie bez wysiłku. – Z satysfakcją przesunął dłoń po płaskim brzuchu. Roześmiałam się wbrew sobie i zostałam nagrodzona jego uśmiechem pełnym ciepła. Potem spojrzał na moją mamę. – Sophio, czy mogłabyś mieć oko na... zaraz, jak ona się nazywa?

– Victoire – powiedziała mama.

– Zła – odezwałam się w tym samym momencie.

Popatrzyłyśmy na siebie, a Zła prychnęła z irytacją.

Theo w ogóle się tym nie przejął.

– Mogłabyś mieć na nią oko?

– Oczywiście, że mogę. Nie poradziłabym sobie z ośmioma nastolatkami w rodzinie, gdybym nie potrafiła przywołać ich do porządku. – Mama odrzuciła włosy na plecy, znowu skoncentrowana na tym, co się działo wokół.

Ale ja nie mogłam tak łatwo...

– Ośmioma?!

– Spróbowaliśmy z czterema parami bliźniąt i spodziewaliśmy się dwóch lub trzech żywych urodzin. – Mama wzruszyła ramionami. – Eksperyment przeszedł

nasze najśmielsze oczekiwania.

Theo był równie zdumiony jak ja.

– Gdzie są pozostałe?

– Większość z nich chciała iść na jakiś film, chyba najnowszą część Gwiezdných wojen. – Mama lekko machnęła ręką. Popkultura nigdy jej szczególnie nie obchodziła. – Henry zabrał je do kina. Spodziewam się, że wrócą za jakieś pół godziny.

– Nie potrzebujemy aż tyle czasu – zapewnił Theo.

Skinieniem głowy wskazał drzwi wejściowe, więc wstałam i poszłam za nim.

Kiedy się wyszło na zewnątrz, w twarz uderzały upał i duchota. Nasz dom był jeszcze okazalszy, niż mi się wydawało – otynkowany na biało bungalow, jakieś dwa razy większy od domu w Berkeley Hills. A jednak ten bungalow wydawał się malutki w zestawieniu z wyrastającymi za nim drapaczami chmur, całymi tuzinami wieżowców, z których część wyglądała tak futurystycznie, że mogłabym je sobie wyobrazić w Uniwersum Londyńskim albo nawet w Centrali. Wzdłuż ulicy, po której przemykały nieduże miejskie auta, kołysały się palmy, a sunący w oddali po torach na wiadukcie pociąg był widoczny jako sylwetka na tle zachodzącego słońca. Na nowo związałam potargane, na pół wysuszone włosy w kok, który popsuka Zła, żeby nie wyglądać jak jakaś uciekiniarka w oczach superczujnego singapurskiego gliny, który mógł akurat być w pobliżu.

– O co chodzi? – zapytałam Theo, kiedy tylko zamknął drzwi. – Jakieś problemy w domu? Triad zrobił coś takiego, że nie chciałeś o tym mówić przy mamie?

– Miałem zapytać o to samo. – Theo oparł się o drzwi. – Patrzysz na mnie, jakbym był psem, którego musisz uśpić. Co się stało?

W pierwszej chwili chciałam skłamać, ale po co? Theo był dość silny, żeby usłyszeć prawdę. Spojrzałam mu w oczy i oznajmiłam:

– Zabiłeś mnie. A potem zginąłeś dla mnie.

Słuchał z lekko otwartymi ustami, kiedy opowiadałam, co wydarzyło się w Uniwersum Egipskim, a potem w Uniwersum Triadu.

– Conley myślał, że jeśli rozkaże ci mnie zabić, to zaczniesz mnie widzieć jako wroga – zakończyłam. – Ale mylił się. Kiedy Theo z Uniwersum Triadu musiał zdać sobie sprawę z tego, co naprawdę robi, gdy zobaczył to na własne oczy... nie był w stanie wykonywać tego dłużej. W końcu zwrócił się przeciwko Conleyowi i myślę, że dzięki niemu cały ten wszechświat przestał nam zagrażać.

– Jezu. – Theo przesunął ręką po modnie nażelowanych włosach. – Nie wiem,

co mam ci powiedzieć. Nie wiem, jak możesz na mnie patrzeć.

– Mogę na ciebie patrzeć, ponieważ to nie byłeś ty. – Dotknęłam jego ramienia. – Nasze wybory są ważniejsze niż wszystko inne, a ty zawsze mi pomagałeś i mnie broniłeś.

Theo uśmiechnął się odrobinę krzywo.

– A co z Paulem? Jak on się czuje?

– Nie widziałam go od wizyty w Uniwersum Kosmicznym. Nie rozstaliśmy się w najlepszych stosunkach. – Odetchnęłam głęboko, żeby to z siebie wyrzucić. – Rozszczepienie zrobiło coś z umysłem Paula, całkiem dosłownie. Skan mózgu, który zrobiliśmy, wyglądał jak potrzaskane szkło. Inny Paul twierdził, że można dojść do siebie po rozszczepieniu albo zrównoważyć jego efekty, ale trzeba się starać. A żeby się starać, trzeba wierzyć. Paul w to nie wierzy.

– Mój braciszek. – Theo jęknął i lekko uderzył potylicą o drzwi. – Nie martw się, Marguerite. W końcu uda ci się do niego dotrzeć.

– Mam nadzieję.

Jak można odwrócić trwające od urodzenia programowanie? Paul był wychowywany w przekonaniu, że nie ma czegoś takiego jak bezwarunkowa miłość, a ja nie wiedziałam, jak go przekonać, że jest inaczej.

– Uda ci się. – Theo spojrzał na mnie brązowymi oczami pełnymi tęsknoty i rezygnacji. – Będiesz jak jedna z tych dziewczyn na pierwszym roku studiów, przekonanych, że wyjdą za chłopaka, którego kochają. Tyle że wszystkie pozostałe dziewczyny zerwą swoje związki na odległość, zanim przyjadą do domu na wakacje. Ale ty i Paul... Wam się uda.

– Theo...

– Patrzysz na mnie, jakbym został zraniony zbyt głęboko, aby kiedykolwiek dojść do siebie. – Uderzył się dłonią w pierś, pokazując przesadnie wielką ranę, chociaż wyczuwałam, że nadal go to autentycznie boli. – Uwierz mi, Marguerite, nic mi nie będzie. Zdążyłem tymczasem złamać tyle serc, że należało mi się.

– Nikt nie zasługuje na złamane serce. Każdy zasługuje na miłość.

Jego uśmiech pobladł, ale tylko na chwilę.

– Ja jestem kochany. Po prostu nie w taki sposób, jak tego bym chciał. Prawda?

– Prawda.

– Powiem ci, co będzie później. Wyjadę na studia post-doktoranckie gdzieś indziej, na uniwersytet z dala od Kalifornii i od was wszystkich. Ty, ja i Paul będziemy gadać na Skype i wymieniać e-maile, może tylko trochę rzadziej niż

do tej pory. Ja przez jakiś czas będę się użalać nad sobą i słuchać muzyki emo, potem ostro imprezować i pewnie prześpię się z paroma dziewczynami, z którymi nie powinienem, aż wreszcie pewnego dnia spotkam kobietę, dzięki której będę autentycznie się cieszyć, że mi się z tobą nie udało. Ponieważ ona będzie dla mnie kimś takim jak Paul dla ciebie. Będzie tą jedyną.

– Jasne. Będzie – odparłam ochryple, bo przeszkadzała mi dławiąca gula w gardle.

Theo mówił dalej.

– Pewnego dnia przyjedziesz na mój ślub, a ja przyjadę na ślub twój i Paula... Swoją drogą, spodziewam się, że będę pierwszym drużbą, zapamiętaj to sobie... A potem będziemy się kłócić, czyje dziecko jest słodsze. Przypuszczam, że moje, bo spójrz tylko na tę twarz. – Wskazał swój coraz szerszy uśmiech. – Potem oddalimy się od siebie jeszcze bardziej, ale ciebie, mnie i Paula zawsze, zawsze będzie coś łączyć.

– Ponieważ zawsze będziemy przyjaciółmi. – Pociągnęłam nosem i spróbowałam się także uśmiechnąć. – Jak możesz... być taki z tym pogodzony?

– Ponieważ chcę, żebyś była szczęśliwa. Ze mną czy beze mnie, jakkolwiek ma to wyglądać. – Theo westchnął. – Na tym polega różnica między pragnieniem kogoś a kochaniem go.

– Dziękuję ci. Za wszystko.

– Absolutnie nie ma za co. A teraz jedna ostatnia prośba... Wszystkie moje inne wersje miały okazję cię pocałować. Chciałbym cię pocałować chociaż raz jako ja. – Zawahał się, a maska przekornej pewności siebie na moment opadła. – Ale tylko jeśli nie masz nic przeciwko. To ma być coś wzruszającego, a nie żalnego.

– Może być wzruszające – powiedziałam, a on ujął moją twarz w dłonie.

Kiedy Theo mnie pocałował, pocałunek był delikatny, wręcz czuły, bez żadnej natarczywości. Obejmowaliśmy się w tej jednej wykradzonej chwili spokoju, otoczeni przez prądy i wybory, które mogły rozdzielić mnie z Pauliem i wyrzucić na brzeg obok Theo. W nieskończonej liczbie światów byliśmy razem. Inne nasze wersje były w sobie zakochane z poczuciem, że jest w tym doskonałe, niewzruszone przeznaczenie.

Nie żyliśmy w żadnym z tych światów. Żyliśmy w świecie, w którym moją jedyną miłością był Paul, ale Theo to zaakceptował. Był szczęśliwy, że może tu być ze mną, ten jeden raz trzymać mnie w ramionach.

Gdy nasze usta się w końcu rozdzieliły, uśmiechnęliśmy się do siebie.

– Paul zrobi to, co trzeba – mruknął Theo i pogładził kciukiem mój policzek.
– Wróci do ciebie.

– Mam nadzieję.

Nasz melancholijny nastrój prysnął w jednej chwili, gdy weszliśmy do środka i usłyszeliśmy głos Złej.

– Oni ci nic nie zapłacą. My możemy zapłacić dowolne sumy.

– Pieniądze to zaledwie niezbędne rekwizyty w późnych stadiach kapitalizmu.

– Mama rozpromieniła się na nasz widok. – O, jesteście. To świetnie. Po waszym wyjściu nastąpiła tu próba przekupstwa.

– Zupełnie nie znasz mamy i taty – powiedziałam do Złej. – Pomyślałabym, że do tej pory widziałas dostatecznie dużo wersji alternatywnych, żeby wiedzieć, jak niewiele ich zwykle obchodzą pieniądze.

– O, uwierz mi – odparowała Zła. – Wiem, jak niewiele ich zwykle obchodzi.

Zastanowiłam się. Chciałam wykorzystać tę wiedzę przeciwko niej, ale może miałam szansę do niej dotrzeć?

Odsunęłam krzesło i usiadłam naprzeciwko Złej.

– Myślisz, że mama i tata cię nie kochają, ponieważ byli tak zrozpaczeni po stracie Josie. Ja wiem, że to nie jest prawda.

Zła roześmiała się.

– Ty możesz sobie pozwolić na luksus bycia sentymentalną. Ja widzę świat takim, jaki jest naprawdę.

– Każda Marguerite, którą zabiłaś... Zauważyłaś, że nasze życie jest zwykle całkiem udane? – Czy cokolwiek mogło jeszcze poruszyć tę osobę? Czy też jej dusza była kompletnie martwa? – Twoje także mogłoby być, gdyby tylko Triad odpuścił. Są różne sposoby, żeby pogodzić się z losem, nawet gdy stanie się najgorsze. – Mama udowodniła mi to w Uniwersum Josie. Tata przeżył stratę mojej matki w Uniwersum Rosyjskim. A gdybym ja nie była zdolna do działania nawet wtedy, gdy myślałam, że mój ojciec nie żyje, naprawdę moglibyśmy stracić go na zawsze. – Muszą pogodzić się z odejściem Josie.

– Bezcenna Josie to jedyne, co się liczy – odparła Zła. – Nawet tutaj! To ją mama urodziła naprawdę. Okazuje się, że reszta z nas została przekazana surogatom. Jesteśmy tylko kopiami zapasowymi. Nie widzisz tego?

Mama, niewzruszona tym wszystkim, skrzyżowała ramiona.

– Trudno ode mnie oczekiwać, żebym donosiła ośmioraczki. To nie byłoby zdrowe ani dla mnie, ani dla żadnej z was. Wszystkie surogatki były dobrowolnymi ochotniczkami, które zgłosiły się do udziału w eksperymencie.

Spróbowałam uciszyć mamę.

– Nie o to jej przecież chodzi. Posłuchaj mnie, jasne, Zła... znaczy, no, Marguerite. Nie możesz cofnąć żadnej z tych rzeczy, które zrobiłaś, ale możesz teraz przestać. Możesz pokazać moim... twoim rodzicom, że to ty się liczysz.

Zła popatrzyła na mnie zaskoczona. Zniknęła jednak część jej wrogości, a to dało mi nadzieję.

– Pomyśl tylko, jeśli teraz przestaniesz, jeśli odmówisz dalszego wykonywania poleceń Triadu, zmusisz ich, żeby zwrócili uwagę na ciebie i na twoje uczucia. – Z wielu powodów uważałam, że Zła nie zasługuje na szczęśliwe zakończenie. Ale jeśli to by oznaczało, że inne wymiary będą mogły istnieć spokojnie, byłam w stanie pogodzić się z taką ceną. – Możesz wracać do domu, nawet jeszcze dzisiaj. Wróc do domu i powiedz im, o co naprawdę ci chodzi. Oni cię wysłuchają.

– Ale... – Zła zamrugła. – Ale... ja nie rozumiem...

– Czego? – Miałam serce w gardle.

Popatrzyła na siebie.

– Dlaczego jestem przywiązana do krzesła?

Nic dziwnego, że cała wrogość zniknęła. To już nie była Zła, tylko Victoire.

– Bez Firebirda nie dostała przypomnienia. – Theo też to zauważył i tłumaczył mojej matce. – Zła jest teraz... zanurzona w głębi świadomości twojej córki. Nie wróci, dopóki nie użyjemy przypomnienia Firebirda.

Westchnęłam i oparłam się ciężko na krzesle. Prawie udało mi się do niej dotrzeć... Ale czy na pewno?

– Nie no, serio. – Victoire patrzyła na nas wielkimi oczami. – O co chodzi z tym krzesłem?

Drzwi się otworzyły i usłyszałam pół tuzina głosów mówiących jednocześnie o Rey, Finnie i Poe Dameronie – i wszystkie te głosy były moje.

Tata jako pierwszy wszedł do jadalni, ubrany w białą lnianą koszulę i szorty khaki, podkreślające jego chude i kościste nogi. W moim świecie nigdy nie zakładał szortów, ale domyślałam się, że tutaj upał zwyciężył.

– Cześć, co tu się dzieje?

Potem pojawiły się moje inne wersje – ja razy sześć – każda z nich ubrana w ciuchy, które sama bym wybrała, wszystkie z nieposłusznymi kręconymi włosami upiętymi na różne sposoby, które wykorzystywałam setki razy. Czułam się, jakbym się znalazła w gabinecie krzywych luster, tyle że wszystkie odbicia były dokładnie takie same.

Moja matka wstała.

– Marguerite, Theo, znacie już Henry'ego, a to są Elodie, Colette, Oceane,

Giselle, Estee i Amelie.

Tata zaplótł ręce na piersi.

– Dlaczego przedstawiasz mnie mojemu własnemu dziecku i dlaczego inne moje dziecko jest przywiązane do krzesła?

– Też bym to chciała wiedzieć – wtrąciła Victoire.

– To będą cholernie długie wyjaśnienia – powiedział Theo.

– No to zaczynaj. – Ostry ton mojego głosu zaskoczył mnie samą, ale teraz, gdy zobaczyłam wszystkie moje kopie w jednym miejscu, wiedziałam, co trzeba zrobić. – Muszą wszystko dokładnie zrozumieć, ponieważ będę chciała je poprosić o zgodę na coś ważnego. Coś, co muszą dokładnie zrozumieć, zanim zdecydują.

Theo rzucił mi dziwne spojrzenie.

– O czym ty mówisz, Marguerite? – zapytała mama.

– Najwyższy czas na spotkanie. – Odetchnęłam głęboko. – Wszystkie Marguerity. Co do jednej. W końcu będziemy mogły się spotkać.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Trzy godziny później nie słyszałam własnych myśli wśród dźwięku moich głosów.

Wszystkich sześciu.

– Czy ty rozumiesz, że Theo musiał mieć amputowaną nogę poniżej kolana? – Marguerite z Uniwersum Mafii była tak wściekła, że mówiła to prawie ze łzami w oczach, a dłonie zaciskała w pięści na zielonej spódnicy. Wszystkie siedziałyśmy przy stole. Moi zdumieni rodzice i Theo obserwowali to niezwykle spotkanie, zgromadzenie różnych osób, którymi mogłabym potencjalnie być. – Będzie miał protezę, a ja dostaję te okropne e-maile od jakiegoś gościa z ruskiej mafii...

– Paul i ja mamy jutro wracać z Ekwadoru. – Triadowa siedziała koło mnie w pomarańczowej sukience, spokojniejsza od pozostałych. – Na ile mogliśmy stwierdzić, nikt w Triadzie nie miał pojęcia o tych podróżach międzywymiarowych...

– Mam w środku złego ducha – powiedziała Victoire, która nadal miała w sobie Złą. – Zabierzcie go.

– Nie zrozum mnie źle. – Cambridge założyła szafirowy T-shirt i mnóstwo naszyjników, a kiedy mówiła z wyraźnym brytyjskim akcentem, pocierała lewą rękę. – Mama i tata strasznie się nakręcili na tę komunikację między wszechświatami, ale czy ty naprawdę musiałaś się tulić do faceta, który okaleczył mnie na resztę życia?

Wojenna miała słomkowy kapelusz, różową sukienkę i kwaśną minę.

– Markov? Serio? Jak ja mam to niby wytłumaczyć Theo? Znaczy, mojemu Theo? – Spojrzała na Theo obecnego tutaj, a on mrugnął do dziewczyny, która go wybrała, i rozpromieniła się natychmiast.

Najbardziej rozzłoszczona ze wszystkich była Oceaniczna, w czerni.

– Rozwaliliście łódź podwodną! – krzyknęła.

W tym momencie jeszcze jeden głos przeciął gwar, uspokajając nas w jednej chwili.

– Uciszcie się wszystkie.

Zamknęłyśmy usta i popatrzyłyśmy na osobę siedzącą u szczytu stołu – wielką księżną.

Była ubrana w karmazynową kamizelkę, jej włosy spadały swobodnie

na plecy, a jednak wydawała się teraz bardziej królewska niż ja kiedykolwiek w jej klejnotach i futrach. Jej idealna postawa zamieniała zwyczajną jadalnię w salę tronową, a rozkazu w jej głosie nie można było nie posłuchać. Od tej chwili nie było wątpliwości, kto tutaj rządzi.

– Musimy wszystkie wysłuchać tej Marguerite ze świata-cienia nazywanego Uniwersum Berkeley, ponieważ tylko ona dysponuje wiedzą, która może nam pomóc – poleciła wielka księżna i skinęła na mnie lekko dłonią. – Wątpliwości dotyczące jej działań, gdy przebywała w naszych światach, możemy odłożyć na później.

O Boże. Ogarnęło mnie okropne przecucie. Jak mam spojrzeć wielkiej księżnej w oczy i przeprosić ją, że zaszła przeze mnie w ciążę?

– Możesz kontynuować – zakończyła wielka księżna i skinęła mi głową.

– Okej. Dobrze. Przede wszystkim chciałam wam podziękować za przybycie...

– Ja zostałam porwana! – przerwała mi Oceaniczna, chociaż natychmiast ucichła, kiedy wielka księżna rzuciła jej spojrzenie nieznoszące sprzeciwu.

– Kochanie, pożyczylimy cię tylko na chwilę. – Tata uśmiechnął się poczekajająco do Oceanicznej.

To on przeskoczył do jej wymiaru. Jeśli brać pod uwagę jego, mamę i Theo, przynajmniej jedno z nas znajdowało się w pobliżu Marguerite w każdym ze światów, nawet w Uniwersum Rosyjskim, gdzie paryski chemik Theodore Beck przyjechał odwiedzić swoją przyjaciółkę w jej nowym domu w Danii. Mieliśmy początkowo dwa Firebirdy, co oznaczało, że mogliśmy odbywać tylko po jednej podróży jednocześnie, ale później Uniwersum Triadu i Cambridge pożyczyły nam po jednym. Były też potrzebne przypomnienia, ale do tego wystarczył jeden przekazywany Firebird.

Mówiłam dalej.

– Nieważne, jak się tu znalazłyście, cieszę się, że tu jesteście. Jeśli mamy powstrzymać Centralę, czyli wymiar, który chce zniszczyć tak wiele innych, musimy działać razem. Wiem, że część z was już w tym uczestniczy. – Skinęłam głową do trzech Marguerit, których to dotyczyło: Triadowej, Cambridge i Wojennej. – Musimy jednak zjednoczyć się wszystkie.

Mafijna skrzyżowała ramiona na piersi.

– To znaczy, że mamy ci tak po prostu przebaczyć.

Poczułam mdłości.

– Nie musicie mi przebaczać. Kiedykolwiek. Wystarczy, że przyjmiecie do wiadomości, że teraz, w tej chwili, robię co w mojej mocy, żebyśmy

wszystkie były bezpieczne.

– To, co zrobiłaś, nie było takie złe – powiedziała Cambridge, czym mnie zaskoczyła. Zauważyła wyraz mojej twarzy i wzruszyła ramionami. – To znaczy, wolałabym, żebyś nie jechała do Paula w odwiedziny, ale to nie był do końca mój Paul, a ja pamiętam, co nas łączyło... więc to trochę krępujące, ale rozumiem cię.

– Nie takie złe? Powiedźcie to Theo – odparowała Mafijna.

– Jestem tutaj – odezwał się Theo. – A chociaż to nie ja musiałem ponieść konsekwencje na resztę życia, to ja zostałem postrzelony. Dlatego możesz mi wierzyć, kiedy ci powiem, że to, co stało się z... nami tamtej nocy, to nie była wina Marguerite. Na początku nie miała pojęcia, że może w to być zamieszana rosyjska mafia. Nie mogła przecież przewidzieć, co się stanie. Ja natomiast wiedziałem, że ona została porwana, i mimo to naraziłem się na niebezpieczeństwo. Jeśli za to, co stało się z twoim Theo, ma odpowiadać ktokolwiek poza gościem, który pociągnął za spust, to właśnie ja.

Oceaniczna dalej była wściekła.

– No a kto rozbił łódź podwodną?

– To tak właściwie była jeszcze inna wersja mnie, która już nie żyje – wyjaśnił Theo. – Więc jeśli miałaś nadzieję go pozwać, to masz pecha.

Triadowa odchyliła się do tyłu i potarła skronie.

– Głowa mnie boli.

To byłaby świetna okazja dla wielkiej księżnej, żeby przypomnieć, co jej zrobiłam, ale nie odezwała się. Może mówienie o takich sprawach publicznie było poniżej carskiej godności. Spojrzała na mnie i powiedziała tylko:

– Jeśli nikt już nie zamierza przeszkadzać, możesz kontynuować.

– Oczywiście. Po pierwsze musimy wzmocnić nasze wszechświaty tak, żeby w ogóle nie mogły zostać zniszczone. Do tego potrzebny jest Firebird – uniosłam wisior, chociaż pozostałe znały już to urządzenie – oraz stabilizator, który można z łatwością skonstruować w każdym wymiarze zaawansowanym technologicznie. Te z was, które są w kontakcie z innymi wszechświatami, zaczęły już pracę. Uniwersum Mafijne ma potrzebną wiedzę, wystarczy tylko wprowadzić plan w życie. W przypadku światów na innym poziomie technologii musimy znaleźć alternatywne rozwiązanie.

– Jak w ogóle mamy się za to zabrać? – zapytała Oceaniczna. – Nie mam potrzebnej do tego wiedzy, a w moim wszechświecie moi rodzice także jej nie mają.

– Ale mają ją moi rodzice. – Myślałam intensywnie. – Jedno z nich będzie

musiało przeskoczyć do twojego wszechświata. Najlepiej tata, to znaczy moja wersja taty, ponieważ przebywał tam przez miesiąc po tym, jak został porwany, i ciągle pamięta jeszcze pewne rzeczy. To ułatwiłoby mu pracę nad technologią.

– Mogę wrócić i mu to powiedzieć. – Theo potrząsnął głową ze złośliwym uśmiechem. – Najwyższy czas, żeby Henry sam spróbował podróży międzywymiarowych, nie uważasz?

– Zdecydowanie.

Mama i tata pozostawiali podróżowanie nam – przede wszystkim mnie, ze względu na dar, jakim dysponowałam dzięki Wyattowi Conleyowi. Powinni jednak sami doświadczyć, zarówno tego chaosu, jak i zachwytu.

– A mój własny świat? – Na dźwięk głosu wielkiej księżnej wszystkie znowu popatrzyłyśmy na nią. Siedziała z dłońmi złożonymi na kolanach i z jakichś powodów wydawała się zarówno starsza, jak i piękniejsza od reszty z nas. Ludzie powtarzają, że „piękno kryje się we wnętrzu”, ale zawsze uważałam, że to tylko takie gadanie. Teraz jednak widziałam promieniującą z wielkiej księżnej siłę, niewidoczną, ale niezaprzeczalną. – Jak rozumiem, nasza mechanika jest o wiele mniej zaawansowana od waszej.

Theo wzruszył ramionami, jakby to nie było nic takiego.

– Wystarczą nam odpowiednie materiały i wiedza, Wasza... yyy... Miłość? Dobrze mówię?

– Wasza Wysokość – podpowiedziałam szeptem.

– Tak, jasne. Wasza Wysokość. Ponieważ okazało się, że się przyjaźnimy, a ja i tak znajduję się teraz w pobliżu, możemy wspólnie się tym zająć. Ty rozkażesz, żeby dostarczono materiały, a ja zrobię resztę. – Theo wykonał gest przypominający salut wojskowy, a potem schował rękę za siebie, najwyraźniej czując się głupio.

Wojenna zachichotała.

Oceaniczna uniosła dłoń, co mi przypomniało, że ona jako jedyna z nas uczęszcza do czegoś przypominającego prawdziwą szkołę.

– Czyli jakaś inna wersja taty przejmie bez uprzedzenia ciało mojego taty?

– Poproś go o pozwolenie – oznajmiłam. – Opowiedz tacie o wszystkim. Jeśli nie będzie chciał, żeby mój tata tam przebywał, nie zrobimy tego. Obiecuję. To wasz wymiar i wasz wybór.

– Okej. – Zaraz jednak dodała zmieszana: – Skoro w przeciwnym razie nasz wymiar wyleci w powietrze, tata pewnie się zgodzi.

– Pewnie tak – przyznałam, chociaż spodziewałam się, że mój tata będzie później narzekać bez końca na nieludzkie warunki, jakimi była konieczność

powrotu do wymiaru pozbawionego Beatlesów.

– A co będzie tutaj? – zapytała Victoire. – Czy zostanie z nami twój Theo, czy może inna wersja mamy zjawi się u nas? No i kto wyciągnie ze mnie tego złego ducha?

Wymieniliśmy spojrzenia z Theo. Co właściwie mieliśmy zrobić ze Złą? Czy jeśli po prostu pozostawimy ją na zawsze w Victoire, będzie uwięziona tak jak w tej chwili? Czy może z czasem nabierze sił i wyrwie się na zewnątrz? Nawet jeśli tego by nie zrobiła, trudno sobie wyobrazić, aby tak zraniona, tak zatruta dusza nie miała złego wpływu na osobę, w której się znajdowała.

Poza tym, skoro moi rodzice w Centrali byli gotowi niszczyć całe wymiary, żeby odzyskać jedną z córek, czy cofną się przed czymkolwiek, by ocalić jedyne dziecko, jakie im pozostało?

Drzwi domu otworzyły się, co zaskoczyło nas wszystkich.

– Zaraz, to jest jeszcze jedna? – szepnęła Cambridge.

Jednak kroki były zbyt ciężkie, żeby mogły należeć do mnie. Znajomy odgłos sprawił, że uśmiechnęłam się, zanim Paul wszedł do pokoju.

Miał tutaj trochę dłuższe włosy, w tym momencie potargane – wysuszone przez wiatr i usztywnione morską wodą. Na jego nosie widać było lekki ślad opalenizny. Na ramieniu niośł plecak, na pewno pełen sprzętu. Ciągle jeszcze był ubrany w czarną koszulkę do pływania z długimi rękawami i takie same szorty.

Ale to nie na różnice zwróciłam uwagę przede wszystkim, tylko na Firebirda na jego szyi.

To był mój Paul. W końcu razem ze mną.

Zebrane przy stole zareagowały każda na swój sposób. Na ich twarzach odmalowały się różne emocje – od miłości do strachu.

Trudno było mi patrzeć na wielką księżną. Ścisnęła poręcz krzesła, a jej usta rozchyliły się ze zdumienia. Miłość do porucznika Markova nadała nowy sens jej życiu i zmieniała je, ale zaraz potem straciła go na zawsze.

Przynajmniej do tej chwili, gdy – w jej oczach – Paul powrócił z martwych.

Tymczasem Paul na pewno dostał SMS-y od Theo i moich rodziców, ponagające go, żeby wracał jak najszybciej. Theo wysłał też kilka wiadomości tłumaczących, o co chodzi z klonami, ale znajomość faktów najwyraźniej nie przygotowała Paula na zetknięcie się z nami w rzeczywistości. Zatrzymał się w drzwiach i patrzył na każdą z nas po kolei, powoli otwierając usta.

– Rozumiem cię, braciszku. – Theo z krzywym uśmiechem opierał się o ścianę, krzyżując ręce na piersi. – Mnie się przyśniło to samo.

– Ty jesteś z Uniwersum Oceanicznego. – Paul wskazał właściwą Marguerite, czym mnie zaskoczył. – A ty z Cambridge... Ty z Wojennego... – Jego szare oczy rozjaśniły się na mój widok i odetchnął głębiej. – A ty jesteś moja.

Pokiwałam głową. *Na zawsze, Paul.*

On jednak przeniósł już uwagę na wielką księżną, która nadal wpatrywała się w niego jak urzeczona. Po chwili skłonił lekko głowę.

– Pani.

Wielka księżna na pół odwróciła się do niego i zasłoniła dłonią usta.

Miałam łzy w oczach. Paul poznał ją od razu. Poznał nas wszystkie. Poznał mnie.

Czy ktokolwiek inny w multiwszechświecie umiałby jednym spojrzeniem odczytać całą moją historię? Paul potrafił dostrzec prawdziwą mnie, tak jak zawsze.

– Jak rozumiem, to nie jest spotkanie towarzyskie – odezwał się w końcu Paul.

– Słusznie rozumiesz, stary. – Theo klepnął go w ramię. – Pozwól, że streszczę ci przebieg tego konklawe Marguerit.

Podczas gdy Theo relacjonował dotychczasowe wydarzenia, ja usiadłam wygodniej i starałam się przeanalizować Paula tak szczegółowo, jak on analizował mnie. Zwykle byłam w tym dobra – więc jak mogłam tak bardzo kochać Paula, a jednak z takim trudem rozumieć konflikt w jego sercu?

Jednocześnie Paul starał się ukrywać swoje uczucia. Okrucieństwo rodziców musiało dawno temu nauczyć go ostrożności. Zamknięcia. Nawet lęku. Starali się oddzielić go od wszystkiego, co kochał, a tak właśnie można kogoś nauczyć, aby chował miłość głęboko, tak żeby nikt nie mógł jej dostrzec. Tak można kogoś nauczyć, że nie powinien mieć nadziei.

– No to skoro jesteśmy już ze wszystkim na bieżąco – powiedział w końcu Theo, zwracając się znowu do każdej z nas – to kto chce wracać do domu jako pierwszy?

Mafijna podniosła rękę. Nic dziwnego, że nie chciała się znaleźć w pobliżu Paula – ani reszty z nas – już nigdy więcej.

– Wszyscy muszą się dowiedzieć, że Uniwersum Triadu nie stanowi już zagrożenia – powiedziała Cambridge. – Po śmierci Wyatta Conleya został już tylko jeden podróżnik doskonały. Im szybciej wrócę, tym prędzej skontaktujemy się z nowymi wszechświatami, bo moi rodzice opracowali technologię komunikacji.

– Tak samo jak moi – oznajmiła Wojenna.

Wszystkie chciały jak najszybciej wracać do swoich wymiarów, z wyjątkiem wielkiej księżnej. Bez jednego słowa siedziała opanowana jak królowa, tak nieruchoma, że mogłabym uznać, iż patrzę na fotografię – aż do chwili, gdy jej dłoń musnęła brzuch, jakby w poszukiwaniu dziecka, które powinno być w środku.

Dziecko Paula. Jak ona musi się czuć, mogąc go znowu zobaczyć?

Kiedy moi rodzice zaczęli ustalać, kto przeskakuje dokąd i z kim, Paul w końcu podszedł do mnie. Stał na tyle blisko, że nie miałam już poczucia, że mnie unika, a jego duża dłoń zamknęła się na moim ramieniu.

– Nic ci nie jest – powiedział. – Kiedy zauważyliśmy, że został zniszczony wszechświat...

– Nic mi nie jest. Uratowałeś mnie. – Uśmiechnęłam się z trudem do niego. – A przynajmniej inna twoja wersja.

– Musimy skoncentrować nasze działania. Wyliczyłem najbardziej prawdopodobny cel Centrali. – Paul starał się przejść w pełni w tryb naukowca, żeby lepiej ukryć splątane emocje, ale udawało mu się to tylko częściowo. – Ten wymiar jest wektorem źródłowym dla wielu innych, co oznacza, że zagrożenie w jego przypadku jest znaczące. Dziwię się, że Centrala nie zaatakowała go wcześniej.

– Okej, w takim razie tam przeskoczmy w następnej kolejności – powiedziałam. Dodało mi otuchy to, że Paul użył liczby mnogiej, nadal uważał za oczywiste, że wyruszymy razem. To już dawało jakieś podstawy. – Ale najpierw...

– Tak? – Tylko na chwilę spojrzał prosto na mnie, zanim musiał odwrócić wzrok.

Skinęłam głową w stronę wielkiej księżnej.

– Powinieneś się pożegnać.

Paul zawahał się, ale zrobił kilka kroków w jej stronę. Kiedy uniosła głowę, miała zaczerwienione oczy.

– Jeśli nie chcesz ze mną rozmawiać... jeśli to zbyt bolesne... – odezwał się.

– Nie, proszę. – Wielka księżna wstała z miejsca. – To jest bolesne, ale nigdy już nie będę miała takiej szansy.

Może nie powinnam tego słuchać, ale przecież byłam dosłownie częścią niej w każdej chwili, jaką spędziła z moim Paulem. Między nami nie było żadnych tajemnic.

Paul wyciągnął do niej rękę, a ona objęła go z rozpaczliwą tęsknotą. Przytulił ją, przycisnął do siebie w sposób, który zawsze sprawiał, że czułam się

całkowicie bezpieczna i kochana.

Gdy w końcu się odsunęła, powiedział:

– Znasz już prawdę. Wiesz, że nie jestem twoim Paulem...

– Ale inną osobą, którą mógłby być – dokończyła drżącym głosem. – Porucznik Markov uwielbiał studiować fizykę i optykę. Jestem pewna, że to miało dla niego ogromne znaczenie, to, że w innym życiu miał szansę zostać naukowcem, spełnić swoje marzenia.

Paul skinął głową.

– Tak było. Byłem jego częścią przez te ostatnie tygodnie, więc pamiętam... – Jego głos załamał się, pełen świeżych emocji, jakich nigdy wcześniej nie okazywał.

Tamte dni w Sankt Petersburgu, tamta noc w dacy pozostawały jednymi z najsilniejszych naszych wspomnień.

Zapamiętaj to, Paul. – Przygryzłam policzek, żeby powstrzymać się od płaczu. – *To nie dotyczyło tylko jej. To dotyczyło także nas.*

– On kochał cię z całego serca – powiedział w końcu Paul do wielkiej księżnej. – Zawsze będę to w sobie nosić. Dopóki żyję, na swój sposób będzie żyć jego miłość do ciebie.

Wielka księżna ze łzami w oczach ucałowała jego dłonie. Paul wyglądał, jakby także miał się za chwilę rozpląkać. Powinam była przestać ich obserwować, dać im choćby złudzenie prywatności, ale nie potrafiłam odwrócić wzroku.

– To dziecko – zaczęła i uniosła dłoń do ust Paula, zanim zaczął ją przeproszać. – Jeśli to chłopiec, nazwę go oczywiście twoim imieniem. Ale jakie imię wybrałbyś dla dziewczynki?

Paul obejrzał się przez ramię na moją mamę, która w tym momencie przygotowywała się do zabrania Wojennej do jej świata. W ubraniu do jogi i z włosami związanymi w nieporządny kok z pewnością w niczym nie przypominała strojnej w klejnoty carycy, jaką zapamiętała wielka księżna, ale była niezwykle podobna do mojej mamy – tej, która kochała Paula niemal tak samo jak mnie.

– Sophia – odparł. – W większości światów znaczy dla mnie więcej, niż kiedykolwiek znaczyła moja rodzona matka.

– Niech zatem będzie Sophia. – Wielka księżna uśmiechnęła się do niego przez łzy. – Mam tak wiele do powiedzenia, a jednak czas krótszy od reszty życia nie wystarczy mi, aby to powiedzieć. Chcę, żebyś wiedział, że u mnie wszystko jest i będzie dobrze. Kiedy przyjdzie właściwy dzień, opowiem

naszemu dziecku o tobie. – Ścisnęła mocniej dłoń Paula i przycisnęła ją do serca. – Będę cię kochać aż do końca moich dni.

Paul znowu przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Nie miałam prawa czuć się zazdrosna. Fala gorąca, która mnie ogarnęła, jakby ktoś mnie spoliczkował, nie dawałaby się nawet porównać z tym, co musiała czuć wielka księżna, gdy uświadomiła sobie, że odebrałam jej jedyną noc, jaką mogła dzielić ze swoim Paulem. Wiedziałam, że później będę szczęśliwa, iż miała szansę, aby się pożegnać.

To nie sprawiało, że łatwiej było mi patrzeć, jak Paul całuje kogoś innego, nawet jeśli to także byłam ja.

Kiedy się od siebie odsunęli, wielka księżna ku mojemu zaskoczeniu podeszła do mnie i zatrzymała się tuż przede mną.

– To ty odwiedziłaś mój świat – powiedziała, splatając przed sobą dłonie. Chociaż na jej twarzy widać było nierówne ślady łez po pożegnaniu z Paulem, była już całkowicie opanowana. – Ty byłaś moim cienistym alter ego.

– Tak bardzo cię przepraszam. – Tamten list z przeprosinami nie wystarczał nawet w części. – To, co zrobiłam... Poddałam się emocjom chwili i podjęłam takie ryzyko, nie zastanawiając się nawet, czy zrobiłabyś to samo...

– Nie zrobiłabym – odparła wielka księżna.

Znowu poczułam, jakby mnie ktoś spoliczkował, ale tym razem całkowicie na to zasługiwałam. Pochyliłam głowę, niezdolna patrzeć jej w oczy.

Jednak wielka księżna mówiła dalej:

– Nie miałabym odwagi, żeby to zrobić. – Kiedy uniosłam głowę, ona jakimś cudem się uśmiechała. – Jeszcze zanim się urodziłam, wytyczono drogę mojego życia, i nigdy nie ośmieliłam się z niej zboczyć nawet o krok. Nawet z powodu miłości, jaką żywiłam do porucznika Markova. Ty sprawiłaś, że zesłam z tej drogi raz na zawsze, i cieszę się z tego powodu. Cieszę się, że mam wspomnienia, które nie stałyby się moim udziałem, gdyby nie ty. Cieszę, że mogłam poznać mojego prawdziwego ojca i jestem naprawdę szczęśliwa, że noszę w łonie dziecko. Dałaś mi szansę wykuć własny los i nie ma na świecie cenniejszego podarunku.

Potrzebowałam zbyt wiele czasu, żeby złapać oddech i jej odpowiedzieć.

– Traktujesz mnie z większą życzliwością, niż na to zasługuję.

– Żadne z nas nie zdawało sobie w pełni sprawy z konsekwencji naszych działań. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że ja jestem więcej niż zadowolona z tego co zrobiłaś. – Wielka księżna wyciągnęła dłoń jak do damy dworu, ale zaraz zmarszczyła brwi, jakby nie do końca o to jej chodziło, ale nie była pewna,

co powinna zrobić.

Trzeba przyznać, że większość podręczników etykiety nie uwzględniała takiej sytuacji.

Uścisnęłam jej dłoń i uśmiechnęłam się.

– Mam nadzieję, że będziesz miała wspaniałe życie – szepnęłam. – Zaslugujesz na to.

– Zamierzam się starać. – Z tymi słowami wielka księżna spojrzała na Theo.

Na jej twarzy malowała się tylko życzliwość, może nawet lekkie rozbawienie kontrastem między jej własnym, eleganckim Theodore'em Beckiem, a tym tutaj, w dzinsach i T-shircie. A jednak zaczęłam się zastanawiać nad tym, co może się kiedyś zdarzyć, gdy ona skończy już opłakiwać porucznika Markova, a jej przyjaźń z Theo będzie się pogłębiać przez miesiące i lata.

Prawdopodobnie spodziewałam się zbyt wiele, ale gdy pomyślałam o niej, wychowującej dziecko Paula, z Theo u boku, uznałam, że to piękna przyszłość, jaką warto mieć.

– Jeszcze jedno – powiedziałam do niej, myśląc o innej osobie poznanej w Uniwersum Rosyjskim. – Jeśli Władimir wie o światach-cieniach, jeśli kiedykolwiek w nie uwierzy... pozdrowisz go ode mnie? Czasem za nim tęsknię, podobnie jak za Katią i Peterem. Ale koniecznie powiedz Władimirowi, że gdybym w tym wymiarze miała starszego brata, chciałabym, żeby był właśnie taki jak on.

Wielka księżna powoli skinęła głową.

– Myślę, że Władimir ucieszy się, gdy to usłyszy.

– No dobrze. – Theo klasnął w ręce na środku pokoju, zwracając naszą uwagę na to, co się dzieje. Dopiero teraz zauważyłam, że moi rodzice zniknęli i zabrali ze sobą Cambridge i Oceaniczną, ponieważ te dwa klony trzymały się teraz z dala od reszty i rozmawiały z ożywieniem, wyraźnie mocno poruszone. – Zakładam, że Uniwersum Rosyjskie będzie dla mnie ostatnim przystankiem, ponieważ tam będę potrzebować najwięcej czasu, żeby coś zrobić. Może ja zabiorę Marguerite z Uniwersum Mafii, a Paul zabierze do domu tę z Wojennego?

– Ja powinnam przeskoczyć do tego wszechświata, o którym mówiłeś – zwróciłam się do Paula. – Ale skoro Zła utkwiała tutaj, może nie muszę się aż tak bardzo spieszyć. Mogę dotrzymać towarzystwa pozostałym, może jeszcze coś wyjaśnić.

Victoire, już odwiązana, splotła ramiona na piersi.

– Czy ktoś zamierza coś zrobić z tym złym duchem we mnie?

Theo, Paul i ja wymieniliśmy spojrzenia.

– No, tak właściwie to nie mamy co z nią zrobić tak, żeby nie zaczęła znowu grasować po multiwszechświecie – zaczął Theo.

Paul spróbował uspokoić jej obawy.

– Ryzyko, że wpłynie na ciebie w niepożądany sposób, jest nieokreślone, ale mało prawdopodobne.

Victoire uniosła brwi.

– „Nieokreślone”?

Paul nie zawsze brzmiał tak pocieszająco, jak zamierzał.

– Słowo honoru – dodałam pospiesznie. – Zabierzemy ją, kiedy tylko będziemy mieć pewność, że multiwszechświat jest bezpieczny. Mama i tata będą wiedzieli, że mają cię mieć na oku, a ja mogę tu spędzić trochę czasu, zanim będę musiała wyruszyć dalej...

– Nic mi nie będzie – prychnęła Victoire. – Nasza przyjaciółka przyjedzie tu do nas i zamieszka tutaj, zanim mama i tata skończą te swoje dziwaczne przygody w innych wymiarach. Chociaż Romy w życiu w to nie uwierzy...

Znowu ogarnęło mnie dziwne uczucie, ale tym razem nie była to fala gorąca, tylko lodowate zimno.

– Mówiłaś, że jak ona ma na imię?

– Nie udawaj, że nie usłyszałaś – powiedziała Romola, która musiała wejść do domu, kiedy reszta z nas była pochłonięta czym innym. – Chyba mnie już znasz.

Może powinnam się zdenerwować na widok Firebirda na szyi Romoli, stanowiącego dowód na to, że pochodzi z Centrali. Ale o wiele bardziej przeraził mnie jej pistolet.

Rozdział dwudziesty drugi

Romola. Znowu.

Najgorszą rzeczą był okropny wyraz zawodu na twarzy Victoire i jej sióstr. Wydawały się zranione do żywego, wręcz zdruzgotane. Czy ja tak wyglądałam, gdy myślałam, że Paul mógł skrzywdzić mojego ojca?

Victoire podniosła się chwiejnie i niepewnie.

– Romy... co ty...

– Możecie wyjaśnić wszystko waszej wersji mnie później – warknęła Romola.

– Ale chyba wiecie, po kogo przyszłam.

Była tutaj, żeby uwolnić Złą.

Paul, Theo i ja wymieniliśmy spojrzenia. Było nas troje, plus siedem klonów w pokoju, więc moglibyśmy z łatwością powstrzymać Romolę – gdyby nie czarny pistolet, który trzymała. W obecnej sytuacji próba obezwładnienia jej mogłaby się skończyć tragicznie, a gdyby któraś kula trafiła klona, Romola zabiłaby dwie Marguerity jednym pociągnięciem za spust. Ramiona Theo opadły z rezygnacją. Ale Paul...

W oczach Paula zapłonął lodowaty ogień, który dawniej wydawał mi się taki złowrogi. Czy był to gniew, jaki poczułby mimo wszystko, czy też efekt rozszczepienia? Potencjalna skłonność do przemocy, pogrzebana głęboko w jego wnętrzu, ujawniła się na nowo i mogła w każdej chwili wybuchnąć.

Ja jednak byłam wściekła prawie tak samo jak on i nie potrzebowałam do tego rozszczepienia. Z irytacją musiałam wskazać Victoire.

– Twoja Marguerite jest... w niej. Uśpiona, ale cała i zdrowa.

– Doskonale. – Romola wskazała krzesło, na którym jeszcze przed chwilą siedziała Victoire. – Dalej, siadaj. Ja zajmę się resztą.

– Czy chodzi o ducha? – zapytała Victoire. Skinęłam głową, a ona popatrzyła na Romolę, nadal zdumiona i zraniona. – Romy, dlaczego to robisz?

– Nie jestem twoją „Romy”. Pochodzę z wymiaru z bardziej zaawansowaną technologią i bardziej realistycznymi priorytetami.

– Zamierzacie zniszczyć miliardy żyć, żeby ocalić jedno – przypomniał Paul. Mówił cicho, ale gniew buzował w nim tuż pod powierzchnią. – Te priorytety są chore. Niemoralne. Trudno nazwać je realistycznymi.

Romy wzruszyła ramionami.

– Szczerze mówiąc, rozumiem, o czym mówisz. Ale zdobycie przewagi nad

wszystkimi pozostałymi światami w multiwszechświecie ma znacznie więcej sensu. – Spojrzała zimnym wzrokiem na Victoire. – Kiedy ona zamierza w końcu usiąść?

– Zrób to – powiedziałam do Victoire, innej mnie, którą sama podrapałam i posiniaczyłam wcześniej. – Nie ma innego wyjścia.

Victoire, drżąc, zajęła miejsce na krześle. Pozostałe dwa klony pochyliły się, jakby zamierzały rzucić się na Romolę, jeśli tylko Victoire coś zaboli, niezależnie od pistoletu. Niestety skłonność do lekkomyślnego działania była cechą, którą posiadało zbyt wiele z nas.

Zostawcie ją w spokoju – myślałam i próbowałam zmusić pozostałe, żeby na mnie spojrzały. Gdyby tylko klony mogły się porozumiewać telepatycznie, byłabym w stanie jasno im powiedzieć, jakie to niebezpieczne. Wtedy nie zrobiłyby nic głupiego...

...ale nie miały nawet okazji, ponieważ to Paul rzucił się na Romolę pierwszy.

Kiedy wpadł na nią z takim impetem, że oboje polecili na ścianę, wszystkie wrzasnęłyśmy. Był wielkim mężczyzną, więc taki atak wydałby się brutalny, gdyby Romola nie trzymała broni, ale nawet przewrócona na ziemię nie wypuściła pistoletu. Kopnięciem odsunęła się od niego, przesunęła się po podłodze i miała dość przytomności umysłu, aby wycelować nie w Paula, tylko we mnie.

– Zrobię to – ostrzegła gwałtownie, nie patrząc nawet na Paula stojącego tuż za nią. Nie odrywała wzroku od celu, który znajdował się dokładnie na środku mojej piersi. – Nie prowokuj mnie. Naprawdę ją zabiję.

Paul nic nie powiedział, sięgnął tylko do stojaka na noże po tasak do mięsa, którego ostrze zalśniło w świetle. Wstrzymałyśmy oddech, ale Romola nadal się nie oglądała. Paul znajdował się dostatecznie blisko, pod idealnym kątem, żeby zamachnąć się i rozbić jej głowę.

Nie rób tego – poczułam przyływ przerażenia. Nie z powodu lęku o własne życie, chociaż Romola bez drgnienia ręki celowała we mnie. Nie zdawała sobie sprawy z tego, co może zrobić Paul. Nie miałyby nawet czasu zauważyć, że Paul coś zamierza, zanim by ją ogłuszył lub zabił.

Ale jeśli Paul zabije Romolę w ten sposób, z zimną krwią, ulegnie mrokowi, który się w nim kryje. Zmiana spowodowana rozszczepieniem dokona się nieodwracalnie, choćby dlatego, że nigdy już nie uwierzy, że może być kimś więcej niż mordercą.

Nie mogłam nic powiedzieć, niczego zrobić. Tę walkę musiał stoczyć sam Paul.

Popatrzył na nią z góry, z twarzą wykrzywioną nienawiścią tak, że z trudem ją poznawałam. Jego dłoń zacisnęła się na rękojęści tasaka, aż pobielaly mu kłykcie. Widziałam w nim teraz złowrogą aurę, jaka otaczała syna bossa rosyjskiej mafii. Porywczość Paula z Uniwersum Cambridge, który pozwolił, aby złość i moment nieuwagi na zawsze okaleczyły moją rękę. Widziałam też twardą gorycz, która należała tylko do mojego Paula.

Boże, on naprawdę to zrobi. On ją zabije.

W tym momencie Romola spojrzała w górę i zobaczyła, co on robi. Nawet nie drgnęła.

– Mam na muszce twoją Marguerite. – Jej ręka nie poruszyła się nawet o milimetr. – W momencie, gdy się ruszysz, strzelę. Będzie martwa jeszcze przede mną.

Wściekłość wykrzywiła twarz Paula w ohydny grymasie, który sprawił, że zaczęłam się zastanawiać, czy mimo wszystko nie zada ciosu. Jednak cofnął się o krok i odłożył tasak.

Czy byłby w stanie ją zamordować? Tego się nigdy nie dowiemy.

Teraz, gdy Paul nie stanowił już bezpośredniego zagrożenia, Romola usiadła i zaczęła znowu działać. Wolną ręką wyjęła spod ubrania drugiego Firebirda. Jak widać, była przygotowana na każdą okoliczność. Kiedy zdjęła z szyi ciężki łańcuch, Theo zapytał:

– Skąd wzięłaś pistolet w Singapurze?

– Policjanci je noszą – wyjaśniła Romola i rzuciła Firebirda Victoire, która założyła go drżącymi rękami. Pozostałe Marguerity czekały w kącie, blade i milczące, ponieważ wiedziały, że nie mogą w niczym pomóc, tylko obserwować. – To dziwne, biorąc pod uwagę, że rzeczony policjant najwyraźniej się nie spodziewał, że może zostać zaatakowany.

– Wydaje mi się, że za wypalenie skręta można tu dostać karę śmierci. – Theo sfrustrowanym gestem przesunął dłońmi po sterczących włosach. – Dobra, może nie jest aż tak źle w przypadku marihuany, ale zaatakowanie policjanta na służbie... Zdajesz sobie sprawę, że Romola z tego wszechświata zostanie pewnie za to stracona?

Romola wzruszyła ramionami.

– To nie mój problem.

– Nadal jesteś tylko dziewczyną na posyłki – zauważyłam. – Przysłali cię tutaj, żebyś zabrała Marguerite z waszego świata, a nie żebyś sama coś zrobiła.

– Udało mi się załatwić cię całkiem skutecznie w Uniwersum Rzymskim, prawda? – przypomniała Romola.

Rozpalone piekło ostatnich chwil tamtego wszechświata znowu stanęło mi przed oczami.

– Jakbyś nie zauważyła, jestem dalej cała i zdrowa. Za to trudno powiedzieć to samo o Conleyu i Theo z Uniwersum Triady.

– Straciliśmy podróżnika doskonałego, ale zawsze możemy stworzyć następnego. Nie jesteś nam tak niezbędna, jak najwyraźniej wszyscy uważają. To, co jest w tym pokoju, wyraźnie to potwierdza. Nieskończona liczba kopii, a jednak nadal nie wystarczasz, Marguerite. Nie wystarczasz swoim rodzicom ani nikomu innemu.

Romola zorientowała się w mojej grze i próbowała mnie w ten sposób zranić. Tyle tylko, że to nie zadziało. Mimo wszelkich moich wątpliwości i rozterek nigdy nie miałam wrażenia, że rodzice mnie nie kochają albo że nie zasługuję na to, by być kochana. Dopiero od kilku dni, gdy zorientowałam się, w jaki sposób kompleks niższości dręczył Złą – a także Paula – w pełni zaczęłam rozumieć, w jaki sposób niedostatek miłości może kogoś skrzywić psychicznie.

Jeśli wiesz, że jesteś kochana, jeśli w głębi duszy jesteś tego pewna, coś cennego głęboko w twoim wnętrzu zawsze będzie bezpieczne. Jeśli nie doświadczyłaś takiej miłości – albo jesteś przekonana, że nie doświadczyłaś – stajesz się bezbronna. Krucha. Odsłonięta na wszystko, co na świecie trudne i straszne.

– Nie rozumiesz ani połowy z tego, co ci się wydaje, że rozumiesz – powiedziałam do Romoli.

– A jednak mimo wszystko wydaje mi się, że rozumiem więcej od ciebie. – Z tymi słowami Romola pochyliła się i uruchomiła przypomnienie w Firebirdzie Victoire.

Szok nie był widoczny, w odróżnieniu od bólu, jaki sprawił Victoire. Podskoczyła na krześle, skręciła się... i dziwnie znieruchomiła.

Zła wróciła.

– Niezła próba. – Jej uśmiech był ostry jak odłamek stłuczonego lustra. – Ale jak zwykle nie dość dobra.

Zła natychmiast sięgnęła do swojego Firebirda, podobnie jak Romola. Wydawało się, że wisiorzy zniknęły, pozostawiając Victoire i Romolę całkowicie oszołomione. Zdumiona Romola cofnęła się o kilka kroków, a potem zachłysnęła się zaszokowana na widok trzymanego pistoletu.

– Co tu się dzieje?

– Romy? – zapytała Victoire. – Jesteś znowu sobą?

Paul podszedł i ostrożnie wyjął Romoli broń z ręki, bez śladu morderczej

furii, która niemal zapanowała nad nim zaledwie chwilę wcześniej.

– Usiądź. Potem wszystko ci wyjaśnimy.

– Kto to jest? – zapytała Wojenna z kąta, w którym schroniła się wraz z pozostałymi. – Nigdy w życiu jej nie widziałam.

– Nazywa się Romola Harrington – odparła Mafijna, a ja zauważyłam, że jest jeszcze blejsza i bardziej przerażona od pozostałych. – W moim wszechświecie pracuje dla Wyatta Conleya.

– Tutaj także – powiedziała jedna z klonów, która pozbyła się już swojego gościa z innego wymiaru. Chyba to była Elodie. – Conley finansuje badania mamy i taty nad klonowaniem. Romy jest jedną z jego asystentek, więc mieszka tutaj i zajmuje się PR-em, transferem funduszy i innymi takimi rzeczami.

– Poza tym jest naszą przyjaciółką. – Victoire podeszła do nic nierozumiejącej Romoli, żeby okazać jej wsparcie. – Nigdy by nas nie skrzywdziła.

– Podobnie jak moja – dodała Mafijna.

– To świetnie. Dostałyście o wiele miłsze Romole niż my. Może kiedy wrócisz do Uniwersum Mafii, będziesz mogła poprosić swoją o pomoc? – Frustracja sprawiała, że robiłam się złośliwa. – Przepraszam. Po prostu... kiedy tylko pozbędziemy się jednego zagrożenia ze strony Centrali, inne zajmuje jego miejsce. Nie wiem, co mam robić.

– Trzymajmy się planu. – Paul starał się mówić pewnym głosem i logicznie, jakby zawsze kierował się zdrowym rozsądkiem. Nie potrafił jednak patrzeć nikomu w oczy i co chwila spoglądał na tasak, którym omal nie zaatakował Romoli. – Chronimy nasze własne wymiary, nadal działamy razem i staramy się spieszyć. Ten następny świat jest ważny...

– Przeskoczę tam – oznajmiłam. Do tej pory poruszałam się śladami Złej, ale teraz, gdy Paul zmieni ustawienia mojego Firebirda, żebym mogła znaleźć się w nowym wymiarze, zamiast tylko deptać jej po piętach, być może mogłam ją w końcu wyprzedzić. – I to zaraz. Jeżeli nie pozwolę jej tam przeskoczyć, wymiar będzie bezpieczny, dopóki się tam ze mną nie spotkasz.

Paul otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął. Zamierzał się sprzeciwić.

Uprzedziłam go.

– To znaczy ty albo ktokolwiek, kto będzie mógł to zrobić. Kto będzie w pobliżu mnie w tym wymiarze.

Ostatecznie nie wiedziałam nic o tym następnym świecie. Dawniej zakładałam, że Paul i ja zawsze się odnajdziemy, ale teraz wiedziałam, że multiwszechświat ma tysiąc sposobów, żeby nas rozdzielić.

– Okej – mruknęłam pewnego wieczoru pod koniec lutego, kiedy siedzieliśmy z Paulem przytuleni w jego pokoju w akademiku, słuchając jego ukochanego Rachmaninowa. Dźwięki pianina spływały wokół nas jak krople deszczu po szybie podczas ulewy – nieskończonymi kaskadami. – Czyli możesz matematycznie udowodnić, że przeznaczenie istnieje.

– Mam nadzieję. Jeśli nie, mam niewielkie szanse obronić doktorat.

– Na pewno ci się uda. – Leżałam na boku, a Paul był wtulony w moje plecy. Jego dłoń spoczywała płasko na moim brzuchu, dwa palce dotykały odsłoniętej skóry między moją bluzką a krawędzią spodni. – Potrafisz przecież spojrzeć na tę płataninę równań i odczytać, jak powinno wyglądać nasze przeznaczenie.

– Nie, to za daleko idące wnioski. – Paul pocałował mnie w nasadę szyi, jakby chciał przeprosić, że w czymkolwiek mnie poprawia. – Owszem, w równaniach istnieją pewne paralele sugerujące podobne paralele w rzeczywistości. Ale to nie tak, że jedna liczba mówi mi, że się pobierzemy, a inna, że się nigdy nie spotkamy. Musiałbym poświęcić resztę życia na badania i oszacowania, żeby choćby zacząć rozumieć, w jaki sposób należy interpretować te wyniki.

– Czy twoje równania tłumaczą, skąd się biorą wszystkie te paralele? Dlaczego ty i Theo w tak wielu światach pracujecie z moimi rodzicami albo dlaczego ty i ja odnajdujemy się za każdym razem?

– Mogę tylko postulować pewną teorię.

Całe życie z moimi rodzicami i menażerią doktorantów sprawiło, że byłam przyzwyczajona do ich żargonu. Uśmiechnęłam się do siebie.

– Jasne, postuluj – powiedziałam.

– Jadłaś kiedyś Pringles?

To było tak niespodziewane, że w pierwszej chwili myślałam, że się przesłyszałam.

– Pringles? W sensie te chipsy?

– Tak – potwierdził z zapalem. – Są bardzo smaczne.

– Wiem. Jadłam Pringles. Znaczy, to chyba jasne. Ale pierwszy raz słyszę, że ktoś używa ich jako elementu teorii kosmologicznej.

Paul przytulił mnie mocniej.

– Wszystkie muszą mieć taki sam kształt, żeby pasować do tuby. Gdyby były zbyt nieregularne, nie można by ich pakować w taki sposób.

– To znaczy... Wymiary są jak chipsy w tubie. – To zaczynało mieć dla mnie sens, co oznaczało, że nastąpił we mnie przełom, albo też stanowiło dowód, że spędzam o wiele za dużo czasu w towarzystwie fizyków. – Muszą mieć taki sam kształt, przynajmniej w pewnym stopniu, albo nie mogłyby współistnieć.

– Właśnie tak. Widzisz, może jeszcze zrobimy z ciebie naukowca.

– Chciałbyś.

– Wcale nie. Nie chciałbym, żebyś była kimkolwiek innym niż sobą.

Paul znowu pocałował mnie w kark, tym razem powoli, tak że poczułam ciepło jego oddechu na skórze. Wzięłam go za rękę i przesunęłam ją w górę, zachęcając go do odkrywania mojego ciała. To było tak, jakbyśmy się stali naszym własnym malutkim wszechświatem pełnym ciepła, światła i miłości, w którym nie potrzeba było niczego więcej...

Teraz Paul i ja staliśmy naprzeciwko siebie, w okropnym i ponurym napięciu, ponieważ on już nie wierzył, że los może nas połączyć.

Ale jeśli nie potrafił wierzyć w nas, chciałam, aby uwierzył przynajmniej w siebie.

Podeszłam do niego i powiedziałam półgłosem:

– Odsunąłeś się od Romoli, okej? Pomyślałeś przede wszystkim o mnie. Rozszczepienie cię nie pokonało.

– Cofnąłem się tylko dlatego, że Romola groziła tobie. – Paul wpatrywał się w pusty kąt pokoju i unikał mojego spojrzenia. – Omal nie popełniłem morderstwa.

– „Omal” się nie liczy! Powstrzymałeś się i zapanowałeś nad sobą. Możesz wygrać tę walkę.

– Ale zawsze będę musiał ją toczyć. Zawsze.

Potrząsnął głową, jakby miał zaraz wydać wyrok śmierci.

– I zawsze możesz wygrywać.

Położyłam mu rękę na ramieniu.

– Może tak. Może nie.

Odsunął się ode mnie. Może ten przełom był zbyt świeży, a może jego brak nadziei sięgał jeszcze głębiej, niż przypuszczałam.

Chociaż z całego serca chciałam naprawić moją relację z Paulem, mieliśmy multiwszechświat do uratowania.

– Wprowadziłeś już współrzędne tego ważnego wymiaru? – Wzięłam mojego Firebirda zdeterminowana, aby zacząć działać. – Mogę już przeskoczyć?

– Przeskoczę za tobą, kiedy tylko będę mógł. Jeśli będę mógł – obiecał Paul.

Nadal nie patrzył mi w oczy.

Margarita, wielka księżna Wszechrusi, patrzyła na nas ze smutkiem. Chociaż widziałam, że chciałaby coś powiedzieć, była zbyt dobrze wychowana, żeby się wtrącać. Jakże musiało ją złościć, że zaprzepaściłam szansę na przyszłość

z moim Paulem po tym, jak sama tragicznie straciła swojego.

Teraz jednak zaczęłam myśleć o poruczniku Markovie, którego wspomnienie zawsze doprowadzało mnie do płaczu, a nie mogłam sobie pozwolić na załamanie. Przesunęłam wzrokiem po pokoju pełnym moich innych wersji, zarówno podróżniczek z innych wymiarów, jak i klonów z tego świata.

– To może nie być najlepsza okazja, ale cieszę się, że was wszystkie poznałam. To, że zobaczyłam różne drogi życiowe, jakimi mogłam iść, i różne rzeczy, które mogły się wydarzyć...

– To dowodzi, że wszystko jest możliwe – dokończyła wielka księżna.

Skinęłam głową i znowu spojrzałam na Paula, który w końcu popatrzył na mnie, tuż zanim nacisnęłam przyciski i...

...zachwiałam się, ponieważ wpadłam do świata, w którym w tej chwili znajdowałam się na szczycie bardzo wysokiej drabiny. Udało mi się w porę odzyskać równowagę i nie spaść na wyłożoną kafelkami podłogę. Byłam jednak naprawdę przerażona, ponieważ pierwszą rzeczą, jakiej dowiedziałam się o tym wymiarze, było to, że gdzieś bardzo blisko eksplodowała przed chwilą bomba.

Jedyny raz, gdy w pobliżu mnie nastąpiła potężna eksplozja, miał miejsce podczas nalotu w Uniwersum Wojennym. Jeden z myśliwców spuścił bombę niemal na nasz schron, a potem przez kilka minut słyszałam tylko niskie brzęczenie, dokładnie takie jak teraz.

Czy Zła mimo wszystko dotarła tutaj przede mną? Czy uruchomiła jakiś mechanizm wybuchowy, żebym została uznana za terrorystkę? Nie miała jednak czasu na nic tak skomplikowanego, a poza tym nie czułam zapachu dymu. Nie widziałam żadnych uszkodzeń. Pod moją drabiną przechodzili jacyś ludzie – wszyscy zmierzali w tym samym kierunku, ale bez szczególnego pośpiechu. Ich ubrania wyglądały w miarę współcześnie, chociaż dość zgrzebnie. Płótno malarskie było poplamione czerwienią, ale wyglądało to raczej na krople farby niż na krew.

Jak to możliwe, że nikt nie przejął się bombą? Popatrzyłam w drugą stronę i na ścianie z boku zobaczyłam twarz Paula nadnaturalnej wielkości, jeszcze wilgotną od farby. Do drabiny przypięte było pudełko z farbami, a ja miałam na sobie fartuch.

Kątem oka zobaczyłam ruch, więc spojrzałam znowu w dół. Mężczyzna w średnim wieku trzymał pędzel, wyglądał na poirytowanego i miał na policzku niebiesko-szare maźnięcie. Najwidoczniej upuściłam na niego pędzel, a to obchodziło go znacznie bardziej niż przekłeta bomba.

Pomachał znowu na mnie, dając mi znać, żebym zeszła na dół. Ale nie chciał,

żebym się ewakuowała. Wyraźnie chodziło mu tylko o to, żebym zabrała pędzel.

Zwykle starałam się samodzielnie poznać najważniejsze fakty o nowym wszechświecie, ale tym razem potrzebowałam pomocy.

„O co chodzi?” – zapytałam mężczyzny na dole.

Ale nie powiedziałam tego na głos.

Machinalnie i podświadomie wykorzystałam informacje zakodowane głęboko w mózgu tej Marguerite i użyłam języka migowego.

Ach tak. Jestem głucha.

Rozdział dwudziesty trzeci

Myślałam, że głuchota jest... cichsza.

Mężczyzna pod drabiną pokazał na migi, ale niezgrabnie: „Pędzel. Ty. Zabrać”.

Otrząsnęłam się ze zdumienia, zignorowałam niskie brzęczenie w uszach i zesłam. Miałam dość ciężkie buty, sznurowane i wysokie, ale nie na tyle niewygodne, żebym musiała się obawiać upadku. Kiedy stanęłam na dole, mężczyzna oddał mi pędzel, ale zaraz uśmiechnął się i wzruszył ramionami, tak jak wtedy, gdy sobie uświadamiasz, że złościsz się bez powodu.

„Praca koniec. Noc. Do widzenia”.

Po tym uproszczonym pożegnaniu zaczął pakować pędzle i inne narzędzia, a nawet wszedł na drabinę, żeby zabrać farby, które najwyraźniej należały do niego. Zesłam z płótna malarskiego i popatrzyłam na mural nad naszymi głowami. Tak, to była twarz Paula, ale namalowałam go jako jednego z grupy dzielnych wieśniaków idących przez pole pszenicy i prowadzonych przez Włodzimierza Lenina w świetlaną przyszłość.

Zawsze porównywałam budowę ciała Paula do wyidealizowanej męskości pokazywanej w sowieckiej propagandzie. Teraz najwyraźniej malowałam go w takim kontekście. To może by mnie nawet rozbawiło, gdybym nie starała się przywyknąć do statycznego szumu w uszach, który tłumził wszystkie inne dźwięki. To było wyjątkowo dziwne – ludzie przechodzili obok mnie bez odgłosu kroków, od kafelków nie odbijało się żadne echo, usta poruszały się w rozmowach tak milcząco i bezcelowo jak u ozdobnych karp w sadzawce...

Zauważyłam kątem oka czyjaś machającą rękę. Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam Josie w długim czarnym płaszczu i wełnianej czapce. Uśmiechnęła się i pokazała na migi – pewnie i z wprawą:

„Skończyliśmy o tej samej porze! To świetnie, możemy razem wrócić do domu”.

„Świetnie – odpowiedziałam. – Chodźmy”.

Zaczekałam, żeby Josie ruszyła we właściwą stronę, ale ona stała w miejscu przez minutę, a potem zmarszczyła nos ze zdziwieniem.

„Nie chcesz zabrać torby i płaszcza?”.

Kiedy się obejrzałam, zobaczyłam obok płótna malarskiego kupkę rzeczy: ciemnoniebieski płaszcz i haftowaną chustę, które należały raczej do mnie niż

do mojego zwierzchnika. Założyłam je i znalazłam plecak z kilkoma smugami zaschniętej farby. W kieszeniach miałam bawełniane rękawiczki. Sądząc po ciepłej czapce Josie, będę ich potrzebować.

Kiedy wróciłam do Josie, potrząsnęła głową z pełną czułości rozpaczą.

„Znowu jesteś dzisiaj w krainie marzeń”.

„Przepraszam – odpowiedziałam trochę zaskoczona, jak zręcznie moje palce w rękawiczkach układają się w znaki. – Jakoś jestem trochę nieswoja”.

Josie roześmiała się.

„Nie mów, że już znowu!”.

No nie. Może Zła tutaj była? Ale jeśli tak, czy tylko... zrzuciła pędzel na mojego szefa i zniknęła? To nie miało sensu.

Josie zobaczyła zdumienie na mojej twarzy i zaraz poklepała mnie po ramieniu.

„Żartowałam i powinnam mieć dość rozumu, żeby tego nie robić. Chodź, odprowadzimy cię do domu”.

Wyraźnie nie zależało jej na ciągnięciu rozmowy i bardzo dobrze, bo potrzebowałam chwili dla siebie.

Zawsze myślałam, że głuchota oznacza wszechogarniającą, stałą ciszę. Najwyraźniej się myliłam. Przynajmniej dla mnie, kiedy już zdążyłam się trochę do tego przyzwyczaić, to brzmiało mniej jak efekt eksplozji, a bardziej jakby ktoś przycisnął mi do każdego ucha ogromną muszlę – taki szum, brzęczenie, dzwonienie, które nie stawało się ani cichsze, ani głośniejsze. Można powiedzieć, że cały czas otaczał mnie biały szum, który albo zagłuszał wszystko inne, co mogłabym usłyszeć, albo też był wszystkim, na co w tym wymiarze stać było moje bębenki.

Czy urodziłam się tutaj głucha? Możliwe. Jednak pamiętałam, że mój ojciec kilka dni temu wspominał o zapaleniu opon mózgowych, które przechodziłam, kiedy miałam dwa lata. Zarówno on, jak i mama opowiadali mi tę historię kilka razy po to, żeby podkreślić, jak bardzo mnie kochają – co było urocze, nawet jeśli melodramatyczne – albo żeby śmiać się z tego, że zrozumieli, że czuję się lepiej, kiedy w szpitalu oplułam pielęgniarkę galaretką. Byłam prawie całkiem pewna, że zapalenie opon mózgowych może spowodować głuchotę. Może w tym wymiarze rodzice zabrali mnie do szpitala kilka godzin później albo antybiotyki okazały się odrobinę mniej skuteczne. Marguerite z tego świata przeżyła tak samo jak ja, ale przypłaciła to utratą słuchu.

Na szczęście ta Marguerite nauczyła się języka migowego na tyle wcześnie, że zapamiętała go na najgłębszym poziomie, do którego ja także miałam dostęp.

Będę też miała trochę więcej czasu, żeby przeanalizować sytuację tutaj, skoro chociaż raz nie muszę zapobiegać próbie morderstwa ani zniszczeniu wymiaru. Nie muszę także szukać Paula, bo najwyraźniej w tym świecie był obecny w moim życiu. Moim zadaniem było chronienie tego wszechświata, co polegało po prostu na tym, że miałam tu zostać i nie wpuszczać Złej. Wystarczyło, że poradzę sobie przez te kilka godzin, których Paul potrzebował, aby tu do mnie dołączyć i zacząć konstrukcję stabilizatora. Dlatego musiałam tylko obserwować otoczenie, a do tego nie potrzebowałam słuchu.

Sądząc po skali muralu i rozmiarach kafelków na posadzce, domyślałam się, że malowidło powstaje w jakimś budynku użyteczności publicznej – cokolwiek w tym świecie mogłoby być odpowiednikiem ratusza. Jednak okazało się, że to stacja kolejowa, tak ogromna, że dworce pociągów BART wyglądały przy niej jak śmietniki. W miarę jak zbliżyliśmy się do naszego peronu, tłum gęstniał. Najwyraźniej znalazłyśmy się tutaj w godzinie największego szczytu. Sam pociąg był czysty, chociaż trochę staroświecki, nie było w nim też żadnych reklam. Josie i ja stałyśmy tak ściśnięte, że nie dało się rozmawiać. Nie byłam pewna, czy w ogóle udałoby mi się unieść ręce na odpowiednią wysokość.

Wysiadłyśmy po zaledwie dwóch przystankach. Przez całą drogę zwracałam baczna uwagę na stację i kierunki, na wypadek, gdybym później sama musiała gdzieś tędy jechać. Potem wyszłam za Josie na ulicę.

Kiedy skręciłyśmy za róg, zobaczyłam wysoki na kilka pięter posąg Lenina, który wyglądał, jakby opierał się porywistemu wiatrowi i wyciągał rękę przed siebie. Kiedy popatrzyłam w stronę, w którą skierowany był jego palec, zobaczyłam w oddali wielokolorowe cebulaste kopuły soboru Wasyla Błogosławionego.

Rosja – pomyślałam i zalała mnie fala nostalgii. Domyślałam się tego od chwili, gdy rozpoznałam Lenina na muralu, ale malowidła w podobnym stylu powstawały we wszystkich krajach bloku sowieckiego po rewolucji październikowej. Mogłam być gdziekolwiek, od Estonii po Ukrainę, a ponieważ to był nowy wymiar i nowe reguły gry, potencjalnie mogło to być nawet San Francisco. Ale nie, wróciłam do kraju, który tyle dla mnie znaczył.

Jednak ta Rosja była zupełnie inna. Zamiast w pięknym i eleganckim Sankt Petersburgu mieszkałam najwyraźniej w Moskwie – i mogłam się założyć, że we wszechświecie, w którym rządził car Aleksander, Moskwa wyglądała lepiej niż tutaj. Wszystkie budynki wzniesione w ubiegłym stuleciu były z surowego betonu, a ich architektura wydawała się tak pospolita, że ten efekt musiał być celowy. Elegancka stacja kolejowa musiała pochodzić z poprzedniej epoki,

której zależało, aby przestrzeń publiczna budziła zachwyty. Najwyraźniej jednak te poglądy uległy zmianie już dawno temu. Mijające nas samochody były tak niezgrabne, że po zmniejszeniu pasowałyby do zestawu lego. Mama opowiadała mi, że w Związku Radzieckim nie pochwalano kapitalistycznej dekadencji, a dekadencja najwyraźniej obejmowała produkowanie samochodów w dowolnym stylu innym niż „paskudny”.

Zmierzchało się. Josie na pewno była zmęczona po całym dniu pracy, ale poświęcała mi całą swoją uwagę.

„Chcesz, żebym cię odprowadziła do domu?” – zapytała.

Promienie zachodzącego słońca zaśniły na jej palcu, kiedy do mnie migąła, a ja zauważyłam, że nosi wąską złotą obrączkę. Obrączka ślubna? Proszę, niech się nie okaże, że w tym wszechświecie jest żoną Wyatta Conleya. Po makabrycznym widoku w tamtej tragicznej katastrofie samochodowej w Uniwersum Triadu nigdy już nie będę potrafiła na niego spojrzeć i nie pamiętać, jak wyglądał ze zmiażdżoną głową. Zresztą nawet te światy, w których był porządnym facetem, a jego miłość do Josie szczerą i prawdziwą, przypominały mi, że jego żałoba po niej stanowiła siłę napędową okrutnego niszczenia wymiarów przez Centralę.

„Hej! – Josie zmarszczyła brwi. – Zauważyłaś, co mówiłam?”.

„Tak, przepraszam. Naprawdę kiepsko się czuję. Będę wdzięczna, jeśli mnie odprowadzisz do domu”.

Mój uśmiech był chyba bardzo blady, ale Josie pewnie uznała, że jestem zmęczona albo bierze mnie jakaś choroba. Oczywiście podała mi ramię, żebym mogła się jej przytrzymać. Ten gest był dziwnie formalny, a jednak pełen czułości. Josie w moim świecie by tego nie zrobiła, nawet gdyby się mną opiekowała. Może to było coś typowo rosyjskiego, a może przynależało do tego wymiaru, który od tej pory postanowiłam nazywać Uniwersum Moskiewskim.

Najwyraźniej ja i Josie nie mieszkaliśmy już razem. Cóż, nic dziwnego, jeśli była mężatką. Na pewno mieszkała ze swoim mężem, panem Ktokolwiek-Byle-Nie-Wyatt-Conley. Teraz, kiedy rozejrzałam się uważniej, widziałam mnóstwo ludzi w jej wieku, a nawet w moim wieku, którzy wyraźnie wracali z pracy, a nie ze szkoły czy z uczelni. Wszyscy uczniowie nosili mundurki z czerwonymi chustami lub krawatami spiętymi szpilką z portretem Lenina i byli co najmniej kilka lat młodszy ode mnie. Ponieważ zarabiałam na życie malowaniem, szkolne rzeczy musiałam zapewne już mieć za sobą. Najwyraźniej tu oczekiwano od ludzi, że będą szybciej dorastać.

Jeśli sędzić po samochodach i pociągach, technologia była z grubsza

na poziomie naszych wczesnych lat osiemdziesiątych. To oznaczało, że moi rodzice nie zbliżali się nawet do opracowania własnych Firebirdów. Jeżeli jednak byli czołowymi naukowcami w Uniwersum Moskiewskim, tak jak w większości światów, to będą mieli dostęp do wszelkich materiałów, jakich Paul potrzebowałby do skonstruowania stabilizatora. Będziemy mogli ochronić ten wymiar.

Okazało się, że mieszkam w budynku sprzed rewolucji. W pierwszej chwili byłam zadowolona, że kamienica nie jest tak paskudnie nijaka, nawet jeśli pomalowano ją szarą farbą, a detale architektoniczne wokół drzwi i okien zostały skute lub same odpadły. Kiedy na zewnątrz było jasno, słońce na pewno wpadało przez wielkie okna, oświetlając ogromny hol i szerokie korytarze. Potem odkryłam, że „stara” nie oznacza tylko „piękna i z charakterem”. „Stara” oznacza także „schody”. Na szczęście okazało się, że mieszkam na trzecim piętrze.

Kiedy tylko weszliśmy do mojego mieszkania, zdjęłam czapkę i zaczęłam rozpinać płaszcz. Nie mogłam się doczekać, aż zostanę sama i będę mogła rozpocząć poznawanie tego lokum. Pierwszą rzeczą, na jaką zwróciłam uwagę, było to, że mieszkanie jest bardzo małe jak na miejsce dla trzech osób. Weszliśmy z Josie do kuchni, która była malutka, z przestarzałymi sprzętami i bez mikrofalówki, ale pomalowana na biało i przyjemnie przytulna. Największy pokój także był mały, a ściany pomalowano zieloną farbą w intensywnym kolorze, który jednak był raczej pełen życia niż przytłaczający. Na drewnianym parkiecie nie było żadnego dywanu. Niewielki stół był przesunięty pod ścianę i przykryty białym obrusem z wyhaftowanymi wzdłuż brzegu czerwonymi kwiatami. Namalowane przeze mnie portrety moich rodziców, Josie, jakichś osób, które były pewnie znajomymi, i czyjś dziecka wisiały na ścianach obok oprawionych w ramki czarno-białych fotografii. Nieduża, mocno spłowiała kanapa stała przed staroświeckim pudłem telewizora, którego ekran był niewiele większy od monitora laptopa. Wypchane ponad miarę regały zajmowały niemal całe miejsce pod ścianami. Oczywiście były tu przede wszystkim niezliczone publikacje naukowe, przetykane powieściami i tomikami wierszy, które musiały należeć do mnie. Chociaż nigdy wcześniej nie widziałam tego mieszkania, gdzieś głęboko czułam, że tak mogłoby wyglądać mój dom.

Dotknięcie w ramię sprawiło, że podskoczyłam. Josie stała tuż za mną. Całkiem zapomniałam, że nie mogę usłyszeć, jak do mnie podchodzi.

„Jesteś pewna, że wszystko w porządku? – Josie przechyliła głowę

i przyjrzała mi się. – Poradzisz tu sobie sama?”.

„Oczywiście. – Mama i tata pewnie nie dojechali jeszcze z pracy. – Zdrzemnę się. To zawsze pomaga”.

„Na pewno dobrze ci to zrobi. – Josie pocałowała mnie w policzek, co było kolejnym wyrazem czułości, jakiego nie okazywałyby w moim świecie. – Całe szczęście, że nie ty odbierasz dzisiaj Walentynę. Potrzebujesz odpoczynku”.

„Nie martw się o mnie, naprawdę”. Czy w tym świecie miałyśmy trzecią siostrę? A może Walentyna to osoba, z którą pracuję, i od czasu do czasu razem wracamy do domu? O ile tylko nie będzie to kolejny kłon, poradzę sobie jakoś.

„Josie, powinnaś wracać do domu. Twój mąż będzie się zastanawiał, gdzie jesteś”.

„Drużyna hokejowa Jurija ma dzisiaj mecz. Zapomniałaś? Ale jeśli chce go obejrzeć, muszę się pospieszyć. – Josie podeszła szybkim krokiem do drzwi. – Do zobaczenia jutro!”.

Pomachałam jej, zanim zniknęła za drzwiami, a potem odetchnęłam z ulgą. Jurij. Nie miałam wprowadzić pojęcia, kim jest Jurij, ale nie był Wyattem Conleym, a to mi w zupełności wystarczało.

Zdjęłam ciężki płaszcz i powiesiłam go razem z czapką na wieszaku na ścianie. Potem ściągnęłam rękawiczki i weszłam w głąb mieszkania, w którym najwyraźniej była tylko jedna sypialnia. To niemożliwe. W sypialni obok szafy zobaczyłam męskie buty. Czyli tutaj spali mama i tata. Były tu jednak jeszcze jedne drzwi, w przeciwległym rogu pokoju.

Zmarszczyłam nos. O ile dobrze pamiętałam, oddzielna garderoba i łazienki przy każdej sypialni nie były klasycznym elementem stylu życia moskwian w erze sowieckiej. Ludzie musieli natomiast pogodzić się z poważnymi ograniczeniami prywatności. Czy mogłam wejść do mojej sypialni tylko przez sypialnię rodziców? Rany, to dawało nieskończone możliwości znalezienia się w krępującej sytuacji.

Lepiej się przyzwyczajaj – pomyślałam i otworzyłam drzwi.

Pierwszą rzeczą, na którą zwróciłam uwagę, była moja dłoń na klamce, już bez rękawiczki – z obrączką na palcu serdecznym.

Drugą: w malutkim pokoiku, niewiele większym od schowka, stała kołyska.

Chwila. Rany. Chwila!

Zaskoczyło mnie migające w kącie światelko. Co to miało być? Przypomniłam sobie, że osoby niesłyszące instalują czasem tego rodzaju sygnały dające im znać, że ktoś dzwoni lub też otwiera drzwi.

Oszołomiona wróciłam, żeby to sprawdzić. Nie mogłam oderwać wzroku

od mojej dłoni, aż znalazłam się w dużym pokoju, zajrzałam do kuchni i zobaczyłam, że stoi tam Paul z dzieckiem w ramionach.

Naszym dzieckiem.

Rozdział dwudziesty czwarty

Paul uśmiechnął się do mnie tak nieśmiało jak w każdym świecie, mimo że trzymał na rękę dziecko. Drugą ręką niezgrabnie zamigał:

„Popatrz, mama jest w domu”.

To musiała być Walentyna – córka moja i Paula.

Usiadłam ciężko na krześle przy stole, a Paul zmarszczył z niepokojem brwi. Posadził Walentynę na podłodze – była już dość duża, żeby raczkować, i radośnie się tym zajęła, podczas gdy Paul podszedł do mnie.

„Dobrze się czujesz? Jesteś blada”.

„Kręci mi się w głowie. Josie odprowadziła mnie do domu”.

I zaraz zemdleję z powodu szoku. Przypomniałam sobie, co spotkało wielką księżną Margaritę. Najpierw dowiaduję się, że jestem w ciąży, a dwa tygodnie później mam już dziecko.

Oczywiście rozumiałam, że to są różne wszechświaty, różne Marguerity, różne dzieci. Ale na czysto emocjonalnym poziomie miałam wrażenie, że od poczęcia do narodzin upłynęły tylko dwa tygodnie.

Paul zsunął rękawiczki i położył mi rękę na czole, a potem cofnął ją, żeby zapytać:

„Czy czujesz, że masz gorączkę? Czy to nie grypa?”.

„Naprawdę myślę, że wystarczy, jeśli się prześpię”.

No i będę miała trochę czasu, żeby do tego przywyknąć.

„Nic dziwnego. Ostatnio Walentyna śpi znacznie lepiej, ale zeszłej nocy było jak wtedy, gdy miała sześć tygodni. Wstawanie co godzinę. – Westchnął, a ja zauważyłam, że on także jest zmęczony. Ale Paul zignorował własne znużenie. – Zostało nam trochę zupy. Mogę ją podgrzać, a na drugie zjemy chleb z serem. Co ty na to?”.

Chciał zrobić dla nas obiad, żebym mogła odpocząć. Nasza córeczka bawiła się na podłodze, a to przytulne mieszkanko należało do nas. Przynajmniej w jednym świecie wszystko musiało być aż tak proste i tak urocze. Zakochaliśmy się. Ludzie tu wcześniej biorą ślub, więc my też tak zrobiliśmy. Teraz mamy rodzinę. Prowadzimy wspólne życie.

„Płaczesz?” – Paul dotknął mojej ręki i przykląkł przede mną.

Potrząsnęłam głową, chociaż miałam łzy w oczach.

„W porządku. Wszystko jest w jak najlepszym porządku”.

Rzucił mi zdziwione spojrzenie, wyraźnie zastanawiając się, co mnie naszło, ale zaraz pocałował mnie w czoło i poszedł do kuchni, żeby zająć się obiadem.

Następne kilka godzin minęło jak we śnie, jednocześnie zwyczajnych i cudownych. Przez jakiś czas, dopóki Paul był w kuchni, bawiłam się z Walentyną na podłodze. W jednej chwili miałam wrażenie, że opiekuję się cudzym dzieckiem, a w następnej od nowa zauważałam, że to nasza córka. Paula i moja, nasza wspólna.

Czy dziecko wielkiej księżnej też tak będzie wyglądać? Walentyna miała wielkie szare oczy jak jej tata, ale cienkie loczki na główce podpowiadały mi, że odziedziczyła szalone włosy Kovalenków. Była śliczna, tak jak większość małych dzieci, ale im dłużej na nią patrzyłam, tym bardziej niepowtarzalna się wydawała. Dostrzegałam cień uśmiechu mojego ojca i stanowczy podbródek Paula. Widziałam w niej elementy większości ludzi, których kochałam najbardziej na świecie.

Moi rodzice nazwaliby to genetyką. Dla mnie przypominało to raczej alchemię – świetlistą przestrzeń między nauką a magią.

Nawet zmiana pieluszki nie zmniejszyła ani odrobinę mojego podziwu. Kiedy potem znowu wzięłam Walentynę na ręce i powąchałam jej główkę, przeszedł mnie ciepły dreszcz i czułam, że mogłabym ją tak przytulać już zawsze.

Kiedy zjedliśmy, Paul uparł się, że sam zajmie się Walentyną. Usiadł z nią i zaczęli znowu ustawiać klocki, a ja położyłam się na kanapie, gdy nagle znowu zamrugało światelko. Paul skrzywił się.

„Zapomniałem, że mają wpaść rodzice”.

„Nie szkodzi. – Usiadłam i uśmiechnęłam się. – Chętnie ich zobaczę”.

Jacy szaleni naukowcy tym razem wejdą do środka?

Kiedy jednak Paul wpuścił gości, nie zobaczyłam moich rodziców. To był Leonid Markov i jakaś kobieta, która musiała być matką Paula, Olgą.

Kiedy poprzednio widziałam Leonida Markova, zabił z zimną krwią człowieka jakiś metr ode mnie. Rozważał za i przeciw pozostawienia mnie przy życiu. Widziałam w nim okrucieństwo i stalową rękę, które wykorzystywał, żeby zmusić syna do prowadzenia życia, które powoli zatruje jego duszę. Olgi aż do tej chwili nie znałam. Wiedziałam tylko, że wspiera zbrodniczy proceder swojego męża i ma pretensje do Paula, że nie chce dołączyć do „rodzinnego interesu”.

Teraz jednak Leonid miał na sobie zwyczajny brązowy płaszcz i garnitur, a Olga włosy upięte wysoko w staroświecki kok i była ubrana w sukienkę w ohydny kratkę. Wyglądali po prostu zwyczajnie. Cieszyli się, że tu są. Co było

jeszcze bardziej zaskakujące, Paul wpuścił ich do środka z uśmiechem.

„Cześć – pokazała na migi Olga. – Cieszę się, że cię widzę”. Szło jej to niezgrabnie, ale rozumiałam, o co jej chodzi. Wyraźnie nie znała dużo więcej znaków, ponieważ zaraz zaczęła mówić do Paula.

Był przyzwyczajony do pełnienia funkcji tłumacza.

„Babuszka mówi, że Walentyna każdego dnia robi się piękniejsza”.

Odpowiedział matce, jednocześnie migając, żebym też rozumiała:

„Jest śliczna, ale ten mały potwór nie dał nam spać przez całą noc. Marguerite jest wykończona. Dzisiaj to nie jest dobra pora na dłuższą wizytę”.

Leonid pokiwał głową z uśmiechem. Kiedy powiedział coś do syna, Paul przetłumaczył dla mnie:

„Tego wieczoru było zebranie partyjne, więc rodzice też są zmęczeni. Czy mogliby wziąć małą na trochę w weekend? Mogłabyś wtedy odpocząć. – Paul rzucił mi znaczące spojrzenie i dodał tylko językiem migowym: – Pomyśl, mielibyśmy kilka godzin dla siebie”.

Przypomniałam sobie naszą wspólną sypialnię. Owszem, potrafiłam pomyśleć o wielu rzeczach.

„Jeśli nie masz nic przeciwko” – odparłam.

Paul uśmiechnął się szerzej, skinął głową i powiedział rodzicom, że oczywiście, Walentyna będzie zachwycona, że może odwiedzić dziadków.

Pomału zaczynałam wszystko rozumieć. W tym świecie Leonid nie był gangsterem, tylko gorliwym członkiem partii komunistycznej. Może to dawało mu poczucie władzy – poczucie ważności, którego tak bardzo potrzebował. W ZSRR ceniono czołowych naukowców i dawano im wszystko, co najlepsze, a to oznaczało, że w Uniwersum Moskiewskim Leonid wspierał plany życiowe Paula. Był dumny, że jego syn jest naukowcem.

Byłam pewna, że istnieją też mroczniejsze strony. Leonid Markov był ostatnią osobą, która powinna mieć jakąkolwiek władzę w państwie policyjnym, a Paul był dostatecznie inteligentny, żeby to dostrzegać. To jednak nie zmieniało podstawowego faktu, że w tym świecie Paul był od dziecka ceniony, wspierany i kochany.

Nie miał powodów, aby uznać, że nikt go nigdy nie pokocha, dlatego kiedy się poznaliśmy, nic go nie powstrzymywało.

Olga i Leonid zachwycali się jeszcze chwilę Walentyną, a Paul nalał im po szklance herbaty, ale wyszli po niecałej pół godzinie i zostawili naszą małą rodzinę samą. Walentyna trochę zaczęła marudzić, a Paul pochylił się, żeby pocałować ją w główkę.

„Ona też jest zmęczona. – Uśmiechnął się do mnie. – Nic dziwnego. Wykąpię ją i położę spać”.

„Mogę pomóc...”.

„Nie, nie. Odpocznij. – Paul popatrzył w górę. – I miejmy nadzieję, że dzisiaj postanowi przespać noc”.

Chociaż ukradkiem podpatrywałam, jak Paul siedzi koło wanienki i śmieje się, kiedy Walentyna chlapie wodą, przede wszystkim zbadalam duży pokój jeszcze staranniej niż wcześniej. Znalazłam album tego rodzaju, jakie pamiętałam z domu dziadków, z samoprzylepnymi stronami, pełen starych, częściowo odbarwionych fotografii. Tu jednak większość zdjęć było czarno-białych. Ten album musiała przygotować Olga i dać nam w prezencie ślubnym, ponieważ na pierwszych stronach był Paul jako mały chłopiec – uśmiechający się z większym entuzjazmem niż chyba kiedykolwiek w moim wszechświecie. Po kilku szkolnych odznaczeniach (szkarłatne wstęgi ozdobione rysunkiem sierpa i młota albo kolejnym portretem Lenina) pojawiło się pierwsze moje zdjęcie. Chociaż miałam na sobie brzydki szkolny mundur, uśmiechałam się szeroko do aparatu i obiema rękami obejmowałam Paula w pasie. Najwyraźniej tutaj zostaliśmy parą, kiedy mieliśmy jakieś trzynaście i czternaście lat, może nawet o rok mniej.

Kilka stron dalej pojawiło się zdjęcie ślubne. Ponieważ tu nie było gigantycznego przemysłu ślubnego, który podgrzewałby oczekiwania, państwo młodzi wyglądali znacznie bardziej zwyczajnie. Paul miał na sobie garnitur, a ja sukienkę do kolan i trochę kwiatów we włosach, ale szczęście bijące z naszych twarzy było wyraźnie widoczne.

Podniosłam głowę znad albumu, kiedy Paul przyniósł Walentynę zawiniętą teraz w miękki żółty kocyk. Ziewnęła, co było niesamowicie słodkie – otworzyła małą buzię i zacisnęła małe piąstki. Kiedy Paul zobaczył, na co patrzę, uniósł brwi z pytaniem, którego nie mógł zadać, bo miał ręce zajęte przez naszą córkę: *Dlaczego to wyjęłaś?*

„Poczułam się sentymentalnie” – odpowiedziałam.

Usiadł na fotelu i przytulił Walentynę do piersi. W pierwszej chwili wydawało mi się, że mówi do niej, ale kiedy przeszłam przez pokój, żeby odstawić album na półkę, uświadomiłam sobie, że Paul śpiewa.

Ku mojemu zdziwieniu po kilku pierwszych zaskakujących sekundach przestało mi właściwie przeszkadzać, że nie słyszę. Teraz jednak żałowałam, że nie mogę posłuchać kołysanki Paula. Ale może to nie miało znaczenia. Może wystarczyło, że widziałam wyraz jego twarzy, absolutną czułość, kiedy usypiał

naszą córkę. Żadna piosenka nie mogła być od tego słodsza.

Nagle drgnął lekko, na tyle, żeby zaskoczyć na moment Walentynę, zanim znowu ziewnęła. Jego oczy rozszerzyły się, podobnie jak moje, kiedy zobaczyłam Firebirda na jego szyi. Mój Paul w końcu do mnie dołączył.

Popatrzył na dziecko, potem na mnie, a później znowu na dziecko. Wzięłam ze stołu zeszyt i długopis i napisałam wielkimi literami jedno słowo, a następnie podniosłam kartkę, żeby mógł je przeczytać: Niespodzianka.

Paul Markov z mojego świata znał tylko kilka znaków z języka migowego. Jego odpowiednik z Uniwersum Moskiewskiego mimo swojej wprawy musiał opanować język migowy na późniejszym etapie życia, ponieważ ta wiedza nie była na tyle głęboko wpojona, aby mój Paul mógł z niej korzystać. Mogłam mówić – mój głos nie uległ uszkodzeniu po zapaleniu opon mózgowych, a chociaż dziwnie było myśleć o tym, jak ułożyć usta do każdego dźwięku i sylaby, byłam w stanie to robić. Jednak Paul mógł odpowiadać tylko na piśmie, a używanie na zmianę jego notatek i mojej mowy, której sama nie słyszałam, utrudniało rozmowę, więc niedługo darowałam sobie próby mówienia i ostatecznie porozumiewaliśmy się na kartkach.

Wiesz może, czym się zajmują tutaj twoi rodzice? – napisał Paul. – W jakiej dyscyplinie naukowej się specjalizują?

Siedzieliśmy na podłodze w kuchni, a Paul przeglądał różne środki czystości i lekarstwa w poszukiwaniu składników Włamywacza. Chociaż bycie podróżnikiem doskonałym wiązało się z różnymi niebezpieczeństwami i dramatami, przyznaję, że nie żałowałam, iż nie muszę wstrzykiwać sobie dożylnie substancji używanych zazwyczaj do przetykania rur. Odpisałam:

Nie sprawdzałam, ale jeśli przejrzysz książki na regale, pewnie się domyślisz. Zawahałam się chwilę i dopisałam: Poznaliśmy się tu o wiele wcześniej, czyli musiałeś od dawna pracować z mamą i tatą.

Paul przerwał eksperymenty chemiczne, żeby zadać następne pytanie:

Wiesz, gdzie mieszkają?

Josie i ja nie odwiedziłyśmy ich – odpowiedziałam. – Ale mamy książkę adresową, więc znajdziemy ich rano. Kiedy już wyjaśnimy, co się dzieje, pomogą nam. Paul pokiwał głową, nie patrząc na mnie. Dodałam szybko: Dlaczego nie chcesz po prostu używać przypomnień?

W Uniwersum Egipskim omal nie wyczerpałem zasilania – odpowiedział. Gdyby tak się stało, mógłby tam ugrzęznąć, niezdolny do obudzenia się czy ucieczki. Nie warto ryzykować. Czy musimy zgłosić w pracy, że jesteśmy

na chorobowym? Czy może jutro jest sobota?

Moje poczucie czasu było już kompletnie zaburzone. Prawdopodobnie to nic poważnego, ale takie drobne utrudnienia potrafią czasem bardzo przeszkadzać.

Kiedy Paul połączył kilka płynów, mieszanka w końcu przybrała charakterystyczny szmaragdowy odcień Włamywacza.

Czasem najtrudniej jest znaleźć igłę – napisał Paul i była to pierwsza rzecz niebędąca ściśle potrzebną informacją. Uniwersum Triadu i Centrala wbudowały w swoje Firebirdy małe aplikatory. Powinniśmy zrobić to samo.

Nie czujesz się dziwnie, używając Włamywacza, skoro jest taki szkodliwy? – napisałam.

Nie – odpisał Paul. – *To bardzo przypomina arszenik. Można brać nieduże dawki, które nie będą toksyczne, ale jeśli twoje ciało będzie stale narażone na działanie arszeniku, w końcu się skumuluje i stanie się śmiertelnie trujący. Dwie albo trzy dawki Włamywacza nie będą miały żadnych efektów ubocznych poza może czasowymi zanikami pamięci krótkoterminowej z powodu niemożności śnienia. A te dawki aż nadto wystarczą do tego, co musimy tu zrobić.*

Dwie albo trzy dawki. Theo z Uniwersum Triadu pozostawał w ciele naszego Theo przez całe miesiące. Oddał jednak życie, żeby zapłacić za swoje grzechy, więc musiałam się starać o tym zapomnieć.

Paul postawił buteleczkę z zielonym płynem na blacie i poszedł do łazienki, bez wątpienia z zamiarem przeszukania apteczki. Może coś do mnie powiedział, wychodząc, bo zapomniał, że nie mogę go usłyszeć, ale uczucie porzucenia bez słowa było aż za silne. Zostawił mnie nawet, żebym sama położyła Walentynę do łóżeczka, chociaż poradziłam sobie z tym bardzo łatwo, bo i tak była już prawie uśpiona kołysanką.

Uznałam, że już wystarczy. Nie zamierzam dłużej tego ciągnąć. Nie mogłam zmusić Paula, żeby mi uwierzył, ale mogłam go zmusić, żeby mnie wysłuchał, nawet jeśli nie byłam w stanie używać głosu.

Paul wrócił z prawdziwą strzykawką. Wyszłam z kuchni, kiedy przygotowywał się do zrobienia zastrzyku, i usiadłam na kanapie z kilkoma czystymi kartkami papieru. Tylko leciutkie napięcie jego ramion podpowiedziało mi, że wbił igłę w skórę, ale błyskawicznie było już po wszystkim. Jednak gdy tylko odłożył strzykawkę, zaczął się trząść.

Pociągnęłam go na kanapę, obawiając się podobnie gwałtownych objawów, jak u Theo w Uniwersum Londyńskim. Jednak Paul nie zareagował aż tak źle. Dygotał tylko przez chwilę, a jego źrenice się rozszerzyły, kiedy starał się

to opanować. Masowałam jego ramiona i gładziłam go po włosach.

Kiedy pierwsza reakcja minęła, Paul spróbował wstać – ale złapałam go za ramiona i zmusiłam, żeby znowu usiadł obok mnie na kanapie. Rzucił mi dziwne spojrzenie i napisał: *Nic mi już nie jest.*

Wiem – odpisałam. – Ale musimy porozmawiać. Cały czas mnie unikasz, a teraz znaleźliśmy się w świecie, gdzie dzielimy dom i łóżko, więc najwyższy czas.

*Nie mamy już sobie nic do powiedzenia. Nie łączy nas przeznaczenie. Zdążyliśmy to już udowodnić. Jeden świat taki jak ten, gdzie... Dłonie Paula znieruchomiały, obejrzał się na pokój Walentyny. Potem znowu zaczął pisać: *Jeden świat to tylko jeden wynik. To nie znaczy, że jest nam pisane bycie razem.**

To nie znaczy też, że nie jest to nam pisane. Wzięłam go za rękę, kiedy szukałam właściwych słów, żeby nie mógł uciec.

On jednak pierwszy sięgnął po długopis.

Wiesz, co się ze mną stało po rozszczepieniu. Czy myślisz, że mógłbym być z tobą, mając świadomość, że nigdy nie będę taki sam?

Tak! – odpisałam. – Spotkała cię krzywda. Zostałeś zmieniony. Gdybyś stanowił dla mnie zagrożenie, wtedy tak, pozwoliłabym ci odejść. Zarówno dlatego, że zawsze zamierzam chronić siebie, jak i dlatego, że ty wolałbyś być sam, niż mnie skrzywdzić. Ale nie stanowisz dla mnie zagrożenia. Byłeś w stanie zapanować nad sobą przy Romoli, prawda? Nie jesteś nie do naprawienia. Masz tylko nowe blizny, a ja będę cię zawsze kochać pomimo wszelkich blizn. Czy ty przestałbyś mnie kochać, gdybym miała blizny, była smutna albo cierpiała?

Paul zawahał się. Czy coś zaczynało do niego docierać? Napisał:

Oczywiście, że nie, ale to co innego. Ty tego nie widzisz, ponieważ nadal wierzysz w jakieś mistyczne przeznaczenie...

Wyrwałam mu długopis, żeby go powstrzymać i napisać to, co najważniejsze.

Paul, przeznaczenie nie gwarantuje nam happy endu. Nikt nie obiecuje, że będziemy razem bez względu na wszystko. Ale w jednym wymiarze za drugim, w jednym świecie za drugim los daje nam szansę. Nasze przeznaczenie to nie jest jakaś mistyczna przepowiednia. Nasze przeznaczenie zależy od tego, jak tę szansę wykorzystamy.

Nie miałam odwagi podnieść głowy. Nie miałam odwagi przerwać pisania. Słowa wylewały się teraz ze mnie, przekazując jedyną rzecz, której byłam całkowicie pewna.

Sam to powiedziałaś. Każda rzeczywistość kwantowa oddziela się, gdy ktoś podejmuje decyzję. Każdy świat, który odwiedziliśmy, nie był przypadkowy – był

wynikiem niezliczonych wyborów, które połączone, tworzą nową rzeczywistość. Ty i ja dostaliśmy nieskończenie wiele szans, a to o wiele więcej niż dostanie większość ludzi – ale ostatecznie możemy żyć tylko w jednym świecie i będzie to świat, który stworzymy. Chciałabym, żebyśmy go stworzyli razem.

Oczy mnie piekły, a gardło się zacisnęło. Kiedy popatrzyłam na Paula, zobaczyłam, że jest jeszcze bardziej wzruszony ode mnie. Zmuszałam nas oboje, żebyśmy zaakceptowali to, że najpiękniejszy z naszych snów okazał się fałszywy.

Byliśmy przeświadczeni, że przeznaczenie to rodzaj gwarancji – kosmiczna obietnica, że będziemy razem w praktycznie każdym świecie, w którym się oboje znajdowaliśmy. Teraz jednak widziałam, że ślepa wiara w przeznaczenie oznacza unikanie odpowiedzialności. Oszukiwaliśmy się, uznając szczęście za dar, który będziemy dostawać za każdym razem. O wiele bardziej przerażające byłoby przyznać, że nasze życie spoczywa w naszych niepewnych i niedoskonałych rękach. Nasza przyszłość nie była całkowicie bezpieczna w ramionach przeznaczenia. Musieliśmy wykuć ją z kamienia, wygrzebać z błota i tworzyć ją jeden niedoskonały, chaotyczny dzień za drugim.

Teraz dłoń trzęsała mi się tak, że litery były trudne do odczytania, ale miałam nadzieję, że Paul zrozumie, co mam do powiedzenia.

Nigdy nie uwierzyłeś, że ktoś mógłby cię kochać bez względu na wszystko. Że w ogóle zasługujesz na miłość. Ale każdy zasługuje na to, żeby być kochanym, a na ciebie czeka tak wiele rzeczy. Nie potrzebujesz przeznaczenia, żeby znaleźć przyjaciela takiego jak Theo albo mentorów takich jak moi rodzice. To oni cię wybrali. Im lepiej cię poznawali, tym lepiej wiedzieli, jaki jesteś naprawdę, i tym bliższy się im stawałeś. Ja potrzebowałam wiele czasu, żeby cię dostrzec, ponieważ doskonale potrafisz się ukrywać, ale teraz już widzę cię, Paul. Widzę cię i kocham cię tak...

Długopis wypadł mi z ręki, a słowa zamieniły się w nieczytelny gryzmoł, ponieważ Paul przyciągnął mnie gwałtownie do siebie. Objęłam go za szyję i także przytuliłam mocno, prosząc w duchu, żeby nie tylko zrozumiał, co mam mu do przekazania, ale także w to uwierzył. Pocałował mnie w czoło, w policzek, a w końcu w usta, które oboje uchyliliśmy powoli, zanurzając się w siebie nawzajem.

Przysięgałam, że nigdy już nie popełnię takiego błędu jak w Uniwersum Rosyjskim, nigdy więcej nie będę zakładać, że wiem, jakiego wyboru dokonałaby moja odpowiedniczka. Teraz jednak byliśmy w ciałach Paula i Marguerite, którzy mieli już wspólne łóżko, życie i dziecko. To, co czuliśmy,

niewiele różniło się od tego, co oni czuli.

Byliśmy w ich domu. Byliśmy bezpieczni, podobnie jak ten świat. Mieliśmy całą noc.

To ja wstałam z kanapy, wzięłam Paula za rękę i poprowadziłam go do sypialni. To on wziął mnie w ramiona i zaniósł tam, położył na łóżku i przykrył moje ciało swoim.

Musielismy pomagać sobie nawzajem uwolnić się od ubrań. Każde z nas przywoływało własne wspomnienie tamtej nocy w daczce. Odsłoniliśmy się całkowicie, ciałem i duszą, jak nigdy wcześniej, a potem połączyliśmy się w ciemności i ciszy. To, co tworzyliśmy, tworzyliśmy razem.

Rozdział dwudziesty piąty

Obudziłam się ze snu, z którego zapamiętałam tylko, że były w nim dźwięki. Szum muszli w uszach przeszkadzał mi tylko w pierwszej chwili. Ostatecznie miałam ważniejsze tematy do przemyśleń.

Paul leżał na boku koło mnie, a jego szare oczy były pełne czułości. Ile czasu tak patrzył, jak śpię? Miałam nadzieję, że nie śliniłam się czy coś takiego. Może nie, ponieważ kiedy zobaczył, jak mrugam i się poruszam, na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech. Gdy go odwzajemniłam, Paul jednym palcem przesunął po linii moich włosów. Jego dotyk rozgrzał mnie jak promień słońca, kiedy leżeliśmy obok siebie w pogniecionej białej pościeli.

Spędziliśmy razem tylko jedną noc, w dacy w Rosji, ale Paul był wtedy porucznikiem Markovem – zarówno moim Paulem, jak i kimś zupełnie innym. Tym razem, chociaż pożyczaliśmy cudze ciała, byliśmy tylko sobą. Chociaż wtedy szalały w nas tak silne emocje, to przeżycie było jeszcze bardziej intymne. Może to był dla nas prawdziwy początek.

A może nie. W oczach Paula nadal był smutek, a jego uśmiech wydawał się melancholijny. Czy uwierzył w to, co pisałam zeszłego wieczoru? Czy może nadal wątpił w siebie i uważał, że rozszczepienie pozostanie w nim na zawsze? Czy uznał, że przeznaczenie to coś, co sami możemy tworzyć, czy też coś, co straciliśmy?

Aby zadać te pytania albo w ogóle poznać odpowiedzi, potrzebowałam długopisu i kartki. Ale może to było nawet lepiej, że komunikacja przychodziła nam tutaj z takim trudem. Zamiast pogrążyć się znowu w wątpliwościach i rozpaczach albo zacząć niezręczną, niepotrzebną rozmowę o wszystkim, tylko nie o tym, co naprawdę nas obchodziło, leżeliśmy po prostu razem w tej ulotnej, wykradzionej chwili.

Paul drgnął i spojrział na drugie drzwi w naszej sypialni, prowadzące do pokoju dziecinnego.

No tak. Mieliśmy dziecko, a dzieci płaczą.

Reszta poranka nie była już tak romantyczna.

Czego jeszcze ona chce? – napisał w pewnym momencie Paul, kiedy ziemniaki purée stały się trzecim posiłkiem, którym obrzuciła nas Walentyna.

Wzruszyłam ramionami z całkowitą bezradnością. Moja klatka piersiowa w tym wszechświecie była płaska jak zawsze, więc zrozumiałam, że nie karmię

piersią. (Byłam za to egoistycznie wdzięczna losowi, bo to by było naprawdę zupełnie dziwaczne.) Przewinęliśmy ją. Próbowaliśmy ją nakarmić. Dopilnowaliśmy, żeby się jej odbiło. Teraz znowu próbowaliśmy ją karmić. To w zasadzie wyczerpuje dostępne opcje, prawda?

Jednak Walentyna wydawała się przeświadczona, że istnieje coś jeszcze, co powinniśmy zrobić jako rodzice, a co oburzająco zaniedbywaliśmy. Łzy spływały strumieniami po jej zaczerwienionej buzi, kiedy odepchnęła resztę ziemniaków. Wyglądała tak nieszczęśliwie, że trudno się było na nią złościć czy irytować. Zamiast tego przytłaczało mnie poczucie winy. Ta malutka potrzebowała swojej mamusi. Może wyczuwała, że ja nią tak naprawdę nie jestem.

Paul musiał myśleć dokładnie to samo. Kiedy ścierałam ziemniaczaną papkę z luźnego białego szlafroka, który założyłam rano, napisał: *Nie powinienem był brać Włamywacza. Wtedy jej ojciec mógłby się nią zajmować przez większość czasu.*

Potrząsnęłam głową i wzięłam długopis. *Musimy zbudować stabilizator tak szybko, jak to możliwe. Im szybciej to zrobimy, tym szybciej ona odzyska swoich rodziców.* To była prawda i wiedziałam o tym, ale nadal było mi wstyd spojrzeć na Walentynę...

...która zapytała: „Mleko?”

Rączką. Językiem migowym.

„Mleko?” – odpowiedziałam tym samym znakiem. Walentyna rozpromieniła się, w jednej chwili przechodząc od rozpacz do nadziei. Otworzyłam małą szafkę na naczynia i znalazłam na najwyższej półce całą kolekcję butelek i smoczków. Kiedy odwróciłam się z przygotowaną butelką mleka, Walentyna już wyciągała pulchne rączki. Dałam jej butelkę i zostałam nagrodzona króciutkim uśmiechem, zanim wsadziła sobie smoczek do buzi.

No jasne, ta Marguerite uczyła córeczkę języka migowego, tak jak Paul uczył ją mówienia. Walentyna była za mała, żeby mówić, ale najwyraźniej dzieci trochę wcześniej zaczynają migać. Paul z ulgą oparł się ciężko o niedużą lodówkę, a ja nie potrafiłam powstrzymać się od śmiechu.

Chwilę później w kącie zamrugało kolejne światło. Paul zmarszczył brwi i poszedł otworzyć drzwi, ale uśmiechnął się, gdy zobaczył, kto nas odwiedził.

„Dzień dobry!” – pokazała mama na migi, a potem przyjrzała się mojemu szlafrokowi, koszulce i szortom Paula oraz zarumienionej buzi Walentyny. Tuż za nią był tata, który nie odrywał wzroku od swojej wnuczki. Moi rodzice wyglądali praktycznie tak samo, jakby wyszli z naszego domu w moim świecie,

gdyby tylko tata po drodze wstąpił po naprawdę nietwarzową parę okularów w plastikowych oprawkach. Wyobrażenie mamy o eleganckim stroju polegało na tym, że koczek miała spięty szpilkami, a nie ołówkami. Szalik taty miał intensywnie szafirowy kolor i pewnie z daleka zwracał uwagę na moskiewskich ulicach.

Byłabym wzruszona gestem, jakim tata przesunął dłonią po główce Walentyny, gdyby nie to, co zaraz powiedział w języku migowym, czyli mniej więcej:

„Piękne bardzo dziecko. Josie mówi chora ty?”.

„Też chory Paul ty?” – dodała mama.

Musiałam przygryźć policzek, żeby powstrzymać się od śmiechu. Gramatyka w języku migowym okazała się trójwymiarowa. Znaczenie i funkcja w zdaniu poszczególnych znaków nie są determinowane tylko przez układ palców ani ich kolejność, ale także przez pozycję i ruchy dłoni. Liczy się również mimika, podobnie jak szybkość i staranność ruchów palców. Moi rodzice, megageniusze, nie mieli pojęcia o tych aspektach języka migowego. Najwyraźniej nauczyli się go, kiedy byli już dorośli, więc nigdy nie opanowali go naprawdę dobrze i w efekcie wyrażali się teraz jak jaskiniowcy.

Cóż, w sumie zrozumiałam, o co im chodzi.

„Nic mi nie jest. Czuję się znacznie lepiej”. – Nie wydawało mi się jednak, żeby przyszli sprawdzić, jak się czuję. Zapewne zaprosiliśmy ich na śniadanie, a może po prostu tak właśnie się spotykaliśmy, jeśli mieliśmy dzień wolny. „Ale Walentyna bardzo długo nie mogła się zdecydować, czego chce”.

Najwyraźniej mama i tata rozumieli język migowy lepiej, niż sami umieli się nim posługiwać. Mama z uśmiechem pochyliła się, żeby ucałować wnuczkę w główkę, a tata oznajmił:

„Wy ubranie, my dziecko magazynować. Radość magazynować”.

Magazynować było najbliższym odpowiednikiem *zająć się*. Uśmiechnęłam się promiennie do Paula, który patrzył na tę wymianę w języku migowym, nic nie rozumiejąc.

„Dziękuję, że zajmiecie się na chwilę Walentyną. Zaraz wrócimy”.

Wzięłam Paula pod ramię i pociągnęłam go w głąb mieszkania.

Ubraliśmy się w pośpiechu, zostawiając bałagan w szafach i komodzie, gdzie szukaliśmy naszych rzeczy. Kiedy wciągałam na nogi grube pończochy, Paul przerwał zapinanie koszuli na dość długo, aby napisać: *Nie powinniśmy im od razu mówić o Firebirdach*.

Potrząsnęłam głową. *Nie. Mam już dość kłamania w innych wszechświatach*.

W tym może będą mogli nam pomóc!

Jesteśmy w ZSRR – napisał Paul. – To państwo policyjne. Przyjaciele donoszą na przyjaciół, wszyscy mają paranoję. Jeśli zostanę uznany za intruza, a nie za kogoś, kto chce się podzielić wiedzą, twoi rodzice mogą to zgłosić.

Chciałam mu powiedzieć, że nigdy by tego nie zrobili, ale mama i tata w ogromnym stopniu byli ukształtowani przez otaczający ich świat. Byłam przeświadczona, że nigdy by mnie nie zdradzili, ale nie mogłam mieć pewności, że dotyczyło to także Paula.

Mogę trafić do gułagu – upierał się Paul. – Muszę ostrożnie poruszyć ten temat. Dlatego na razie lepiej, żeby myśleli, że jestem Paulem z tego świata. Mogę rozmawiać z nimi po rosyjsku, bo w tym języku się ze mną przywitani, ale czy nie zauważą, że nie używam języka migowego, kiedy rozmawiam z tobą?

Słuszna uwaga. Może powiemy, że wczoraj zrobiłeś sobie coś w rękę. Nic poważnego, ale musisz ją oszczędzać. To powinno podzielać.

Oboje ignorowaliśmy łóżko wypełniające ten pokój, z nadal skotłowaną pościelą i poduszkami mającymi wgłębienia w miejscach, gdzie spoczywały nasze głowy. To, co robiliśmy w nocy, to, co powiedziałam – prawie miałam wrażenie, że to był sen, którego bardzo pragnęłam. Czy Paul uwierzył w to, co pisałam o nieskończonej liczbie szans, naszym jedynym świecie? Czy też bliźny po rozszczepieniu i jego okropna przeszłość stanowiły zbyt wielką przeszkodę?

Kiedy wróciliśmy, mama i tata stali na środku pokoju z przedziwnym wyrazem twarzy – czymś pomiędzy szokiem, strachem a rozbawieniem. Mama trzymała Walentynę, ale na odległość ramienia, jakby była czymś, co nieoczekiwanie znaleźli. Oboje drgnęli na widok Paula i mnie, a mama powiedziała coś na głos. Nie miałam pojęcia, co takiego. Czytanie z ruchu warg jest wyjątkowo trudne, jeśli się nie wie, w jakim języku mówi dana osoba.

Paul zrobił krok do tyłu i otworzył ze zdziwienia usta, a ja w tym momencie zobaczyłam coś metalowego na szyjach rodziców. To były Firebirdy, co oznaczało, że mama i tata z tego wymiaru właśnie stali się moimi mamą i tatą, którzy w końcu wyruszyli w podróż między światami.

Szybko sięgnęłam po długopis, którego używałam wczoraj wieczorem, przełożyłam kartki w notesie za te wszystkie osobiste rzeczy, o których rozmawialiśmy z Paulem, i napisałam: *To jest Moskwa. Paul i ja mieszkamy tutaj, a to jest Walentyna. Jestem głucha.*

Mama i tata wyglądali na zaszokowanych, a mama wyciągnęła do mnie rękę. Dlaczego byli tak zdenerwowani? Szybko jednak doszli do siebie. Po chwili mój

ojciec wziął długopis i napisał: *Czy to dziecko jest wasze, czy nasze? Nie jestem pewien, co byłoby bardziej przerażające.*

Roześmiałam się. *Nasze, co jest zupełnie dostatecznie przerażające.*

Tata pokazał to zdanie mamie, a potem oboje z nieprawdopodobnym rozczuleniem popatrzyli na Walentynę – jakby roztopiali się w środku na sam widok prawie wnuczki. Tymczasem Walentyna przyglądała się nam wszystkim podejrzliwie. Myślę, że zauważyła, że jesteśmy bandą przebierańców.

Mama wprawnym ruchem oparła sobie Walentynę na biodrze i wszyscy usiedliśmy przy stole przykrytym haftowanym obrusem. Kartki i długopis czekały, żeby wyjaśnić, co się dzieje.

Zaczął mój ojciec, chudymi gryzmołami. *Kiedy już mieliśmy więcej Firebirdów pozbieranych z różnych wymiarów, uświadomiliśmy sobie z twoją matką, że możemy poważnie przyspieszyć proces, jeśli sami zaczniemy w końcu podróżować. Zamiast zostawiać P. i T. konstruowanie wszystkich stabilizatorów, które mają ochronić wymiary, możemy część z nich zrobić osobiście.*

Theo zajmuje się teraz komunikacją między wszechświatami – napisała mama, drugą ręką przytrzymując Walentynę na kolanach. Jej pismo było delikatne i precyzyjne, tak jak ona. – Nadal czuje się nie najlepiej, więc Josie przyjechała, żeby mu pomóc.

Tata postukał w kartkę, żeby zwrócić uwagę na to, co chce powiedzieć: *Możecie sobie wyobrazić, jak oburzona była, kiedy ją poinformowaliśmy, co jest celem Centrali. Powiedziała, że wolałaby zginąć tysiąc razy – że każda jej wersja by to wolała, a ja w to wierzę...*

Mama rzuciła tacie znaczące spojrzenie i zabrała długopis. *Czas gra tutaj kluczową rolę. Dzięki danym z innych wszechświatów, w szczególności metodom namierzania z Uniwersum Wojennego, ustaliliśmy, że Centrala zmieniła plan ataku. Teraz ich celem stała się większa liczba wektorów źródłowych.*

Syknęłam przez zęby i sięgnęłam po długopis.

To znaczy, że chcą zniszczyć jeszcze więcej wymiarów?

Moi rodzice skinęli głowami. Paul wymamrotał coś, a ja nie musiałam umieć czytać z ruchu warg, aby wiedzieć, że to przekleństwo. Ogrom zbrodni Centrali już teraz niemal przekraczał moje zdolności pojmowania, a jednak zawsze potrafili zrobić coś jeszcze gorszego. Czy nie miało być temu końca? Jak mamy kiedykolwiek powstrzymać te mroczne wersje moich rodziców i Wyatta Conleya, którzy są równie sprytni co my, a technologicznie pozostają o kilka kroków do przodu?

Nie uda nam się – wyszeptał zdradziecki głos w mojej głowie, wspomnienie

dźwięku w nieustannym strumieniu białego szumu.

To Paul zaczął znowu pisać.

Chociaż powinniśmy natychmiast zająć się konstruowaniem stabilizatora w tym wszechświecie, mam teorię, że należy najpierw rozważyć inne zastosowania Firebirdów. Możemy sprząc dwa Firebirdy. Jeśli jedno urządzenie zostanie ustawione na zwiększanie asymetrii materii i antimaterii w danym wymiarze, a drugie na wywołanie przeciążenia – przerwał, żeby pokazać na swoim Firebirdzie, jak to mogłoby być zrobione – przeciążenie może dostarczyć tyle samo energii co stabilizator. To oznacza, że dwoje podróżników może ochronić wszechświat, chociaż oczywiście trzeba poświęcić jednego Firebirda, co znowu oznacza, że podróżnik na jakiś czas zostanie uwięziony w tym świecie. Jednak w przypadku czarnego scenariusza to może być jakieś wyjście.

Tata wziął długopis.

Fascynująca teoria! Jednak na razie powinniśmy się trzymać tego, co na pewno działa. Możemy się rozdzielić, kiedy tylko prace tutaj zostaną zaczęte, a potem zobaczymy, który wymiar ma być naszym następnym celem. Gdzie możemy zdobyć materiały potrzebne do konstrukcji stabilizatora?

Marguerite i ja przeskoczyliśmy tutaj wczoraj wieczorem, więc nie mieliśmy dość czasu, żeby sprawdzić, gdzie studiujemy albo pracujemy – odpowiedział Paul.

Zauważyłam nieco większą przerwę między słowami więc a nie – podświadome przyznanie, że tej nocy zajmowaliśmy się zupełnie czymś innym. Zanim mama i tata zdążyli to dostrzec, zabrałam długopis.

Właściwie to ja pracuję jako muralistka dla Partii Komunistycznej. Kiedy przeskoczyłam do tego wymiaru, okazało się, że maluję Paula jako wieśniaka podążającego za Leninem do socjalistycznego rajy przyszłości. To było zabawne, ale w sumie zbędne, więc dodałam: Nazwałam ten świat Uniwersum Moskiewskim.

Zaczęliśmy przeglądać kieszenie i pocztę, żeby zobaczyć, czego uda nam się w ten sposób dowiedzieć. Okazało się, że Akademia Nauk ZSRR mieści się niedaleko, a mama, tata i Paul mają przepustki (na zwykłym papierze, wypełnione na maszynie, bez żadnego zdjęcia). Niedługo potem Paul i mój ojciec znaleźli też mapę Moskwy i zaczęli się zastanawiać, jak daleko jesteśmy od uniwersytetu.

Przez ten czas mama posadziła na podłodze wiercącą się Walentynę, która poraczkowała do swoich klocków, rzucając tylko przez ramię spojrzenie

mówiące: *Wiem, że coś knujecie.* Mama patrzyła za nią, urzeczona, i z dużą niechęcią wróciła do pisania. *Wiedziałam, że dziecko twoje i Paula może być nadzwyczajne, ale ona mnie naprawdę zachwyca.*

Ona nie jest nasza, mamo. Nie była nasza nawet w tak ograniczonym sensie, jak dziecko wielkiej księżnej – chociaż tak właściwie nie miałam jeszcze okazji opowiedzieć o tym rodzicom. Teraz czas był wręcz nieprawdopodobnie nieodpowiedni. *Należy do Paula i Marguerite z tego wszechświata. Wygląda na to, że poznaliśmy się tutaj jakieś pięć lat temu. Paul nauczył się dla mnie języka migowego.*

Myślałam, że mama uzna to za równie urocze co widok Walentyny. Moi rodzice aż do przesady entuzjastycznie kibicowali Paulowi i mnie od samego początku. Mama odchyliła się jednak do tyłu i skrzywiła się, jakby coś ją zabolalo. Dotknęłam z niepokojem jej ramienia, ale potrząsnęła głową i wzięła długopis.

Czy to przez zapalenie opon mózgowych?

Chodzi o to, czy dlatego nie słyszę? Pewnie tak, ale nie wiem. To musiało się wydarzyć bardzo dawno temu, a głusi ludzie nie chodzą z karteczkami tłumaczącymi, dlaczego konkretnie nie słyszą. Nie mogę przecież nikogo o to zapytać.

Mama potrząsnęła głową i odpisała:

Strasznie trudno patrzeć na ciebie w takim stanie.

Dlaczego? Nic mnie nie boli. Naprawdę, mamo, nawet mi aż tak bardzo nie brakuje dźwięku. Nie muszę słyszeć, żeby być malarką.

Ale nie możesz usłyszeć swojego dziecka ani Paula... Osoba, którą jesteś w tym wszechświecie, może nawet nie pamiętać dźwięku naszych głosów.

Najdziwniejsze było to, że zanim przeskoczyłam do Uniwersum Moskiewskiego, na myśl o czymś takim mogłabym czuć się równie nieszczęśliwa co mama teraz. Potrząsnęłam gwałtownie głową i odebrałam jej długopis.

To nie znaczy, że cię nie pamiętam albo nie czuję, jak bardzo mnie kochasz. Jasne, to ma znaczenie – jestem pewna, że ta Marguerite ma mnóstwo problemów, które nawet mi nie przychodzą do głowy – ale to nie jest jakaś straszna tragedia. To inny sposób życia, nic więcej.

Chyba nie przekonałam matki, ale postanowiła nie ciągnąć tematu i skinęła głową, zamiast napisać coś jeszcze.

Co myślisz o tej pierwszej podróży? – zapytałam.

To niesamowite. – Mama znowu się uśmiechnęła rozpromieniona, ale

melancholijna. – *Naprawdę jestem w ciele innej mojej wersji. Chociaż wybrałabym jakąś inną lokalizację niż ZSRR. To wszystko, czego kiedykolwiek oczekiwaliśmy od Firebirdów – szansy na zobaczenie innych kwantowych rzeczywistości. Poznanie części multiwszechświata. Tylko po to, by zdobywać wiedzę. Tymczasem jesteśmy skazani na pogoń za naszymi najgorszymi wersjami z najsmutniejszego możliwego powodu.*

„Jesteśmy skazani”. Pomyślałam o Centrali – jak by to było, gdybym znalazła się tam i miała nadzieję, że samą siłą mojej nienawiści zdołam rozerwać to miejsce na kawałki. Gdybym tylko mogła tam wrócić, gołymi rękami zniszczyć ich Firebirdy...

...ale przecież mogłam, prawda?

Pomysł powrotu do Centrali majaczył mi już od pewnego czasu, ale nigdy nie skryształizował się jako w pełni świadoma myśl. Nie mogłam przeskoczyć do wymiaru, w którym nie istnieję, a Zła była w trakcie swojej demonicznej wycieczki po multiwszechświecie, więc nie było jej tam, żebym zajęła jej ciało...

...ale jej ciało tam było. Nie było tylko „obserwowalne”.

To nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy. Nie próbowałam przeskakiwać do wymiaru, w którym moje ciało, że tak powiem, nie było aktualnie w użyciu. Kiedy zastanawiałam się nad tym pomysłem, odkrywałam jego kolejne aspekty, aż w końcu nie była to tylko luźna teoria, która przyszła mi do głowy.

To była szansa, jakiej do tej pory nie mieliśmy.

Czy mogłam przeskoczyć do ciała Złej, gdy jej umysł był całkowicie nieobecny? Jeśli to zrobię, jej ciało powinno stać się znowu obserwowalne, w pełni materialne w chwili, gdy się pojawię. Trudno było to zaakceptować. Wprawdzie wiedziałam, że ciała pozostają w danym świecie, ale ich niewidzialność i nienamacalność sprawiała, że miałam wrażenie, iż przenoszą się gdzieś w niebyt. Ale tak nie było.

Jeśli teraz zaraz przeskoczę do Centrali, ciało Złej powinno tam na mnie czekać.

Zamiast cały czas się spieszyć i gonić za planami Centrali, mogłam w końcu przenieść walkę na ich teren.

W zwykłych okolicznościach zapytałabym rodziców i Paula, czy mam rację, ale nie potrzebowałam równań fizycznych, aby zrozumieć, że właśnie tak to będzie działać. Po miesiącach podróży międzywymiarowych sama zdołałam tyle przyswoić. Co ważniejsze, nie mogłam im zdradzić mojego planu, bo próbowaliby mnie powstrzymać. Powiedzieliby, że to o wiele zbyt

niebezpieczne.

To rzeczywiście było niebezpieczne. Nawet po tak długiej walce o życie wiedziałam, że ta podróż może się wiązać z największym śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Jednak w grę wchodziły biliony ludzkich istnień. To sprawiało, że warto było podjąć takie ryzyko.

Tata i Paul byli nadal pogrążeni w dyskusji nad planem Moskwy. Odsunęłam krzesło i wstałam, a kiedy mama spojrzała na mnie zdziwiona, napisałam szybko: *Muszę kupić więcej mleka dla Walentyny. Jeśli mam tutaj zostać, dopóki nie zrobicie porządku z tym wszechświatem, to powinnam teraz pobiec do sklepu, a wy możecie się nią zająć. Wydaje mi się, że wczoraj widziałam sklep tu niedaleko.*

To było kłamstwo. Zeszłego wieczoru byłam za bardzo oszołomiona, żeby zapamiętywać coś takiego jak lokalizacja najbliższego sklepu spożywczego. Stosowałam się jednak do pierwszej zasady kłamstwa według Theo: nie przekombinuj, baranie.

Mama skinęła głową.

Jesteś pewna, że uda ci się coś kupić? – napisała. – W sowieckich sklepach były dawniej nieprawdopodobnie długie kolejki po wszystko.

Wzruszyłam ramionami.

Potrzebujemy mleka, więc muszę spróbować. Wrócę tak szybko, jak będę mogła.

Płaszcz i rękawiczki, które miałam wczoraj na sobie, wisały na wieszaku, zostawione tam wieczorem. Ubrałam się ciepło, a potem przełożyłam trochę rubli z plecaka do kieszeni, a przez ten czas mama wyjaśniła tacie i Paulowi, co zamierzam. Mój ojciec skinął głową, uśmiechnął się do mnie, zaczął coś mówić, ale połapał się, co robi, i pokazał tylko uniesiony kciuk. Odwzajemniłam uśmiech i postarałam się nie myśleć o niebezpieczeństwie, w którym niedługo się znajdę.

Paul spojrzał na mnie pytająco. Czy podejrzewał, dokąd się wybieram naprawdę? Nie – gdyby tak było, przytrzymałby mnie, żeby uniemożliwić mi wyjście. Ale wstał, jakby zamierzał odprowadzić mnie do drzwi. Kiedy jednak się podniósł, Walentyna wybrała właśnie tę chwilę, żeby uczepić się nogawki jego spodni. Nawet jeśli nie był do końca jej tatą, najwyraźniej stanowił dostatecznie dobre przybliżenie, a ona życzyła sobie, żeby poświęcił jej teraz uwagę. Paul pochylił się, żeby ją wziąć na rękę.

Patrzyłam, jak obserwuje Walentynę, przygląda się kształtowi jej twarzy, jej

oczom. Czy on także myślał o naszym dziecku z Uniwersum Rosyjskiego i zastanawiał się, czy może być do niego podobna? Serce mnie zabolalo, gdy uświadomiłam sobie, że prawdopodobnie po raz ostatni widzę tę malutką dziewczynkę, która mogłaby być moja.

Ona należała jednak do tej Marguerite, tego Paula, tego świata. Dlatego właśnie musiałam ochronić ich wszystkich za wszelką cenę. Pomachałam im na pożegnanie, bez oglądania się wyszłam z mieszkania i zamknęłam za sobą drzwi.

Opuściłam kamienicę i szybko ruszyłam przed siebie, co chwila skręcając, żeby zgubić się na tyle, na ile to możliwe. Przeszukałam kieszenie, żeby mieć pewność, że nie ma w nich niczego, co mogłoby zawierać mój adres. Ponieważ portfel został w domu, wszystko wydawało się załatwione. Jeśli Zła przeskoczy w to ciało, nie będzie wiedziała, jak znaleźć drogę do domu i czekających tam ludzi. Może nawet będzie potrzebowała kilku godzin, żeby to zrobić.

Natomiast Marguerite z tego świata... Ona będzie pamiętać wszystko. Będzie wiedziała, dlaczego musiałam działać.

Dlatego miałam pewność, że zanieś list do moich rodziców i do Paula.

Znalazłam się w niewielkim parku, niemal całkowicie pustym w ten chłodny, pochmurny poranek. Usiadłam na ławce, wyjęłam z kieszeni płaszcz długopis i kartkę, które zabrałam z domu. Miałam dostatecznie dużo miejsca, żeby napisać:

Do Wszystkich!

Przepraszam, że nie uprzedziłam Was o tym, ale powstrzymalibyście mnie albo przynajmniej przekonywalibyście mnie bez końca. Musiałam to zrobić i to teraz.

Nie powstrzymamy Centrali, jeśli będziemy tylko ich ścigać. Możemy tylko udać się do źródła problemu. Dopóki Zła podróżuje po innych wszechświatach, jej ciało pozostaje w Centrali, istniejące, ale nieobserwowalne aż do jej powrotu.

Lub też do mojego.

Będę miała ciało Złej tylko dla siebie. To sprawi, że stanę się bronią ostateczną, a nawet uczyni z niej naszą zakładniczkę. Czy umiałabym przyłożyć do jej szyi ostrze, tak jak ona do mojej?

Przed oczami stanęła mi buzia Walentyny, a potem wspomnienie wielkiej księżnej pytającej Paula, jak nazwać ich dziecko. Jej wymiar był jednym z tych,

które musiałam ocalić.

Nie przerywajcie. Ratujcie jeden świat za drugim. Nie czekajcie, żeby sprawdzić, co się stanie, i nie próbujcie mnie szukać.

Kocham Was wszystkich.

Marguerite

Po chwili dopisałam na dole: Możemy stworzyć lepszy świat.

To było już tylko do Paula. On to zrozumie. Ale czy w to uwierzy?

Wsunęłam kartkę do kieszeni płaszcza, żeby ta Marguerite mogła ją za chwilę znaleźć. Kiedy wstałam, w oddali zobaczyłam sobór Wasyla Błogosławionego i kopuły Kremla, intensywne barwy na tle zimowej szarości miasta i nieba. Poczułam falę nostalgii na myśl o tym kraju, który poznałam w dwóch różnych wcieleniach. W jednym byłam otoczona nieprawdopodobnym bogactwem i doświadczyłam tragedii, w drugim zostałam ukołyszana miłością i poczuciem bezpieczeństwa.

Zamierzałam się poświęcić dla nich obu.

Rozdział dwudziesty szósty

Nagły nacisk fotela, na którym siedziałam, był jak uderzenie, chociaż oczywiście ciało Złej znajdowało się tam przez cały czas. Bardziej zaskakująca była cisza – prawdziwa cisza przerywana tylko lekkim szumem systemu wentylacyjnego i na nowo dziwnym odgłosem mojego własnego oddechu. Złapałam się poręczy i otworzyłam oczy, żeby spojrzeć na mroczno-jarmarczne megalopolis rozciągające się poniżej kwatery głównej Triadu. Małe pojazdy latające przemykały wokół gigantycznych drapaczy chmur jak nocne świetliki, a w oddali kolejka jednoszynowa lśniła elektrycznością jak smuga światła na ponurym horyzoncie.

Centrala. Nareszcie znowu znalazłam się u źródła spisku.

Czułam się odrobinę inaczej – jakbym właśnie wyszła z basenu lub skończyła sesję jogi. Moje ciało było przyjemnie pełne energii, a nie zmęczone. Uświadomiłam sobie, że to dlatego, że jestem tu sama. Zła zajmuje się teraz dręczeniem jakiejś innej Marguerite, więc mam to ciało tylko dla siebie. Kiedy byłam tu poprzednio, jej rozzalenie i gniew obciążały mnie jak kotwica. Teraz byłam wolna.

Która mogła być godzina? Sądząc po ciemności i względnym spokoju w megalopolis, musiała to być ta część nocy, kiedy „bardzo późno” zmienia się w „bardzo wczesnie”. Doskonale. Im mniej ludzi będzie mnie obserwować, tym lepiej.

Wstałam i zaczęłam szukać jakiegoś odpowiednika terminala komputerowego – cienkiego czarnego panelu, który mógł się znajdować na stole, na ścianie, a nawet na poręczy fotela. Jeśli Zła jest tutaj, w Centrali, jedną z najbardziej zaufanych agentek operacyjnych, jej uprawnienia powinny dać mi dostęp do wszelkich informacji, jakich potrzebowałam. Czy mam szukać głównego komputera? Magazynu Firebirdów? Zniszczenie choćby części ich danych byłoby korzystne, ale musiałam się zorientować, jak spowodować największe szkody – a także, jeśli to możliwe, całkowicie przekreślić plany Centrali dotyczące niszczenia wszechświatów.

Moi rodzice lepiej by wiedzieli, czym dokładnie należy się zająć, podobnie jak Paul. Przygryzłam dolną wargę i zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinnam była mimo wszystko powiedzieć im o moich planach.

Ruch oporu! Wspomnienia pojawiły się jak kolorowe flagi zwycięstwa. Paul

i Theo z tego świata, dawniej pracownicy Triadu, mieszkali teraz wraz z bandą wyrzutków na pogrążonej w ciemnościach, opustoszałej powierzchni tego świata. Mieli broń. Mieli także misję, która ich łączyła – doprowadzić do upadku Triadu.

Jeśli uda mi się ich znowu znaleźć, powiedzą mi, co powinno zostać moim celem, a wtedy ciało Złej stanie się naszą ostateczną bronią.

– Panno Caine?

Odwróciłam się i zobaczyłam dwóch wysokich mężczyzn stojących w drzwiach, z twarzami nieruchomymi jak u manekinów. Chociaż ich jednokolorowe szare garnitury różniły się tylko trochę od tego, w co byłam ubrana, instynktownie zrozumiałam, że ci faceci są z ochrony Triadu. Czy zamierzali mnie chronić, czy też chronić się przede mną?

– Nie uprzedziła pani o powrocie do tego wszechświata – powiedział ten sam facet co poprzednio (chyba że obaj mieli taki sam pozbawiony wyrazu, monotony głos). – To spowodowało aktywację podstawowego protokołu bezpieczeństwa. Jakiego koloru jest łódź podwodna Beatlesów?

Nie fioletowa. Mój świat jest jedyny, w którym ta łódź jest fioletowa. Co takiego mówił na ten temat Wyatt Conley? W niektórych wszechświatach Beatlesi śpiewają o „wielkiej zielonej łodzi podwodnej”, ale najczęściej jest ona żółta. Czy nie powinnam dokonać najbardziej prawdopodobnego wyboru?

Cały czas jednak nie potrafiłam się pogodzić z wizją żółtej łodzi podwodnej. Dlatego zaryzykowałam.

– Zielona. Łódź podwodna Beatlesów była zielona.

Ochroniarz podniósł rękę i zaczął mówić do czegoś, co musiało być bransoletą z komunikatorem.

– Podnieść wszystkie zabezpieczenia do poziomu czterdzieści siedem. Wykryto pozawymiarowego intruza. Domniemana Marguerite Caine ma wiedzę o obiekcie „Beatlesi”.

Pytanie-pułapka. Cholera! Rozejrzałam się szybko za jakąś drogą ucieczki. Drzwi w głębi korytarza otworzyły się, więc przygotowałam się na widok armii biegnących ochroniarzy, którzy mieli mnie aresztować...

...ale zamiast tego zobaczyłam Romolę Harrington ubraną w strój w odcieniu intensywnego granatu. Jeden kosmyk jasnych włosów wymknął się jej z warkocza, co trochę psuło jak zawsze pewny i zadowolony z siebie wyraz jej twarzy. Podeszła do nas pospiesznie i zaplotła ręce.

– Nie powinnaś była jeszcze wracać.

– To intruz – poinformował ochroniarz. – Zabieramy ją do aresztu.

– Nie ma mowy. – Romola zachowywała się, jakby kamerdyner właśnie ją zapytał, czy miałyby ochotę zjeść pieczeń z bażanta na papierowym talerzu. – Inna Marguerite wymaga przesłuchania pierwszego poziomu. Zostawcie to mnie.

Ochroniarz zastanowił się.

– Pierwszego poziomu...

Romola jeszcze bardziej się usztywniła. Wyobraziłam sobie, jak jej kręgosłup napina się tak, że pęka, ale nie miałam tyle szczęścia.

– Nie macie uprawnień. Ja je mam. Dlatego panowie mi wybaczą...

Drugi ochroniarz, milczący, podał jej coś, co musiało być kajdankami, chociaż były zrobione z plastiku. Romola zapięła mi je na nadgarstkach, jakby robiła to tysiące razy.

Ale nie robiła, ponieważ jedna bransoletka nie zamknęła się do końca. Nie była zatrzaśnięta, co oznaczało, że mogłam się uwolnić. Poczułam przyływ triumfu, ale mimo to pochyliłam głowę, jakbym przyznawała się do porażki, i postanowiłam grać na czas.

– Zostaną panom przypisane odpowiednie zasługi i punkty premii – powiedziała gładko Romola do ochroniarzy, a potem poprowadziła mnie do najbliższej windy, mocno zaciskając dłoń na moim ramieniu. – Proszę pozostać tutaj i oczekiwać na dalsze instrukcje.

Ochroniarze skinęli głowami, a my wsiadłyśmy do windy. Zaczekałam, aż drzwi się zamkną, a podłoga zadrży leciutko, zdradzając ruch.

– Rany, naprawdę się nie spodziewałam... – zaczęła Romola.

Nie wiedziałam, czego się nie spodziewała, i nie zamierzałam się tego dowiadywać, ponieważ w tym momencie przyłożyłam jej pięścią w twarz.

Zrobiłam się lepsza w bójkach, od kiedy zaczęłam podróżować z Firebirdem, ale mimo to zabolęło jak diabli. Grzbietem dłoni trafiłam Romolę w podbródek, tak że poleciała do tyłu. Zdążyła mnie złapać za rękaw i pociągnąć ze sobą.

Kiedy przewróciłyśmy się na podłogę windy, złapałam ją za włosy.

– Gdzie są moi rodzice?

– Nie wiem!

W głosie Romoli brzmiała panika, ale w następnej chwili zacisnęła ręce na moim nadgarstku i wykręciła go na tyle mocno, że krzyknęłam z bólu i ją puściłam. Spróbowała mnie przycisnąć do ziemi, jednak udało mi się wepchnąć między nas kolano i wykorzystać je, żeby jej to uniemożliwić.

Ochroniarze nie mogli się tu dostać. Nikt nie mógł jej przyjść z pomocą. Romola była silniejsza, niż na to wyglądała, ale nie mogła mnie zanadto

skrzywdzić, ponieważ uszkodziłaby w ten sposób ciało Złej. Natomiast ja nie czułam żadnych oporów przed uszkodzeniem nas obu, co oznaczało, że miałam przewagę.

Nikt jednak nie poinformował o tym Romoli, która rzuciła się na mnie z taką siłą, że poleciałam na plecy.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknęła. – Zupełnie zwariowałaś?

– Powiedz mi... gdzie są... moi rodzice!

Złapałam ją za ramiona i spróbowałam z siebie zrzucić, ale w tym momencie zobaczyłam, że ona także ma na szyi Firebirda.

Zaraz.

Romola uniosła brew.

– W końcu załapałaś? Całe szczęście. Skąd jesteś?

– Z Uniwersum Berkeley. A ty?

– Z Uniwersum Mafii, co tak przy okazji jest koszmarną nazwą. – Romola wypuściła mnie, usiadła na podłodze i westchnęła. – Jak myślisz, czy zanim następnym razem kogoś uderzysz, sprawdzisz, czy ta osoba nie jest po twojej stronie?

– Szczerze mówiąc, raczej nie. Nie mam czasu do stracenia.

Nie do końca potrafiłam to przyjąć do wiadomości. Romola tym razem była po mojej stronie? Mój mózg odrzucał taką ewentualność, odtwarzał jedno za drugim wspomnienia Romoli, która mi szkodziła. Upiła mnie, żebym nie mogła sama zacząć szukać Paula, uwolniła Złą, żeby kontynuowała swoją niszczycielską misję, sterowała mną, żeby zniszczyć Uniwersum Rzymskie.

Ale w żadnym z tych przypadków to nie była ta Romola. To była ta, z którą umówiłam się na Time Square, a potem poszłam do kina na głupią komedię. Ta, która mi pokazała, jak cudownie smakuje mieszanka M&M's i popcornu. Ta Romola była moją przyjaciółką i wyruszyła w podróż międzywymiarową, żeby mi pomóc.

Byłam tak bardzo wstrząśnięta odkryciem najgorszej mojej wersji, że w ogóle nie zastanawiałam się, jak wiele może odmienić spotkanie czyjejs innej najlepszej wersji. Jeśli się odwiedzi dostatecznie dużo wymiarów, być może każdy okaże się gdzieś bohaterem i złoczyńcą.

– Skąd w ogóle wiedziałaś, że masz przeskoczyć do Centrali? – zapytałam.

– Zgodziliśmy się, że potrzebujemy jakiejś pary oczu „od środka”, że tak powiem. Okazało się, że jestem najlepszą kandydatką, bo Centrala nie będzie niczego podejrzewać. – Romola wzruszyła ramionami. – Kiedy ochrona zgłosiła, że zatrzymała inną wersję Marguerite, wiedziałam, że to możesz być tylko ty.

– Od jak dawna tu jesteś? – zapytałam, kiedy obie wstawałyśmy.

– Chyba niecałe dwadzieścia cztery godziny. – Romola uśmiechnęła się krzywo i sięgnęła, żeby zdjąć mi do końca kajdanki. – Okazało się, że Triad w tym wszechświecie ma koszary dla pracowników. Opcjonalne, ale dość gęsto zamieszkane. Uznałam, że będzie łatwiej, jeśli po prostu zostanę w swoim gabinecie.

Nie chciałam wiedzieć, jak wyglądają koszary dla pracowników.

– Przeskoczyłam tutaj, żeby sabotować Triad, na ile to będzie możliwe, ale nie wiem, co mam zrobić ani też z czym mam to zrobić. Jakies pomysły?

– Nie bardzo. Szukałaś swoich rodziców?

Potrząsnęłam głową.

– Właściwie to nie. Zorientowaliby się, że się podszywam pod ich córkę. Ale gdybym musiała ich wezwać, żeby wykręcić się z przesłuchania pierwszego poziomu...

– Jasne. – Romola skinęła szybko głową. – Próbowałam się przyrzuć założeniom ich systemów komputerowych, żeby znaleźć jakieś słabości, ale Triad w tym wszechświecie jest tak ogromny, że to przypomina szukanie centrum internetu.

– Ruch oporu będzie wiedział, co możemy zrobić. Poprzednio udało mi się znaleźć Paula i Theo, więc może znowu mi się uda. – Odetchnęłam głęboko. – Masz może pomysł, jak mam się dostać do jakiegoś transportu publicznego?

Romola cmoknęła z zadowoleniem.

– O, mam nawet coś lepszego! Mam dostęp do służbowego samochodu. To był niespodziewany przywilej. Triad nie zabezpieczył niczego przede mną.

– Ponieważ nie spodziewali się ciebie. – W końcu dotarło do mnie, że udało nam się wykorzystać najbardziej podstępna broń Triadu na własną korzyść. Zaczęłam się uśmiechać. – Dziękuję, że to robisz.

– Och, nie ma sprawy. – Romola obdarzyła mnie uśmiechem specjalistki od PR-u, potem zastanowiła się, a jej uśmiech przygasł. – Szczerze mówiąc, skoro ty starasz się ochronić mój wszechświat przed zniszczeniem, to przynajmniej tyle mogę zrobić.

Nacisnęła przyciski na panelu windy, anulując polecenie jazdy na ostatnie piętro i kierując nas do garażu. Byłyśmy o krok od ucieczki w głąb świata Centrali, znalezienia ruchu oporu i załatwienia Triadu raz na zawsze.

Pojawił się tylko jeden problem.

– Jak to latający?! – Romola stała przed srebrzystym samochodem, który

unosił się kilkanaście centymetrów ponad platformą w jakimś rodzaju pola magnetycznego. Tuziny podobnych kołysały się wokół nas, lśniąc w garażu jak ozdoby choinkowe zawieszane na cienkich gałązkach. – To jest latający samochód?!

– Nie widziałaś takich za oknem?

– Jasne, że widziałam! Ale nie przyszło mi do głowy, że w tym wymiarze nie ma innych.

– Właśnie nie ma. Miasto zostało wybudowane tak wysoko, że prawie nikt nie schodzi już na poziom gruntu. – Przygryzłam wargę i zaczęłam się zastanawiać, czy mamy jakieś inne wyjście, ale nic mi nie przychodziło do głowy. – Musisz po prostu spróbować.

– Ja? – Romola otworzyła szerzej oczy. – Dlaczego ja?

– Ja nawet jeszcze nie mam prawa jazdy na normalny samochód. Tylko czasowe pozwolenie.

Ten argument nie okazał się tak przekonujący, jak myślałam.

– Ja też nie mam – odpowiedziała Romola.

– Jak to? Przecież jesteś ode mnie starsza o jakieś cztery czy pięć lat.

– Mieszkałam od dziecka w Londynie i nigdy go nie opuszczałam, dopóki nie przeprowadziłam się na Manhattan! Kiedy niby miałabym mieć okazję prowadzić cholerny samochód?

Tato, naprawdę powinieneś był mi częściej pożyczać samochód. Odetchnęłam głęboko.

Jeśli wam się wydaje, że prowadzenie samochodu jest trudne w dwóch wymiarach, to nie macie pojęcia, jakie okropne okazuje się w trzech. Wystartowanie z magnetycznego „miejsca parkingowego” było łatwe, ale wszystko potem przypominało raczej horror na żywo.

– O Boże. – Romola ścisnęła pas bezpieczeństwa, jakby sam w sobie mógł ją przytrzymać, kiedy nasz pojazd chwiejnie wyleciał z garażu, a my zobaczyłyśmy, ile setek metrów jesteśmy nad ziemią. – Zaraz się zabijemy.

– Nie ma to jak pozytywne myślenie, Romola. – Kiedy jednak spróbowałam skrócić, a samochód zakołysał się jeszcze gwałtowniej, dodałam: – Trzymaj rękę na Firebirdzie.

No dalej, dalej, poradzisz sobie – powtarzałam w duchu. – *Nie dotarłaś tak daleko tylko po to, żeby pokonał cię głupi latający samochód!*

Gdyby tylko do ziemi nie było tak daleko...

Wzięłam stery i skierowałam samochód w dół. Kąt nachylenia sprawił, że przesunęłam się tak, że w końcu tylko pas bezpieczeństwa przytrzymał mnie

na siedzeniu. Romola jęknęła. Staralam się nie spieszyć i opuszczałam nas w dół po trochu. Kiedy przestałam myśleć o tym jak o latającym samochodzie i przypomniałam sobie łódź podwodną z Uniwersum Oceanicznego, sterowanie w trzech wymiarach stało się odrobinę łatwiejsze.

– Ależ jest ciemno. – Romola wyjrzała przez przednią szybę z mieszaniną lęku i ciekawości. Metalowo-betonowe budynki po obu stronach wznosiły się nad nami jak urwiska, zupełnie jakbyśmy się zagłębiały w dolinę. – Jesteś pewna, że będziesz wiedziała, kiedy znajdziemy się na poziomie gruntu?

– Wysokościomierz nam to powie. – Wskazałam licznik, który, jak miałam naprawdę głęboką nadzieję, był wysokościomierzem.

Zanim znalazłyśmy się na dole, mrok zgęstniał niemal całkowicie. Jedynym źródłem światła poza naszymi reflektorami były okna squatów, w których mieszkali najbiedniejsi, rozjaśnione latarniami i świecami. Prawdopodobnie obudziliśmy wszystkich, co nie było najlepszym sposobem na zachowanie siedziby ruchu oporu w tajemnicy, ale bez reflektorów na pewno bym się o coś rozbiła.

Sunęłyśmy powoli jakieś trzy metry nad ziemią, a Romola patrzyła ze zdumieniem na prowizoryczne budy, gruzowisko, które dawniej było ulicą lub ziemią, rozsypujące się wiadukty i mosty wiszące, które łączyły zamieszkane miejsca.

– To wygląda jak obóz uchodźców – powiedziała szeptem. – Pewnie tym właśnie jest. Tyle że ci ludzie nie uciekli do innego kraju, tylko w dół.

– Chyba tak. – Samochód wyszukiwał teraz lokalizację, którą wprowadziłyśmy, czyli adres moich rodziców pozyskany z bazy danych Triadu, ponieważ zaledwie kilka tygodni temu kwatery główna ruchu oporu znajdowała się niedaleko od niego (przynajmniej w linii poziomej). Nie musiałam kierować. Wystarczyło, że sunęłam do przodu i pilnowałam, żeby nie uderzyć w żaden z wiaduktów. – Wiesz co, powiedz mi, o co ci tak właściwie chodzi?

– Przepraszam? – zapytała lodowato Romola i uniosła brwi. – O co ma mi chodzić?

– Dlaczego zwykle jesteś taka lojalna wobec Conleya? Mimo że on zwykle jest kompletnym psychopata? Znaczą, widziałam, jak inna twoja wersja skazała cały wymiar na zagładę. Nie zrobiłabyś tego sama z siebie, ale zrobiłaś to dla niego.

– Nie mogę odpowiadać za Romolę, której nie znam – stwierdziła. Po chwili jednak dodała: – Gdybym miała snuć teorie, powiedziałabym, że zawsze jestem bardzo lojalna wobec tych, na których mi zależy. W moim świecie Wyatt Conley

jest niesamowicie wręcz inspirującym pracodawcą i mentorem. W wymiarze takim jak ten, gdzie liczą się tylko pieniądze, a ludzie muszą postrzegać swoje korporacje jak kultury religijne, on musi być kimś w rodzaju proroka.

Chociaż chętnie prychnęłabym pogardliwie na taką wizję, to nie mogłam tego zrobić. W świecie pełnym tak lodowatych ambicji, że nawet moi rodzice stali się mordercami, Conley byłby przywódcą doskonałym.

To nie usprawiedliwiało tego, co zrobiła tamta Romola, ale pozwalało mi zobaczyć tę Romolę jako odrębną osobę.

Przeleciałam nad zwieszającym się nisko mostem linowym. Jego cień, widoczny w snopach światła z reflektorów, wydawał się dzielić na pół nierówny, zrujnowany pejzaż pod nami.

Romola zmarszczyła brwi i spojrzała na jeden z ekraników na desce rozdzielczej.

– To pokazuje naszą lokalizację, tak?

Długim paznokciem postukała migające zielone światelko, które podpowiadało, że wybrana lokalizacja jest tuż przed nami.

Zaparkowanie okazało się najprostsze ze wszystkiego. Wystarczyło wcisnąć odpowiedni guzik, a samochód osiadł na ziemi z leciutkim podskokiem. Romola sięgnęła do klamki, ale ją zatrzymałam.

– Nie rób tego. Jeśli ruch oporu jest tutaj, na pewno usłyszeli, że się zbliżamy. Zostaw swojego Firebirda na widoku, okej? – Wyciągnęłam własny spod bluzki, żeby był dobrze widoczny. – Zaczekamy, aż przyjdą tu sprawdzić, co się dzieje, a wtedy wyjdziemy z podniesionymi rękami.

– Aha! Czyli jesteśmy tutaj, żeby się poddać. Cudownie. – Zrobiła jednak to, o co prosiłam, z Firebirdem.

Rzeczywiście wyłonili się z cienia, jeden po drugim. Ich sylwetki w ciemnościach były nierozpoznawalne, ale doskonale widziałam, że są uzbrojeni. Podniosłam ręce i szturchnęłam Romolę, żeby zrobiła to samo, a potem dałam im dobre kilka sekund, żeby się przyjrzeni, i wysiadłam z samochodu.

Kiedy znowu podniosłam ręce, jeden z nich podszedł bliżej. Szyderczy uśmiech Theo był tak samo irytujący jak podczas mojej poprzedniej wizyty w Centrali. Był dalej ubrany w ten sam monochromatyczny strój w kolorze sjeni palonej, a czarne włosy ułożył w kolce, w stylu wyglądającym jak krzyżówka fryzury Ludwiga van Beethovena i bohatera anime. Jego dziwna kanciasta broń po raz kolejny była wycelowana w moje serce.

– Chcesz, żebyśmy pomyśleli, że nie jesteś z tego wymiaru – powiedział

z gniewnym grymasem. – Udowodnij to.

– Jak mam udowodnić, że czymś nie jestem?

– Nie wiem, ale lepiej coś wymyśl.

– Kiedy byłam tu poprzednio, zachowywałeś się jak kompletny dupek – odparłam.

Theo nawet nie drgnął.

– To niewiele zmienia.

– Samochód! – odezwała się Romola. Kiedy na nią spojrzeliśmy, wskazała pojazd. – Chyba widziałeś, jakim okropnym kierowcą jest ta Marguerite. Wasza wiedziałyby, jak prowadzić latający samochód, prawda?

Theo zastanowił się przez chwilę.

– Mogłabyś udawać... ale nie zrobiłabyś tego – powiedział. Opuścił broń, a kiedy znowu zaczęłam oddychać, dodał: – Nasza Marguerite aż za bardzo lubi się popisywać. Nie pozwoliłaby, żeby ktoś zobaczył, jak coś jej do tego stopnia nie wychodzi.

– Gdzie jest Paul? – Spojrzałam na stojącą za Theo grupę bojowników, którzy przyszli razem z nim. Chociaż potrafiłabym rozpoznać sylwetkę Paula, mógł stać w takim miejscu, że go nie widziałam. – Został w kwaterze głównej? Musimy porozmawiać.

– Jestem tutaj.

Odwróciłam się gwałtownie. Paul stał za mną. Oświetlony od tyłu latarnią i w jasnoszarym ubraniu wyglądał prawie jak duch. Kiedy podszedł bliżej, zobaczyłam bliznę na jego podbródku i po raz kolejny zaczęłam się zastanawiać, co go spotkało w tym wymiarze. Kto mu to zrobił?

– Coś ty sobie wyobrażała, przeskakując tutaj? – W jego oczach płonął tak gwałtowny gniew, że widziałam to nawet w ciemności. – To niebezpieczne, Marguerite.

Miałam ochotę się roześmiać.

– Wszechświaty giną wokół nas. Nie ma już bezpiecznego miejsca.

– W Moskwie byłaś bezpieczna! Gdybyś nam powiedziała, co planujesz...

– Zaraz... Paul? – To był mój Paul. Mimo moich ostrzeżeń przeskoczył tu za mną. – Co ty tu robisz?

Uniósł z uporem głowę.

– Chronię ciebie.

– Miałeś chronić Uniwersum Moskiewskie...

– Sophia i Henry się tym zajmą.

– A co z Walentyną?

– Odzyskała swoich prawdziwych rodziców.

Naszą kłótnię przerwał Theo, który stanął między nami.

– Chwila, braciszku... to nie ty?

– To ja, Theo. Tylko inny ja. – Paul uśmiechnął się do Theo, nawet nie udając rozbawienia.

Ten uśmiech był twardy, uczciwy i w tak oczywisty sposób należał do mojego Paula, że przyniosło mi to pociechę pomimo jego wybuchu gniewu.

Theo skrzywił się i oparł o latający samochód.

– Nie podoba mi się to.

– Przepraszam, tak dla jasności. – Romola uniosła rękę. – Tutaj z nami jest Paul z Uniwersum Berkeley, tak?

Skinęłam głową.

– Chociaż Paul z Centrali mógłby teraz bardziej nam się przydać. – Kochałam Paula z całego serca, ale jego instynkt opiekuńczy bywał za silny w zupełnie nieodpowiednich momentach. – Czy możesz mi pozwolić się tym zająć?

Paul splótł ręce na piersi.

– Nie beze mnie.

– Nie jesteśmy sami – oznajmił Theo.

Romola westchnęła.

– Szczera prawda. Mamy swoje inne wersje, więc nawet jeśli zostaniemy zupełnie bez towarzystwa, nie można stwierdzić, że jesteśmy samotni...

– Chodziło mi o to, że nie jesteśmy sami w tym momencie. – Theo wskazał w górę na poruszające się nad nami migające światła.

Latające samochody nie wydawały się niczym nadzwyczajnym aż do chwili, gdy zaczęło migać różowo-czerwone światło, a wycie syreny odbiło się echem w tym miejskim kanionie.

Żołądek zacisnął mi się jak na kolejce górskiej.

– Policja?

– Ochrona Triadu – odparł Theo, jakby to na jedno wychodziło. Jego uśmiech miał w sobie więcej okrucieństwa niż wszystkie gniewne grymasy. – Dzięki, że wpadłaś. Wygląda na to, że doprowadziłaś ich prosto do nas.

Paul i ja wymieniliśmy zaszokowane spojrzenia.

– Co teraz? – zapytał Paul.

– Będziemy walczyć o życie. Albo zginiemy. Możliwe, że jedno i drugie. – Theo sprawdził, czy jego broń jest naładowana, i skierował ją w górę. – Najprawdopodobniej jedno i drugie.

Rozdział dwudziesty siódmy

Wokół nas w ciemności pojawiły się liny, po których zaczęli zjeżdżać ochroniarze Triadu. Na kaskach mieli zamontowane lampy, a broń rysowała się cieniem na tle nocy – czerni na tle czerni.

– Uciekać! – krzyknął Theo, a pozostali członkowie ruchu oporu rozbiegli się.

Chociaż część z nich była uzbrojona, wydawali się całkowicie zaskoczeni. Nikt nie był przygotowany na podjęcie tej walki.

Ponieważ to ty ich wystawiłaś – powiedziałam do siebie z furją, biegnąc do jednego z pobliskich budynków.

Najbliższy piął się tak wysoko, że nie miałam pojęcia, gdzie się kończy. Najniższe piętra musiały być jednak opuszczone od co najmniej dziesięciu lat. Okna były porozbijane, a część z nich zasłaniały postrzępione płótna. Jedno było otwarte, więc wskoczyłam w nie tak szybko, jak potrafiłam. Skok okazał się bardziej akrobatyczny niż lądowanie, ponieważ rozciągnęłam się jak długa na podłodze jakiegoś pomieszczenia, pustego, jeśli nie liczyć kilku połamanych skrzyń.

Zaledwie kilka sekund później Paul wślizgnął się przez okno za mną, chociaż jemu trudniej było się przez nie przecisnąć. Jedynym źródłem światła były jasne reflektory na zewnątrz. Schowałam się za jedną z większych, prawie nienaruszonych skrzyń i skinęłam na Paula, żeby do mnie dołączył.

Przyklął obok mnie i zaczął się przyglądać dziwnemu, pudełkowatemu pistoletowi, jakiego używano w tym wymiarze.

– Mechanizm oddawania strzału jest oczywisty – mruknął. – Nie jestem tylko pewien, jak się celuje.

– Nie będziesz do nikogo strzelać! Nie po to tutaj jesteśmy...

– Nie jesteśmy tu także po to, by zostać złapani.

Paul odetchnął głęboko. Widziałam, że walczy ze sobą. Po raz kolejny do głosu doszło rozszczepienie grożące mu utratą panowania nad sobą w najmniej odpowiednim momencie. Nie był jednak zły na mnie i teraz sobie uświadomiłam, że tak było od początku, nawet przed pojawieniem się ochroniarzy. To było tylko niekończące się napięcie towarzyszące temu wyścigowi i obawa, że toczymy wojnę, której nie jesteśmy w stanie wygrać.

– Powinieneś wracać do Uniwersum Moskiewskiego albo przeskoczyć dalej – szepnęłam, kiedy na zewnątrz padły pierwsze strzały. – Paul z tego świata

umiałby się obchodzić z bronią i wiedziałby, gdzie się ukryć. On by mi pomógł.

Paul spojrział na mnie, jakby niczego nie rozumiał.

– Nie mogę cię tak zostawić.

– Możesz i powinieneś.

Było jednak za późno. Drzwi, których do tej pory nie zauważyłam, otworzyły się i do środka wpadł ochroniarz Triadu. Trzymał broń i celował prosto we mnie.

Paul zerwał się tak szybko, że zmienił się w rozmazaną smugę, kiedy rzucił się na napastnika. Obaj polecili na ziemię, ale Paul znalazł się na wierzchu. Latarka przymocowana do munduru ochroniarza świeciła jasno prosto w sufit, zupełnie jakby walczyli w klatce zrobionej ze światła. Paul nie próbował nawet strzelać. Używał swojej broni jak maczugi, uderzając nią ochroniarza w twarz.

– Nie – wyszeptałam, kiedy kropelki krwi rozprysnęły się w smugach światła. Wyglądało na to, że Paul chce pobić tego faceta na kwaśne jabłko... albo na śmierć. – Paul, nie.

Paul mnie nie słyszał. Podniósł broń, żeby zadać mocniejszy, może nawet śmiertelny cios. Przegrał z tą gorączkową potrzebą przemocy. Naprawdę przegrał.

Tak przynajmniej myślałam do chwili, gdy Paul zamarł, nadal trzymając nad głową zakrwawiony *pistolet*.

Przyglądałam się szeroko otwartymi oczami, jak Paul patrzy na pokonanego przeciwnika. Oddychał ciężko, dygotał od gwałtownego przypływu adrenaliny, ale w słabym świetle widziałam, że z jego twarzy znika grymas furii i znowu zaczyna przypominać Paula, jakiego znałam. Po dłuższej chwili opuścił rękę i odrzucił pistolet na bok.

Udało mu się. Paul znowu nad sobą panował. Udało mu się! To nie było tak jak poprzednio, gdy oszczędził Romoli życie przede wszystkim z obawy, że mogłaby zdążyć strzelić. Pokonał rozszczępienie i był tego świadomy. Mimo otaczającego nas piekła zaczęłam się uśmiechać. Może teraz zacznie znowu mieć nadzieję, a ta nadzieja uratuje nas oboje.

Kątem oka zauważyłam ruch. Mój mózg podpowiedział tylko jedno słowo: *pistolet*.

Drugi ochroniarz zaczął strzelać, zanim wbiegł do środka. Paul podniósł głowę na ułamek sekundy przed tym, jak został trafiony. Jego ciało szarpnęło się do tyłu, krew trysnęła z piersi czerwonym kręgiem, a on upadł na ziemię.

Wydawało się, że to ktoś inny wrzeszczy. Ten straszliwy, agonalny dźwięk nie mógł się wydobywać z mojego gardła. To był cały świat krzyczący jednym głosem. *Nie, nie, nie Paul, to zabije ich obu, Paula z tego świata i mojego, chyba*

że zdąży sięgnąć do Firebirda albo ja zdążę...

Rzuciłam się na ochroniarza, ale on odepchnął mnie tak mocno, że upadłam na ziemię. Spojrzałam przez ramię i niewyraźnie, przez łzy, zobaczyłam Paula leżącego na plecach, z jedną nogą zgiętą pod nienaturalnym kątem. Jego dłoń sięgnęła na oślep do piersi. Chciał dotknąć Firebirda? Swojej rany? Nie wiedziałam. Wtedy jednak ochroniarz znowu strzelił, a ciało Paula szarpnęło się jeszcze raz i znieruchomiało.

Był martwy. Paul był martwy.

Moją pierwszą myślą było rzucić się znowu na ochroniarza, żeby mnie także zabił. Chciałam być martwa, chciałam być z Paulem i nie czuć, jak moje serce jest rozdzierane na tysiąc kawałków.

Przypomniałam sobie Rosję, pole bitwy pełne śniegu i krwi, łóżko polowe, na którym umierał porucznik Markov. Zobaczyłam oczami duszy jego twarz, gdy wyszeptał swoje ostatnie słowa: „Wszystkie Marguerite”.

Każdego Paula – pomyślałam, podparłam się na rękach i zebrałam siły, żeby rzucić się na ochroniarza. Każdy świat dawał nam szansę. Żałowałam, że zmarnowałam naszą. Żałowałam, że nie zdążymy stworzyć własnego świata.

W tym momencie zawałiła się ściana.

Ochroniarz odskoczył spod spadającego panelu, a ja zobaczyłam latający samochód, który przebił się przez ceglany mur. Był powgniatany i podrapany, z wybitym oknem z jednej strony, ale nadal sprawny – a za kierownicą siedział Theo.

– Wsiadaj! – krzyknął.

Zawahałam się tylko przez chwilę, zanim przypomniałam sobie o swojej misji, która była ważniejsza od żałoby. Kiedy podbiegłam do samochodu, Theo otworzył drzwi i ruszył na wstecznym, gdy tylko znalazłam się na fotelu. Zdążyłam złapać się pasa bezpieczeństwa, żeby nie wypaść przez nadal otwarte drzwi na ziemię, która szybko zaczęła się od nas oddalać.

– Gdzie jest Paul?

Theo podkreślił obroty silnika, a kiedy zatrzasnęłam drzwi, ruszył ostro w górę poprzez kanion drapaczy chmur.

Słumiłam szloch.

– Nie żyje.

Theo zaklął cicho.

– Twój czy mój?

– Myślę, że obaj. – Chociaż naprawdę chciałam wierzyć, że mój Paul zdążył uruchomić Firebirda i uciec, nie wiedziałam, kiedy miałby zdążyć to zrobić.

Otarłam niezgrabnym gestem policzki, starając się stłumić łzy. Nie zasługiwałam na chwilę ulgi. – Nie powinnam była tu przychodzić.

Theo starał się brzmieć jak twardziel, ale jego głos drżał lekko.

– Triad próbował nas dopaść na długo, zanim się pojawiłaś. Wiedzieliśmy, co się może stać. – To było całe rozgrzeszenie, jakiego Theo mógł mi udzielić.

Członkowie ruchu oporu nie byli jedynymi, którzy znaleźli się w niebezpieczeństwie.

– Zaraz, a gdzie jest Romola?

– Ta Romola, z którą przyjechałaś? – Theo skręcił ostro w wąski, kręty zaułek. – Wróciła do swojego wszechświata, czyli zrobiła dokładnie to, co należało. Romola z tego świata jest już z ochroniarzami i pewnie się piekli, że ukradłem jej samochód. Poobijamy jeszcze trochę tę brykę, co? Niech nam zapłaci za to, co się stało z Paulem.

Przez następne pięć minut miałam wrażenie, że jestem uwięziona w grze komputerowej, a to wszystko nie dzieje się naprawdę. Gdybym nie była tak pogrążona w rozpacz, byłabym przerażona. Theo pędził zygzakiem przez gęstą miejską zabudowę, jakby to był labirynt, który przemierzał już tysiące razy. W jakimś momencie pokierował samochód niemal pionowo w górę, wystrzelając w powietrze jak rakieta zmierzająca na orbitę. Nie mógł jednak zgubić ścigających nas ochroniarzy.

W końcu nas dopadną, a skoro nie zawahali się zabić Paula, zabiją także Theo. Na moich rękach nie było już miejsca na więcej krwi.

– Nie mogę pozwolić, żeby tak się stało. – Spróbowałam zwrócić uwagę Theo. – Nie mogę pozwolić, żebyś ty za to zapłacił.

Theo tylko przyspieszył.

– Daj spokój. Powinnaś już wiedzieć, że potrafię prowadzić w każdym wymiarze.

Przypomniałam sobie wrak samochodu rozbitego w Quito, uczucie towarzyszące zamknięciu oczu Theo.

– To nie znaczy, że zawsze wychodzisz z tego z życiem.

Nie odpowiedział, ale zwolnił. Odrobinę.

– Poradzę sobie, jasne? Ty się po prostu trzymaj.

Wylecieliśmy na szerszy szlak komunikacyjny. Teraz, o świcie, pojawiło się więcej ludzi, co oznaczało, że inne latające samochody wznosiły się i zakręcały wokół nas. Theo wprawnie wysterował nas z głównego nurtu, tuż nad długi budynek, o kilkadziesiąt pięter niższy od przeciętnego tutaj. Jak wysoko nad nim byliśmy? Na pewno niecałe trzy metry. To pewnie według Theo było

„niezwracaniem uwagi”.

Ja zobaczyłam w tym szansę dla siebie.

– Powodzenia, Theo – powiedziałam i złapałam za klamkę.

– Marguerite... nie...

Jego głos ucichł, kiedy wyskoczyłam z samochodu. Przez ułamek sekundy czułam tylko pęd powietrza, ale pamiętałam, żeby zwinąć się w kulkę i przetoczyć. Mimo to lądowanie na dachu było naprawdę bolesne, ale turlając się po nim, nie straciłam przytomności. Miałam pozdzieraną skórę rąk, a ból podpowiadał mi, gdzie się zrobią siniaki, ale kości były całe.

Jednak leżałam nieruchomo nawet wtedy, gdy zawisły nade mną pojazdy ochroniarzy, którzy przybyli mnie aresztować. Byłam zbyt zrozpaczona, żeby choćby płakać. Zastanawiałam się tylko, dlaczego nie jestem martwa. Dlaczego serce nie przestaje bić, kiedy zostaje złamane. Miałam wrażenie, że dusza mnie opuściła, a ciało pozostało tylko ciężarem, który będę musiała nieść już zawsze.

Może udało mu się uciec – powtarzałam sobie, kiedy szłam jak odrętwiała korytarzami Triadu, z nadgarstkami spiętymi kajdankami i ochroniarzami po obu bokach. Paul sięgnął do Firebirda. Mógł zdążyć przeskoczyć. Może.

Nie potrafiłam jednak w to uwierzyć.

Poprowadzono mnie do części Triadu, której wcześniej nie widziałam – to musiało być laboratorium. Zamiast wąskich czarnych paneli służących w innych miejscach jako terminale komputerowe, tutaj ściany pokrywały niemal w całości gigantyczne panele, na których pojawiały się i znikwały obliczenia w przygaszonych kolorach. Komputery bezustannie pracowały nad określeniem, które wymiary powinny zginąć. Ten kompleks do tego stopnia przewyższał nasze zaawansowanie i moce obliczeniowe, że nie potrafiłam uwierzyć, jak kiedykolwiek mogliśmy myśleć, że mamy szansę. Nie zawracali sobie nawet głowy zabieraniem mi Firebirda. Tak niewielkie stanowiłam dla nich zagrożenie.

Wyatta Conleya nie było nigdzie widać, co było marną pociechą, ale moi rodzice czekali przy podłużnej, przeszklonej komorze w samym centrum laboratorium, jak przy ołtarzu w tej katedrze śmierci. Na ich twarzach oprócz smutku malowała się czułość – jakby mieli zamiar dać mi szlaban.

– Kochanie – powiedziała moja matka. – Przepraszam, że to jest takie trudne.

Nadal nie chcieli przyjąć do wiadomości, co tak naprawdę robią.

– Zabiliście inne wersje mnie. Zabiliście cały wszechświat. To trochę więcej niż „trudne”.

Tata wzruszył ramionami.

– Kto powiedział, że przywrócenie kogoś do życia będzie proste?

– Dlaczego uważacie, że wam się to uda? – Zanim zdążyli z wyjaśnieniami, wskazałam, na ile byłam w stanie, mojego Firebirda. – Rozerwaliście Paula na cztery części. Rozszczepiliście jego duszę, a potem on musiał walczyć z całą siłą o to, by zachować nad sobą panowanie, żeby w ogóle nie oszaleć.

Paul wygrał tę walkę. Przynajmniej na samym końcu miał ten moment triumfu.

– Jak myślicie – mówiłam dalej – czym stanie się Josie, kiedy poskładacie te tysiące kawałków jej duszy? Jeśli wydaje wam się, że będzie znowu waszą córką, tą dziewczyną, którą straciliście, to się mylicie. Będą ją dręczyć życia, które nigdy nie były jej udziałem. Będą nią targać pragnienia, których nigdy nie czuła. Nie będzie potrafiła kochać ludzi, których kochała wcześniej, ani mieć pewności, że nie skrzywdzi kogoś, kto stanie jej na drodze. Wasza wersja mnie nazwała Paula „potworem Frankensteina”, ale tak naprawdę to opisuje Josie. To właśnie Josie zamieniacie w potwora.

Moi rodzice w końcu nie wiedzieli, co powiedzieć. Tata potrzebował dużo czasu, żeby się pozbierać.

– Jesteśmy blisko, tak blisko...

– Jesteście gotowi skazać Josie na piekło za życia tylko dlatego, żeby nie musieć jej już opłakiwać. A nie, zaraz! Będziecie ją dalej opłakiwać. Tak samo jak ja byłam pogrążona w żałobie całe miesiące po tym, jak się dowiedziałam, że tata nie utonął. Pamiętacie, jak przez was myślałam, że on nie żyje? – Łzy znowu stanęły mi w oczach. – Nic dziwnego, że was nie obchodzi, czy Josie stanie się potworem. Sami już jesteście potworami.

Miałam wrażenie, że milczenie trwa całe lata. Zastanawiałam się w odrętwieniu, czy spróbują mnie znowu przekonać, żebym dla nich pracowała. Co jeszcze mogli mi zrobić? Chyba zniszczyć mój wymiar. To był jedyny sposób, żeby wyeliminować mnie jako zagrożenie raz na zawsze.

Przez moment wyobraziłam sobie nasz dom w Berkeley Hills, z przytulnym salonem, roślinami w doniczkach i tęczowym stołem, ścianami pokrytymi równaniami, dom pełen ciągłej wymiany naukowych teorii, hermetycznych dowcipów i nieskończonej czułości. Wydawało się, że ten dom symbolizuje cały świat, który niedługo zniknie.

– Popatrz – powiedziała w końcu mama i wskazała oszkloną komorę. – Marguerite, proszę, popatrz tylko.

Na co miałam patrzeć? Komora była pusta... Chyba że?

Otworzyłam usta ze zdumienia, kiedy uświadomiłam sobie, że pośrodku

komory widać przejrzysty kształt w kolorze mgły, niemal niewidzialny. Po chwili zrozumiałam, na co patrzę: to była Josie. Leżała tam z dłońmi splecionymi na piersi, w pozycji, którą zajmowała, kiedy włączyła Firebirda przed tym ostatnim, tragicznym w skutkach skokiem. Wszechświat lub wszechświaty, które Triad zdążył zniszczyć, odesłały już jej odłamki, które wystarczyły, żeby odtworzyć ją w takim stopniu – jako zarys, cień, zaledwie ślad ciała, które starali się ożywić.

Kiedy ogląda się stare obrazy w podczerwieni, czasem widać sylwetki ludzi, które artysta zamalował, albo kontury tych, których zamierzał namalować, ale ostatecznie zmienił zdanie. Tym właśnie Josie była teraz – zaledwie rozmytym cieniem, nienależącym już do tego świata.

– Ach, tak – odezwałam się. – To jeszcze nie potwór. Tylko duch.

– Przestań, Marguerite – warknął tata. – Nie możemy tego przerwać. Nie w momencie, gdy jesteśmy o krok od sukcesu. Nawet jeśli... jeśli...

Nawet jeśli wiemy, że postępujemy źle. Tego właśnie nie powiedział na głos. Mama i tata nie mogli się już dłużej okłamywać, ale też nie mogli się wycofać. Ich maniakalne oddanie uniemożliwiało im to – nie mogli pozwolić Josie odejść, kiedy widzieli ją, jak leży tutaj tak bliska powrotu do życia.

Musiałam ich uwolnić. Musiałam uwolnić Josie. Miałam tylko jedną, ostatnią szansę, jeśli zacznę działać od razu.

Moi rodzice wpatrywali się jak zaczarowani w twarz mojej martwej siostry, więc uniosłam skute dłonie do piersi. Miałam akurat tyle swobody ruchu, żeby zacisnąć palce na Firebirdzie. Przeskoczenie z tego świata niczego by nie zmieniło, jedynie pozwoliłoby mi zyskać kilka godzin lub dni.

Jednak w tym wisiorze kryła się nieprawdopodobna moc – a w Moskwie Paul pokazał nam wszystkim, jak wywołać przeciążenie.

Zamknęłam oczy. Wyobraziłam sobie jego ręce, naśladowałam jego ruchy. Czy zrobiłam to dobrze? Leciutka wibracja pod palcami podpowiedziała mi, że tak.

– Josie by tego nie chciała – stwierdziłam. – Ani wasza wersja, ani moja, ani żadna inna Josie. Sama to powiedziała.

Moi rodzice popatrzyli na siebie z większym zaskoczeniem i rozpaczą, niż przypuszczałam.

– Nie ma znaczenia, jak długo będziemy musieli nad tym pracować – odezwała się w końcu mama. – Ani jak bardzo to będzie trudne. Kiedyś odzyskamy naszą Josie.

Firebird w moich palcach rozgrzał się leciutko, tak jakbym właśnie

zakończyła podróż. Przypuszczam, że można by było tak powiedzieć.

– Nie o to mi chodzi. Josie nie będzie w stanie żyć dalej ze świadomością, ilu ludzi zginęło, by ona mogła istnieć. Będzie nienawidzić siebie za każdy oddech. Nigdy już nie spojrzy tak samo na was, na tutejszą wersję mnie ani na Conleya. Odbieracie jej w ten sposób wszystko, co kochała. Ładne mi przywrócenie do życia. Nie sprowadzacie jej tutaj z Nieba, tylko sprawiacie, że będzie żyła w piekle na Ziemi.

Ja jednak mogłam uratować moją siostrę. Mogłam ocalić cały mój świat. Wszystkich z wyjątkiem Paula.

Metal w moich dłoniach rozgrzał się jeszcze bardziej... stał się gorący...

– Co to za dźwięk? – Tata, który starał się mnie ignorować, odwrócił się gwałtownie i spojrzał na mnie. Jego oczy się rozszerzyły. – Dobry Boże...

Tak szybko, jak tylko mogłam, podniosłam Firebirda nad głowę i cisnęłam nim w szklaną szybę. Jeden z paneli roztrzaskał się, odłamki posypały się na wszystkie strony. Sam Firebird wylądował na środku zatrzymanego w półstaniu ciała Josie – ciała, które właśnie zaczynało się stawać obserwowalne – i na moment zalśnił czerwienią w miejscu, gdzie powinno być jej serce. Moja matka wrzasnęła, a ja zaczęłam się zastanawiać, jak wielki będzie wybuch.

Kiedy nastąpił, wydawało się, że ryk eksplozji wstrząsnął jednocześnie wszystkimi wymiarami.

Kiedy odzyskałam przytomność, musiało minąć zaledwie kilka minut. Odłamki szkła i metalu leżały na podłodze, a najbliższe ekrany komputerowe pociemniały, zakończywszy chwilowo swoje apokaliptyczne obliczenia. Leżałam na jednym ze stołów i miałam wolne ręce.

Nieobecność Firebirda wydawała się dziwna. Przywykłam do jego ciężaru na piersi i dotyku metalu na skórze. Zniszczenie Firebirda sprawiło, że zostałam uwięziona w tym wymiarze na zawsze – albo do chwili, gdy postanowią mnie wygnać do jakiegoś innego wymiaru, żeby Zła mogła wrócić do domu. Mogła w każdej chwili przeskoczyć do swojego ciała, ale to ja panowałabym nad jej świadomością tak długo, jak długo będę tu pozostawać. Czy odeślą mnie do mojego własnego wszechświata, żebym zginęła razem z nim? Czy też może wypędzą mnie w jakieś przypadkowe, nieznanne miejsce, żebym spędziła ostatnie godziny w samotności?

Nie czułam bólu ani zawrotów głowy. Nie było mi niedobrze. Najwyraźniej moja utrata przytomności nie miała związku ze wstrząsem mózgu. Może ludzka

świadomość dostrojona do Firebirda reagowała w ten sposób, kiedy Firebird nagle przestawał istnieć.

Usłyszałam głosy rodziców, zanim ich zobaczyłam. Dokładniej rzecz ujmując, usłyszałam moją matkę mówiącą:

– Skasuj wszystkie dane powiązane z projektem Eurydyka. Usuń na stałe, bezzwłocznie przekaż do zniszczenia nośniki danych. Autoryzacja: Kovalenka Jeden.

Odwróciłam głowę i zobaczyłam zielony promień przesuwający się po jej oku i sprawdzający wzór siatkówki. Na ekranie pojawiły się lśniące litery: DZIAŁANIE POTWIERDZONE.

Tata zawahał się i westchnął.

– Dodatkowa autoryzacja: Caine Jeden.

Znowu wyświetliło się DZIAŁANIE POTWIERDZONE.

Moja mama wyciągnęła rękę do ekranu i w tym momencie mnie zauważyła. Ku mojemu zaskoczeniu uśmiechnęła się. Był to najsmutniejszy uśmiech, jaki widziałam.

– Czyli nic ci nie jest.

– No, nie. – Spróbowałam usiąść. Czułam się dobrze i nikt mnie nie zatrzymywał. W sali nie było ani jednego ochroniarza. – Co się stało?

– Stało się to, że zniszczyłaś wszelkie szanse na przywrócenie do życia Josie.

– Tata zamknął na chwilę oczy, ale jego głos pozostawał łagodny. – Nie przez zemstę. Wiemy to. Naprawdę. – Mówił to tak, jakby musiał sam siebie przekonywać. – Uważałaś, że w ten sposób ocalisz inne światy, a także ją samą, prawda?

Skinęłam głową. Wybuch Firebirda wpłynął na „nieobserwowalne” ciało w tym wymiarze – gdyby Firebird nie miał takich możliwości, nie byłby w stanie sprowadzić nas z powrotem do naszych ciał. Kiedy zniszczyłam tamtą komorę, unicestwiłam na zawsze ciało Josie. Nie mieli już powodów, aby anulować kolejne wszechświaty, ponieważ kawałeczki jej duszy nie miały do czego powracać. Josie mogła wreszcie spocząć w spokoju.

Wiedziałam, że postąpiłam słusznie. Nie mogłam tylko uwierzyć, że najwyraźniej moi rodzice też tak uważali.

– Nie jesteście źli, że to zrobiłam?

– Jesteśmy – odparła ostro mama. – Utrata Josie w każdych okolicznościach byłaby dla nas najgorszym koszmarem. Ale to, co powiedziałaś... o tym, co ona by czuła...

– Myśleliśmy o sobie – dodał tata. – Nie o niej.

Moja mama mówiła dalej.

– Jeszcze bardziej jesteśmy źli na siebie, że w ogóle poszliśmy tą drogą. Że wciągnęliśmy w to Josie, a potem naszą Marguerite. Staraliśmy się oszukać przeznaczenie, na które całkowicie zasługiwaliśmy. Czy zrobiłaś coś, do czego nie zostałaś przez nas zmuszona? Czy cierpimy z powodu straty, na którą nie zasłużyliśmy?

– Sami nie potrafilibyśmy tego przerwać – przyznał tata. – Ale rozumiemy, dlaczego musiałaś nas powstrzymać.

Niemożliwe, żeby tak łatwo się poddali. Niemożliwe. Czy naprawdę wysłuchali tego, co starałam się im powiedzieć wcześniej? Tak bardzo kochali Josie...

...ale kochali także mnie. Może pomimo tej okropnej straty, jaka ich spotkała, i rozpoczętej na nowo żałoby, potrafili pozwolić Josie odejść, jeśli to oznaczało, że zatrzymają córkę, która im pozostała.

Okaleczone portrety Josie nie dawały mi spokoju. Jeśli wersje moich rodziców z Centrali zrezygnują ze swoich dążeń, mogę spróbować pogodzić ich z ocalałą córką, nawet jeśli to oznaczało dla Złej happy end, na który nie zasługiwała.

Napomniałam sama siebie, żeby nie nazywać jej tutaj Złą.

– Wasza Marguerite jest gotowa zrobić wszystko, żebyście zwrócili na nią uwagę. Żebyście kochali ją najbardziej. Ale wy wmawialiście jej, że wszyscy inni ludzie są do zastąpienia, że absolutnie każdy w multiwszechświecie może iść prosto do diabła, jeśli tylko wy odzyskacie Josie. To jasne, że postrzega siebie jako kogoś do zastąpienia. Zabijała wszystkie te inne Marguerity, ponieważ to przypominało popełnianie samobójstwa za każdym razem.

– Nie – upierała się moja matka. – Ona także chce odzyskać Josie tak samo mocno. Nie znasz jej tak jak my.

– Nie muszę jej znać. Jestem nią. Każda nasza wersja jest niepowtarzalną indywidualnością, którą należy postrzegać jako odrębną osobę, ale gdzieś w głębi kryje się zawsze coś takiego samego. Dlatego właśnie ja mogę widzieć, jaka ona jest naprawdę, a wy nie. Dlatego wiem, jak bardzo ją to niszczy. – Z trudem szukałam właściwych słów. – Kiedy wróci do domu, czeka was mnóstwo pracy.

Tata powoli pokiwał głową.

– Odzyskamy ją. W taki lub inny sposób.

Super, jeśli tylko ja nie będę musiała mieć z nią więcej do czynienia.

Moja matka w końcu odwróciła się do konsoli komputerowej.

– Na moje polecenie uruchom ostateczne zniszczenie wszystkich plików projektu Eurydyka.

Naprawdę to robili. Naprawdę zamierzali zakończyć swoją walkę o Josie. Było już po wszystkim.

Dlaczego jednak Paul musiał umrzeć za coś takiego? Poczucie niesprawiedliwości i straty dręczyło mnie i sprawiało, że moje gardło znowu się zacisnęło. Jego śmierć ocaliła tak wiele innych istnień – powtarzałam to sobie, ale nie potrafiło mnie to obejść. Nie teraz, jeszcze nie. W tym momencie rozumiałam, dlaczego moi rodzice uważali niszczenie wszechświatów za niewielką cenę, jeśli dzięki temu mogli odzyskać Josie. Czułam, że mogłabym zrobić okropne rzeczy, rozerwać na strzępy cały ten straszny świat, gdybym tylko dzięki temu mogła znowu zobaczyć mojego Paula.

Nie zrobiłabym tego. W żadnym razie. Ale teraz rozumiałam, jak bardzo trzeba cierpieć, żeby czuć coś takiego.

Dzięki Firebirdowi mogłam go w każdej chwili odnaleźć albo przynajmniej jakąś jego wersję. Powtarzałam to sobie, ale to nie pomagało. Inna wersja nie wystarczała. Chciałam tego, który poświęcił wszystko, żeby mnie uratować, tego, którego trzymałam w ramionach w Moskwie, mojego Paula. A jego już nie było.

Mama nacisnęła coś na konsoli. Syntetyczny głos oznajmił:

– Rozpocynam procedurę zamknięcia projektu Eurydyka.

Ulga zalała mnie falą, od której zakręciło mi się w głowie. Było po wszystkim. Naprawdę było po wszystkim.

Światła w sali zgasły. Na chwilę zapadła ciemność, którą rozjaśnił pojedynczy monitor. Przed nami pojawiła się twarz Wyatta Conleya, dziesięć razy większa niż na żywo.

– Henry, Sophio, jeśli widzicie to nagranie, to oznacza, że chcieliście zakończyć projekt Eurydyka. – Conley wydawał się jeszcze smutniejszy od nich. – Kiedy przysięgałem, że odzyskam Josie bez względu na wszystko, musiałem wziąć pod uwagę każdy słaby punkt naszego planu. Jednym z takich słabych punktów było to, że stracie wolę kontynuowania projektu. Dlatego podjąłem odpowiednie kroki, żeby uniemożliwić wam powstrzymanie mnie.

To się nie mogło dzieć naprawdę. Ale w poświacie promieniującej z monitora pokazującego Conleya widziałam, jak blade i ściągnięte stały się twarze moich rodziców.

– Nie gniewam się – powiedział Conley. – Wybaczam wam. Czasem nadzieja jest jeszcze trudniejsza do zniesienia niż żaloba. Dla dobra Josie jedno z nas

musi być dostatecznie silne, aby ją unieść. Najwyraźniej będę to ja.

Moja mama pochyliła się i spojrzała na ekran komputera, na którym dane przesuwają się teraz w błyskawicznym tempie.

– Dobry Boże – szepnęła.

Conley złożył przed sobą ręce, jakby się modlił, i na moment dotknął palcami warg, zanim zaczął mówić dalej.

– W ramach środków ostrożności określiłem najważniejsze wektory źródłowe w multiwszechświecie. Ta informacja została już zaprogramowana w Firebirdzie i Marguerite w każdej chwili może ją wykorzystać.

Miał na myśli Złą, a nie mnie. Jej Firebird od samego początku był nastawiony na zniszczenie.

– Sygnał został już do niej wysłany, więc natychmiast podejmie odpowiednie działania. Oczywiście to zwiększy straty, jakie musimy spowodować, ale wiem, że mi to wybaczą, kiedy już odzyskamy naszą Josie. – Conley uśmiechnął się.

– Do usłyszenia wtedy.

Ekran pociemniał, pogrążając nas znowu w ciemności rozjaśnianej tylko migającym światłem danych przesuwających się na terminalu mojej mamy.

– Niech to szlag. – Tata brzmiał zupełnie znajomo. – Powinniśmy byli to przewidzieć. On z pewnością to potrafił.

– Ale on nie może odzyskać Josie! – zaprotestowałam. – To niemożliwe, skoro jej ciało nie istnieje.

– Wyatt nie wiedział tego, kiedy przygotowywał te zabezpieczenia – wyjaśniła moja matka. – Musiał to zrobić kilka miesięcy, może nawet kilka lat temu.

Mama i tata siedzieli przygarbieni, jakby przyznawali się do porażki. Nadal nie obchodziły ich inne wymiary, w każdym razie w porównaniu z ich żałobą. Chociaż nie chcieli ich już czynnie zniszczyć, nie zamierzali też walczyć, żeby je ocalić.

Ale ja nie zamierzałam przerywać walki. Ani teraz, ani nigdy.

– Musimy je uratować. – Kiedy rodzice popatrzyli na mnie zdziwieni, mówiłam dalej. – Macie jeszcze jednego Firebirda? Jeśli mi podpowiecie, do których wymiarów mam przeskoczyć i co zrobić, mogę jeszcze je ochronić. Przekazać im informacje o stabilizatorach i tak dalej. Powiedzcie mi tylko, że macie Firebirda!

Wydawało się, że mama otrząsnęła się z odrętwienia. Podeszła do najbliższej konsoli i przesunęła kilka przełączników. Drzwiczki w konsoli otworzyły się i odsłoniły Firebirda.

Chwila. Uświadomiłam sobie, co to oznacza.

– To jest mój. Ten, który zabrała mi Romola.

– Możemy przynajmniej ci go oddać – odezwał się tata ze smutnym, bladym uśmiechem.

Skinęłam głową i spróbowałam znowu przejść w tryb działania. Nie miałam czasu opłakiwać Paula. Nie mogłam sobie nawet pozwolić, aby o nim myśleć, ponieważ nie byłabym wtedy w stanie tego znieść. Musiałam się trzymać dostatecznie długo, aby dokończyć misję, za którą on oddał życie.

Potem będę się mogła wreszcie rozsypać.

– No dobrze, jestem gotowa. – Założyłam Firebirda na szyję. Ciężar łańcuszka dawno nie był tak przyjemny. – Gdzie mam przeskoczyć najpierw? Możecie mi przekazać dane, prawda?

Mój tata potrząsnął głową.

– To nie takie proste, Marguerite.

Mama wskazała terminal przed sobą.

– Conley ma zawsze intrygi wewnątrz intryg, plany wewnątrz planów. Multiwszechświat jest nieskończony, a on potrafi w pełni wykorzystać jego słabe punkty. Gdybym przypuszczała, że nie ufa nam nawet w najmniejszym stopniu... ale teraz to bez znaczenia. Wystarczy powiedzieć, że dopóki Conley zechce kroczyć tą drogą, a nasza córka będzie skłonna mu pomagać, nie możemy go powstrzymać. Zagrozenie nieskończonej liczby dróg jest z definicji niemożliwe.

– Czyli co? On wygrywa? – Usiadłam ciężko.

To brzmiało tak, jakby jedyną metodą było przekonanie Conleya, żeby zmienił zdanie, ale nie przypuszczałam, aby mogło mi się to udać. W tym momencie nie chodziło już tylko o jego miłość do Josie, którą utracił. Chodziło o pokazanie, że nikt nigdy nie powstrzyma go przed zrobieniem tego, co planuje. Pycha może być równie silna co miłość i o wiele bardziej okrutna.

– Nie, to nie tak. – Moja matka wyprostowała się. – Jest jeszcze jeden krok, jaki możemy podjąć. Drastyczny, nawet radykalny, ale gdy to zostanie zrobione, Conley już nigdy nie zagrozi żadnemu wymiarowi.

W pierwszej chwili poczułam złość.

– No to dlaczego od razu tego nie zrobiliście, zamiast bawić się w to zamykanie projektu, przez co Conley o wszystkim się dowiedział?

– Ponieważ ta metoda polega na trwałym odseparowaniu tego wymiaru od pozostałych. – Tata objął mamę zaskakująco czułym gestem. – Możemy zamienić go w coś w rodzaju kieszonkowego wszechświata, odrębnej bańki.

– Czyli... nie będziecie już w stanie podróżować poza granice swojego wszechświata. Wasze Firebirdy przestaną działać.

Rozumiałam, dlaczego się wahali przed zrobieniem tego. Jednak czysta rozpacz na twarzach moich rodziców podpowiadała mi, że ten scenariusz może stać się jeszcze bardziej ponury.

– To najbardziej optymistyczny scenariusz – powiedziała moja matka. – W czarnym scenariuszu bańka pęknie. Nastąpi kolaps tego wymiaru.

– No nie. – Takiego losu nie życzyłam nawet Centrali. – To zbyt wiele. Wszystkie te miliardy ludzi, którzy tu żyją...

– Przestaną istnieć. – Mój ojciec wpatrywał się w dal niewidzącym wzrokiem, może wyobrażając sobie kres tego świata. – To jednak nadal będzie mniej ludzkich istnień, niż już zgładziliśmy. Jeśli Conley będzie kontynuował swój plan, byłby to drobny ułamek potencjalnych strat.

– To nie znaczy, że macie się poświęcać.

W przypadku Conleya, a nawet w przypadku moich rodziców, byłoby to sprawiedliwe. Dla wszystkich niezliczonych ludzi, którzy żyli teraz i kiedykolwiek w przeszłości w tym wymiarze, byłoby to niewyobrażalne okrucieństwo. Może powiedzielibyście, że warto poświęcić jedno życie, aby uratować setkę innych czy coś w tym rodzaju – ale kiedy zaczynacie mówić o całych wymiarach, skala staje się zbyt gigantyczna na takie wyliczenia. Miliardy ludzkich istnień nie dają się wcisnąć jako „x” w równanie.

– Naprawdę zamierzacie to zrobić?

Poza tym mama i tata nie umrą tak po prostu. Zostaną zniweczeni, anulowani aż do kresu czasu...

– Zaraz – powiedziałam. – Jeśli wasz wszechświat zginie, czy nie pociągnie za sobą mojego? Wpływaliście na nas, zmieniliście nas.

– Ale nie stworzyliśmy was. Dlatego nie, kolaps nie obejmie twojego wymiaru. – Mój ojciec popatrzył na mnie z namysłem. – Nastąpi w nim natomiast odkształcenie. Wasze działania od momentu naszej ingerencji w wasz wszechświat zostaną wymazane, podobnie jak nasz wpływ. Wasza rzeczywistość przybierze nowy kształt.

– Nie musisz się martwić o zamieszanie – dodała mama. – Niczego nie będziecie pamiętać.

– A co z Paulem? On zginął tutaj... Ale będzie znowu żywy, prawda? – Poczułam coś przypominającego nadzieję.

– Gdyby nie zginął w tym wszechświecie, powiedziałbym, że tak, z pewnością. – Mój ojciec rozważał to jak jeszcze jedną teorię. Dla niego był

to tylko kawałek układanki, a nie ludzkie życie zawieszona w punkcie równowagi. – W obecnej sytuacji pytanie staje się bardziej złożone.

– Nawet tego nie wiecie?

Krucha nadzieja roztrzaskała się jak porcelana. Może Paul powróci do życia, a może zostaniemy cofnięci do samego początku, bez cienia świadomości, że znaleźliśmy kiedyś Paula Markova, a już na pewno bez żadnego pomysłu, co też mogło się z nim stać. Nie tylko będzie martwy, ale zostanie także zapomniany.

Wszystko, co mi pozostało po Paulu, to były wspomnienia. Nie mogłam z nich zrezygnować.

Jeśli wymazany zostanie wpływ Centrali na nasz wymiar, podobnie wymazany zostanie nasz wpływ na inne wymiary. Gdybyśmy nie przybyli do Uniwersum Rosyjskiego, wielka księżna nigdy nie miałaby dziecka, chociaż porucznik Markov niezależnie od wszystkiego poległby w bitwie. Zostałaby uwięziona w życiu, którego nienawidziła, i zmuszona do poślubienia obcego mężczyzny, a po jej wielkiej miłości nie pozostałoby dziecko.

Theo z Uniwersum Mafii nie byłby postrzelony, a Marguerite z Uniwersum Londyńskiego nadal by żyła. Ale moja matka z Uniwersum Josie byłaby pogrążona w niemal samobójczej depresji, a w Uniwersum Wojennym nie nastąpiłby przełom technologiczny potrzebny im do pokonania wroga. Pęknięcia w multiwszechświecie rozszerzałyby się coraz dalej i dalej, poza jakiegokolwiek możliwości osądzenia, czy zmiany są na korzyść, czy też na niekorzyść. Nikt nie byłby w stanie do końca objąć umysłem wszelkich konsekwencji takiego działania.

Ostatecznie pomyślałam o wielkiej księżnej. Gdy odebrałam jej noc z porucznikiem Markovem, wykradłam jej coś cennego. Nie odbiorę jej także dziecka.

Paul powiedziałby to samo, gdyby tutaj był, nawet jeśli by wiedział, że to go będzie kosztować życie.

Moje działania niosły ze sobą konsekwencje. Wszyscy inni musieli żyć z następstwami wyborów, jakich dokonałam – teraz przyszła kolej na mnie.

– Nie róbcie tego – powiedziałam. – Wymyślimy coś innego. Możecie zacząć od przywołania waszej córki do porządku.

– Żadna inna metoda nie gwarantuje sukcesu. – Moja mama wzruszyła ramionami. – Poza tym istnieje co najmniej czterdziestoprocentowe prawdopodobieństwo, że przetrwamy.

Czterdzieści procent nie brzmiało jak świetny układ.

– Proszę, nie możecie tego zrobić. Jeśli nie zależy wam na własnym świecie,

pomyślcie o moim! Napiszecie od nowa jego historię. To jak... jak zniszczenie jeszcze jednego wymiaru, w pewnym sensie.

– Ale będzie po wszystkim. – Niebieskie oczy mojego ojca, zazwyczaj pełne ciepła, stały się odległe i blade jak staw pokryty lodem. – W końcu będzie na dobre po wszystkim.

W tym momencie zrozumiałam, że mama i tata nie chcą się bohatersko poświęcić dla nas wszystkich. Nie obchodzi ich, czy żyją, czy też nie. Stracili Josie. Stracili swój cel w życiu. Przed chwilą jeszcze myśleli, że mogą dokonać czegoś dobrego, jeśli powstrzymają Conleya, i to ich podtrzymało na duchu. Teraz woleli umrzeć, niż dłużej znosić swoją żalobę.

Moi rodzice chcieli tylko znowu być z Josie.

– Powinnaś natychmiast wracać do domu – powiedział cicho tata. – Poza tym... ta komunikacja, którą nawiązaliście między wymiarami... Tak przy okazji, to bardzo sprytne, zorientowaliśmy się dopiero wczoraj. Pogratuluj naszym innym wersjom...

– Henry. – Mama poklepała go po ramieniu, co zwykle było jej sposobem przekazania tacie, że mówi za długo.

Nawet w tym momencie najgłębszej rozpaczycy rozumieli się bez słów.

Tata westchnął.

– Jeśli moglibyście użyć tego systemu, żeby przesłać wiadomość naszej córce, powiedzcie jej, proszę, żeby wróciła do domu.

– Co się stanie, jeśli jej tutaj nie będzie, kiedy ten wszechświat zostanie odizolowany? Czy ona umrze? – Popatrzyłam kolejno na mamę i na tatę. – Czy może zostanie tak jakby ściągnięta tutaj automatycznie?

– Stanie się... – Mama zastanowiła się nad tym. – Duszą bez ciała. Być może będzie mogła podróżować swobodnie pomiędzy wymiarami, ale tylko wewnątrz innych Marguerit. Nigdy nie zdoła powrócić tutaj. Przypuszczam, że to będzie prawie to samo, co się z nią stanie, jeśli nastąpi kolaps tego wszechświata, ale podejrzewam, że wolałaby być duchem, niż po prostu zniknąć wraz z nami wszystkimi.

– Ale zapytajcie ją o to. Proszę. Jeśli wam się uda. – Głos taty załamał się lekko. – Przekaż Josie, że ją kochamy. Od razu. Dopóki jeszcze nas pamiętasz.

Zaledwie kilka minut temu wydawało mi się, że w końcu widzę w tych ludziach moich rodziców. Teraz przerażali mnie bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Pomyślałam o wszystkich innych, którzy zasługiwali na to, by ich ocalić. O wielkiej księżnej i jej dziecku. Władimirze, carewiczu Wszechrusi. Josie

rozmawiającej ze mną w trakcie wyprawy raftingowej do Szkocji, pełnej życia i entuzjazmu. Walentynie i jej upartym podbródkiem. Nowojorskiej wersji Romoli, lojalnej ponad wszystko inne. Theo z Uniwersum Wojennego, który od tak dawna walczył o swoje życie i był tak beznadziejnie, bezgranicznie zakochany.

O moim ojcu, guwernerze rodziny carskiej, ukrywającym sekret, że jedno z ich dzieci jest jego. O mojej matce w świecie, w którym straciła już mojego ojca i siostrę, ale sam widok Firebirda dał jej nadzieję i siłę do dalszego życia.

I o Paulu. O tym, który jako nastolatek nauczył się języka migowego, żeby rozmawiać z dziewczyną, która mu się podobała. O tym, który został odtrącony i zdradzony, ale mimo to przeskoczył do ginącego wszechświata, żeby mnie uratować. O poruczniku Markovie – martwym i utraconym na wieki, ale nadal pamiętanym w świecie, w którym urodzi się kiedyś jego dziecko. O moim Paulu, który mógł być już tylko wspomnieniem, ale myślał, czuł, kochał i zasługiwał na to, by istnieć choćby w przeszłości.

Wszystkie nasze losy były zawieszane w równowadze, tak samo jak wszystkie nasze historie. Ja zaś mogłam tylko uciekać.

Rozdział dwudziesty ósmy

Wiedziałam, że coś jest nie tak już w momencie, gdy pojawiłam się w moim wymiarze.

Zazwyczaj powrót do własnego ciała jest łatwy i przyjemny, jak wślizgnięcie się do gorącej kąpieli. Teraz czułam się, jakbym wpadła prosto w lodowatą wodę. Ból promieniował na całe moje ciało, wszystkie nerwy iskrzyły, a w pierwszej chwili nie byłam w stanie skupić ani myśli, ani wzroku.

Kiedy znowu zaczęłam widzieć, w dłoni ściszałam kartkę, na której było napisane: ZAKRADŁAŚ SIĘ DO MOJEGO DOMU, WIĘC JA SIĘ ZAKRADŁAM DO TWOJEGO.

Moja dłoń wypuściła kartkę bez mojej woli, a ja zrozumiałam, że naprawdę wróciłam do domu. Ale Zła zdążyła tutaj być przede mną.

To był Włamywacz. Zdążyła już potraktować moje ciało Włamywaczem. Byłam uwięziona.

Zupełnie jakby słyszała moje myśli, Zła spojrzała w lustro nad moją toaletką w sypialni i uśmiechnęła się triumfalnie.

– Wypuść mnie stąd! – krzyknęła Josie ze schowka w korytarzu. Tłukła w drzwi tak gwałtownie, jakby chciała je przebić na wylot pięściami. – Oddawaj moją siostrę!

Świeże zadrapania i siniaki promieniowały bólem na moich rękach i tułowiu. Josie walczyła z całej siły, a była ode mnie silniejsza. Zła wygrała tylko dzięki przewadze, jaką jej dało zaskoczenie. Jednak drzwi schowka były grube i Josie na razie nie mogła się wydostać.

Zła przeszła z sypialni do salonu, zaledwie przelotnym spojrzeniem zaszczycając drzwi, w które tak desperacko waliła Josie. Przytulna atmosfera zniknęła – nie, została zniszczona. Rośliny leżały poprzewracane, a ich korzenie wiły się bezwładnie w cylindrycznych kopczykach ziemi na podłodze. Książki były porzucane, z pokrytych farbą tablicową ścian starto równania i zastąpiono je obscenicznymi rysunkami oraz chamskimi komentarzami dotyczącymi względnych rozmiarów... No, względnych rozmiarów Paula i Theo.

O wiele bardziej niepokojący był widok Theo ze związanymi z tyłu rękami, z krwią ściekającą z kącika ust.

– Ten Włamywacz nie wystarczy na długo! – krzyknął ochrypłym głosem,

co świadczyło o tym, że krzyczał od dłuższego czasu. – Zużyłaś już wszystko i niedługo jego działanie się wyczerpie, a wtedy będziesz miała przerąbane!

– Nie musi wystarczać na długo. Ja już skończyłam. – Zła uniosła swojego Firebirda i zostawiła mojego na mojej szyi. Odwróciła się do tego samego lustra, przed którym zaplatała włosy, a w jej oczach lśnił triumf. – Kiedy następnym razem przejmiesz moje ciało pod moją nieobecność... umrze ktoś, kogo kochasz.

Poczułam szarpnięcie, a potem oparłam się ciężko o najbliższą ścianę. Ból mojego poobijanego ciała nasilił się, ale nie obchodziło mnie to. Byłam znowu sama we własnej głowie.

– Theo? To jestem ja. – Podbiegłam do krzesła i rozpięłam pasek, który przytrzymał mu ręce za plecami. – Boże, co ona ci zrobiła?

– Sprząła mnie na kwaśne jabłko. Zapamiętaj sobie, że nie udałoby jej się to, gdybym był już całkowicie zdrowy. – Theo rozciągnął ramiona, potarł czerwone ślady pozostawione przez pasek wrzynający mu się w skórę i wstał. – Albo gdyby Josie zdążyła tu w porę. Gdyby Zła nie rzuciła się na nią z zaskoczenia, Josie by sobie z nią poradziła.

Szybko uściskałam Theo.

– Czy jest jakaś metoda, żeby uratować Centralę?

Spojrzął na mnie kompletnie zaskoczony.

– Chwila. Dlaczego próbujemy ratować Centralę? I przed czym?

– Chcą odizolować swój wymiar, żeby Zła nie mogła się już stamtąd wydostać, ale jest ryzyko, że nastąpi kolaps całego wszechświata, a jeśli tak się stanie, nasza historia zostanie całkowicie nadpisana. Nie możemy do tego dopuścić. Poza tym... jeśli możemy uratować wymiar, powinniśmy to zrobić. Nawet jeśli jest to Centrala. – Moi rodzice i Wyatt Conley byli zaledwie trojgiem spośród miliardów jej mieszkańców. Theo z tamtego świata zasługiwał na to, aby przetrwać, podobnie jak nieskończona liczba ludzi. – Myślę, że już zaczęli ten proces. Czy możemy go zatrzymać?

Theo zastanowił się przez chwilę i potrząsnął głową.

– Gdybym miał miesiąc, żeby nad tym popracować, może mógłbym się zorientować, co dokładnie robią i jak można zapobiec kolapsowi. Ale nawet ja nie jestem taki genialny, żeby zrobić to w kilka minut.

Co się stanie z nami wszystkimi? Czy znajoma rzeczywistość za chwilę zostanie wymazana? Nie miałam jak się tego dowiedzieć, bo nie miałam na nic wpływu.

– Czyli po prostu... musimy tu siedzieć? Czekać, żeby się przekonać, czy

nasze wspomnienia zostaną zmienione?

– Na to wygląda – mruknął Theo.

– Marguerite, czy to ty?! – zawołała Josie ze schowka i znowu zaczęła walić w drzwi. – Wypuść mnie stąd!

Podbiegłam, żeby ją uwolnić, co w tym momencie wydawało się jedyną pożyteczną rzeczą, jaką mogłam zrobić.

– Co się dzieje? – Tata wyjrzał z sypialni.

Domyśliłam się, że też właśnie wrócili.

Otworzyłam schowek i zobaczyłam Josie wciśniętą między zimowe palta. Jej podbite oko zaczynało już zmieniać kolor, a jedną rękę zacisnęła w pięść na wypadek, gdybym kłamała i nie była naprawdę sobą. Ale uspokoiła się, kiedy wypuściłam ją na korytarz, gdzie czekali już mama, tata i Theo.

Kiedy opowiedziałam o planach odizolowania Centrali w oddzielnej bańce, obecni w pokoju fizycy zareagowali poruszeniem, jakie obserwowałam zawsze, gdy ich myśli zaczynały przyspieszać. Wiedzieli, że nasza historia może zostać wymazana, zanim im o tym powiedziałam. Nawet jeśli to było niemożliwe, zastanawiali się nadal, jak w porę ochronić Centralę. Theo złapał nawet kawałek kredy, żeby zapisać jakieś szacunkowe równania, chociaż zatrzymał się na moment i skrzywił na widok tego, co Zła wypisała na ścianie.

– Serio? – mruknął i wytarł słowa przedramieniem. – Daj spokój, trzeba mieć ciut zaufania do faceta.

Kiedy matematyka zaczęła latać w powietrzu, mama zapytała:

– Gdzie jest Paul? Przeskoczył za tobą z Uniwersum Moskiewskiego do Centrali. Udało wam się znaleźć?

Nie umiałam z siebie nic wydusić. Jak miałam przekazać pozostałym, że Paul nie żyje? Musiałam to zrobić, wiedziałam o tym, ale miałam wrażenie, że dopiero wtedy, gdy powiem o tym na głos, stanie się to prawdziwe. Zupełnie jakby moje milczenie mogło mu pozwolić wrócić do nas bezpiecznie, jakby to wszystko było tylko złym snem.

– Dobre wieści – oznajmił Theo, oszczędzając mi konieczności odpowiadania. Josie przerwała wkładanie roślin do doniczek.

– Co takiego?

– Jeśli prawidłowo używamy tej technologii śledzenia z Uniwersum Wojennego, a wydaje mi się, że tak, Zła wróciła prosto do domu, czyli do Centrali. To chyba znaczy, że jest skończona. Oni odizolują ten świat albo go zniszczą, ale tak czy inaczej ona tu nie wróci, prawda?

– Prawda.

Nie musiałam jej już przekazywać wiadomości od rodziców. Centrala zostanie zaraz odizolowana na zawsze. Żaden wymiar nie znajdzie się w niebezpieczeństwie. Naprawdę zaraz będzie po wszystkim. Gardło zacisnęło mi się od tłumionych łez, z ulgi i rozpaczy, której nie mogłam dłużej powstrzymać.

– Kochanie? – Tata podszedł do mnie bliżej, a niepokój w jego niebieskich oczach zmienił się w lęk. – Mówiłaś już, czy znalazłaś Paula? Widziałaś się z nim?

Theo wyglądał, jakby poczuł się gorzej. Odczytał z mojej twarzy prawdę.

– Nie – wyszeptał. – Nie, to niemożliwe...

Poczułam falę mdłości, a zaraz potem zakręciło mi się w głowie. Oparłam się o ścianę rękami, żeby się nie przewrócić. Moja matka krzyknęła z obawy, że zaraz zemdleję z rozpaczy, a w tym momencie pozostali zrozumieli, skąd się ona bierze – dlaczego nie mogę powiedzieć, co się stało z Paulem.

Zawładnął mną jednak inny koszmar, paraliżujący moje mięśnie, głos i wolną wolę. Znowu byłam uwięziona we własnym ciele. Na mojej szyi wisiały dwa Firebirdy.

Zła wróciła.

– Czy ty... czy ty myślałaś... – mówiła z trudem. Wpływ Włamywacza słabnął. Już niedługo będzie miała nade mną władzę. – Że ja... pozwolę im... mnie zabić?

Dowiedziała się o bańce. Dowiedziała się o ryzyku kolapsu, dlatego uciekła tutaj.

– Marguerite? – zapytała Josie.

Jako jedyna nie była skrajnie wytrącona z równowagi wiadomością o Paulu, a w każdym razie nie na tyle, żeby nie zauważyć, że zachowuję się dziwnie. Zła odwróciła się i zasłoniła moją twarz dłońmi.

Możesz przeżyć! Istnieje szansa! – Te słowa nie wyszły jednak z moich ust.

Ale to nie miało znaczenia, ponieważ Zła mnie usłyszała i odparła ochryplym szeptem:

– Niewystarczające... prawdopodobieństwo.

W tym dziwnym półzamroczeniu narkotykowym moja świadomość mogła się z nią komunikować. Byłam pewna, że lada moment odzyskam panowanie nad sobą.

Nie nastąpiło to jednak dostatecznie szybko, ponieważ Zła wzięła swojego Firebirda i wprowadziła ustawienia, jakich nigdy wcześniej nie widziałam. Jednak wiedziałam, co to jest, zanim rozpoznałam kolisty ruch kciuka, który

wykonała Romola Harrington w Uniwersum Rzymskim.

Zła wywoływała kolaps. Zamierzała zniszczyć mój wszechświat.

Nie, to niemożliwe. Mogliśmy się ochronić, prawda? Zrobiliśmy to już w tylu światach...

– Nie ochroniliście... siebie... jako pierwszych. To głupota. – Roześmiała się krótko, gorzkim dźwiękiem, który nie brzmiał, jakby wychodził z mojego gardła. – Zawsze... dbajcie o siebie... przede wszystkim.

Ale ty także zginiesz! Jeśli twój i nasz świat znikną, zabijesz siebie razem z resztą nas.

– Nie szkodzi, jeśli tylko dorwę was wszystkich. Ty ich do tego namówiłaś. Ty to na was ściągnęłaś, więc teraz się nie dziw.

– Marguerite? – zapytała moja matka przez łyżę. – Co ty...

Theo zorientował się.

– O cholera, nie! – warknął. – Nie teraz!

Ziemia zadrżała. Nie tak mocno. To nie było nic nadzwyczajnego w rejonie uskoku San Andreas. Moi rodzice i Josie prawie nie zareagowali, ale ja znałam prawdę. To był początek końca.

Miałam ochotę obrzucić Złą najgorszymi słowami. Chciałam powiedzieć jej, że prowadzi najgorsze życie ze wszystkich Marguerit w całym multiwszechświecie nie dlatego, że jej wymiar jest okropny, tylko dlatego, że wybrała egzystencję pełną złości, podłości i mściwości, z którymi nic nie mogło się równać. Chciałam zadrwić i uprzedzić ją, jaki horror ją czeka – cała wieczność pasożytnictwa, w której nigdy, przenigdy nic ani nikt nie będzie należeć do niej.

Jednak mój los był jeszcze gorszy. Nigdy się nie urodzę. Spędzę ostatnie chwile ze świadomością, że wszyscy, których kochałam, zostaną zaraz wymazani wraz ze mną. Zła skazała nas wszystkich na zagładę.

Ziemia znowu zadrżała, tym razem mocniej. Dłonie Złej zacisnęły się na Firebirdzie i w jednej chwili zniknęła.

Cofnęłam się chwiejnie, a Theo złapał mnie za ramiona i potrząsnął.

– Wynoś się z niej. Wynoś się!

– Już jej nie ma! To ja – jęknęłam. – To jest kolaps. Zaczął się kolaps wszechświata. Zła użyła mojego Firebirda, żeby nas zniszczyć...

– Co takiego?! – Theo wyglądał, jakby miał zemdleć.

Na twarzach moich rodziców odmalowało się zrozumienie, a zaraz potem zgroza.

– Zła przeskoczyła znowu do mojego ciała. Zaczęła reakcję łańcuchową. Nie

mogłam jej powstrzymać.

Moje gardło ścisnęło szloch. Moi rodzice, przyjaciele i cały świat mieli zaraz umrzeć z mojej ręki.

– Cholera! – Tata podbiegł do sprzętu ustawionego po drugiej stronie salonu. Mama i Theo deptali mu po piętach. – Uda nam się. Ile mamy czasu?

Chciałam powiedzieć, że kilka godzin. Tyle czasu trwało, zanim zaczęła się zagłada Uniwersum Rzymskiego. Może jednak nasz świat był bardziej kruchy, ponieważ wstrząsy już powróciły, na tyle silne, by naczynia w kredensie zagrzechotały. Kilka książek pozostałych na regałach spadło na podłogę.

– Nie dość dużo – zwróciła się mama do taty.

Mimo wszystko rzucili się do działania, zbierając materiały i starając się jak najszybciej poskładać stabilizator. Josie, z całkowicie pustym spojrzeniem, zaczęła zdejmować resztę rzeczy z półek i układać je na podłodze, żeby nie spadły i się nie porozbijały – co miało sens podczas trzęsienia ziemi, ale teraz było irracjonalne. Nie dziwiłam się jej, że jest przerażona do tego stopnia, że znalazła się w szoku. Całe moje ciało było jak odrętwiałe.

W tym momencie usłyszałam za sobą kroki w korytarzu. Kto poza nami mógł być w naszym domu?

Tylko jedna osoba.

Odwrociłam się błyskawicznie na pięcie i zobaczyłam...

– Paul!

Był żywy. Mimo wszystko ocalał...

...po to tylko, by powrócić tutaj i zginąć wraz z nami wszystkimi.

Chciałam do niego podbiec, ale wstrząsy prawie mnie przewróciły. Nie upadłam na podłogę tylko dlatego, że przytrzymałam się ściany. Paul złapał równowagę, zapierając się rękami o ściany korytarza. Kiedy tylko drżenie ziemi trochę ustało, wbiegł do pokoju.

– Co się dzieje?

– To kolaps wszechświata – wyjaśnił Theo. – Zła Marguerite opętała Dobrą Marguerite na dość długo, żeby to załatwić.

Paul odwrócił się do mnie w momencie, gdy znalazłam się przy nim. Nadal miał zabandażowaną rękę, a na niej ranę, którą zadała Zła. Rzuciłam mu się w ramiona, jakby jego siła mogła mnie podtrzymać, nawet jeśli reszta świata się rozpadnie. Zapach jego skóry, dotyk jego rąk na moich plecach, nawet oddech, który wstrzymał, gdy przyciągnął mnie bliżej – wszystko to było dla mnie jeszcze cenniejsze niż wcześniej. To był najpiękniejszy i najstraszniejszy moment mojego życia.

Najstraszniejszy, ponieważ wiedziałam, że Paul został mi zwrócony w samą porę, żebyśmy mogli razem umrzeć.

Chociaż powstrzymywany szloch mógł w każdej chwili uniemożliwić mi mówienie, zdołałam wykrztusić:

– Gdzie byłeś? Myślałam, że już po tobie.

– Nie miałem czasu ustawiać nowych współrzędnych. Musiałem przeskoczyć z powrotem do Uniwersum Moskiewskiego, a potem naładować Firebirda i... niech to szlag. – Paul znowu zaklął po rosyjsku z powodu ironii losu, który pozwolił mu wrócić do domu w samą porę, żeby zginąć.

Chociaż znałam odpowiedź, musiałam zapytać:

– Nie możemy uciec, prawda?

Pocałował mnie w policzek i w czoło, a potem przytulił jeszcze mocniej.

– Nie ma drogi ucieczki, w każdym razie takiej, na którą byśmy się zdecydowali.

Miał rację. Nasza egzystencja po czymś takim składałaby się z tego, co potrafilibyśmy wykraść innym naszym wersjom, innym światom. Czy odebrałabym Walentynie jej prawdziwych rodziców raz na zawsze? Czy zmusiłabym siebie z Uniwersum Wojennego do oddania mi życia, które odtąd bym prowadziła? Czy postanowilibyśmy raz na zawsze przejąć jedną naszą wersję alternatywną, czy odbieralibyśmy tygodnie i miesiące wielu różnym? Ucieczka z tego wymiaru bez żadnej nadziei na powrót do domu zamieniłaby nas w pasożyty.

Nie chciałam umierać, ale nie zamierzałam żyć za cenę zdradzenia tego, w co wierzyłam, i tych, których kochałam.

Przynajmniej mogłam jeszcze raz zobaczyć Paula, zanim nastąpił koniec.

Odwrócił się i spojrzał na gorączkowy ruch przy tęczowym stole. Nie ruszył się, żeby do nich dołączyć. Wtedy to zrozumiałam.

– Paul, czy oni zdążą zbudować stabilizator?

– Nie.

W tym momencie zaczęło się prawdziwe trzęsienie ziemi. Z wrzaskiem lub krzykiem poleciliśmy na podłogę, z wyjątkiem Josie, która już tam leżała. Krzyki na zewnątrz sprawiały, że zaczęłam się zastanawiać, jak wygląda niebo i czy ziemia się otworzyła, odsłaniając wizję czystego piekła.

Paul przyczołgał się do mnie i wyciągnął rękę. To był koniec. Pocałujemy się na pożegnanie i umrzemy w swoich ramionach.

On jednak złapał mojego Firebirda, a ja przypomniałam sobie, co może być dla nas jedyną szansą.

– Sprzężenie Firebirdów! – zawołałam, przekrzykując brzęk spadających talerzy i wyjące na zewnątrz alarmy samochodowe. W Uniwersum Moskiewskim Paul powiedział, że w przypadku czarnego scenariusza to mogłoby zadziałać. Nie dałoby się wymyślić czarniejszego scenariusza. – To nas uratuje, prawda?

– Możliwe – odparł Paul i zaczął ustawiać oba urządzenia.

– Możliwe?

– Szacuję szanse powodzenia na jakieś trzydzieści cztery procent.

O Boże.

– Zrób to.

– To będzie bolało. – Paul nie mówił tego, żeby dać mi szansę na wycofanie się. Dostrajał już mojego i swojego Firebirda, pracując szybko, ponieważ oboje wiedzieliśmy, że nie ma innego wyboru.

Sufit zaczął się odkształcać i migotać, a potem wydawało się, że topnieje, odsłaniając niebo zasnutę burzowymi chmurami. Josie krzyknęła. Paul złączył nasze dwa Firebirdy.

To było jak uderzenie pioruna. Przeszył mnie czysty ból, tak gwałtowny, że nie byłam w stanie nawet oddychać. Nigdy nie czułam takiego bólu – przypomnienie było trochę podobne, ale trwało zaledwie sekundę, a to ciągnęło się i ciągnęło.

Paul zadrzał. Cierpiał tak samo jak ja. Przytulił mnie jednak do siebie tak, jakbym to ja mogła go ocalić. Łzy sprawiły, że świat rozmazał mi się przed oczami. Rozpadał się cały nasz dom, a może cały wymiar, i to na pewno był już koniec.

– Kocham cię. – Przytuliłam się do niego jeszcze mocniej, wdzięczna losowi, że mogę to powiedzieć jeszcze raz.

– Ja też cię kocham. – Przygarnął mnie do serca.

Jeśli to ma być nasz koniec, to niech już nadejdzie.

W tym momencie otoczyło nas światło, jasne jak słońce, a moje ciało przeszył gigantyczny impuls energii. To było tak, jakby we mnie znajdowało się oko cyklonu, skręcającego się i wciągającego mnie do środka. Wirowanie bolało bardziej niż wszystko inne. Jeszcze bardziej desperacko przylgnęłam do Paula, zmuszając się do pozostania w jednym kawałku. Do pozostania z nim. Do pozostania przy życiu.

A potem wszystko... znieruchomiało.

Ból zniknął. Wstrząsy uspokoiły się. Sufit był znowu tylko sufitem. Przez kilka długich sekund po prostu leżeliśmy, nie ufając naszym zmysłom.

Nadzieja, rozpacz i zaskoczenie zderzały się i mieszały moje myśli, więc spojrzałam na Paula, równie zdumionego jak ja. Ale cisza trwała, podobnie jak bezruch, aż zaczęłam wierzyć, że może trwać już zawsze.

– Udało nam się – szepnęłam. – Prawda?

Zaskoczenie na twarzy Theo pomału przemieniło się w uśmiech.

– Albo też zaświaty okazały się okropnie przereklamowane.

Paul odetchnął z ulgą.

– Udało nam się.

Josie i tata zaczęli się śmiać ze szczęścia tym samym zwariowanym rehotaniem. Ja także powinnam się śmiać, wiwatować albo skakać z szalonej radości, ale byłam nadal zbyt oszołomiona, żeby czuć cokolwiek poza zdumieniem.

Theo przysunął się do nas z uśmiechem.

– Co ty przed chwilą zrobiłeś, braciszku? Pokaż mi tę gorącą i seksowną teorię naukową.

Paul usiadł i pociągnął mnie ze sobą. Teraz mogłam zobaczyć, że mama zdążyła już wstać i jest zajęta swoim Firebirdem. Spróbowałam usiąść o własnych siłach, ale byłam niezgrabna i ociężała. W organizmie pozostały ślady Włamywacza, a mięśnie mi dygotały po intensywnym bólu.

– Mamo? Co robisz?

– Centrala. Musimy mieć pewność, że nie spróbują czegoś znowu. – Mama zmrużyła oczy, żeby odczytać wskazania.

Oni nie zrobią. Zła mogłaby.

– Nie zostali zniszczeni, prawda? Nasza historia się nie zmieniła.

– Właśnie – powiedział tata. – Myślę, że udało im się odizolować. Wygląda też na to, że twoja odpowiedniczka jest tam odizolowana razem z nimi.

Wróciła. Usłyszała, co mówiłam, i wróciła, chociaż wiedziała, że może zginąć. Zła dostała drugą szansę, na którą nie zasługiwała, ale jej los spoczywał ostatecznie w jej rękach. Jeśli jej życie stanie się od tej pory coś warte, to dlatego, że oni znajdą sposób, aby do niej dotrzeć. Jeśli jej życie będzie piekłem, to dlatego, że nadal jest pełna jadu, zgorzkniała i małoduszna. Nigdy się nie dowiem, co się z nią stało, i szczerze mówiąc, niezbyt mnie to obchodziło. Wystarczała mi wiedza, że nigdy już jej nie zobaczymy.

Laptop taty leżał na podłodze, z klawiaturą przysypaną ziemią z przewróconej paprotki, ale nadal działał i sygnalizował, że ktoś chce się połączyć z nami przez Skype'a.

Paul wstał chwiejnie, a jego spojrzenie stało się lodowate.

– To może być tylko jedna osoba.

Tata podniósł laptop, otrzepał go i postawił na tęczowym stole, a my zgromadziliśmy się wokół niego. Nadal roztrzęsiona, oparłam się o krzesło. Kiedy tata odebrał połączenie, na ekranie pojawiła się twarz Wyatta Conleya. Jego pewność siebie i samozadowolenie zniknęły, zastąpione strachem.

– Słuchajcie... Wiem, że nie jesteśmy w najlepszych relacjach, ale jeśli dobrze rozumiem te odczyty, to właśnie...

– ...zajęliśmy się tym. – Mama zaplotła ramiona na piersi. – Nasz świat jest bezpieczny. Triad, jaki znałeś, jest skończony. Jeden z twoich odpowiedników nie żyje, a drugi jest na zawsze uwięziony w odizolowanym wszechświecie.

– Od tej chwili jesteś sam, Wyatt – wtrącił tata. – Mamy też nad tobą przewagę liczebną, ponieważ obecnie współpracuje z nami kilka innych światów, które przed tobą ostrzegliśmy. Dlatego proponuję, żebyś zapomniał o pomysle bawienia się kiedykolwiek w podróże międzywymiarowe.

Josie wsunęła głowę między naszych rodziców, żeby pokazać się na ekranie.

– Tak przy okazji, w życiu bym się z tobą nie umówiła.

Miałam wrażenie, że Conley nie potrafi tego wytrzymać. Czy kiedykolwiek, chociaż raz w życiu poniósł porażkę? Odnosił jeden sukces za drugim, zyskiwał pieniądze i podziw całego świata, ale teraz mógł tylko na nas patrzeć.

– Co się teraz stanie? – zapytał w końcu.

Zrobiłam krok naprzód, żeby powiedzieć coś do ekranu. Miałam nadzieję, że po raz ostatni muszę oglądać twarz Wyatta Conleya.

– Proponuję, żebyś zajął się znowu telefonami. To ci wychodzi najlepiej.

Z tymi słowami rozłączyłam się. Ekran pociemniał.

Theo potrząsnął głową.

– Gdybyśmy mogli wsadzić tego drania do więzienia... Zdemaskować go, pokazać całemu światu, co zrobił...

– Nie możemy. – Tata usiadł na sofie i spojrzał na nas z żalem. – Nie ma jeszcze żadnych praw, które zakazywałyby czegoś takiego. Powstrzymaliśmy go, Theo. Niech to nam wystarczy.

– Poza tym pomyślcie o tych odkryciach, jakie nas czekają. – Nawet w zrujnowanym wnętrzu naszego domu, niecałe dziesięć minut po tym, jak stanęliśmy oko w oko ze śmiercią, mama patrzyła już w przyszłość rozgwieżdżonym wzrokiem. – Połączenia między światami, nieskończony potencjał danych, którymi możemy się dzielić.

– Gorąca i seksowna nauka. – Theo zdołał się uśmiechnąć.

Josie wróciła do ratowania naszych zaniedbanych roślin i wkładania ich

z powrotem do doniczek, a mama starała się ułożyć stosy papierów z powrotem w kolejności, w jakiej się znajdowały. Tata i Theo skierowali się do drzwi. Teoretycznie mieli sprawdzić, jakie są zniszczenia w najbliższej okolicy, ale podejrzewałam, że Theo chciał też zobaczyć, czy jego samochód wyszedł z tego bez szwanku.

– Marguerite? – Głos Paula był miękki.

Popatrzyłam na niego, od nowa zaskoczona cudem, jakim było to, że przeżył. Jeszcze cudowniejsze było to, że odwzajemnił mój uśmiech z taką samą radością. Z taką samą nadzieją.

Wziął mnie za rękę i powiedział:

– Stwórzmy razem świat.

Epilog

Gdyby opierać się na tym, co napisały media, tamtego dnia w San Francisco miało miejsce trzęsienie ziemi – z nietypowymi wstrząsami, ale nawet nie aż tak silne. Poza kilkoma osobami lekko rannymi w stłuczkach samochodowych, nic się nikomu nie stało.

W mediach społecznościowych pojawiały się wpisy o dziwnych zjawiskach, jakie ktoś widział lub odczuwał w trakcie trzęsienia ziemi, a portale zajmujące się tropieniem spisków obwinały o wszystko „smugi chemiczne”. Większość ludzi uznała dziwne zjawiska za złudzenie wywołane strachem i zaskoczeniem. Może nawet za halucynacje spowodowane przez panikę. Nikt nie zdawał sobie sprawy, jak niewiele brakowało, aby nasz świat uległ zagładzie. O trzęsieniu ziemi zapomniano niemal zaraz, a życie toczyło się dalej.

Josie zapraszała mnie do San Diego na weekendy, a ja jeździłam do niej. Uczyła mnie surfowania, a przynajmniej próbowała. W najlepszym razie udawało mi się ustać na desce przez jakieś trzydzieści sekund, zanim wpadłam do oceanu.

To nie miało znaczenia. Ważniejsze były wieczory, które spędzałyśmy, spacerując po plaży w majtkach od bikini i koszulkach do pływania, z ręcznikami zarzuconymi na ramiona i różkami lodów w rękach, rozmawiając o wszystkim i niczym.

Zawsze byłyśmy blisko, ale bywa, że ludzie oddalają się od siebie nie z powodu złych emocji. Czas i brak uwagi potrafią rozdzielić nas równie skutecznie. Jak bardzo oddaliłybyśmy się od siebie z Josie, gdybym nie miała okazji zobaczyć, jak rozpaczliwe byłoby moje życie bez starszej siostry? Gdybyśmy nie postanowiły świadomie znajdować więcej czasu dla siebie nawzajem?

Cieszyłam się, że nie muszę się o tym przekonywać.

Współpraca międzywymiarowa trwała dalej. Teraz częściej rozmawialiśmy, niż odwiedzaliśmy inne światy, a każda podróż była umawiana z wyprzedzeniem. Ja podróżowałam rzadziej od pozostałych, ponieważ te wyprawy były w praktyce konferencjami naukowymi. Jednak odwiedzałam inne wymiary razem z rodzicami lub Paulem, żeby zobaczyć, co tam słychać.

W Uniwersum Wojennym „nasza strona” konfliktu zaczęła zyskiwać przewagę. Chociaż nikt z nas nie był zachwycony, że wykorzystują nowo zdobytą wiedzę do konstruowania broni, był to ich wybór, a nie nasz. Ich Marguerite wymieniała długie listy miłosne z Theo co najmniej dwa razy w tygodniu. Jeśli Paul z tamtego świata kiedykolwiek miał szanse, Theo musiałby coś naprawdę poważnie zawalić.

Uniwersum Mafii czyniło znaczące postępy. Moi rodzice starali się odwiedzać je w weekendy, kiedy nie było Josie i Wyatta. Ich wersja Wyatta Conleya pozostawała zakochana w mojej siostrze, więc nie było sensu ich rozdzielać. Możliwe, że Wyatt Conley z Uniwersum Mafii był najlepszą swoją wersją – człowiekiem, jakim mógłby się stać, gdyby nie przeszkodziło w tym jego ego. Ich Theo stracił jedną nogę poniżej kolana, co było okropne, ale uczył się poruszać na protezie i był wściekły tylko na gangstera, który go postrzelił. Perspektywa odkryć była dla niego o wiele bardziej atrakcyjna niż rozpamiętywanie przeszłości.

Jeśli chodziło o Paula z mafii rosyjskiej – no cóż, zaniechał dalszych prób kontaktu z tamtą Marguerite (oczywiście nasz Paul nigdy nie odwiedzał tego wymiaru). Policja nie zdołała go znaleźć, więc gdzieś tam w tym świecie prowadził bardzo ponure życie. Miałam nadzieję, że uda mu się od tego uwolnić, zanim trucizna przeniknie zbyt głęboko i przemieni go w kolejną wersję własnego ojca.

Uniwersum Triadu na pewien czas całkowicie zamilkło, aż w końcu tamte wersje moich rodziców się z nami skontaktowały. Ponieważ Conleya już nie było, a Centrala przestała się wtrącać, udało im się na nowo przejąć projekt Firebird. Tamten Paul wrócił do Stanów Zjednoczonych z Ekwadoru z tamtą moją wersją u boku i oboje byli szczęśliwi, że znaleźli się w domu.

Uniwersum Oceaniczne nadal uważało, że powinniśmy zapłacić za łódź podwodną. Najwyraźniej wyjątkowo lubili się procesować. Nie zauważyłam tego podczas pobytu w tym świecie. Powtarzaliśmy im, żeby zgłosili się do Uniwersum Triadu, ponieważ technicznie rzecz biorąc, to była wina tamtego Theo. Jednak jego śmierć sprawiła, że nadal szukali winnych. Na szczęście nie można pozwać kogoś z innego wymiaru. Przynajmniej na razie.

W Uniwersum Cambridge moi rodzice wybaczyli tamtej wersji Paula przynajmniej na tyle, żeby współpracować z nim przy nowych odkryciach. Najwyraźniej tamta moja wersja także mu wybaczyła. Nie wrócili do siebie, ale... sprawy były na dobrej drodze. Tamta Marguerite dostała się także do szkoły filmowej przy Uniwersytecie Południowej Kalifornii, co było

niesamowite. Miała wielkie plany. Kiedy odwiedziłam ten świat, przygotowała dla mnie magazyny mody z przyklejonymi żartobliwymi karteczkami z prośbą o radę, która suknia będzie najlepsza na ceremonię wręczenia Oscarów. Wracalam do tego wymiaru częściej niż do innych, chociaż muszę przyznać, że głównie po to, aby pobawić się z mopsem Ringo.

Niektórych światów nigdy już miałam nie zobaczyć. Uniwersum Kosmiczne przyjęło do wiadomości, że to właściwie nie ja doprowadziłam do zniszczenia „Astraeusa”, ale wątpiłam, żebym spotkała się tam z gorącym powitaniem. Uniwersum Moskiewskie nie miało dostatecznie rozwiniętej technologii, żeby do nas dołączyć. Nie zależało im także na współpracy. W państwie policyjnym niewytłumaczone działania i luki w pamięci stawały się od razu poważnym zagrożeniem. Cieszyli się, że mogli nam pomóc, ale tak samo cieszyli się, że więcej tam nie wrócimy. Poza tym, oczywiście, nie miałam wstępu do żadnego świata, w którym Marguerite zginęła. Nie mogłam już zobaczyć futurystycznego Londynu, straciłam też szansę na poznanie egipskich grobowców.

Jednak odwiedzałam świat, w którym tata i Josie zginęli podczas napadu na ich samochód, żeby spędzić więcej czasu z tamtą wersją mamy. Nie chciała przeskoczyć do nas, żeby ich zobaczyć, ponieważ mówiła, że to na nowo by ją sparaliżowało. Mimo to przekazywałam jej część ich danych naukowych, a ona cieszyła się, że może o nich słuchać – wyobrażać sobie, jakie życie prowadziliby jej mąż i starsza córka.

Być może jeszcze kiedyś odwiedzę Uniwersum Rosyjskie. Wielka księżna przesłała mi przez Theo wiadomość, że docenia moją obietnicę niewracania tam, ale zaprasza mnie po wrześniu, jeśli chciałabym zobaczyć dziecko. Tak naprawdę chciała, żebym mogła opowiedzieć Paulowi o tym dziecku, które było w części jego, w części moje i całkowicie jej. Ta podróż będzie trudna i oszałamiająca, ale zamierzałam się w nią wybrać. Samo zobaczenie jeszcze raz Władimira, Katii i Petera było tego warte.

Wybrałabym się tam, nawet gdybym nie miała okazji się z nimi spotkać. Tak wiele zawdzięczałam wielkiej księżnej, że mogłam dla niej zrobić przynajmniej tyle. Poza tym także chciałam zobaczyć dziecko.

– To wyjątkowe prace. – Egzaminator spacerował po sali, w której zostało wystawione moje portfolio. – Wykorzystujesz niezwykle szeroki wachlarz technik jak na tak młodą osobę.

Miałam ochotę zacząć skakać i pisać z radości, ale udało mi się ograniczyć do powiedzenia:

– Bardzo dziękuję.

Wprawdzie Rhode Island School of Design była gotowa przyjąć mnie od stycznia, ale ostatecznie musiałam spróbować spełnić swoje marzenia. Ruskin School of Fine Arts organizowała chyba w sześciu miastach w USA nabór, podczas którego tuziny kandydatów prezentowały swoje portfolio egzaminatorom. Zrobienie dobrego wrażenia nie gwarantowało przyjęcia. Inni wykładowcy oglądali później zdjęcia, po czym następowało ostateczne głosowanie.

Ale nigdy nie zaszkodziło zrobić dobre wrażenie, prawda?

– Powiedz mi coś więcej o tym cyklu szkiców. – Profesor wskazał prace rozłożone na stole.

– Oczywiście. Na pewno słyszał pan profesor o moich rodzicach...

W oczach profesora zabłysło bardzo obiecujące zainteresowanie. Wszystkie media wiedziały, że udowodniliśmy możliwość podróżowania pomiędzy wymiarami i część z nas już to robiła. Przez jakiś tydzień pod naszym domem koczowali paparazzi, co było przekomiczne. Jednak szczegóły dotyczące porozumienia międzyświatowego nie zostały na razie ujawnione. Przekonaliśmy się, jak łatwo wykorzystać tę technologię w złych celach, dlatego nie mogliśmy zdradzać zbyt wiele, dopóki moi rodzice nie opracują jakichś zabezpieczeń. Z braku namacalnych dowodów mnożyły się plotki i najwyraźniej ten dystyngowany, stoicki profesor z Oksfordu umierał z ciekawości, żeby się czegoś dowiedzieć.

Cóż, mogłam mu trochę powiedzieć.

– Odbyłam kilka podróży, a to jest osoba, która jest mi bliska w wielu różnych światach. Ten cykl stanowi poszukiwanie odpowiedzi na pytanie, jak zmieni się jego portret, aby odzwierciedlić jego niepowtarzalne losy w każdym ze światów.

Na stole leżało sześć szkiców przedstawiających Paula. Na jednym miał gniewny wyraz twarzy, a spod rozchylonej koszuli widać było ciemniejsze linie tatuaży. Na innym był ubrany w średniowieczny habit, a jego twarz miała łagodniejszy, ale pełen smutku wyraz. Na samym środku leżał portret porucznika Markova. Byłam z niego dumna, ponieważ kiedy na niego patrzyłam, czułam od nowa całą jego miłość, chociaż tak naprawdę uczucia w tym portrecie pochodziły z mojej miłości do niego.

– Czy zamierzasz tworzyć dalsze prace na podstawie doświadczeń ze swoich podróży?

Najwyraźniej tylko na taką dociekliwość zamierzał sobie pozwolić profesor.

Skinęłam głową.

– Chciałabym stworzyć także serię autoportretów. Zmieniam się w poszczególnych wymiarach tak samo jak każdy. Zamierzam przeanalizować tę zmienność. Jej dziwność i wszystkie inne aspekty.

Już wiedziałam, że najtrudniejszy będzie portret Złej i właśnie dlatego takie ważne było, żebym zrobiła go tak, jak należy. Będę malować ją tyle razy, ile to będzie konieczne, aż znajdę sposób, aby dokładnie pokazać, pod jakimi względami jesteśmy różne, a pod jakimi podobne.

Tymczasem Theo wybierał się na roczne studia post-doktoranckie do Yale, ponieważ zaproponowano mu pozycję, której nie mógł odrzucić. Ulepszał swój samochód, żeby przygotować go do podróży przez cały kontynent.

Nie wrócił jeszcze całkowicie do zdrowia po nadużyciu Włamywacza, ale niewiele brakowało. Z każdym tygodniem jego twarz odzyskiwała kolory, jego śmiech stawał się odrobinę głośniejszy, a poziom energii wzrastał. Koniecznie przed wyjazdem zamierzał udzielić Paulowi kolejnych lekcji „poprawek z dorastania”, co polegało głównie na tym, że mieli oglądać „wybitne” filmy akcji na Netfliksie, ale niech im będzie.

Od naszego pożegnalnego pocałunku w Uniwersum Klonów Theo nie wspominał już o swoich uczuciach do mnie. Byłam praktycznie pewna, że te uczucia zaczęły się zmieniać. Tęsknota, jaką w nim dostrzegałam dawniej, kiedy byliśmy razem z Paulem, właściwie zniknęła bez śladu. Zachowywał się przy nas swobodnie, zarówno chętnie spędzał z nami czas, jak i zostawiał nas samych. Theo, jak to Theo, miał swoje sprawy. Umówił się nawet kilka razy z dziewczyną, którą poznał na koncercie The Lumineers.

– To nic poważnego – powiedział, kiedy o nią zapytałam. – Mam się zaraz przeprowadzić na drugi koniec kontynentu. To tak trochę przeszkadza.

Theo nie pozwoliłby, żeby nawet bomba rozdzieliła go z osobą, którą kocha. Wiedziałałam to, chociaż on sam dopiero zaczynał zdawać sobie z tego sprawę.

– Ważne, żebyś był szczęśliwy. Tylko to się liczy.

Uśmiechnął się do mnie.

– Jakoś sobie z tym radzę.

Nie rozmawialiśmy nigdy o naszych odpowiednikach w Uniwersum Wojennym, zakochanych w sobie do szaleństwa, ani o tym, jak chemik z Paryża stał się oddanym przyjacielem wielkiej księżnej, mimo że spodziewała się dziecka innego mężczyzny. Tamte światy udowadniały, że moglibyśmy być razem, że istnieją wymiary, w których ja jestem przeznaczona jemu, a on mnie. Ale w tym świecie łączyła nas przyjaźń tak głęboka i silna, że miałam pewność,

iż potrwa do końca naszego życia. To także nie było najgorsze przeznaczenie.

Z jakiegoś powodu to, że moi rodzice w tylu wymiarach byli małżeństwem, przypomniało im, że tutaj nie mieli jakoś okazji zalegalizować swojego związku. Mama zadzwoniła do kuzynki, która miała dom na wsi we Francji, a teraz mój tata analizował kalendarz akademicki na przyszły rok, żeby znaleźć idealną datę na ślub w malowniczym miejscu.

– Nareszcie – westchnęłam pewnego wieczoru, kiedy siedzieliśmy na werandzie za domem z waflami ryżowymi. Z teatralną przesadą złożyłam ręce. – Josie i ja będziemy ślubnymi dziećmi, a nie zrodzonymi z grzechu.

– Wiesz, że pobralibyśmy się już dawno, gdyby wam to robiło różnicę, ale nie wydawało mi się, żeby tak było – wyjaśniła mama. Lampki w kształcie rybek świeciły w ciemności pomarańczowo i błękitno. – Czekaliśmy na odpowiedni moment, ale nigdy nie ma dość czasu, żeby zrobić wszystko to, co by się chciało. Trzeba mieć jakieś priorytety. Henry i ja w końcu uznaliśmy wzięcie ślubu za priorytet.

– Powinniśmy byli to zrobić dawno temu. – Tata leżał na plecach, z głową na kolanach mamy. – Widziałaś, ile teraz kosztują obrączki? W głowie się nie mieści.

Mama potargała mu włosy.

– Niedługo będziemy mogli udostępnić większą część naszych badań całej społeczności naukowej. Wtedy inni przejmą pałeczkę i dokonają odkryć, jakie nawet nam się nie śniły. Nie będziemy musieli poświęcać absolutnie całego czasu podrójom międzywymiarowym.

– Wiesz, czym się wtedy będziemy mogli zająć? – Oczy taty się rozjaśniły.

Proszę, niech się nie okaże, że chodzi o seks – pomyślałam. – Proszę, proszę, proszę.

Było jednak jeszcze gorzej.

– Podróżami w czasie – oznajmili jednocześnie, rozpromienieni.

Mówili poważnie? Chyba tak.

O Boże.

– Zastanawiam się, jak będzie w Anglii – powiedział Paul, kiedy zapinał swój pas w samolocie.

Pozwolił mi siedzieć przy oknie.

– Byłeś dwa razy w Uniwersum Londyńskim.

– Chodziło mi o naszą Anglię. – Tak samo jak przez ostatnie tygodnie był

rozdarty między oczekiwaniem a niepokojem. – Zmiany zależne od wymiaru mają ogromne znaczenie, podobnie jak subtelne zmiany w języku mówionym oraz zachowaniach społecznych... Tak, zaczynam mówić jak naukowiec, ponieważ się denerwuję.

Jego diagnoza dotycząca własnych nerwów sprawiła, że się uśmiechnęłam. Paul uczył się, jak sobie z tym radzić. Co więcej, uczył się, jak być szczęśliwym.

Jak być kochanym.

Dwa dni po tym, jak dostałam decyzję o przyjęciu do Ruskin School of Fine Art, on przyjął propozycję studiów post-doktoranckich na Uniwersytecie Cambridge. Oksford leżał niedaleko Cambridge, co oznaczało, że będziemy mogli się widywać w każdy weekend, ale mimo wszystko każde z nas będzie miało własne studia, własne okazje, żeby odkrywać nowe możliwości i się rozwijać.

Ponad wszystko jednak będziemy mieli szansę, żeby razem stworzyć nasze wspólne przeznaczenie.

Firebirda skonstruowano po jednym równaniu. Moje obrazy składały się z niezliczonych pociągnięć pędzlem, ale każde miało odrobinę inaczej wymieszane kolory, każde było zamierzone i celowe. W każdej chwili, każdego dnia wszyscy coś tworzymy – sztukę lub naukę, związek lub przeznaczenie – i tworzymy to po jednym wyborze, po jednej chwili. Nasze decyzje kształtują światy innych ludzi tak samo jak nasz własny. Każde z nas jest środkiem własnego wszechświata i każde z nas znajduje się na orbicie kogoś innego. To paradoks, ale czasem od paradoksów zaczyna się prawda.

Mój ojciec zauważyłby, że Beatlesi powiedzieli to nam wszystkim kilkadziesiąt lat temu, kiedyś śpiewali, że jeśli wszystko podsumować, miłość, którą dostajemy, jest równa miłości, którą tworzymy. Nie, nigdy nie zapanujemy w pełni nad naszym losem – będziemy narażeni na wypadki, okrucieństwo i przypadkowe nieszczęścia życiowe. Ja jednak staram się myśleć o tym, jak wiele zależy od nas samych. To my decydujemy, które emocje posłużą jako budulec, których uczuć użyjemy, żeby ukształtować nasz wszechświat.

Paul i ja tworzymy świat, ramię w ramię, dzień za dniem. Nie mamy pojęcia, co kryje przyszłość, wiemy tylko, że pracujemy nad nią razem.

Sprawimy, że będzie piękna.

Silniki stały się głośniejsze, kiedy samolot zaczął kołować po pasie startowym. Obejrzałam się na halę lotniska, gdzie, jak sobie wyobrażałam, mama i tata jeszcze ocierali łzy. Paul ścisnął moją rękę tak mocno, że zaczęłam się zastanawiać, czy to nie fobia.

– Nie boisz się latać, prawda?

– Nie. Znam zarówno statystyki bezpieczeństwa, jak i prawa aerodynamiki. – W pierwszej chwili wydawało mi się, że Paul znowu wejdzie w tryb Spocka, ale zaraz uśmiechnął się z takim ciepłem, że poczułam, jakbym znalazła się w słońcu. – Chciałem tylko wziąć cię za rękę.

Uścisnęłam jego dłoń równie mocno.

– Ja nie zamierzam cię wypuszczać.

Samolot przyspieszył, wciskając nas w siedzenia tak mocno, że zaczęliśmy się śmiać. Pędziliśmy przed siebie coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie oderwaliśmy się od ziemi i wzbiliśmy w niebo.